



FERDYNAND OSSENDOWSKI

---

**Ludzie, zwierzęta,  
bogowie**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

---

FERDYNAND OSSENDOWSKI

# *Zwierzęta, ludzie, bogowie*

# CZĘŚĆ PIERWSZA. MĘCZEŃSKA WŁÓCZĘGA

## I. PRZYCZYNY MOJEJ PODRÓŻY

Przed nawalnicą bolszewicką musiałem uchodzić z Petersburga na Syberię jeszcze w roku 1918. Do października roku 1919 przebywałem na Syberii, gdzie rządy bolszewickie zastąpiły rząd adm. Kołczaka, zgubionego przez wpływy monarchistów i przez nieudolnych ministrów. Po katastrofie syberyjskiej, gdy Kołczak został stracony w Irkucku, gdy 5-ta polska dywizja syberyjska była już w zdradzieckich rękach bolszewików, którzy szybko zalewali cały kraj, bez boju posuwając się na wschód za resztkami zdemoralizowanej armii rządu syberyjskiego, zaczęły się na Syberii prześladowania Polaków. Wystarczyło mieć nazwisko o brzmieniu polskim, żeby być skazanym na śmierć. Musiałem więc myśleć o dalszej ucieczce.

Na początku roku 1920 los rzucił mnie do Krasnojarska, miasta położonego u brzegu wielkiej i pięknej rzeki Jenisej, której źródła rodzą się w górach Urianchaju, a ujście ginie w Oceanie Lodowatym.

Z kilku Polakami układaliśmy plan ucieczki do Urianchaju i dalej — do Mongolii, Chin, Europy... lecz wypadki zmieniły nasze zamiary. Znajomi moi zostali aresztowani i umarli na tyfus plamisty w więzieniu, a grupa katów bolszewickich przybyła po mnie i przypadkiem nie zastawszy mnie w domu, uczyniła na mnie zasadzkę.

Uprowadzono mnie w porę. Przebrawszy się w ubranie wieśniacze, wyszedłem pieszo za miasto, wynająłem pierwszego lepszego Sybiraka, powracającego na wieś do domu i po kilku godzinach byłem już o 40 kilometrów od Krasnojarska, w małej wsi, otoczonej ze wszystkich stron gęstym lasem syberyjskim, czyli, jak go nazywają chłopci miejscowi, „tajgą”. Tu przyjaciele przysłali mi karabin, 300 naboji, siekierę, nóż, kozuch, herbatę, suchary, sól i kociołek. Po kilku dniach ten sam chłop odwiózł mnie w głąb lasu, gdzie stała porzucona przez właściciela chata, na pół spalona, lecz używana jeszcze na nocleg przez miejscowych myśliwych. Od tego dnia stałem się pierwotnym człowiekiem, lecz nie przypuszczałem wtedy, że może to potrwać tak długo.

Nazajutrz po przybyciu do tajgi wyszedłem na polowanie i o kilkadziesiąt kroków od chaty zabiłem dwa olbrzymie głuszce. Dalej spostrzegłem ślady jeleni i przekonałem się, że braku pożywienia odczuwać nie będę.

Jednak pobyt mój w tym miejscu został raptownie przerwany.

## II. TAJEMNICZY PRZYJACIEL

Powracając po kilku dniach z polowania do schroniska, spostrzegłem dym wychodzący z komina chaty. Z wielką ostrożnością skradając się do domu, zauważyłem dwa osiodłane konie, a przy siodłach żołnierskie karabiny. Zorientowałem się od razu, że dwaj nieuzbrojeni ludzie nie mogą dla mnie stanowić poważnego niebezpieczeństwa, gdyż posiadałem doskonały Mannlicher. Bez szmeru obszedłem chatę od strony ściany pozbawionej okien i nieoczekiwanie wszedłem do izby. Z ławki z przerażeniem porwało się dwóch żołnierzy. Byli to bolszewicy, gdyż na barankowych czapkach mieli umocowane czerwone gwiazdy, a na piersiach kozuchów — czerwone, brudne kokardy.

Po powitaniu usiedliśmy. Żołnierze zdążyli już przyrządzić herbatę; popijając ją, wszczęliśmy rozmowę. Żeby odwrócić od siebie ich uwagę i podejrzenie, opowiedziałem, że jestem myśliwym z pewnej dalekiej wioski i że tu mieszkam, gdyż od dawna już wytropiłem kilka gniazd soboli. Od bolszewików zaś dowiedziałem się, że z miasta posłano do tajgi wielki oddział jazdy, który zatrzymał się stąd o 15 kilometrów, ich zaś wysłano na zwiad, aby sprawdzili, czy włóczę się po lasach jacyś podejrzeni osobnicy.

— Pojmujesz, towarzyszu — rzekł jeden z żołnierzy — że szukamy kontrrewolucjonistów i że będziemy ich rozstrzeliwali...

Domyślałem się tego już od dawna i nie potrzebowałem bynajmniej jego wyjaśnień. Myśli moje były skierowane ku temu, aby przekonać nieproszonych gości, że jestem zwykłym myśliwym syberyjskim, nie mającym nic wspólnego z kontrrewolucją. Jednocześnie

myślałem o konieczności natychmiastowego przeniesienia się po odjeździe bolszewików w inne, bardziej bezpieczne miejsce.

Zapadał wieczorny zmrok. Twarze moich gości stały się jeszcze mniej pociągające. Żołnierze wyjęli z torby butelkę spirytusu i zaczęli pić, zakąszając chlebem i popijając gorącą herbatę. Alkohol szybko działał i bolszewicy, wymachując rękoma i uderzając pięściami w stół, zaczęli głośno rozmawiać, przechwalając się ilością zabitych „burżujów”. Śmiejąc się ohydnie, opowiadali sobie wzajemnie o wesołych dniach w Krasnojarsku, gdy wyłapywali znieprawionych kozaków i spuszczały ich pod lód Jeniseju. W końcu żołnierze zaczęli się o coś spierać, lecz prędko ich to znużyło. Powoli zabierali się do snu.

— Pójdę już konie rozkubaczyć i przyniosę karabiny — rzekł młodszy i przeciągając się wstał z ławki.

W tej chwili drzwi prowadzące na dwór szeroko się rozwarły; do izby wpadły gęste obłoki mroźnej pary i prąd zimnego powietrza wionął na nas. Gdy mgła opadła, zobaczyliśmy w izbie wysokiego, barczystego chłopca w kosmatej barankowej czapie i w szerokim kożuchu. W rękę trzymał karabin, a zza pasa wyglądała siekierka, z którą Sybirak-myśliwy nigdy się nie rozstaje. Bystre, przenikliwe, połyskujące, prawie zwierzęce oczy nieznajomego badawczo zatrzymały się na każdym z obecnych. Po chwili zdjął czapkę, przeżegnał się i cicho zapytał:

— Kto tu gospodarz?

— Ja! — odezwałem się.

— Czy mogę przenocować? — spytał.

— Proszę, miejsca dość — powiedziałem.

— Napijcie się herbaty, jeszcze gorąca.

Nieznajomy tymczasem zaczął powoli zdejmować kożuch, nie przestając obserwować ludzi i przedmioty. Rzucił kożuch w kąt izby, przykrywając nim karabin i pozostał w wytartych skórzanych kurcie i spodniach, wsuniętych w długie wojskowe buty. Twarz miał zupełnie młodą, drwiącą i śmiałą. Połyskiwały białe zęby i badawcze, przenikliwe oczy. Powichrzona, mocno przyprószona siwizną czupryna i głębokie zmarszczki dookoła ust świadczyły o burzliwym życiu.

Nieznajomy, wciąż się rozglądając, usiadł na ławce i z jakąś szczególną pieczołowitością położył obok siebie siekiere.

— Czy to żona twoja — ta siekiera? — pijanym głosem zapytał go jeden z żołnierzy. Chłop powolnie podniósł na pytającego nagle zabłysłe oczy i cichym, jakimś skradającym się głosem odpowiedział:

— Różni ludziska błakają się teraz po lasach, więc z siekiere bezpieczniej...

Zamilkł i zaczął chciwie pić gorącą herbatę. Jednakże zauważyłem, że kilka razy ostrożnie mi się przyglądał, a oczy jego ustawicznie biegały po izbie, jak gdyby szukając odpowiedzi na jakieś wątpliwości.

Na pytania żołnierzy nieznajomy odpowiadał oględnie i powolnie, a potem postawił swój kubek, wywróciwszy go dnem do góry na znak zadowolenia, i rzekł:

— Pójdę na chwilę do swego konia, a zarazem i wasze rozkubaczę...

— Oj, dziękuję — zawołał młodszy żołnierz, prawie już śpiący. — Nie zapomnij tylko przynieść do izby naszych karabinów...

— Dobrze! — odezwał się chłop.

Bolszewicy pokładli się na ławce, zostawiając dla nas tylko podłogę i już nie słyszeli, gdy powrócił nieznajomy, który rzuciwszy terlicę wojskową na ziemię, położył się natychmiast. Żołnierze i chłop już dawno spali, gdy ja wciąż jeszcze planowałem, co mam dalej czynić. Zasnąłem nad samym rankiem, a gdym się obudził, chłopca już w izbie nie było. Wyszedłem z chaty i zobaczyłem, że kulbaczy dobrego gniadego źrebca.

— Odjeżdżacie? — zapytałem.

— Tak... pojedę razem z tymi... „towarzyszami” — szepnął — przed wieczorem powrócę. Czekać na mnie!...

Nie rozpytywałem go o nic, odpowiedziałem milczącym skinieniem głowy. On zaś tymczasem odwiązał od swego siodła dwa ciężkie wory, rzucił je przy ścianie w spalonej części chaty, uważnie zbadął uzdę i strzemiona, i rzekł z uśmiechem:

— Gotowe! Teraz pójdę obudzić „towarzyszy”.

Po godzinie, napiwszy się herbaty, żołnierze i chłop odjechali.

Pozostałem na dziedzińcu i zająłem się badaniem drzewa. Nagle skądś z daleka dobiegł mnie strzał karabinowy, a po chwili drugi. Zapanowała cisza. Od strony strzałów, wysoko ponad lasem, przeciągnęło stadko spłoszonych cietrzewi. Krzyknęła sójka z wiercholka ośnieżonej sosny. Długo przysłuchiwałem się, czy nie zbliża się ktoś do mego schroniska, lecz dokoła było zupełnie cicho.

Zmrok szybko zapada w zimie na środkowym Jeniseju. Rozpaliłem w piecu i zacząłem przyrządzać supę z głuszca, nie przestając wsłuchiwać się w najmniejszy szmer, dolatujący od strony lasu. Wszakże ciągle wyraźnie czułem i rozumiałem, że śmierć jest stale tuż, gdzieś obok mnie i że ostatecznie może zjawić się w postaci człowieka, zwierza, mrozu, nieszczęśliwego wypadku lub choroby. Wiedziałem dobrze, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby przyjść mi z pomocą i że cała moja nadzieja polega na opiece boskiej, na sile rąk i nóg, na celności oka i pomysłowości.

Mimo całej bacności nie spostrzegłem powrotu nieznanego myśliwca. Tak samo, jak poprzedniego dnia, zjawił się w izbie niespodziewanie. Przez mgłę pary zobaczyłem jego jarzące się i śmiejące się oczy i śmiałą twarz.

Postąpił w stronę ławki i cisnął trzy karabiny.

— Dwa konie, dwa karabiny, dwie kulbaki, dwa worki sucharów, pół cegły herbaty, woreczek cukru, 50 nabojów, dwa kozuchy, dwie pary butów! — ze śmiechem wyliczał Sybirak.

— Doprawdy, bardzo udane miałem dziś polowanie!

Ze zdumieniem patrzyłem na swego gościa.

— Czego się gapicie? — zaśmiał się glucho. — Wyjechaliśmy do lasu na wąską ścieżkę. Tam ich zastrzeliłem. Ani drgnęli! Na co komu się przydali tacy „towarzysze”? Ale pijmy herbatę, a później spać! Jutro musicie przenieść się na nowe mieszkanie. Ja wam pokażę ustronne i przyjemne miejsce, a sam pojedę dalej...

### III. TAJEMNICA MOJEGO GOŚCIA

Nazajutrz o świcie ruszyliśmy w drogę, porzucając moje pierwsze schronisko. Na jednego z koni położyliśmy cały nasz dobytek, spakowany do worków przerzuconych przez siodło.

— Musimy zrobić 400–500 wiorst — spokojnie oznajmił mój nowy towarzysz niedoli, który nazywał się wcale nie przemawiającym do serca i rozumu imieniem — Iwan.

— No, to długo będziemy jechać! — zawołałem.

— Nie dłużej niż tydzień, a może i prędzej będziemy na miejscu — odparł Iwan.

Pierwszą noc spędziliśmy w lesie pod gałęziami wysokiego, rozłożystego świerka. Była to dla mnie pierwsza noc bez dachu nad głową. A ileż takich nocy później spędziłem w ciągu mojej nieskończonej długiej włóczędzy!

Dzień był bardzo mroźny, chyba nie mniej niż 35° R. Pod kopytami koni skrzypiał śnieg. Z cienkim dzwonieniem toczyły się wybijane podkrowami kawałki skrzepłego śniegu. Leniwie zrywały się z drzew cietrzewie i głuszce; nie śpiesząc się, biegły z legowisk do krzaków zające. Przed wieczorem podniósł się wiatr, wyl i szumił, naginając wiercholki drzew. Na dole jednak, w miejscach zakrytych od podmuchów wiatru, było cicho i spokojnie.

Zatrzymaliśmy się w głębokim wąwozie, gęsto porośniętym drzewami i krzakami. Znaleźliśmy dawno złamaną suchą jodłę, narąbaliśmy drzewa i przyrządziliśmy przy ognisku herbatę, pokrzepiliśmy się.

Po kolacji Iwan przywłókł z lasu długie, suche sosnowe kłocę, ściosał je z jednej strony i położył jeden na drugi płaską stroną. Wbiwszy klin pomiędzy kłocę, włożył w otwór trochę rozżarzonych węgli. Ogień natychmiast zaczął szybko posuwać się wzdłuż kanału pomiędzy kłocami.

— Teraz będziemy mieli ogień aż do świtu! — zawołał Iwan. — Jest to nasza syberyjska „najda”. My, poszukiwacze złota, włócząc się przez zimę i lato w tajdze, zawsze śpimy przy najdach. Wspaniale! Ale sami przekonacie się!

Szybko narąbał gałęzi świerka i z pomocą trzech drągów zrobił pochyloną pod kątem ścianę, przed którą o kilka kroków paliła się małym ogniem, wypalając się wewnątrz, najda. Nad tą ścianą i nad tą najdą rozpościerał się namiot z szerokich gałęzi potężnego

świerka. Narzucaliśmy na śnieg gałęzi i nakrywszy się terlicami układaliśmy się do snu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu Iwan rozebrał się do koszuli. Zauważyłem, że się spocił i co chwila wycierał czoło i szyję rękawem koszuli.

— Dobrze! Ciepło! — wychwalał Iwan nasze schronisko.

Wkrótce też byłem zmuszony zdjąć ubranie i zasnąłem, nie nakrywając się kożuchem. Chociaż przez gałęzie świerka i ściany świeciły gwiazdy, a przede mną była otwarta przestrzeń, gdzie szalały mróz i wicher — lecz ta przestrzeń była odgradzona od nas ciepłem, idącym od palącej się najdy. Dopiero przed świtem, gdy ognisko nasze dopaliło się prawie do końca, przykryłem się kożuchem. Od tej nocy przestałem obawiać się mrozów. Przemarzłszy w ciągu dziennego marszu ogrzewałem się znakomicie około najdy, zrzuciwszy z siebie ciężki kożuch i siedząc tylko w koszuli przy kubku gorącej herbaty z sucharami.

Podczas wspólnej podróży Iwan opowiadał mi o swojej dawnej włóczędze po górach i lasach Zabajkała w poszukiwaniu złota. Opowiadania wiecznego włóczęgi odznaczały się wielką żywością i porywały obfitością i barwnością niebezpiecznych przejść i ciężkiej walki z naturą i ludźmi. Iwan był jednym z tych typów „prospektorów”, którzy po całym świecie wykrywali najbogatsze pokłady złota, pozostając bezdomnymi i ubogimi włóczęgami. Zauważyłem, że unikał opowiadania o tym, w jaki sposób z gór Zabajkalskich dostał się do tajgi jenijskiej i zrozumiałem od razu, że w tym kryje się jakaś tajemnica mego towarzysza. Nie pytałem go więc o to.

Jednakże tajemnica ta wyłoniła się pewnego dnia zupełnie niespodziewanie w całej swej surowej i strasznej rzeczywistości.

Zbliżyliśmy się już do celu naszej podróży. Cały dzień przedzieraliśmy się przez gęste zarośla na brzegu wschodniego dopływu Jeniseju rzeki Many. Wszędzie można było zauważyć liczne ścieżki, wydeptane przez zające gnieźdzące się w krzakach. Te białe zwierzątka śmigały w gąszczu, uciekając przed nami. Czasem widzieliśmy rudy ogon lisa, czającego się za kamieniami, a czyhającego na zające.

— Powiem wam coś — rzekł ponurym głosem Iwan. — Tu niedaleko wpada do Many mała rzeczka Niegnięć; przy jej ujściu stoi mały domek. Jak myślicie: tam zanocujemy, czy też znowu przy ognisku spędzimy noc?

— Pojedziemy do tego domku! — zawołałem z radością. — Potrzebuję nareszcie umyć się. Przecież czarni jesteśmy od dymu najdy, jak Murzyni! Zresztą, mieć dach nad głową jest rzeczą bardzo przyjemną!

Iwan ponuro spojrział na mnie, lecz zgodził się.

Już mrok zapadał, gdy zbliżyliśmy się do niewielkiej chałupy, stojącej tuż przy ujściu małej rzeczki Niegnięć do bystrej i zimnej Many. Domek ten składał się z jednej małej izby o dwóch okienkach i o wielkim piecu. Obok domku stały spalona szopa i zburzona lodownia. Kloce i deski były powyrywane i rozrzucone w nieładzie; wszędzie można było zauważyć stopy wykopanej ziemi i kamieni.

Zapaliliśmy w piecu i zaczęliśmy przyrządzać stawę. Podczas kolacji Iwan napił się spirytusu z flaszki „pożyczony” od jednego z czerwonych żołnierzy i wkrótce stał się bardzo rozmowny.

Z jarzącymi się oczyma i połyskującymi zębami, wichrząc swą gęstą, siwą czuprynę, Iwan zaczął opowiadać mi o jakimś wypadku w Zabajkału, lecz raptownie zamilkł, z przerażeniem utkwiał wzrok w ciemny kąt chaty i szeptem zapytał:

— Co to? Szczur?

— Nic nie widziałem! — odparłem, ze zdziwieniem patrząc na swego towarzysza.

Zamilkł i ponuro spuścił swą piękną, drapieżną głowę. Ponieważ nieraz w zadumie spędziliśmy długie godziny, nie zdziwiłem się wcale, że milczymy. Lecz Iwan raptownie pochylił się do mnie i gorącym szeptem zaczął mówić:

— Chcę wam opowiedzieć o pewnym wypadku! Miałem w Zabajkału przyjaciela serdecznego. Był zesłańcem kryminalnym. Nazywał się Gawroński. Dużo z nim razem lasów i gór zwiedziłem w pogoni za złotem. Mieliśmy umowę, że wszystko dzielimy na równe części pomiędzy sobą. Lecz nagle Gawroński zniknął i dopiero po kilku latach dowiedziałem się, że jest w jenijskiej tajdze, gdzie znalazł bogate pokłady złotego piasku. Wzbogacił się i mieszkał w lesie samotnie, mając przy sobie tylko żonę. Później dowiedziałem się, że Gawrońskich zabito...

Iwan znowu zamilkł, lecz wkrótce z ciężkim westchnieniem ciągnął dalej: — To właśnie jest chata Gawrońskich. Tu mieszkał mój niewierny przyjaciel z żoną i gdzieś tu, w łóżysku tej rzeczki „wymywał” złoto z piasku i żwiru, lecz nikomu tego miejsca nie pokazał. Wszyscy chłopci okoliczni wiedzieli, że Gawroński posiada kapitały w banku i że ciągle sprzedaje złoto rządowi. Tu... w tej izbie Gawrońscy zostali zamordowani.

Chłop wstał, wyciągnął z płonącego pieca długą żagiew i pochyliwszy się, oświetlił grube, ledwie ociosane deski podłogi.

— Widzicie te plamy na deskach i tu na ścianie? — zapytał drżącym od wzruszenia głosem. — Widzicie? To — krew Gawrońskich...

Umarli, lecz nie wydali swojej tajemnicy. A złoto było w szachcie i w lodowni zakopane w wielkich glinianych garnkach. Lecz Gawrońscy nic nie powiedzieli, nic, a przecież torturowaliśmy ich, ogniem paliliśmy, palce wykręciliśmy, oczy wydłubywaliśmy... A oni milcząc umarli.

Cisnął palące się drzewo w czarny otwór pieca, rzucił się na wznak na ławę i zdławionym głosem mruczał:

— To opowiadali mi chłopci z tych okolic... Ale... czas już spać!

Późno w nocy słyszałem ciężkie westchnienia Iwana, cichy szept i niewyraźne słowa. Widocznie wił się na twardej ławie i palił fajkę po fajce.

Siódmego dnia wjechaliśmy do gęstego cedrowego lasu, rosnącego na zboczach górskich.

— Stąd — objaśnił Iwan — do najbliższej siedziby ludzkiej 80 wiorst przez bagna i gęstą tajgę. Z rzadka tylko zabrniesz tu jakiś zbieracz orzechów cedrowych, ale to może się zdarzyć tylko na jesieni. Do tego czasu nie zobaczycie tu żywej duszy. Tu „zwierza” dużo, dużo ptactwa, dużo orzechów — możecie łatwo przetrwać zimę. Widzicie tę rzeczkę? Jeżeli zechcecie zobaczyć ludzi, idźcie z jej prądem, ona was doprowadzi do wsi...

Mój tajemniczy towarzysz pomógł mi urządzić norę w ziemi. Wynalazł dla mnie obalony przez burzę olbrzymi cedr. Korzenie drzewa wyrwały ziemię, czyniąc głęboki i obszerny dół. Jedną ścianę i dach tworzył pień cedru, a ściany boczne — poprzeplatane w siatkę korzenie. Uszczelniliśmy je gałęziami, umocowawszy kamieniami i przysypawszy grubą warstwą śniegu. Od przodu „dom” mój był zupełnie otwarty, lecz przed nim paliła się zbawienna najda. W tej to norze przeżyłem dwa najsurowsze zimowe miesiące bez ludzi, bez łączności z całym światem, gdzie w tym czasie zachodziły doniosłe wypadki. W tej mogile, pod korzeniami obalonego drzewa, w dziewiczym lesie, żyłem w obliczu natury ze swoją trwogą o bliskich mi ludzi, ze swoją męką, żyłem w ustawicznej walce o byt, o prawo przeżycia jeszcze jednego dnia.

Iwan odjechał nazajutrz, pozostawiając dla mnie worek sucharów i kilka kawałków cukru. Nigdy więcej nie spotkałem tego człowieka.

Pozostawił po sobie wspomnienia jak najcieplejsze. Doznałem od tego „zabójcy i kata Gawrońskich” dużo dowodów wielkiej dobroci, zrozumienia cudzej duszy i wrażliwości nadzwyczajnej.

#### IV. WALKA O ŻYCIE

A więc jestem samotny...

Naokoło tylko las zielonych cedrów, przysypanych do połowy pnia głębokim śniegiem; gołe krzaki, zamarznęta rzeczka i — jak okiem sięgnąć przez gałęzie cedrów — ocean lasów i śniegu. Tajga syberyjska...

Jak długo będę zmuszony przetrwać w samotności?

Czy znajdą mnie tu, czy nie znajdą bolszewicy?

Czy moi przyjaciele dowiedzą się, gdzie jestem?

Te pytania, jak gorące ognie, bez przerwy, bez wytchnienia trapiły mnie. Bardzo prędko zrozumiałem, dlaczego Iwan prowadził mnie aż tak daleko.

Wszędzie po drodze spotykaliśmy dużo głuchych, niezaludnionych miejscowości, lecz on prowadził mnie coraz dalej, powtarzając:

Ja was doprowadzę do dobrego miejsca, gdzie żyć będzie łatwiej!

I tak było rzeczywiście. Piękność tej okolicy zawierała się w lesie cedrowym i w górze porośniętej cedrami. Cedr — wspaniałe, potężne, szeroko rozgałęzione drzewo, wiecznie zielony namiot, pociągający do siebie wszystko, co żyje.

W lesie stale wrzało życie.

Wśród drzew skakały wiewiórki, wyprawiając zabawne susy; przelatywały powietrzne eskadry gilów lub szczygłów, gwizdały, zaglądały do wszystkich szczelin i kątów lasu, napelniając go ruchem i żywym gwarem; przemykał się zając, a za nim ledwie dostrzegalnym na śniegu cieniem, pełznął cienki jak wąż gronostaj z czarnym końcem drapieżnie drgającego ogonka; nieraz podchodził do mojej skrytki olbrzymi, szlachetny jeleni — „morał” czyli „izubr”. Wreszcie zszedł z wierzchołków gór i złożył mi wizytę brunatny władca tajgi — niedźwiedź.

Wszystko to rozrywało, odpędzało ogarniające mózg ponure myśli, świadczyło o życiu i dodawało otuchy. Dobrze, chociaż bardzo ciężko, było czasem wejść na szczyt „mojej” góry. Wznosiła się ona ponad lasem i z jej szczytu odsłaniała się szeroka, bezgraniczna panorama tajgi z łańcuchem czerwonych gór na horyzoncie.

Tam daleko ciągnął się brzeg Jeniseju, tam stały siedziby ludzkie, tam byli wrogowie i przyjaciele, tam... dalej na zachód, była ta, do której szły moje myśli...

Dlatego to właśnie przyprowadził mnie Iwan do cedrowego lasu. Sam on nieraz spędzał zimę w samotności, tylko ze swymi myślami, oko w oko z naturą, powiedziałbym — „przed obliczem Boga”. Doświadczył rozpacz, samotności i szukał ukojenia. Wiele razy myślałem nad tym, że jeżeli sądzono mi jest umrzeć tu, to umierając, ostatnim wysiłkiem podniosę się na szczyt i umrę, patrząc w stronę nieskończonych gór i lasów, poza którymi znajduje się najdroższa dla mnie istota, oderwana ode mnie zrzędzeniem losu.

Życie w takich warunkach dostarczało dużo materiału dla myśli, a jeszcze więcej dla pracy fizycznej, gdyż było ono — ustawiczną walką o byt, walką ciężką i bezwzględną.

Najcięższą pracą było przygotowanie zapasu drzewa na najdę i małego ogniska dla przyrządzenia stawy. Leżące drzewa były przywalone śniegiem i przymarznięte do ziemi i kamieni. Musiałem odgrzebywać śnieg, a potem za pomocą długich drągów odrywać pnie od ziemi i przesuwać do swej nory. Wybrałem sobie dla zbierania drzew stromy spadek nory. Tam było trudniej wejść, lecz za to łatwiej było staczać w stronę mego schroniska oderwane pnie. Po kilku dniach zrobiłem bardzo ważny wynalazek. Znalazłem niedaleko swej nory dużą ilość pni modrzewi, pojmany przez wichry. Gdy zacząłem je rąbać, siekiera pograżyła się w coś miękkiego i lepkiego. Okazało się, że pnie są przesiąknięte smołą, dość było iskry, aby taka drzazga wybuchła gorącym, mocno dymiącym płomieniem. Od tej chwili w moim mieszkaniu zawsze leżały zapasy tych smolnych kawałków modrzewi do rozpalenia najdy lub małego ogniska dla gotowania stawy i herbaty.

Największą część dnia pochłaniało polowanie. Bardzo prędko zrozumiałem, że muszę tę czynność wykonywać codziennie, żeby bronić się od przygniatających niewesołych myśli.

Zwykle po herbacie porannej szedłem ze strzelbą do lasu szukać cietrzewi lub głuszców. Zabiwszy jednego lub dwa ptaki powracałem do domu i zaczynałem przyrządzać obiad, nie odznaczający się zbytnim wyborem dań. Była więc nieodwołalnie zupa z zabitego ptaka, przyprawiona sucharami, a następnie niezliczona ilość dużych kubków gorącej herbaty — napoju niezbędnego do życia w lesie.

Pewnego dnia, podczas wycieczki po cietrzewie, usłyszałem trzask w krzakach i uważnie zbadawszy miejscowość, spostrzegłem końce rogów jelenia. Zacząłem skradać się do niego, lecz chociaż śnieg prawie nie skrzypiał pod moimi kolanami, zwierzę posłyszało czy poczuło niebezpieczeństwo. Z łoskotem wyrwał się jeleni z gęstych zarośli i zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy przebiegłszy około 300 kroków, zatrzymał się na stromym schyłku góry. Był to olbrzymi okaz o ciemnoszarej sierści i prawie czarnym grzbiecie. Na pięknej głowie niósł potężne rogi. Przede mną był krzak o grubych gałęziach; położywszy karabin na jednej z tych gałęzi, starannie wymierzyłem i dałem ognia. Zwierzę uczyniło olbrzymi skok, przebiegło kilka kroków i upadło. Przez głęboki śnieg i przez krzaki pobiegłem ku niemu, lecz jeleni, spostrzegłszy mnie, podniósł się i skacząc lub chwilami z trudem przebierając nogami, zaczął wspinać się na górę. Druga kula zatrzymała go na zawsze. Zdobyłem w ten sposób wielką ilość mięsa i doskonały kobierzec do swej nory.



Rogi umocowałem wśród korzeni, stanowiących ściany mego schroniska i odtąd służyły one jako wygodne wieszadło na karabin i ubranie.

Nie mogę zapomnieć pewnego bardzo porywającego chociaż dzikiego obrazu, który widziałem o kilka kilometrów od mego „domu”. Było tam niewielkie bagno porośnięte żurawiną. Tutaj zwykle zlatywały się na jagody stadka głuszców, cietrzewi i jarząbków. Pewnego razu skradałem się do tego błotka, kryjąc się za niewysokimi zaroślami młodych cedrów. Zobaczyłem duże stado cietrzewi, energicznie rozgrzebujących śnieg i zjadających jagody. Kilka minut obserwowałem tę scenę, nie zdradzając żadnym ruchem swojej obecności. Jednakże jeden cietrzew, stary, czarny kogut, nagle gwałtownie podskoczył do góry i podfrunął, głośno bijąc skrzydłami. Przestraszone stado natychmiast odleciało. Ku wielkiemu memu zdziwieniu zobaczyłem, że stary kogut, przeleciawszy paseset kroków, zaczął szybko, prawie pionowo podnosić się do góry; po chwili, robiąc koziołki w powietrzu i bezsilnie bijąc skrzydłami, upadł na śnieg i pozostał nieruchomy. Pobiegłem w tę stronę, gdy wtem od ciała cietrzewia odskoczył krwiożerczy gronostaj i wywijając ogonkiem i sycząc skrył się pomiędzy kamieniami. Cietrzew miał przegryzioną szyję. Zrozumiałem, że mały drapieźnik rzucił się na ptaka i wraz z nim uniósł w powietrze, gdzie zdążył przegryźć mu gardło i wyssać krew. Osobiście byłem wdzięczny jego aeronautycznym zdolnościom, gdyż zaoszczędził mi naboju.

W ten sposób żyłem, borykając się z naturą o dzień jutrzejszy, coraz bardziej i głębiej trując się jadem ciężkich i beznadziejnych myśli. Płynęły dni, tygodnie, aż nareszcie poczułem powiew cieplejszego wiatru. Na otwartych polanach zaczął po trochu topnieć śnieg; to tu, to tam biegly już małe strumyki wody i od czasu do czasu widziałem muchę lub pająka, które przetrwały surową zimę syberyjską.

Zbliżała się wiosna.

Widziałem, że wiosną nie znajdę drogi przez las. Bardzo prędko wystąpiły z brzegów wszystkie rzeczki i strumyki tajgi, a leśne bagna i topieliska stały się niemożliwe do przebycia. Wszystkie ścieżki ludzi i zwierząt zamieniały się od topniejącego śniegu w burzliwe potoki, pędzące z gór z szumem i hukiem. Wiedziałem, że aż do lata jestem skazany na samotność.

Wiosna następowała szybko, a chociaż nocami i o świcie bywały ostre mrozy, jednak promienie słońca w ciągu dnia toczyły zwycięską walkę ze śniegiem. Wkrótce moja góra była już wolna od śniegu i stała się cała szara, pokryta tylko kamieniami, nagimi jeszcze konarami brzoź i osik i wysokimi stożkowatymi mrowiskami. Rzeka w kilku miejscach zerwała swój lodowy pokrowiec i pędziła hałaśliwie, odrywając coraz to nowe i coraz większe bryły lodu.

## V. MOJE RYBOŁÓWSTWO

Pewnego poranku, wyszedłszy po zdobycz, zbliżyłem się do brzegu rzeki i spostrzegłem duże ryby o czerwonych, jak gdyby nalanych krwią grzbietach i ogonach. Ryby pływały, wystawiając nad wodę płetwy, widocznie rozkoszując się ciepłem słonecznym. Od tej chwili myśl o możliwości złapania tych wspaniałych ryb i urozmaiceniu mego jednostajnego pożywienia nie porzucała mnie, lecz nie posiadałem nic dla normalnego rybołówstwa i byłem zmuszony uciec się do innych sposobów.

W miarę jak rzeka oczyszczała się z lodu, ryby napływały w coraz większych ilościach. Przekonałem się, że płyną przeciwko prądowi, przynosząc się do składania ikry z Jeniseju do źródeł mniejszych dopływów. Postanowiłem użyć barbarzyńskiego sposobu połowu ryb, chociaż wiedziałem, że prawodawstwo wszystkich państw surowo karze ten system. Myślałem jednak, że prawodawcy i moralisci nie będą zbyt surowi dla mieszkańca nory pod korzeniami obalonego drzewa w tajdze syberyjskiej, samotnika, który ośmielił się przekroczyć ich racjonalne zarządzenia, a zresztą, wtedy ryba o czerwonym grzbiecie była dla mnie ważniejsza od prawników w togach, beretach lub frakach.

Więc zacząłem działać. Najpierw zrabiałem większą ilość cienkich brzoź i osik i zacząłem budować płot poprzez rzekę, wbijając zastrzone drągi w dno lub umocowując je pośród kamieni łóżyska i przeplatając cienkimi gałęziami. Po dwóch dniach uciążliwej pracy w lodowatej wodzie płot mój był ukończony. Wiedziałem, że około tej nieoczekiwanej przeszkody gromadziły się wielkie ryby i coraz to więcej ich przybywało. Okazywały

oznaki żywego zakłopotania, dotykały głowami płotu, odpływały i znów zawracały. Narzeczcie zaczęły czynić usiłowania, by przeskoczyć tę przeszkodę. Wtedy często widziałem olbrzymie srebrne ryby o czerwonych grzbietach i ogonach, długie na metr i więcej, wyskakujące z rozpędem z wody, uderzające sprężystymi ciałami o ścianę z gałęzi i bezsilnie opadające z powrotem do rzeki. Czasami dwie lub trzy ryby na raz dokonywały tego manewru. Musiałem działać. Umocowawszy nóż na długim drągu starałem się przebić rybę, lecz wszystkie próby były nieudane. W ten sposób ryzykowałem złamaniem lub zgubieniem noża. Nie mniej bezowocne były moje usiłowania, aby zaczepić ryby sękatym drągiem i wyrzucić je na brzeg. Wtedy postanowiłem wyzyskać dążenie ryb do przejścia przez płot. Uczyniłem to w następujący sposób:

O kilka kroków od brzegu wyrąbałem, na wpół pod wodą, okno w moim płocie, a po drugiej stronie umieściłem wysoko wystający nad wodą kosz, który uplotłem z cienkich prętów wikliny. Uzbrojony w krótki i ciężki kij czekałem na zdobycz. Po kilku minutach do zdradzieckiego otworu w płocie zaczęły podpływać dwie wspaniałe ryby. Bardzo ostrożnie, jak gdyby namacując każdy cal, weszły do kosza, gdzie zaczęły skakać, bijąc potężnymi ogonami. Niebawem mój kij uspokoił ich zapaly.

W ten sposób stałem się rybakiem. Każdy okaz ważył co najmniej 30 funtów, zdarzały się zaś okazy i po 80 funtów. Były to ryby z gatunku „tajmien”, z rodziny łososi. Po tygodniu miałem zakopanych w śniegu w zaciemionym wąwozie w pobliżu mojej nory około 70 ryb. Porzuciłem polowanie i siedząc około mojej zasadzki, biłem kijem ryby i wyrzucałem je na brzeg. Lecz słońce przypiekało coraz bardziej. Powróciwszy pewnego razu do domu poczułem zapach gnijących ryb. Byłem zmuszony z żalem wyrzucić do rzeki cały ten zapas i ograniczyć się codzienną zdobyczą. Lecz wkrótce ryby przeszły i mój kosz-pułapka przestał dostarczać pożywienia.

Znowu wziąłem się do karabina.

## VI. NIEBEZPIECZNY SĄSIAD

Polowanie tymczasem stało się miłsze i weselsze. Wiosna wszystko ożywiła. Wczesnym rankiem, prawie o świcie, las napelniał się głosami i dźwiękami dziwnymi i niezrozumiałymi dla mieszkańców wielkich, kulturalnych miast. W gęstych gałęziach cedrów głuszcak śpiewa swoją krótką i namiętą pieśń miłości i pieśnią tą zachwyca szare kury, biegające pod konarami.

Do tego ptasiego Carusa łatwo się wtedy podkraść na odległość pewnego strzału. Jeśli kula karabinowa ominie go, śpiewak nie usłyszy huku wystrzału i będzie ciągnął dalej swą arię trwającą zaledwie kilka sekund.

Na dużej polanie leśnej walczą zacięcie cietrzewie-koguty, rozpuściwszy czarne wachlarze ogonów o dwóch białych zagiętych piórach, a damy, kręcąc głowami i z ożywieniem plotkując, przyglądają się zapasom, wybierając najdzielniejszych bojowników.

Z daleka echo przynosi głuchy i groźny, lecz zarazem pełny dziwnie namiętnego wołania ryk jelenia, tęskniącego do towarzyszki. W górach rozlegają się krótkie beczenia dzikich kozłów. Pomiedzy krzakami i na polanach skaczą i zabawiają się gonitwą zające, a tuż zaraz przyczajony, zda się wciśnięty do ziemi, czyha na nie rudy lis.

Tylko wilków nie słychać, gdyż w tych leśnych i górzystych miejscowościach nie mają te drapieżniki nic do roboty.

Ale był niedaleko ode mnie inny sąsiad. Ponury, samotny i dziki. Byliśmy wzajemnie dla siebie niebezpieczni i od razu zrozumieliśmy, że jeden z nas musi ustąpić i odejść na zawsze.

Kiedyś, powracając do domu z wielkim głuszcem na plecach, spostrzegłem w krzakach czarną, powoli ruszającą się masę. Zatrzymałem się i przypatrzywszy się uważnie, zobaczyłem niedźwiedzia, który rozrywał łapami mrowisko i łapczywie zjadał jajka i poczwaraki mrówek. Zwęszywszy człowieka, niedźwiedź, głośno i gniewnie sapiąc, szybko się oddalił, zadziwiwszy mnie swoim biegiem.

Nazajutrz, gdym jeszcze leżał na swoim posłaniu, obudził mnie jakiś szmer za tylną ścianą nory. Ostrożnie wyjrzałem i zobaczyłem swego brunatnego sąsiada. Stał na tylnych łapach i ze świstem wciągał powietrze, ciekawie i bacznie rozglądając się dokoła; widocznie

zastanawiał się nad kwestią, jaka to istota przejęła obyczaje niedźwiedzie i mieszkała przez zimę w barłogu pod korzeniami drzewa.

Krzyknąłem i uderzyłem siekierą w dno mego kotła. Mój wizytator ze wszystkich sił rzucił się do ucieczki i w mgnieniu oka zniknął pośród skał i krzaków.

Jednak ta wizyta nie podobała mi się. Była to jeszcze zbyt wczesna wiosna dla przebudzenia się niedźwiedzia. Stąd wywnioskowałem, że mój sąsiad należał do chorobliwego, bardzo złośliwego typu „mrówczaków”, typu nienormalnego, nadużywającego wszelkich przepisów niedźwiedziej etykiety. Wiedziałem, że taki samotnik jest zawsze zły i zuchwały, postanowiłem więc należycie przygotować się do następnego spotkania. Te przygotowania zresztą trwały bardzo krótko. U pięciu kul mego karabina ściałem wierzchołki niklowe i sfabrykowałem tak zwane „dum-dum” — dostatecznie przekonywujący argument dla intruza. Po herbacie poszedłem na miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkałem niedźwiedzia i gdzie spostrzegłem mrowiska.

Obszedłem całą górę, zaglądając do wszystkich wąwozów, lecz nigdzie nie spotkałem misia. Rozczarowany i zmęczony powracałem do domu i tu nieoczekiwanie natknąłem się na niebezpiecznego sąsiada. Właśnie wychodził z mojej nory, zawzięcie węszył przy ziemi i ciągnął mój kozuch.

Wystrzeliłem. Kula trafiła zwierzę w bok. Z wściekłym rykiem podniósł się na tylne łapy i ruszył ku mnie. Druga kula strzaskała mu biodro. Niedźwiedź usiadł, lecz natychmiast, ciągnąc za sobą łapę i próbując wstać, znowu szedł na mnie z rykiem. Za trzecim wystrzałem padł, ugodzony w serce.

Mój sąsiad ważył około 200–250 funtów, a był bardzo... smaczny.

Żywiąc się jego mięsem doczekałem czasu, gdy ziemia wyschła, rzeki stały się możliwe do przebycia i gdy nareszcie mogłem ruszyć w stronę siedzib ludzkich drogą, którą wskazał mi Iwan.

Z wielką ostrożnością przyszedłem do małej, zaginionej w lesie wsi Siwkowej i zatrzymałem się u syberyjskiego chłopca Tropowa.

Gdy teraz przypominam sobie wszystko, co zaszło ze mną podczas mego samotnego życia w syberyjskiej tajdze, dochodzę do pewnych wniosków.

W każdym kulturalnym człowieku, wówczas gdy zachodzi konieczność surowej walki o byt, może odbić się pierwotny człowiek-myśliwy i wojownik, który dopomaga mu w walce z naturą. W tym jest przewaga człowieka kulturalnego nad niekulturalnym, który nie posiada dostatecznej wiedzy i siły woli do prowadzenia zwycięskiej walki. Lecz przyszedłem też do przekonania, że nie ma nic potworniejszego dla człowieka nad całkowite osamotnienie i uświadomienie sobie, że jest zupełnie odcięty od świata, ludzi i warunków normalnego życia. Jeden krok, jedna chwila załamania się woli — a nastąpi ponury szal, który opanuje mózg i doprowadzi człowieka do nieuniknionej zguby.

Przeżyłem straszliwe dni walki z chłodem i głodem, lecz stokrotnie straszniejsza była walka z dręczącymi duszę myślami!

Wspomnienia tych dni wstrząsają moim sercem i mózgiem.

## VII. ZUCHWAŁY PLAN

Pobyt mój we wsi Siwkowej nie trwał długo, jednak zdążyłem wyzyskać go jak najlepiej. Najpierw udało mi się posłać godnego zaufania człowieka do miasta, skąd znajomi dostarczyli mi pieniędzy, bieliznę, buty, trochę niezbędnych lekarstw, ubranie, a co najważniejsze fałszywy paszport na inne nazwisko, które pozwoliło mi osobiście umrzeć dla bolszewików; po wtóre zdążyłem, w mniej lub więcej spokojnej atmosferze, w gościnnym domu Tropowa, ułożyć plan mojej dalszej włości.

Do Siwkowej doszły wiadomości, że wkrótce po spłynięciu lodu na Jeniseju, mają tu zjechać bolszewicy urzędnicy w celu zarekwirowania bydła u włościan dla czerwonej armii. Zostawać tu było niepodobieństwem, więc oczekiwałem tylko chwili, gdy Jenisej skruszy i zanieśie do oceanu swoje kajdany lodowe i gdy można będzie popłynąć czółnem.

Wyleczyłem z tyfusu płamistego jednego z miejscowych chłopów i ten podjął się odwieźć mnie o 90 kilometrów na południe do jakiejś porzuconej od dawna kopalni złota.

W różnych miejscach Jeniseju lód już popękał, lecz rzeka była jeszcze prawie cała pod potężną korą lodową. Pewnego poranku usłyszałem ogłuszający huk lodu i szum wyrwającej się z uwięzi wody. Wybiegłem na brzeg Jeniseju i ujrzałem groźny, lecz wspaniały obraz walki żywiołów.

Jenisej pod parciem dawno już płynącego od południa lodu, poczynił z niego w kilku miejscach olbrzymie tamy, które podniosły poziom wody w łożysku pośród skał. Teraz woda zrywała te tamy z hukiem i trzaskiem i wlokła całe pola lodowe na północ, ku Oceanowi Lodowatemu.

Jenisej, „ojciec Jenisej”, jest jedną z największych i najdłuższych rzek Azji, bardzo głęboką, lecz ściśniętą w całej środkowej części łożyska wysokimi, skalistymi brzegami. Olbrzymi potok wody unosił teraz całe mile pól lodowych, krusząc je na wystających z wody skałach, lub kręcąc z gniewnym szumem i pluskiem wielkie kry około przylądków, wrzynających się daleko do rzeki; płynęły czarne drogi, które ciągnęły się wzdłuż zamarzniętej rzeki, wybudowane na lodzie szalasy dla podróżników, jadących z towarami z Minusińska do Krasnojarska.

Czasami rzeka stawała i wtedy gromadziły się stosy kry, tworząc wały i ściany, co chwila opadające i znowu wznoszące się do góry. Woda wzbierała coraz wyżej i wyżej, znosząc całe warstwy ziemi wraz z drzewami i krzakami, zrzucając do rzeki wielkie odłamki skał i pozostawiając na brzegu olbrzymie tafle niebieskiego lodu. Pod parciem wody tamy te padały z loskotem, a kra mknęła z podwójną szybkością, rozpryskując się i łamiąc z brzękiem tłuczonego szkła.

Na zakrętach rzeki i koło skał panował chaos, przejmujący zgrozą. Grube tafle i odłamki lodu, wyrzucane w powietrze, waliły o skały, odrywały kamienie i drzewa, tworzyły pasma gór lodowych ciągnące się na dziesiątki kilometrów. Trwały one do lata, póki ich słońce nie roztopiło.

Obserwując ruch lodów, nie mogłem bez przerażenia i wstrząsu patrzeć na ofiary, które niósł groźny Jenisej. Były to ciała ludzi, straconych przez minusińską „czeka”: oficerów, żołnierzy i kozaków rozproszonej armii nieszczęśliwego adm. Kołczaka. Setki tych trupów, może tysiące, z odrąbanymi głowami i rękami, z oszpeconymi twarzami i ciałami, na pół spalone, z wyciętymi na piersiach i nogach kawałami skóry, z wyklutymi oczami i zdruzgotanymi głowami — płynęły na kawałach kry, szukając dla siebie mogiły lub obracając się w szalonych wirach pomiędzy lodowymi bryłami. Kra miotła nimi, druzgotła je, rozcierała na miazgę, rozrywała na kawały i wyrzucała na płaskie wyspy rzeczne i na mielizny około brzegów. Kierując się wzdłuż Jeniseju, ciągle spotykałem gnijące trupy ludzkie i końskie, szarpane przez drapieżne ptaki i dziczące psy. W jednym miejscu widziałem na brzegu 300 trupów końskich, wyrzuconych przez rzekę, a dalej w krzakach wikliny znalazłem 70 ludzkich ciał, czyli raczej części ciał. Mdły, słodkawy zapach gnijącego mięsa płynął z wiatrem, a nad tą ponurą miejscowością krążyły sępy i kruki, przeraźliwie kraczące.

Nareszcie Jenisej przerwał lodowe więzy i przede mną mknął wezbrany potworny potok mętnej, wirującej wody, unosząc na północ do oceanu resztki kry, porwane drzewa i trupy... trupy.

Wynajęty przeze mnie chłop z pomocą swego syna wsadził mnie do czółenka wypalonego z pnia cedrowego, złożył mój skromny majątek i odpychając się długimi drągami, płynęliśmy przeciw prądowi, trzymając się brzegu.

Ciężka to była praca! Trzeba było wiosłować około wystających skał, walczyć z szalenie wartkim prądem. Przy samych skałach wszyscy trzej czepialiśmy się rękami kamieni i wyciągając siły, pchaliśmy czółno naprzód. Lecz dla przepłynięcia kilku metrów traciliśmy bardzo dużo czasu, walcząc o każdy centymetr mknącego na nas i porywającego nas za sobą prądu.

Tak płynęliśmy trzy dni, aż dotarliśmy do celu naszej podróży — do od dawna porzuczonej kopalni złota. Tam pomieszkałem dwa tygodnie w rodzinie stróża. Biedacy przymierali z głodu, a więc w niczym nie mogli być mi pomocni. Karabin jeszcze raz stał się moim opiekunem, dostarczając żywności i dla mnie, i dla moich gospodarzy.

Pewnego razu przyjechał jakiś technik. Ja już się nie ukrywałem, gdyż życie leśne nadało mi taki wygląd, że nikt poznać mnie nie mógł. Łatwo mogłem uchodzić za zwykłego myśliwego sybirskiego, za jakiego się też podawałem. Jednakże nasz gość był czło-

wiekim badawczym i przenikliwym. Od razu odgadł moje incognito, które zresztą nie bardzo starałem się zachować, gdyż zrozumiałem, że nie jest bolszewikiem. Tak też było. Mieliśmy wspólnych znajomych i jednakowe poglądy na sprawy. Przy tym okazało się, że jest to Polak, agronom z zawodu. Mieszkał w jakiejś ustronnej wsi, kierując robotami górniczymi, unikał podróży do miasta, starając się, żeby o nim zapomniały władze.

Postanowiłem razem z nim uciekać z Rosji. Dawno już ułożyłem plan ucieczki. Znając geografię Syberii, po której dużo podróżowałem, doszedłem do wniosku, że mamy jedyną drogę ratunku — przez półzależny od Rosji i Chin kraj Urianchajski, a więc przez źródła rzeki Jenisej do Mongolii i dalej na wschód do Pacyfiku. Podczas rządów Kołczaka projektowałem wyprawę naukową do Mongolii, więc starannie wystudkowałem literaturę i mapy tego kraju, do którego należy i Urianchaj.

Postanowiliśmy obecnie urzeczywistnić zuchwały plan przedostania się przez sowiecką Syberię.

## VIII. PRZEZ POŁUDNIOWĄ SYBERIĘ

Po kilku dniach jechaliśmy już konno przez lasy lewego brzegu Jeniseju na południe, starając się omijać wsie i osady i nie pozostawiając za sobą żadnych śladów. Zresztą należy zaznaczyć, że gdy wypadło nam zatrzymać się u chłopów, ci przyjmowali nas bardzo gościnnie i chociaż nie znali nas, otwarcie wypowiadali swą nienawiść do bolszewików-komunistów, obdzierających włościan.

W jednej wsi powiedzieli nam, że od strony Minusińska dąży do Krasnojarska znaczny oddział „czerwonych”, wysłanych dla wyłapywania „białych”. Odjechaliśmy dalej od brzegu Jeniseju i tak zwanej Aczyńskiej drogi, zapadliśmy w lasy, gdzie przesiedzieliśmy do sierpnia, ponieważ przez całe lato bolszewickie oddziały karne wałęsały się po borach, tropiąc i zabijając bezbronnych, prawie nieodzianych oficerów i kozaków byłej armii Kołczaka, którzy ukrywali się w lasach od niechybnej śmierci z rąk sowieckich katów. Później, na jesieni, przechodząc przez te miejsca, natrafiliśmy na niewielką polanę, gdzie na otaczających ją drzewach wisiało 28 oficerów z wyciętymi gwiazdami na pierśiach. Wiedzieliśmy dobrze, że taki sam los spotkałby i nas, gdybyśmy wpadli w ręce tej „najbardziej postępowej” demokracji na świecie.

Przysięgaliśmy więc sobie, że żywymi nas bolszewicy nie wezmą. Posuwając się na południe, spotykaliśmy ludność coraz bardziej wrogą dla bolszewików, gdyż był to kraj starych syberyjskich osadników i kozaków.

Wreszcie z lasów wynurzyliśmy się na bezgraniczną płaszczyznę Czulym-Minusińskich stepów, przeciętych czerwonymi grzbietami Kizyl-Kaja i wielkimi słonymi jeziorami: Szyro, Szunet, Forpost i innymi.

Jest to kraina mogił, jedno olbrzymie, historyczne cmentarzysko. Narody, plemiona, szczepy ciągnęły tymi stepami, zatrzymując się tutaj na czas dłuższy lub przemijając, jak widma nocne i pozostawiając po sobie mogiły, kurhany, monolity. Tysiące wielkich i małych dolmenów — mogił dawnych właścicieli tych stepów, majestatyczne kurhany z kamieni i czaszek ludzkich, wykute na skałach znaki, które stawiał niegdyś Wielki Mongoł Dżengiz, a po nim Ugedej, straszliwy bicz Boży, ciągnęły się z południa na północ nieskończonym szlakiem.

Teraz tu panami byli Tatarzy szczepu abakańskiego, bogaci, gościnni i kulturalni. Obecnie przed nawałnicą bolszewicką wynieśli się do Urianchaju, Mongolii, nawet do Tybetu, a w pozostałych tkwiła głęboka nienawiść do znęcających się nad nimi komunistów. Przy tym zmartwychwstała w nich, zdawało się, przed wiekami zgasła idea Dżengiz-Chana o zwalczeniu kultury Zachodu i o utworzeniu nowego prawa, kierowanego i ustalonego przez naukę mędrca Buddy, prawa szlachetnego i wzniosłego ducha ludzkiego. Nieraz pastuchy tatarscy, siedząc przy ognisku, na pół śpiewali, na pół opowiadali legendy o wielkim Mongole, o jego synu Kubłaj-Chanie, o krwawym Tamerlanie, o szlachetnym, promiennym Baber-Sułtanie i o nieszczęśliwym Amursan-Chanie.

Czulym-Minusińskie stepy od dawna stały się takim miejscem ciągłych potyczek, mniejszych i większych walk pomiędzy Tatarami i „oswobodzonymi” Rosjanami, jakimi niegdyś w Rzeczypospolitej Polskiej były słynne Dzikie Pola, tylko rolę „dziczy krwawej” wzięli na siebie „obroncy rewolucji i wolności” — rosyjskie bandy bolszewickie.

Tatarzy przyjmowali nas uprzejmie, karmili i dawali nam przewodników, czyniąc dla nas wywiady, abyśmy nie trafili na jaki czerwony patrol. Otwarciem mówiliśmy, że uciekamy z Rosji do naszej ojczyzny, która jest też ojczyzną dla wielu Tatarów, obywateli wolnej Polski. Ponieważ mieliśmy od Tatarów adresy pewnych osób i listy ochronne, nasza podróż przez stepy odbyła się bardzo szczęśliwie.

Po kilku dniach z wysokiego brzegu Jeniseju zobaczyliśmy płynący z Krasnojarska do Minusińskastatek „Orzeł”, wiozący czerwonych żołnierzy, a w kilka godzin później — ujście rzeki Tuby, przeciw prądowi której musieliśmy się posuwać, dążąc ku górcom Sajańskim, stanowiącym granicę północnej prowincji Mongolii — naszej „ziemi obiecanej” Urianchaju.

Uważaliśmy część drogi, biegnącą brzegami Tuby, a dalej — wzdłuż dopływu rzeki Amył, za najniebezpieczniejszą, gdyż doliny tych rzek są bardzo zaludnione, sąsiedztwo zaś z komunistycznym Minusińskiem zdemoralizowało do szczytu ludność miejscową, która chętnie wstępowała do czerwonych partyzanckich oddziałów bandytów: Szczecinina i Krawczenki.

Tatarzy wplaw przeprowadzili nocą nasze konie na przeciwległy brzeg Jeniseju, a potem przysłali po nas kozaka, który czółnem przewiózł nas ze szczupłymi bagażami. O świcie byliśmy już w gęstych zaroślach na małej wysepce w ujściu Tuby i rozkoszowaliśmy się słodkimi i aromatycznymi jagodami czeremchy i czarnych porzeczek, rosnących w wielkich ilościach.

## IX. TRZY DNI NAD PRZEPAŚCIĄ

Zaopatrzeni w fałszywe dokumenty posuwaliśmy się brzegiem Tuby. Co 15–20 kilometrów natrafialiśmy na duże, po 100–400 domów liczące siola, rządzone przez miejscowe sowiety, kierowane rozkazami sowietu i „czeki” z Minusińska. Wszędzie spotykaliśmy sowieckich wywiadowców i szpiegów, lecz ratowały nas dotychczas nasze dobrze sfabrykowane paszporty techników, delegowanych do robót budowlanych.

Ominąć tych siół niepodobna było z dwóch przyczyn. Najpierw nasze usiłowania, by ominąć siedziby ludzkie, przy ciągłych spotkaniach z chłopami w drodze, wzbudziły całkiem zrozumiałe podejrzenia; niezawodnie bardzo prędko aresztowałby nas jakiś najbliższy sowiet i odstawił do minusińskiej „czeki”, która by naturalnie znalazła dla nas miejsce w Jeniseju; po wtóre — dokument mego towarzysza dawał prawo do wynajęcia rządowego wozu o dwóch koniach dla celów służbowych. Wobec tego musieliśmy odwiedzać miejscowe sowiety i zmieniać konie. Swoje wierzchowce oddaliśmy kozakowi, który przewiózł nas przez Jenisej, a później odstawił do najbliższego siola, gdzie dostaliśmy pierwsze rządowe konie pocztowe.

Wspominając drogę po Tubie, muszę zaznaczyć, że z małymi wyjątkami wszyscy chłopcy byli bardzo wrogo usposobieni do bolszewików i słysząc od nas chłodne lub krytyczne uwagi o sowietach, starannie nam dopomagali; szczególnie dawało się to odczuwać w domach sektantów i kozaków. Odpłacaliśmy za gościnność leczeniem chorych i radami gospodarczymi. Spotykaliśmy kilka wsi komunistycznych, których ludność była jednak niesyberyjskiego pochodzenia. Byli to nowi osadnicy, przysłani jeszcze za czasów imperium z Ukrainy — pijani, leniwi, tępi i mściwi chłopcy, których rdzenni Sybiracy nienawidzą, nazywając ich „szpana”, co znaczy — szumowiny, wyrzutki.

Bardzo szybko nauczyliśmy się odróżniać wsie komunistyczne od niekomunistycznych.

Gdy wjeżdżaliśmy do wsi, pobrzękując dzwoneczkami uprzęży końskiej, a siedzący przed domostwami starcy powoli wstawali i kryli się za wrotami, mruczając:

— Znowu jakichś diabłów „towarzyszy” przyniosło лихо! — wtedy wiedzieliśmy, że jesteśmy wśród prawdziwych, uczciwych, wolnych Sybiraków. Lecz gdy w innej wsi chłopcy obstępowali nas, zarzucając pytaniami:

— Skąd, towarzysze? Po co, towarzysze? Czy to przypadkiem nie towarzysz-komisarz? — wtedy mieliśmy się na baczności i byliśmy bardzo oględni w słowach i czynach.

Spotykaliśmy również wsie i siola, których ludność prawie zupełnie wymarła na tyfus plamisty. Zresztą wszędzie ta straszliwa epidemia, która dotarła aż pod grzbiet Sajanów, zdziesiątkowała ludność wsi syberyjskich wzdłuż całego systemu rzeki Jenisej. Żyżne ła-

ny czarnoziemiu leżały odłogiem, bo nie starczyło ludzi dla uprawy roli; zresztą nie było już koni i bydła, gdyż komuniści zarekwirowali całą chudobę konserwatywnego i bogatego chłopstwa syberyjskiego, oszczędzając tylko leniwych i występnych osadników, przybyłych z Rosji europejskiej lub z Ukrainy.

Bardzo przykre chwile przeżyliśmy w wielkim siole Karatuz. Jest to raczej miasto niż sioło. Tu przed okresem bolszewizmu istniały dwa gimnazja, a ludność sięgała 25 000 mieszkańców. Karatuz to stolica kozaków jenisejskich, miasto bogate i wesołe. Obecnie zmieniło się nie do poznania. Chłopi z Rosji i Ukrainy, uzbrojeni i pobudzeni przez agentów bolszewickich, wycięli ludność kozacką, rozgrabili wszystkie domy; stały teraz popalone, z wybitymi oknami, ze śladami kul w murach i w dachach.

Gdy przyjechaliliśmy do sowietu, aby zmienić konie, otoczyła nas gromada bardzo podejrzanych drabów. Okazało się, że trafiliśmy na posiedzenie wysokich komisarzy, przybyłych tu dla jakiejś sprawy z minusińskiej „czeki”.

Draby zaczęły nas indagować i żądać pokazania dokumentów. Nie mieliśmy bynajmniej pewności, że nasze papiery wywrą pożądane wrażenie, więc staraliśmy się uniknąć rewizji paszportów.

Mój towarzysz — agronom powiedział mi później:

— Co za szczęście, że u bolszewików wczorajszy nieudolny szewc piastuje urząd gubernatora, a uczeni ludzie tymczasem zamiatają ulice lub czyszczą stajnie czerwonej kawalerii! Z bolszewikami, bądź co bądź, można się dogadać, ponieważ oni nie odróżniają „dyszefekcji” od „influcy” i „antracytu” od „apendicitis”. W nich można wszystko wmówić, dopóki nie wypuszczą kuli z rewolweru...

Rzeczywiście, udało się wmówić w komisarzy „czeki” wszystko, co uważaliśmy za potrzebne. A więc kreśliliśmy im wspaniały obraz przyszłego rozwoju kraju, gdy wybudujemy szosy i mosty, które dadzą możliwość eksportowania lasu, wełny i skór z Urianchaju, rud, ropy i złota z Sajanów, bydła — z Mongolii, drogich futer z lasów rosnących u źródeł Jeniseju...

Nasza „oda” trwała około godziny, lecz triumf po niej był zupełny, gdyż „czekiści”, zapomniawszy już o dokumentach, sami przenosili nasze rzeczy na nowy wóz i życzyli nam powodzenia na chwałę rządu sowieckiego.

To było ostatnie nasze zajście w granicach Rosji.

Po przebyciu doliny rzeki Amył szczęście nam sprzyjało. Spotkaliśmy na promie za Karatuzem starszego dozorcę milicji; który wiozł ze sobą kilka karabinów i magazynkowych rewolwerów Mauzera. Były one przeznaczone dla oczekiwanej wyprawy milicji w głąb Urianchu w celu pościgu za jakimś kozackim oficerem, „katem wolnego, rewolucyjnego ludu”, jak go nazwał nasz nowy znajomy. Nowina ta była dla nas bardzo ważna, gdyż łatwo moglibyśmy się spotkać z tym oddziałem, a nie mieliśmy pewności, czy oda o szosach i mostach po raz drugi będzie miała magiczny wpływ na tych bandytów. Ostrożnie wybadawszy dozorcę, ustaliliśmy drogę, którą miała wyruszyć ekspedycja. W ostatniej wsi rosyjskiej na pograniczu Urianchaju zatrzymaliśmy się w jednym domu z dozorcą, czekając na zmianę koni. Podczas przekładania rzeczy zauważyłem nagle zachwycony, wniebowzięty wzrok dozorcę, zwrócony w stronę mojego tobołka.

— Co się wam tak podoba? — spytałem.

— Spodnie... — wyszeptał przedstawiciel milicji sowieckiej — spodnie!

Istotnie, otrzymałem od swoich przyjaciół zupełnie nowe spodnie z czarnego, grubego sukna, bardzo dobre do konnej jazdy. W tej właśnie części mojej garderoby utkwiał oczy milicjant.

— A czyż wy nie macie zapasowych spodni? — spytałem go, planując moralny atak na zachwyconego dozorcę.

— Nie! — odparł ze smutkiem w głosie. — Sowiety nie dają. Sami, powiadają, bez spodni chodzimy. A moje tymczasem zupełnie się zniszczyły. Spójrzcie no sami!

Mówiąc to, odchylił połę swego kożucha i ukazał mi spodnie, które przypominały raczej sieć na grube ryby. Dziwiłem się, jakim sposobem biedaczysko mógł się w nich utrzymać.

— Sprzedajcie... — z prośbą w głosie odezwał się po chwili milicjant.

— Nie mogę, sam potrzebuję! — odparłem stanowczo.

Namyśliwszy się trochę, zbliżył się do mnie i szepnął:

— Pójdziemy na dwór, pomówimy! Tu niedogodne miejsce...

Wyszliśmy.

— Słuchajcie! — zaczął. — Jedźcie do Urianchaju! Tam nasze sowieckie pieniądze nic nie są warte, za nie nic nie kupicie. A jest tam co kupić! Sobole, lisy, gronostaje, złoto także można tanio nabyć w zamian za jakąś drobnostkę. Tam wszystko można dostać za karabiny i naboje. Macie ze sobą tylko jeden karabin. Ja wam dam jeszcze jeden i 100 naboji do niego, a wy mnie... spodnie. Co? dobrze?

— Nam nie trzeba broni, nas chronią nasze dokumenty! — niby nie rozumiejąc, o co chodzi, odpowiedziałem spokojnie.

— Ale nie! — żywo odezwał się milicjant. — W Urianchaju zamienicie karabin na futra, albo na złoto. Oddam wam karabin na zawsze, na wieczną własność. Rozumiecie?

— A! Teraz rozumiem — rzekłem. — Ale w takim razie tego mało za spodnie. Spodni i do tego takich wspaniałych nigdzie w Rosji nie znajdziecie. Cała Rosja chodzi obecnie bez spodni. A za karabiny dadzą mi jedną skórkę sobola. Co ja będę z nią robił?

Słowo po słowie dopiąłem swego. Nowy znajomy otrzymał moje spodnie, a ja karabin ze 100 nabojami i dwa mauzerowskie pistolety z 80 nabojami. Od tej chwili byliśmy uzbrojeni i mogliśmy stawić poważny opór w razie przygody. Nadto szczęśliwy posiadacz nowych spodni wydał nam rządowe poświadczenie na prawo posiadania broni.

W ten sposób prawo i siła były po naszej stronie.

Dozorca dopomógł nam nabyć we wsi od bogatego chłopca trzy konie, dwa pod siodło i jednego pod toboły, wynająć przewodnika, który był prawnukiem zesłańca, Polaka, hr. Przeździeckiego, kupić sucharów, mięsa, soli i masła.

Wypocząwszy jeden dzień, ruszyliśmy w stronę źródeł Amyłu, kierując się ku Sajanom, za którymi już nie mogliśmy spotkać „czerwonych”, ani głupich, ani mądrych...

Trzy dni zabrała nam droga od ujścia Tuby do tej ostatniej granicznej wsi rosyjskiej. Trzy dni ciągłego poczucia bezprawia, bezpośredniego niebezpieczeństwa i bliskiej, głupiej śmierci z rąk oszalałej dziczy.

Wielka siła woli, panowanie nad wrażeniami, zimna krew i upór w dążeniu do celu dopomogły nam szczęśliwie ominąć niebezpieczeństwa i nie stoczyć się w przepaść, na dnie której leżały już setki ludzi, pragnących wykonać to, co nam się udało. Czy naszym nieszczęśliwym poprzednikom nie starczyło wytrwałości i pomysowości, czy, być może, nie umieli oni układać ody na cześć przyszłych mostów, szos i kopalń, czy też po prostu nie mieli z sobą... dobrych, zbywających spodni?

Nie można pominąć jednego bardzo ciekawego zjawiska historycznego, które rzuciło się nam w oczy podczas podróży brzegami Jeniseju, Tuby i Amyłu. Prawym brzegiem Jeniseju, oraz brzegami Tuby i Amyłu, ukryty w gęstych krzakach i leśnych zaroślach ciągnie się nieskończenie długi szlak nieznanych mogił. Chłopi syberyjscy nazywali je „czudzkimi mogiłami”, czyli mogiłami nieznanych ludzi. Szlak ten dochodzi aż do Krasnojarska, niektórzy zaś badacze znaleźli te same mogiły aż na brzegach Oceanu Lodowego. Drogi, którymi ciągną się mogiły, topografia miejscowości, a później poczynione przez archeologów badania dowiodły, że jakieś plemię mongolskie szło niegdyś od południa ku północy lewym brzegiem Jeniseju, kryjąc się w lasach w obawie przed napadami tubylców-koczowników i pozostawiając po sobie mogiły. Umierali ci przybysze z ręki Tatarów, koczujących w stepach Minurskich i Czulymskich, umierali z głodu i chorób, z wyczerpania, od zbyt surowego dla nich klimatu stepów. Z resztek sprzętów i ubrań, znalezionych w mogiłach, można było sądzić, że nie było to plemię wojownicze, lecz plemię myśliwych i hodowców bydła.

Skąd wędrowało ono i dokąd? Na to pytanie uczeni rosyjscy odpowiedzi nie dawali, gdyż badali mogiły leżące na przestrzeni od Minusińska do Krasnojarska, nie troszcząc się o poznanie geografii tego zjawiska. A tymczasem geografia i legendy mongolskie rzucają jaskrawe światło na pochodzenie „czudzkich mogił”.

Wielki Mongoł, Dżengiz-Chan, ruszył na czele hord azjatyckich do Europy. Droga jednej części jego konnej armii przechodziła przez Urianchaj. Czy sam Dżengiz szedł tamtędy, czy któryś z jego wodzów — nie wiadomo i różnie o tym mówią legendy i kroniki mongolskie. Jednakże wiadomo, że mongolscy wodzowie, zachwyceni celnością łuczników urianchajskich, oraz niezwykłą wytrwałością tych niezrównanych jeźdźców, postanowili zaciągnąć ich do swoich szeregów. Urianchowie jednak odmówili posłuszeństwa,



wręcz oświadczywszy, że ich kraj jest „krajem odwiecznego pokoju” i że ich wiara zabrania przelewu krwi „ptasiej, rybiej i ludzkiej”.

Nie pomogły groźby i surowe kary, podczas których na rzece Dżabartaszu zginęło 300 wybitniejszych ludzi ze starszyny tubylczej. Pod naciskiem hord Dżengiz-Chanowych Urianchowie zaczęli porzucać ojczyznę, wyruszając na wygnanie dwiema drogami: Kiemczykiem na południe, gdzie weszli do obecnego obwodu kobdoskiego i zatracili mowę i wiarę przodków, Amyłem i Tubą na Jenisej i dalej na północ. Rzece Tubie nadali swoje stare historyczne imię „Tubów”, szczepu, który pochodził od Tatarów-Ujgurów, twórców największego na świecie imperium koczującego. Z tych północnych wygnańców nikt już nigdy nie powrócił do pięknego Urianchaju, a kości ich leżą w tajemniczych „czudzkich” mogiłach, w tych śladach wielkiej tragedii dziejowej, która się zakończyła w wieku XIII.

Obecni tubylcy Urianchaju, Sojoci, przechowali pamięć o przodkach, którzy uchodzili przed „demonem wojny”, Dżengizem, wierni przepisom starej wiary i moralności, kwitnącej w „kraju odwiecznego pokoju”.

## X. DO SAJANÓW — DO WYBAWIENIA!

Dziewicze lasy ogarnęły nas, pochłonęły. Pośród wysokiej trawy i żółkniejących krzaków wije się ledwie dostrzegalna ścieżka.

To od dawna porzucona „stara amyłska droga”, którą przed 35 laty wożono mąkę i sól, maszyny i robotników do licznych kopalń złota, porzrzucanych w systemie rzeki Amył. Ścieżka ta zbliża się do samego brzegu wartkiego Amyłu, to znika w lesie.

Wyprowadza nas ona na błotnistą równinę z ukrytymi pośród wysokiej trawy topieliskami, do gęstych zarośli, na szczyty gór, na obszerne łąki i do gęstych lasów.

Nasz przewodnik, potomek hr. Przeździeckich, o których doskonale pamięta i którymi się szczyli, chociaż już się nazywa „Przeździeckij”, widocznie rozumie nasz istotny plan i od czasu do czasu, z trwogą patrząc na ziemię, mówi:

— Przejechało trzech jeźdźców... Konie podkute... Widocznie żołnierze...

— Wkrótce jednak uspokaja się, ponieważ widzi, że ślady poszły gdzieś w bok, a później zawróciły.

— Dalej nie pojechali! — oznajmia nam Przeździecki, chytrze się uśmiechając.

— Szkoda! — mówimy mu. — W towarzystwie podróz byłaby weselsza.

Lecz chłop głaszcze swoją powichrzoną brodę i śmieje się. Widocznie nie wierzy nam.

Pojechaliśmy przez kopalnię złota, w nowych czasach urządzoną przez Amerykanów według przepisów współczesnej techniki. Bolszewicy zrabowali to przedsiębiorstwo, wywieźli złoto, zapasy i nawet niektóre części budynków, pozostawiając kopalnię prawie zrujnowaną, głuchą i nieczynną.

Niby sztandar sowieckiej Rosji, na pagórku stała spalona cerkiew ze zdartą dachówką i krzyżem zrzuconym.

Głodna rodzina stróża pędzi tu samotne i smutne życie, narażona na stałe niebezpieczeństwo. W okolicznych lasach blakają się bandy czerwonych partyzantów, rabują i zabijają. Czasami zatrzymują się dłużej w tych kopalniach, które niegdyś służyły z obfitości złota, przemywają piasek i po zdobyciu niewielkiej ilości metalu jadą dalej, przepijając go w jakiejś odosobnionej wiosce, gdzie chłopci fabrykują spirytus z jagód i ziemniaków, sprzedając mętny, trujący napój na wagę złota.

Te uzbrojone bandy rozbójnicze, nie podlegające żadnym prawom, są bardzo niebezpieczne. Spotkanie z nimi grozi śmiercią.

W trzy dni dojechaliśmy do przejścia górskiego Czokur, prowadzącego przez główny grzbiet Sajanów, przedostaliśmy się na przeciwległy brzeg rzeki Ałgiak i od tej chwili byliśmy już w granicach Urianchaju.

Ten kraj, zadziwiający bogactwem, zaludniony przez 60 000 wymierających Sojotów, mówiących językiem mongolskich szczepów i szczyjących się tym, że przez długie wieki przechowywali ideały odwiecznego pokoju, stał się celem zakusów władz administracyjnych rosyjskich, mongolskich i rechińskich. Sąsiedzi dawno rządzą się jak szat gęsi w Urianchaju, Sojoci zaś spokojnie płacą podatki wszystkim trzem.

Łatwo więc zrozumieć, dlaczego ta „zagranica” nie mogła jeszcze być dla nas portem zbawienia.

Słyszeliśmy już przedtem od dozorca milicji o projektowanej wyprawie do Urianchaju, a od Rosjan przebywających tu dowiedzieliśmy się, że niektóre wsie ukraińskie na Małym Jeniseju (czyli Khua-Kem) sformowały oddziały partyzanckie, obsadzając południową granicę kraju, grabiąc i zabijając podróżnych. Przed kilku tygodniami partyzanci zabili sześćdziesięciu dwóch oficerów, przekradających się do Mongolii, zrabowali i zabili kupców chińskich, prowadzących z sobą karawanę z towarami, zabili kilku niemieckich jeńców wojennych, zmykających z sowieckiego „raju”.

Możliwość spotkania tych bandytów nie wróżyła nam nic dobrego. Należało się mieć stale na baczności.

Po czterech dniach drogi dostaliśmy się na błotnistą dolinę, gdzie pośród młodego lasu stała samotna osada kolonisty rosyjskiego. Tu odprawiliśmy naszego przewodnika, który obawiał się, że śnieg pokryje przejście przez Sajany, a wtedy do lata musiałby wyczekiwać sposobności powrotu do domu.

Dalej do rzeki Sejbi miał nas przeprowadzić właściciel osady, namówiony przez naszego przewodnika.

Konie nasze były zmęczone i chcąc nie chcąc trzeba było dać im wypoczynek i trochę je odżywić. Postanowiliśmy spędzić tu cały dzień, a może nawet i dwa.

Nazajutrz przewodnik odjechał, życząc nam pomyślności i zdrowia.

Nie minęła godzina, gdy mała córeczka naszego gospodarza klasnęła w dłonie i zawołała.

— Sojoci przyjechali.

Do izby jeden po drugim weszło czterech Sojotów w filcowych kołpakach i ze strzelbami w ręku.

— Mende (bądźcie pozdrowieni!) — powitali nas przybysze i zaczęli bez ceremonii uważnie oglądać nas ze wszystkich stron.

Byłem przekonany, że żaden ćwiek w naszych butach, żaden guzik ubrania nie uszedł ich badawczego wzroku. Potem jeden z nich, który był miejscowym naczelnikiem okręgowym, czyli merinem, zaczął nas wypytывать przez kolonistę o nasze przekonania polityczne i moralne. Posłyszawszy nasz sąd o bolszewikach, wydawał się zadowolony i uspokojony, gdyż rzekł:

— Wy — dobrzy ludzie!... Nie lubicie „ułanów” (ułan po sojocku — czerwony). My wam pomożemy...

Podziękowałem merinowi i podarowałem mu gruby sznur jedwabny, którym zwykle przepasywałem bluzę. Wieczorem Sojoci odjechali, lecz obiecali powrócić nad ranem.

Nadszedł wieczór. Poszliśmy spojrzeć na nasze wychudłe szkapy, łapczywie skubiące brunatną, lecz pożywną trawę na łące za osadą. Wkrótce powróciliśmy do izby, gdzie gospodarz przyrządził już herbatę i kolację.

Rozmawialiśmy wesoło i swobodnie z rodziną gospodarza, gdy nagle rozległy się szczęknięcia podków, głucho głosy ludzi i po chwili do izby jeden po drugim weszło pięciu chłopców z karabinami w ręku i z szabłami przy boku. Coś zimnego i techącego podstąpiło do gardła a serce zaczęło tętnić.

Od razu poznaliśmy w przybyłych czerwonych żołnierzy.

Na futrzanych czapkach mieli czerwone gwiazdy, a na rękawach także opaski.

Byli to ludzie z oddziału karnego, ścigającego oficera kozackiego, o którym nam opowiadał dozorca milicji.

Podejrzliwie nas oglądając, zaczęli się rozbierać i w milczeniu usiedli przy stole. Wszczęliśmy rozmowę pierwi, niby od niechcienia objaśniając cel naszej ekspedycji „budowy mostów i szos” i ostrożnie wypytując przybyszów. Dowiedzieliśmy się, że wkrótce tu nadciągnie z siedmiu jeźdźcami dowódca oddziału, który ma rozkaz dla właściciela osady, aby ten przeprowadził ich na Sejbi, gdzie się ukrywa ścigany kozak.

Natychmiast z radością w głosie zawołałem, że nasze sprawy układają się bardzo szczęśliwie, gdyż możemy jechać razem.

Na to jeden z żołnierzy zagadkowym głosem zauważył:

— Wszystko rozstrzygnie towarzysz-oficer...

W tej chwili wszedł nasz przyjaciel, sojocki merin. W ten sam sposób, jak nam w dzień, zaczął się przyglądać bacznie przyjezdnym, a potem ponurym głosem zapytał:

— Jakim prawem zabraliście Sojotowi dobrego konia, pozostawiając mu chorego i słabego?

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

— Pamiętajcie, że jesteście w obcej ziemi, gdzie są inne prawa i obyczaje! — rzekł merin, a w jego głosie brzmiała groźba.

— Stul gębę i wynos się do diabła! — krzyknął jeden z bolszewików.

Lecz Sojot zupełnie spokojnie usiadł przy stole, a gospodyni niezwłocznie przysunęła mu kawał chleba i duży kubek herbaty, wypalił długą i cienką fajkę, wstał i rzekł, nie zwracając się do nikogo:

— Jeżeli jutro rano koń nie będzie zwrócony właścicielowi, sami go odbierzemy.

Odwrócił się i spokojnie opuścił izbę.

Natychmiast zauważyłem wyraźną trwogę na twarzach bandytów sowieckich. Starszy żołnierz rozstawił patrole dokoła osady i wszyscy, spuściwszy głowy, siedzieli w przykrym zamyśleniu.

Późno w nocy przyjechał oficer z siedmiu jeźdźcami. Po raporcie starszego żołnierza o zajściu z merinem oficer zachmurzył czoło i rzekł głosem zdradzającym niepokój:

— Żle... źle! Musimy przedzierać się przez takie topielisko, a tu ci za każdym krakiem i kamieniem będą czyhali Sojoci. Oj, źle, towarzysze...

Oficer coraz bardziej trwożył się i pochmurniał i dlatego nie zwracał zbyt uwagi na nas, tym bardziej, że zacząłem go uspokajać i obiecałem pośrednictwo pomiędzy oddziałem a Sojotami. Był to niepiśmienny, ponury chłop ukraiński, który chciał się odznaczyć przed sowietami ujęciem znieawidzonego kozaka, lecz obawiał się, że Sojoci przeszkodzą mu w szybkim dotarciu do rzeki Sejbi.

O świcie byliśmy już na koniach, jadąc razem z czerwonymi zbójcami. Gdy odjechaliśmy kilkanaście kilometrów, niespodziewanie z krzaków wynurzyło się dwóch jeźdźców sojockich. Za plecami mieli swe dziwaczne strzelby skałkowe o małej płaskiej kolbie z widelkami dla oparcia o ziemię przy strzale, który nigdy nie chybia celu.

— Poczekajcie! — rzekłem, zatrzymując oficera. — Pojadę rozmówić się z Sojotami.

Szybko popędziłem naprzód. Jeden z Sojotów był to merin — drugi — nieznamy tubylec, mówiący łamanym językiem rosyjskim.

— Trzymajcie się na tyłach oddziału — szepnął, zanurzając w moich oczach swój rysy wzrok — i pomóżcie nam.

— Dobrze — zgodziłem się natychmiast — lecz pogadajmy dłużej, żeby tamci myśleli, że omawiam z wami ich sprawę!

Niebawem uściśnięłem dłonie Sojotów i powróciłem do oddziału.

— Możemy jechać! — zawołałem. — Sojoci nie będą przeszkadzali nam.

Ruszyliśmy i gdy przejechaliśmy przez rozległą polanę, spostrzegliśmy obydwóch Sojotów całym pędem koni mknących stromym zboczem góry. Niepostrzeżenie wykonałem odpowiedni manewr i obaj z moim towarzyszem podróży pozostaliśmy w tyle oddziału wraz z naszym koniem ciężarowym. Za nami jechał tylko jeden żołnierz — ponure chłopisko, patrzące na nas bardzo nieprzychylnym wzrokiem.

Zdażyłem szepnąć swemu towarzyszowi jedno słowo: „mauzer” i zauważyłem, że ten wnet ostrożnie odpiął torbę kulbaki i wysunął nieco rękojeść pistoletu.

Wkrótce zrozumieliśmy, dlaczego ci żołnierze wytrawni, leśni włóczędzy, nie odważyli się iść na Sejbi bez przewodnika.

Doliny Algiaku i Sejbi są przedzielone szeregami wąskich grzbietów górskich, pomiędzy którymi leżą głębokie i szerokie wąwozy z grząskimi niebezpiecznymi torfowiskami. Było to wielkie topielisko, bagno bezdenne, jakieś martwe, przekłete miejsce.

Konie grzęzły do kolan, padały, plątały się nogami w sieci korzeni, zanurzonych w grząskim torfie, przygniatały jeźdźców, gryzły się, chrapały, rwały rzemienie i popręgi.

Coraz częściej konie zanurzały się w bagnie prawie do kolan jeźdźca. Mój wierzchowiec wpadł do jakiegoś dołu wypełnionego rudą, cuchnącą wodą. Nieszczęśliwy koń ugrzązł tak głęboko, że moja pierś już dotykała powierzchni wody. Wyratowaliśmy się z wielką trudnością.

Po mnie natychmiast runął wraz z koniem oficer bolszewicki, kalecząc sobie o kamień głowę bardzo poważnie.

Mój towarzysz, padając, stłukł sobie kolano. Żołnierze ciągle staczali się z siodeł i kaleczyli sobie ręce i nogi.

Przeżalone konie chrapały i robiły bokami. Gdzieś daleko głucho krakał kruk, zwia-  
stun nieszczęścia...

Tymczasem droga stała się jeszcze gorsza. Ścieżka prowadziła przez takie same jak uprzednio, grząskie bagno, lecz było ono pokryte konarami złamanych, gnijących na ziemi drzew. Konie, przeskoczywszy przez olbrzymie pnie, nieoczekiwanie wpadały w głębokie trzęsawisko i zaczynały tonąć, pograżając się coraz bardziej w czarną, cuchnącą otchłań. Jeźdźcy i konie nieustannie padali.

Wszyscy byli pokryci błotem i zbroczeni własną krwią.

Ja i mój towarzysz z przerażeniem spoglądaliśmy na nasze wierzchowce, których siły się wyczerpały, chociaż od dawna prowadziliśmy je za uzdy. Nurtowała nas myśl straszna, co zrobimy z sobą, jeżeli któryś z koni padnie? Przecież nie mogliśmy rekwirować koni Sojotom na wzór naszych czerwonych „towarzyszy”?!  
Nareszcie wybrnęliśmy na rozległą polanę zarośniętą gęstymi krzakami i otoczoną olbrzymimi odłamami skał, które prawdopodobnie niegdyś stoczyły się ze szczytów gór okolicznych. Nie tylko konie lecz i ludzie zaczęli się zapadać w zimne trzęsawisko, nurzając się w nim aż do pasa i nie czując dna pod stopami. Całą powierzchnię polany stanowiła cienka warstwa torfu, pokrywającego jezioro o czarnej, gnijącej wodzie. Szliśmy pojedynczo, w pewnej odległości jeden od drugiego, żeby zmniejszyć ciężar i uniknąć zarysowania się torfowiska; ze zgrozą spostrzegłem, że krzaki, rosnące na torfie, pochyliły się i kołysały, a ziemia pod nogami ugięła się, pękała, ze szczelin buchała czarna, wstrętna woda...

Każdy krok, najmniejsza nieostrożność groziły śmiercią.

Przykład mieliśmy bardzo tragiczny.

Jeden z żołnierzy spróbował zejść wraz z koniem ze ścieżki, zamierzając znaleźć na uboczu twardszą drogę. Lecz zaledwie stąpił kilka kroków, usłyszeliśmy przeraźliwe rżenie konia i błagający krzyk człowieka o pomoc.

Pod koniem i żołnierzem rozwarło się torfowisko, odsłaniając nieznaną i ponurą otchłań. Na próżno koń i człowiek czepiali się nogami i rękami brzegów cienkiej warstwy torfu. Obrywał się on coraz to więcej, a woda i płynne czarne błoto występowało szybciej i dalej. Nikt nie mógł zbliżyć się do nich, gdyż nogi śmiałka od razu przerywały sieć gnijących traw i gałęzi.

Zdawało się, że ktoś z dołu, z dna tego topieliska podcina coraz to dalej i dalej cienką warstwę, na której trzymaliśmy się jeszcze.

Najpierw znikła głowa konia z wylekłymi, błagającymi oczyma, a później zanurzył się człowiek, wyjący z przerażenia i rozpacz. Tylko wielkie bąble wypływały na powierzchnię czarnej wody i powoli pękały...

Nagle rozległy się trzy strzały.

Dźwięk ich był głuchy, bez zbyteńnego huk i bez echa.

Były to jednak strzały celne, gdyż oficer bolszewicki i dwaj żołnierze od razu spadli z koni. Te, płacząc się w krzakach i rżąc, starały się przedrzeć na zbocze gór, lecz ślizgały się i opadały, gdyż ziemia, przesycona podskórną wodą, osuwała się pod nogami i z wolna spęzała na dół.

Żołnierze porwali za karabiny i z przestrachem się rozglądali dokoła, nie widząc wrogów. Lecz ci ich widzieli doskonale. Padło czterech bolszewików, ugodzonych śmiertelnie w piersi.

W tej chwili spostrzegłem, że pozostający ciągle za nami żołnierz wymierzył do mnie z karabinu i coś majstrował koło cyngla.

Mój mauzer zdążył uprzedzić go dwiema kulami i pozbawić nas jednego wroga.

— Zaczynamy! — zawołałem do swego towarzysza i po chwili wzięliśmy udział w wyrzeliwaniu bolszewickich bandytów.

Wkrótce na polanie krzątali się Sojoci, obdzierając zabitych bolszewików i rozdzielając zdobycz. Po godzinie uciążliwej drogi zaczęliśmy się podnosić na górski grzbiet i wreszcie wyszliśmy na wysokie płaskowzgórze, zarosłe starym lasem.

— Jednakże Sojoci nie są bardzo pokojowym narodem! — zauważyłem, zbliżając się do merina.

Uważnie spoglądając na mnie, urzędnik sojocki odparł:

— To nie Sojoci zabijali...

Miał słuszną rację. Na bolszewików, bezprawnie wdzierających się do Urianchaju, napadli nie spokojni Sojoci, lecz przebrani w kozuchy tubylców Tatarzy abakańscy, którzy uchodząc od władz sowieckich wybrali ten kraj dla swoich koczowisk i stad. Dość znaczna liczba rodzin tatarskich porzuciła stepy Abakańskie i przez zachodni Urianchaj przedostała się do zachodniej Mongolii. A nawet dalej na południe, prześlizgnąwszy się nieopatrzenie przez chińską prowincję Kansu i dotarłszy aż do północnego Tybetu. Tu, zapłaciwszy daninę plemionom tybetańskim, Tatarzy wyrobili sobie prawo koczowania aż do upadku rządów komunistycznych w Rosji. Tatarzy, którzy uczynili napad na bolszewików na trzęsawisku pomiędzy Ałgiakiem i Sejbi, mieli doskonałego przewodnika i tłumacza, Kałmuka-lamaitę.

Noc przed rzeką Sejbi spędziliśmy w lesie przy ognisku, a Tatarzy do świtu prawie opowiadali nam o bezprawiach, mordach i grabieżach, jakich dopuszczali się komisarze bolszewicy w stepach, gdzie niegdyś utwierdził swą władzę i prawo wódz Mongołów — Dżengiz-Chan, władca Azji i połowy Europy. Te opowiadania tchnęły grozą i nienawiścią niepoohamowaną.

Wczesnym rankiem podjeżdżaliśmy do niewielkiej rosyjskiej osady, a zbliżając się do niej, spostrzegliśmy wyglądających z lasu jeźdźców. Jeden z naszych znajomych Tatarów pomknął ku nim i pomówiwszy chwilę powrócił, wołając:

— Wszystko w porządku! Jedźmy prędzej!

Pojechaliśmy szeroką drogą, która biegła wzdłuż wysokiego ogrodzenia z cienkich modrzewi, otaczającego obszerny plac łąki i lasu, gdzie chodziło spore stado jeleni; były to tak zwane „izubry”, czyli „morały”, które hodują miejscowi koloniści rosyjscy. Na wiosnę rogi tych pięknych zwierząt podlegają spiłowaniu, gotowaniu w specjalny sposób i suszeniu. Spreparowane rogi, noszące nazwę „panty”, sprzedawane Chińczykom jako najpotężniejszy i najcenniejszy środek leczniczy, uznany przez medycynę szkoły tybetańskiej. Cena „pantów” osiąga czasami wartość złota.

W osadzie przyjęto nas z wielką trwogą i niepokojem.

— Chwała Bogu! — wykrzyknęła żona gospodarza. — Myśleliśmy że...

Nagle urwała, spojrzawszy na męża.

## XI. POTYCZKA NA SEJBI

Ciągłe niebezpieczeństwo wyrabia zmysł spostrzegawczy i ostrożność. Nie rozbierając się i nie zdejmując siodeł z koni, bacznie przyglądaliśmy się ludziom i badaliśmy sytuację. Swoją mauser zatknąłem za klapę kozucha i zacząłem oglądać się dookoła, wyraźnie czując zbliżające się niebezpieczeństwo. Najpierw zauważyłem kolbę karabinu, ukrytego na łóżku pod stosem poduszek. Dalej zwróciłem uwagę na parobków, kręcących się po osadzie i po domu. Niezawodnie nie byli to prości chłopci, chociaż obrośnięci, opaleni, brudni i źle odziani. Oni ze swej strony też bardzo uważnie patrzyli na nas i na chwilę nawet nie pozostawiali nas samych z gospodarzami.

Coś się działo, czego jeszcze nie rozumiałem. W tej chwili właśnie wszedł nasz przyjaciel merin i zaczął po sojocku coś opowiadać gospodarzowi. Ten bardzo się ucieszył i natychmiast zbliżył się do nas z wyciągniętą dłonią.

— Wybaczcie nam! — rzekł. — Lecz zrozumcie, że w takie czasy na dziesięć tysięcy ludzi można spotkać tylko jednego uczciwego człowieka i 9 999 bandytów!

Z rozmowy okazało się, że nasz gospodarz już miał wiadomość o dążącym do niego z Ałgiaku oddziale „towarzysza oficera”, ścigającego oficera kozackiego, który rzeczywiście ukrywał się tu, lecz obecnie zbiegł dalej. Jednak poinformowano go o tragicznym końcu pościgu za nim. Lecz wszystko to nie uspokoiło starego kolonisty, gdyż przy-

sza wiadomość, że od strony Usińskiego kraju zbliżał się do Sejbi znaczny oddział jazdy bolszewickiej, ścigający Tatarów, uchodzących z Rosji z bydłem i z końmi.

— Co chwila oczekujemy tu czerwonych! — z trwogą w głosie szepnął stary. — Lada chwila tu będą. Już przyleciał na koniu Sojot, aby uprzedzić nas, że czerwoni przeprowadzają się przez rzekę. Tatarzy już są w pogotowiu do bitwy.

Wyszedłem z domu wraz ze swym towarzyszem; opatrzyliśmy rynsztunek koni i odprowadziliśmy je w miejsce bezpieczniejsze. Powróciwszy do izby i przygotowawszy nasze karabiny i mauzery, oczekiwaliśmy dalszych wypadków. Po upływie pół godziny ciężkiej niepewności wbiegł parobek i szepnął:

— Wyszli już na naszą drogę. Zaraz się zacznie...

Rzeczywiście, jak gdyby w odpowiedzi na te słowa zagrzmiął w oddali strzał, po czym rozległy się salwy i huk wystrzałów zaczął się zbliżać ku osadzie.

Zatętniły kopyta końskie, rozległy się krzyki klnących ludzi i do izby wpadło trzech czerwonych żołnierzy; jeden z nich ze straszliwym przekleństwem strzelił do gospodarza. Stary kolonista potknął się i padł na jedno kolano; rękę jednak wyciągnął ku poduszkom z leżącym pod nimi karabinem.

— A wyście co za jedni? — groźnie krzyknął żołnierz, zwracając się do nas i podnosząc karabin.

Odpowiedzieliśmy z mauzerów i bardzo celnie. Uciekł tylko jeden żołnierz, dwóch leżało z przestrzelonymi głowami. Na zmykającego bolszewika wpadł jeden z parobków i zaczął go dusić. Zawiazała się walka. Bolszewik wołał na pomoc swoich towarzyszy, lecz ci leżeli w rowie za drogą o 300–400 kroków od osady i strzelali do atakujących Tatarów.

Kilku żołnierzy jednak posłyszało wołanie i natychmiast ruszyło w stronę domu, lecz w tej chwili rozległy się prawidłowe salwy parobków spoza plotów osady. Strzelano jak na manewrach, z zimną krwią i celnie. Pięciu czerwonych pozostało bez ruchu przy drodze, reszta ukryła się w rowie.

Tatarzy strzelali gęsto i atakowali bardzo energicznie. Do domu i na dziedziniec osady zaczęły zalatywać kule. Wkrótce zobaczyliśmy czerwonych, którzy na kolanach posuwali się rowem w stronę lasu, gdzie pozostawili konie. Echa strzałów zaczęły się stopniowo oddalać

Przez polany leśne i przez las szybko mknęli Tatarzy, ścigając przeciwnika.

Na Sejbi odpoczywaliśmy dwa dni.

Zwiedzając bardzo malownicze okolice na brzegach wartkiej rzeki, pokrytej białą pianą, przypadkowo zrobiłem bardzo ważne odkrycie. Na małej polanie, tuż przy brzegu, zobaczyłem pod wielkim modrzewiem trzy kamienie, a na jednym z nich węglem był narysowany krzyż. Ślady kopania ziemi były zupełnie widoczne, a gdy zacząłem uważnie badać miejsce, spostrzegłem wycięty na drzewie kawał kory, wyróżniony na pniu jednogłowego orla i dwie litery K. R.

— Kim był ten nieznany K. R.? Jednogłowy orzeł i krzyż mówi o śmierci Polaka. Dlaczego zginął? Kto go oddał ziemi? Jaki los spotkał pozostałego przy życiu?...

Lecz nikt z osady nie mógł dać nam żadnych objaśnień.

Tajemnicą pozostaną: ten modrzew, trzy kamienie i litery wycięte na drzewie.

Okazało się, że parobcy gospodarza osady byli ukrywającymi się przed bolszewikami oficerami z armii Kołczaka. Było ich ośmiu. Wszyscy oni przyszli do mnie prosić o pozwolenie podróżowania z nami.

Zgodziłem się na to.

Gdy po dwóch dniach wraz z p. Władysławem wyruszyłem z Sejbi, za nami z tyłu człapało ośmiu uzbrojonych jeźdźców i szły trzy ciężarowe konie.

Jechaliśmy malowniczą doliną, położoną pomiędzy rzekami Sejbi i Utem. Wszędzie spotykaliśmy wspaniałe pastwiska, na których w kilku miejscach pasły się duże stada bydła i koni. W paru osadach, napotkanych po drodze, nie znaleźliśmy mieszkańców, ci bowiem kryli się w lasach, gdyż obawiali się czerwonych. Odgłosy boju, niedawno z nimi stoczonego, już doszły do osad na Ucie. Tu i ówdzie widzieliśmy pojedynczych jeźdźców, uważnie nas śledzących, a gdy zechcieliśmy zbliżyć się do nich, natychmiast ukryli się w gęstwinie leśnej. Widoczne było, że osadnicy żyli w śmiertelnej trwodze i nikomu nie ufali.

Cały następny dzień ubiegł nam na przedostawaniu się przez bardzo wysoki i ciężki dla jazdy grzbiet Daban. Przeszliśmy przełęcz, przeszliśmy nieskończenie długą drogę pośród spalonego lasu i przed zachodem słońca zaczęliśmy zjeżdżać do krętej, wijącej się pośród gór doliny.

Za górami w promiennej mgle płynął Mały Jenisej, czyli Khua-Kem, ostatnia duża rzeka przed granicą mongolską.

W odległości dziesięciu kilometrów od rzeki spostrzegliśmy wysoki słup dymu, unoszącego się nad lasem. Dwóch oficerów pojechało natychmiast na wywiad, my zaś przygotowaliśmy się do możliwej potyczki.

Oficerowie nie powracali długo.

Zaniepokojeni, całą grupą ruszyliśmy w stronę dymu, uczyniwszy możliwe przygotowania i zarządzenia na wypadek boju. Wkrótce posłyszeliśmy głosy wielu ludzi i głośny śmiech jednego z naszych oficerów. Zrozumieliśmy, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, a więc ruszyliśmy naprzód.

Na wielkiej polanie pośród lasu stał duży namiot i dwa szałas, sklecone z cienkich drzew i gałęzi, paliło się ognisko, wokół którego siedziało 60 mężczyzn.

Gdyśmy się wynurzyli z lasu, cała gromada rzuciła się ku nam z radosnymi okrzykami. Zupełnie przypadkowo trafiliśmy na znaczny obóz uciekinierów — oficerów i żołnierzy, kryjących się w Urianchaju w domach kolonistów rosyjskich i bogatych chłopów. Pośród uciekinierów było kilku młodych kolonistów.

— Co tu robicie? — pytaliśmy ze zdumieniem,

— Jak to? Czyż nie wiecie? — odrzekł jeden z uciekinierów, już niemłody pułkownik.

— Komisarz Wojenny przysłał rozkaz zmobilizowania wszystkich partyzantów i wszystkich mężczyzn w wieku do lat 58. Na całym Jeniseju i dalej na południe, pod granicznym grzbietem Tannu-Ołu wszystkie wsie ukraińskie są już w ruchu i potworzyły znaczne oddziały partyzanckie. Wzdłuż Małego Jeniseju w stronę miasta Białocarska już posuwają się bandy uzbrojonych chłopów. Obdzierają i rabują bogatych wieśniaków i kolonistów, zabijając spotkanych na drodze ludzi. To właśnie zmusiło nas do ukrycia się tutaj.

Tu po raz pierwszy posłyszałem o kilku „białych” oddziałach, walczących z bolszewikami, a wśród dowódców, bardzo dzielnych i odważnych, wymieniano dwóch Polaków. W parę miesięcy później wyjaśniłem, że byli to panowie Kamil Giżycki i Jan Starościak<sup>1</sup>.

Wkrótce dowiedziałem się, że obóz uciekinierów posiada zaledwie szesnaście karabinów i trzy ręczne granaty.

Należały one do bogatego Tatara, mającego za przewodnika Kałmuka, wraz z którym przedzierał się do swoich stadnin, wysłanych jeszcze w lecie w okolice mongolskiego miasta Kobdo.

Opowiedziałem o celu mojej podróży i o moim zamiarze dotarcia przez Mongolię i Chiny do jakiegoś portu na Pacyfiku. Oficerowie i szeregowcy zaczęli mnie usilnie prosić, abym ich wziął ze sobą. Nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności, obiecując natomiast podzielić się wszystkim, co posiadam i nie porzucić w żadnej przygodzie, zgodziłem się na ich prośby. Obóz zaczął szykować się do pochodu.

Nasz wywiad doniósł nam, że w pobliżu domu kolonisty, który mógł przewieźć nas na przeciwny brzeg Małego Jeniseju, partyzantów nie zauważono. Natychmiast ruszyliśmy naprzód, aby czym prędzej minąć niebezpieczny pas Jeniseju i znowu zanurzyć się w lasy.

Padła gęsta śnieg, natychmiast topniejący. Lecz wkrótce zerwał się zimny wiatr północny. Zaczęła się zamieć, ziemia szybko zamarzła i na powierzchni potoków górskich utworzyła się dość gruba warstwa lodu, na którym ślizgały się i padały niekute konie naszych nowych towarzyszy. Późną nocą nasz oddział dotarł do brzegu Jeniseju. Ze wszelką ostrożnością weszliśmy do domu kolonisty. Spotkał nas bardzo uprzejmie i obiecał przewieźć wszystkich nad ranek, chociaż płynęła już kra i mróz tężał z godziny na godzinę. Podczas rozmowy z kolonistą był obecny jeden z parobków — rudy chłop o skośnych zezowatych oczach... Parobek ten cały czas kręcił się koło nas, a później nagle zniknął. Gospodarz spostrzegł to wkrótce i z trwogą w głosie rzekł:

<sup>1</sup>Kamil Giżycki i Jan Starościak — obaj wydali w Polsce swoje wspomnienia, nader barwnie i rzeczowo opisane. [przypis redakcyjny]

— Pobiegł do wsi i naprowadzi partyzantów. Źle! Trzeba przeprowić się natychmiast, nie czekając rana!

Zaczęła się najstraszniejsza z przeżytych przeze mnie nocy.

Prosiłszy gospodarza, aby przewiózł czólnem tylko nasze zapasy, naboje i karabiny, sami zaś postanowiliśmy przepłynąć rzekę konno. Szerokość Jeniseju w tym miejscu wynosiła około 300 metrów, prąd był bardzo wartki i burzliwy, głębia zaczynała się tuż przy urwistym brzegu. Noc zupełnie ciemna, żadnej gwiazdy na zachmurzonym niebie.

Wicher z wyciem miotał zamrożony śnieg, silnie aż do bólu siekąc nim twarz. Przed nami pędził z pluskiem fal potok czarnej wody, niosącej cienkie, ostre, kruszące się tafle lodu, co chwila znikające w wirach.

Mój koń długo nie chciał skoczyć do wody ze stromego i wysokiego brzegu. Tuląc uszy, chrapał głośno i opierał się. Chlasnąłem go z całej siły nahajem przez szyję i koń z jękiem od razu runął do rzeki.

Zanurzyłem się z głową w zimnej, lodowatej wodzie i ledwie zdołałem utrzymać się na siodle.

Po chwili byłem już o kilkanaście metrów od brzegu.

Mój koń z wyciągniętą szyją i głową głośno parskał, wyrzucając napływającą do nozdrzy wodę, i chrapał z przerażenia.

Czułem wyraźnie gorączkowe, szybkie ruchy jego nóg, bijących o wodę i dreszcze, wstrząsające całym jego ciałem.

Dopłynęliśmy do środka rzeki.

Prąd stał się szybszy. Woda nas unosiła.

Ze złowrogiej ciemności dolatywały do mnie okrzyki moich ludzi i głuche, pełne smutku i trwogi rżenie borykających się z prądem koni.

Płynąłem, zanurzony po piersi w lodowatej wodzie. Chwilami uderzały mnie kawały kry, czasami większa fala zalewała mi twarz i głowę.

Nie było czasu na oglądanie się; zapomniałem zupełnie o uczuciu zimna.

Opanowała mnie zwierzęca żądza życia.

Rozumiałem, że jeżeli mój wierzchowiec nie wytrzyma walki z prądem i nie wyniesie mnie na brzeg — zginę.

Całą więc uwagę skierowałem na konia, widocznie tracącego resztki sił. Jeszcze chwila i usłyszałem głośny jęk mego wierzchowca, po czym spostrzegłem, że zanurzył się głębiej w wodzie. Widocznie miał już zalane nozdrza, gdyż zaczął częściej i głośniej parskać i chrapać.

Płynąc dalej ujrzałem, jak wielka bryła lodu, wirując, z rozpędem uderzyła w głowę mego konia, który raptownie rzucił się w bok i nagle zawróciwszy, zaczął szybko płynąć z prądem.

Z wielkim trudem udało mi się skierować go w stronę brzegu, ale przekonałem się wkrótce, że mój koń zupełnie osłabł. Głowa jego kilkakrotnie znikła pod wodą.

Nie miałem innego wyboru, jak tylko płynąć samodzielnie.

Ześlizgnałem się natychmiast z kulbaki i trzymając się jej tylko lewą ręką, drugą płynąłem obok konia, zachęcając go głośnymi okrzykami. Spostrzegłem, że koń płynął z otwartym kurczowo pyskiem i z wyszczerzonymi zębami. W szeroko rozwartych żrenicach miotał się nie dający się opisać przestrich.

Po porzuceniu przeze mnie siodła koń uniósł się jednak nieco wyżej ponad wodą i już pewniejszymi i szybszymi ruchami posuwał się naprzód.

Wkrótce niedaleko od przeciwległego brzegu usłyszałem uderzenie jego kopyt o kamienie łóżyska.

Zaczynała się mielizna.

Jeden po drugim wypływali i wjeżdżali na brzeg jeźdźcy. Konie, przyzwyczajone do przeprow przez rzeki, wyniosły wszystkich. Daleko niżej od nas przepłynął gospodarz-kolonista z naszym dobytkiem. Nie tracąc czasu, zaczęliśmy ładować nasze worki na drżące z zimna wierzchowce i ruszyliśmy dalej.

A był po temu wielki czas, gdyż z przeciwległego brzegu partyzanci już zaczęli ostrzeliwać.



Wiatr się wznosił. Przed świtem mróz brał coraz większy. Przemoczone ubranie i bielizna od razu zamarzyły i stały się twarde i sztywne jak blacha. Głośno szczękaliśmy zębami, a w oczach migły zielone i czerwone ogniki.

Jechaliśmy bez postojów, ażeby jak najdalej odsunąć się od drogi, którą dążyły oddziały dzikich partyzantów.

Cały dzień, przy 15-tu stopniach mrozu, musieliśmy jechać bez możliwości rozgrzania się i wypoczęcia. Dopiero przed nocą dotarliśmy do niewysokiego grzbietu górskiego, porośniętego lasem. Zatrzymaliśmy się pod nisko zwisającymi gałęziami smutnych, czarnych modrzewi. Tatar i Kałmuk szybko rozpalili olbrzymie ognisko, przy którym wysuszyliśmy się nareszcie i rozgrzali. Konie, chociaż głodne, nie ruszały się z miejsca i nie odchodziły od ognia; stojąc z opuszczonymi, smutnymi głowami, wygrzewały się i drzemały, głośno jęcząc.

W nocy, podczas mego dyżuru na czatach, ujrzałem jeźdźca. Mając widocznie dobrego konia, szybko przemknął niedaleko naszego obozu. Tatar z Kałmukiem pojechali natychmiast oglądać ślady i powróciwszy oznajmili, że był to niezawodnie Sojot, i że w pobliżu wykryli liczne ślady stad. Prawdopodobnie był to jakiś pastuch, zwabiony ogniami naszego obozu.

Wczesnym rankiem kilku jeźdźców sojockich zbliżyło się do nas.

— Ułan (czerwony)? — zapytał jeden z nich.

— Nie! — rzęknęły się protestujące głosy.

— Cagan (biały)? — nastąpiło nowe pytanie.

— Tak, tak! — zawołał Tatar — wszyscy biali!

— Mende, mende! — z radością w głosie zaczęli pozdrawiać nas tubylcy i opowiedzieli nam o bardzo ważkich dla nas zdarzeniach.

Czerwoni partyzanci, którzy szli od strony Tannu-Ołu, obsadzili swymi posterunkami cały grzbiet graniczny, gdzie chwyтали Rosjan i Sojotów uchodzących wraz z bydłem do Mongolii. Przejście przez Tannu-Ołu, jak twierdzili Sojoci, zostało zamknięte. Pozostawała jedyna droga: od razu zawrócić na południowy wschód, przeciąć błotnistą dolinę Biuret-Ho i wyjść na południowy brzeg jeziora Kosogoł, leżącego już w granicach Mongolii.

Była to bardzo przykra okoliczność. Od lasu, w którym nocowaliśmy, do pierwszego najbliższego posterunku mongolskiego — Samgałtaj, pozostawało do przebycia nie więcej niż 100 kilometrów. Tymczasem od Kosogołu w prostej linii dzieliło nas około 450 kilometrów.

Mój koń oraz koń mego towarzysza-agronoma zrobiły już przeszło 1000 kilometrów bardzo uciążliwej drogi bez dostatecznego pokarmu i po lodowatej przeprawie przez Jenisej mogły nie wytrzymać tak dalekiej drogi.

Dobrze rozważywszy położenie i nieco bliżej poznawszy swych nowych towarzyszy, nie mogłem się zdecydować iść razem z nimi w ciągłych bojach przez Tannu-Ołu.

Byli to ludzie wyczerpani i zdesperowani, przeważnie źle odziani i niedostatecznie uzbrojeni, większość z nich nawet nie miała broni.

Wiedziałem, że podczas walki nie ma większego niebezpieczeństwa niż człowiek nieuzbrojony. Ogarnia go bowiem prędko niczym nie zwalczony strach, zaczyna się miotać, traci głowę z przerażenia i bezradności i zaraża swoją paniką innych. Naradziwszy się z p. Władysławem postanowiłem, bądź co bądź, iść do Kosogołu.

Gdy o tym oznajmiłem swoim towarzyszom podróży, wszyscy się zgodzili na mój projekt.

Po obfitym śniadaniu, składającym się z tłustej zupy, mięsa, sucharów i herbaty, wyruszyliśmy w drogę.

Około drugiej po południu przed nami zaczęły wyrastać góry. Zbliżaliśmy się do północno-wschodnich odnóg Tannu-Ołu, za którymi leżała dolina rzeki Biuret-Ho.

W dolinie pomiędzy górami spotkaliśmy wielkie stado byków i jaków tybetańskich, które dziesięciu konnych Sojotów pośpiesznie gnało na zachód. Pastuchowie opowiedzieli nam, że „najon” (książę) Todzi kazał im przeprowadzić należące do niego bydło doliną Biuret-Ho do północnej Mongolii, obawiając się partyzantów i oddziałów regularnych wojsk sowieckich, coraz częściej przedzierających się do Urianchaju i grasujących bezprawnie i bezkarnie. Pastuchowie natychmiast wyruszyli, lecz w drodze dowiedzieli się

od myśliwych, że i ta część odnogi Tannu-Ołu jest już zajęta przez bolszewików. Musieli więc powrócić i teraz usiłovali przejść ze stadem nad rzekę Kemczyk, przecinając kraj cały ze wschodu na zachód.

Wybadaliśmy Sojotów bardzo szczegółowo, gdzie się znajdują posterunki i zasadzki czerwonych partyzantów, oraz jakie są siły bolszewickie na tym jedynym przejściu górskim. Posłałem natychmiast Tatara i Kałmuka, dobrze mówiących po sojocku i z ogólnego wyglądu do tubylców podobnych, na ścisły rekonesans; sami zaś obwiązaliśmy kopyta naszych koni szmatami, żeby nie było słychać stąpania wierzchowców po kamienistej ścieżce, zaciągnęliśmy rzemieniami pyski końskie, aby nie rżały i powoli w milczeniu posuwaliśmy się za wywiadowcami.

Ci zaś wykonali rekonesans świetnie i szybko. Już po paru godzinach wiedzieliśmy, że osiemdziesięciu partyzantów założyło obóz o dziesięć kilometrów od nas, zajmując jurty (namioty) dużego zimowego koczowiska Sojotów, trudniących się hodowlą reniferów i że urządzili z obydwóch stron górskiego przejścia dwie zasadzki. W jednej z nich było dwóch żołnierzy, w drugiej — trzech. Było to nie dalej niż dwa kilometry od nas. Pomiędzy tymi zasadzkami w pobliżu awangardy głównych sił bolszewickich biegła ścieżka.

Wkrótce weszliśmy na górę. Obydwie zasadzki były widoczne, jak na dłoni. Można było z łatwością ostrzeliwać je z dobrym skutkiem. Gdy zbliżyliśmy się o kilometr do punktu niebezpiecznego, zawołałem swego towarzysza-Polaka, Tatara, Kałmuka i paru młodych oficerów i zostawiwszy konie przy oddziale, ruszyłem na ostateczne zbadanie sytuacji. Z góry o pięćset kroków niżej widziałem dwa ogniska, buchające, wysokim płomieniem, a przy każdym z nich siedział żołnierz z karabinem, reszta zaś ludzi spała; ich czarne postacie nieruchomo leżały przy ogniskach. Wydało mi się, że i warta śpi. Mam ostry wzrok i parę razy spostrzegłem, że głowa czuwającego żołnierza bezwiednie opadała na piersi.

Nie będąc pewny swoich nowych towarzyszy, nie mogłem rozpoczynać boju z bolszewikami, chociaż byłem przekonany, że potrafię podejść niepostrzeżenie do obozu partyzantów i rozbić ich. Wolałem jednak nie pozostawiać po sobie śladu, gdyż wiele kłopotu mielibyśmy w razie pościgu w Mongolii, gdzie chińscy urzędnicy mogli dopomóc naszym wrogom. Naradziwszy się z towarzyszem, postanowiliśmy „sprzątnąć” oba posterunki bez strzałów i przejść dalej bez spotkania się z głównymi siłami przeciwnika. Nie obawiałem się, że partyzanci nas wytropią, gdyż ścieżka była pełna śladów konnych pastuchów i stad.

— Tych dwóch „mołojców” wezmę na siebie — szepnął mój atletyczny agronom, wskazując posterunek położony na lewo od ścieżki.

Wydałem więc rozporządzenie Tatarowi, aby załatwił się z drugą zasadzką i skradałem się wśród krzaków z agronomem, żeby mu w razie potrzeby dopomóc. Co prawda byłem o niego spokojny zupełnie, gdyż ten okaz, mający około siedmiu stóp wzrostu, posiadał taką olbrzymią siłę, że niesforne konie kładł na ziemię i uздаł je, przycisnąwszy ramieniem.

O kilkanaście kroków od ogniska zatrzymałem się w krzakach i zacząłem oczekiwać.

Doskonale widziałem mocno kiwającego się wartownika. Karabin miał na kolanach i zgasła fajkę w ustach. Jego śpiący towarzysz wcale się nie ruszał; dostrzegłem spokojnie wyciągnięte nogi w grubych wołokowych „pimach”.

Według moich obliczeń agronom musiał już dopełznąć do posterunku bolszewickiego, lecz nie dawał znaków życia.

Koło ogniska przez kilka chwil było zupełnie spokojnie.

Naraz od strony dalszego posterunku doleciał mnie urwany, przyduszony krzyk — i znowu zapadła cisza...

Partyzant drzemiący przy ognisku poruszył się i podniósł senną głowę, ale w tej chwili obok niego wyrosła postać mego towarzysza, wydająca się potwornie olbrzymią na tle ogniska.

Zobaczyłem na jedno mgnienie oka nogi wartownika, które mignęły w powietrzu, po czym ogromna postać wraz ze swoją ofiarą pogrążyła się w krzakach.

Po kilku sekundach olbrzym zjawił się znowu, podniósł karabin z ziemi i zamachnął się nim silnie. Usłyszałem głuchy zgrzyt zdruzgotanej czaszki, a wkrótce potem głośno i spokojnie kroki mego towarzysza.

Podszedł do mnie i z uśmiechem wstydliwym rzekł:

— Już po wszystkim! Diabli nadali! Gdy byłem małym chłopcem, matka chciała, żebym został księdzem. Zostałem agronomem po to, żeby dusić ludzi i rozbijać im głowy. Okrutnie głupia rzecz — rewolucja, panie!

Z raptowną wściekłością i obrzydzeniem splunął i zaczął zapalać fajkę.

Tymczasem i na drugim posterunku także wszystko było skończone. Po chwili nasz oddział, zachowując milczenie, powoli prześlizgnął się, jak widmo nocne, pomiędzy milczącymi już na wieki wartami bolszewickimi.

W nocy przebrnęliśmy Tannu-Ołu.

Tam, na szczycie, około wielkiego „obo”, tj. ołtarza, poświęconego złym duchom gór, napiliśmy się herbaty i natychmiast zaczęliśmy zjeżdżać w dolinę, zarośniętą gęstymi krzakami i przeciętą całą siecią niezamarzniętych strumyków i małych rzeczek.

Były to źródła rzeki Biuret-Ho.

Okolo pierwszej po południu zatrzymaliśmy się na bardzo malowniczej polanie, z dobrą dla koni trawą, u podnóża gór porosłych modrzewiami. Zamierzałem spędzić tam całą dobę, żeby trochę odkarmić konie.

Uważałem siebie i swoich ludzi za zupełnie bezpiecznych, tym bardziej, iż przemawiały za tym oznaki zewnętrzne. Na górach spokojnie żerowały stada reniferów i jaków.

Wkrótce nadjechali Sojoci i powiedzieli, że tu, za Tannu-Ołu, nikt dotąd nie widział czerwonych bandytów, za co ofiarowaliśmy im całą cegłę herbaty prasowanej. Odjechali zadowoleni i uspokojeni, powtarzając, że jesteśmy „dobrzy ludzie”, „cagan” a nie „ulan” (biali, a nie czerwoni).

Gdy nasze zmęczone i wygłodzone szkapy wypoczęły i objadły się suchą, brunatną, lecz pożywną trawą, ja i moi towarzysze rozkoszowaliśmy się przy ognisku, układając plan dalszej drogi. Nagle wyłoniła się stanowcza różnica poglądów.

Niejaki pułkownik Żuków, a z nim czterdziestu siedmiu innych oficerów i szeregowców, uspokojeni tym, że za Tannu-Ołu nie było bolszewików, postanowili iść do mongolskiego miasta Kobdo, a później dalej nad rzekę Emil, gdzie był obóz serbskiego generała Bakicza, internowanego przez Chińczyków. W tym celu chcieli od razu skierować się na zachód, idąc południowymi uskokami Tannu-Ołu.

Ja zaś z agronomem, z szesnastu oficerami, wśród których byli Tatar i Kałmuk, postanowiliśmy iść na wschód, w stronę jeziora Kosogoł, stamtąd zaś dalej do Pacyfiku, trzymając się linii pomiędzy Kiachta a Urgą.

Próżne były nasze usiłowania, ażeby skłonić przeciwną stronę do pójścia z nami; niestety, oddział nasz się rozdzielił.

Nazajutrz około południa po wspólnym obiedzie pożegnaliśmy rozstaliśmy się, życząc sobie wzajemnie powodzenia.

W dalszej drodze los nie oszczędził nam trudów, przeszkód i przygód niebezpiecznych, lecz pomimo tego dwunastu nas doszło do zamierzonego celu, zachowując wzajemnie dla siebie najcieplejsze uczucia, najserdeczniejsze wspomnienia i głęboki szacunek, który wyrósł na podstawie wielokrotnych prób w ciężkich przygodach ryzykownych.

Oddział zaś pułkownika Żukowa zginął.

Za Tannu-Ołu spotkał on znaczne siły regularnej kawalerii czerwonej i został przez nią rozbity.

Dwóm tylko kozakom udało się umknąć; oni też w pięć miesięcy po naszej rozłące na Biuret-Ho przynieśli nam tę smutną wiadomość do Urgi, gdzie spędziliśmy najbardziej porywające wyobrażenie dni w obozie chana mongolskiego, „krwawego” barona, generała Ungern von Sternberga, i w pałacu żywego boga, siedzącego na tronie Wielkiego Dżengiz-Chana.

Moja grupa złożona z osiemnastu doskonale uzbrojonych jeźdźców i z pięciu koni ciężarowych, posuwała się doliną Biuret-Ho na wschód, tonąc w błotach, brnąc przez niezliczone grząskie potoki i rzeki, kostniejąc z zimna przy ostrych wiatrach północnych i moknąc do nitki pod często padającym mokrym śniegiem.

Uparcie dążyliśmy na wschód do południowego brzegu jeziora Kosogoł.

Prowadził nas Tatar umiejętnie i dobrze, chociaż drogę łatwo było znaleźć, gdyż pędzone do Mongolii bydło i konie z Urianchaju wszędzie pozostawiły ślady. Nieraz znajdowaliśmy ogniska, przy których spędzali zimne noce pastuchy, strzegący stad.

## XII. WŚRÓD SOJOTÓW

Tubylcy Urianchaju, Sojoci, szczył się tym, że są prawdziwymi buddystami i roznościcielami idei świętego Ramy i mądrego Sakkia Muni. Sojoci — odwieczni wrogowie wojny i przelewu krwi ludzkiej, przed wiekami woleli porzucić swoją ojczyznę, niż ustąpić żądaniom krwawego zdobywcy Dżengiz-Chana, marzącego o utworzeniu sojockiej konnej armii. Sojoci prawie wymarli, lecz na rękach pozostałych nie ma śladów krwi ludzkiej. Nieprzepartym wstrętem do wojny Sojoci walczyli z duchem zniszczenia i mord. Nawet bezwzględni, surowi gubernatorzy chińscy nie potrafili zastosować w Urianchaju swych krwawych praw, nie znających litości.

Sojoci nie zmienili swoich obyczajów i wtedy nawet, gdy szalejący Rosjanie, niszcząc własną ojczyznę, wnieśli do Urianchaju zarazę mord i grabieży. Uchodzili ze swymi stadami, z dobytkiem i rodzinami na południe pod Tannu-Ołu, dążąc do ziemi „nojonów” (książąt) Soldżaku i Kiemczyku. Wschodni szlak tego wychodźstwa ciągnął się doliną Biuret-Ho. Prawie co dzień spotykaliśmy rodziny sojockie, uciekające od partyzantów konno i na wielbłędach, wiozące swój majątek na „arbach” (dwukołowych ciężkich wozach), które ciągnęły bawoły lub jaki. Na pastwiskach górskich pasły się uprowadzane stada i tabuny koni. W miejscach nie uczęszczanych dotychczas widniały ślady sojockich biwaków. Szybko zdążyliśmy na wschód, jadąc ścieżką, wijącą się brzegiem Biuret-Ho; po dwóch dniach zaczęliśmy się wspinać na szczyt wysokiego łańcucha górskiego, oddzielającego dolinę Biuret-Ho od rzeki Hargi, pozostawiając w tyle Sojotów, powoli dążących ze stadami i „arbami”.

Przejście przez góry było bardzo strome i obfitowało w leżące na ścieżce olbrzymie, obalone uderzeniem pioruna lub porywem wichru modrzewie oraz w bagna, co w bardzo przykry sposób przeszkadzało naszemu przejściu przez przełęcz. Nieraz byliśmy zmuszeni w ciągu kilku godzin jechać staczającymi się w przepaść ławicami kamiennymi pośród olbrzymich głazów, przyniesionych niegdyś przez lodowce, które tu przed tysiącami latami topniały. Kilkakrotnie podczas przedzierania się przez takie „moreny” drżeliśmy z obawy, że konie nam padną od znużenia. Ścieżka biegła niekiedy samym brzegiem przepaści, a spod nóg końskich zrywały się i pelzły na dół lawiny piasków ruchomych i drobnych kamieni.

Jadąc przez jedną z takich stromych gór, składającą się z pokładów ruchomego piasku, byliśmy zmuszeni zsiąść z koni i biec około dwóch kilometrów, prowadząc konie za udzy. Chwilami wyczuwaliśmy, jak ziemia całą swą masą szybko spelzała w przepaść. Nogi aż do kolan grzęzły w piasku i dość było jednego nieostrożnego kroku, jednego nieobmyślnego ruchu, aby ten piasek, dążący ku stromemu urwisku porwał nas i zrzucił w przepaść. Taki los spotkał jednego z naszych koni ciężarowych, który zbyt głęboko ugrzązł w piasku i nie mógł już walczyć z jego ruchem i lawirować. Lawina runęła wraz z nieszczęśliwym koniem w przepaść. Usłyszeliśmy trzask łamanych drzew, a po chwili z zakrętu ścieżki dostrzegliśmy zdruzgotane ciało konia, przebitego na wskroś pniem cienkiej brzozy. Biała kora drzewa była zbroczona krwią, a pod nim leżały wnętrzości konia. Z wielkim trudem udało się nam dotrzeć na dno przepaści, by zabrać siodło i worki z pożywieniem.

Nieco dalej stanęła i nie mogła już iść jedna ze szkap ciężarowych, która towarzyszyła nam od rosyjskiej granicy Urianchaju. Nie pomogły krzyki i bicie. Koń stał ponury i drżący. Zdjęliśmy z niego siodło i ciężary. Stał jeszcze kilka minut, a później się położył.

Właśnie wówczas zbliżyli się do nas jacyś Sojoci. Bardzo uważnie zbadawszy i zmacawszy nogi, grzbiet i głowę konia, zawyrokowali:

— Ten koń już nigdy dalej nie pójdzie. Mózg wysechł mu ze znużenia.

Rozstaliśmy się z naszym starym towarzyszem niebezpiecznej podróży.

Z wysokiej góry ujrzeliśmy go jeszcze raz. Wydał się nam czarną, nieruchomą plamą na brunatnej trawie, przyprószonej śniegiem; leżał w tym położeniu, w jakim go zostawiliśmy.

Nocą wilki pewno przerwały nić jego smutnego życia, gdyż mnóstwo śladów tych drapieżników widniało wszędzie na śniegu i na błotach.

Wieczorem wjechaliśmy na bardzo malowniczy płaskowyż, porosły wspaniałym lasem modrzewiowym, przypominającym park angielski.

Wkrótce spostrzeżliśmy na niewysokim pagórku kilka sojockich „jurt”, pokrytych korą, co świadczyło, że trafiliśmy na koczowisko myśliwych. Przez spiczaste wierzchołki szalasów wznosił się dym. Po chwili kilku Sojotów ze strzelbami w rękach wybiegło z jurt i skierowało się ku nam.

Wzburzonymi głosami zaczęli objaśniać, że miejscowy książę — nojon Soldżaku, rozkazał nikogo nie wpuszczać w granice swoich posiadłości, ponieważ wiedział, że mogą przyjść „źli ludzie”, którzy zabijają i rabują.

— Powracajcie tam, skąd przybyliście — radził nam stary Sojot, z trwogą patrząc na mnie.

O wykonaniu tej rady nie mogło być nawet mowy, choćby z tego powodu, że dojsć tam, skąd przybyliśmy, było absolutnie niemożliwe, a co najważniejsze dlatego, że szliśmy na wschód i musieliśmy tam dojsć.

Przerwałem w sposób rozkazujący sprzeczkę, która wyniknęła pomiędzy Sojotami a rosyjskimi oficerami z powodu zarządzenia nojona i zapytałem wskazując na dolinę, przeciętą niebieską wstęgą zamarzniętej rzeki:

— Jak się nazywa ta rzeka?

— Ojna! — odpowiedział stary Sojot. — Tu się zaczynają posiadłości nojona Soldżaku i na przeciwległy brzeg zakazano nam przepuszczać obcych.

— Rozumiem! — odparłem spokojnie. — Lecz spodziewałem się, że prawo gościnności jest u Sojotów w poszanowaniu, a więc pozwólcie nam rozgrzać się i pożywić w jurtach, przy waszych ogniskach.

— Prosimy! Prosimy! — zawołali Sojoci i poprowadzili nas ku swoim siedzibom.

W drodze zdążyłem poczęstować starego Sojota papierosem a innemu ofiarowałem pudełko z kilku zapalkami. Wszyscy szliśmy kupą i tylko jeden tubylec, opierając się na strzelbie, z trudem wchodził na pagórek i co chwila przystawał, wycierając twarz rękawem kożucha.

— Chory? — zapytałem.

— Tak! — ze smutkiem w głosie odparł stary. — To mój syn — Ereksen. Już mija tydzień, jak płynie mu krew z nosa. Osłabł do szczętu.

Zatrzymałem się i zawołałem Sojota.

— Rozepnij kożuch! — rozkazałem. — Obnaż piersi i szyję, a twarzą zwróć się do nieba!

Chory natychmiast wypełnił rozkaz, ja zaś nacisnąłem mu tętnicę i po paru minutach powiedziałem:

— Krew zatrzymana i więcej nie będzie ci płynęła. Idź do jurty i połóż się!

Krwotoki z nosa często można zatamować w taki prosty sposób, lecz „magiczne” działanie moich palców wywarło olbrzymie wrażenie wśród Sojotów.

— Ta — Lama! Ta — Lama! (wielki lekarz) — zawołał stary Sojot, nisko schylając przede mną głowę.

W jurcie wyjodynowałem nos mojego pacjenta i wtedy dopiero przystąpiłem do picia herbaty. Stary gospodarz uporczywie milczał, myśląc nad czymś poważnym. Wreszcie odszedł na bok i długo naradzał się z resztą Sojotów.

Gdy powrócił, zwrócił się do mnie z następującymi słowami:

— Zona nojona chora na oczy. Myślę, że nojon będzie rad „Wielkiemu Lekarzowi”. On chyba mnie nie ukarze? Przecież rozkazano nie przepuszczać „złych ludzi”, a dobrych można?

Nie zdradzając swej radości z powodu takiego rozumowania, odrzekłem chłodno:

— Uczynisz jak zechcesz. Ja umiem dobrze leczyć oczy, lecz skoro nie wolno przekroczyć Ojny, pojedę innym szlakiem.

— Nie! Nie! — już z przerażeniem zawołał Sojot. — Ja sam was poprowadzę do nojona. Ta — Lama! Ta — Lama!...

Usiadł przy ognisku, koło którego krzątała się młoda o czerwonej twarzy kobieta, zapalił długą fajkę, zrobił dwa pociągnięcia i otarłszy cybuch rękawem, podał mnie. Przyjąłem, jeszcze raz wytarłem cybuch i udałem, że pałę. Następnie stary Sojot poczęstował

fajką wszystkich moich towarzyszy, otrzymawszy w zamian od każdego z nas papierosa, trochę tytoniu fajkowego i zapalki. Przyjacielski stosunek nawiązał się szybko.

Wkrótce w jurcie natłoczyło się tylu Sojotów — mężczyzn, kobiet i dzieci, oraz psów, że nie było można się poruszyć.

Zjawił się jakiś krótko ostrzyżony i ogolony lama, ubrany w szeroki płaszcz karmazynowy, z różańcem owiniętym dookoła prawej ręki. Jego ubranie i wygląd wyróżniało go pośród tłumu brudnych Sojotów z warkoczami i w wołkowych czapkach, upiękuszonych ogonami wiewiórek.

Lama był bardzo grzeczny dla nas, lecz spoglądał łapczywie na nasze złote obrączki ślubne i na zegarki.

Postanowiłem skorzystać z tej cechy skromnego kapłana Buddy.

Poczęstowawszy go herbatą z sucharami, nawiązałem rozmowę o dobrych koniach sojockich, zaznaczywszy, że potrzebuję nabyć jednego.

— Kupcie ode mnie, mam dobrego konia, nazywa się Toruch — rzekł lama. — Tu na Ojnie wszyscy go znają. Lecz uprzedzam, że pieniędzy nie wezmę, zamienić się zaś mogę.

Zaczął się targ i trwał bardzo długo. Wreszcie nabyłem dobrego i mocnego gniadego konia sojockiego i młodego kozła, oddawszy lamie złotą obrączkę, nieprzemakalne palto i skórzaną torbę.

Tu, na Ojnie, po raz pierwszy spróbowaliśmy prawdziwej azjatyckiej kuchni. Przywleczono tłustego barana i w mgnieniu oka Sojoci już go piekli na węglach, gotowali w dużej misie żelaznej, z wnętrzości przyrządzali jakąś polewkę, w której gotowały się na poczekaniu zrobione kielbaski z flaków i z tłuszczu. Po sutej kolacji i bardzo zimnym noclegu, nazajutrz po południu ruszyliśmy dalej, prowadzeni przez starego Sojota.

Droga biegła doliną rzeki Ojny.

Stary opowiedział nam, że dolina łączy się na wschodzie z obszerną kotliną świętego i tajemniczego jeziora Teri-Nur. Droga była łatwa do jazdy, a mimo to wkrótce przekonaliśmy się, że wierzchowice mego towarzysza i mój, a także jeszcze trzy konie z oddziału w najlepszym razie dojdą tylko do siedziby nojona, gdzie znów nas będzie oczekiwała przykra procedura nabywania świeżych.

Zjawiły się stada i tabuny.

Coraz częściej widzieliśmy osiedla sojockie. Miejscowość była gęsto zaludniona, gdyż wszędzie spotykaliśmy doskonale pastwiska, jak w dolinach, tak też i na górskich halach.

Zbliżaliśmy się do siedziby księcia Soldżaku. Przewodnik pojechał naprzód, aby uprzedzić nojona o naszym przybyciu.

Chociaż był przekonany, że nojon ucieszy się z przybycia „Ta-Lamy”, jednak na jego twarzy malowały się niepokój i trwoga, gdyż wiedział, że za każde przekroczenie rozkazu księcia mógł dostać dużą porcję kijów bambusowych.

Po paru godzinach, dążąc drogą wskazaną przez naszego przewodnika, zobaczyliśmy wielkie granatowe jurty z żółtymi i niebieskimi flagami powiewającymi nad nimi: domyśliliśmy się, że przed nami jest koczownicza stolica nojona księstwa Soldżaku.

Spotkaliśmy pastucha, pędzącego spore stado ogromnych jaków i sarłyków<sup>2</sup>. Ci mieszkańcy tajemniczych gór Tybetu ponuro, niedowierzająco i złowrogo spojierający, rozstępowali się przed nami. Były to olbrzymy z pasmami długich jak grzywa włosów na bokach, ze wspaniałymi końskimi ogonami i z długimi, ostrymi rogami, zawsze groźnie nastawionymi.

Wreszcie z krzaków wynurzył się nasz Sojot. Twarz jego promieniała radością. Wymachując rękami, wołał:

— Nojon prosi Ta-Lamę, aby był jego gościem i zaprasza wszystkich jego przyjaciół do swoich jurty! Nojon bardzo się ucieszył!

Musiałem pomyśleć o dyplomacji.

Gdy przyjechaliśmy do dużej, granatowej jurty księcia, spotkało nas dwóch urzędników z kitami pawich piór na spiczastych czapkach mongolskich, które w niewyjaśniony sposób trzymają się tak mocno na okrągłych czaszkach tubylców. Urzędnicy z uniżony-

<sup>2</sup>sarłyk — mieszana rasa bydła rogatego, pochodząca od krów i jaków. [przypis redakcyjny]

mi ukłonami prosili cudzoziemskiego nojona — „wielkiego lekarza”, aby wszedł do jurty nojona, władcy Soldżaku i opiekuna Darchat-Uła.

Razem z towarzyszem-agronomem weszliśmy do księcia. Był to mały, wychudły i wyschły staruszek, krótko ostrzyżony i gładko wygolony. Miał na głowie bogatą czapkę bobrową ze spiczastym żółtym jedwabnym wierzchem, na którego szczycie była czerwona gąłka, oznaczająca wysoki stopień w biurokracji chińsko-mongolskiej. Od tej gąłki poziomo zwisała się wspinała kita z długich piór pawich. Książę był w ogromnych okularach chińskich w czarnej oprawie rogowej. Siedział nieruchomo i poważnie na niskiej czerwonej sofie i powoli przebierał palcami paciorki różańca. Książę Soldżaku był lamą i jednocześnie hutuhtą (przeorem) klasztoru w pobliżu Teri-Nura.

Gdy weszliśmy, nojon łaskawie nas powitał, kazał podać dla nas niskie taborety, posadziwszy nas twarzami do ognia, palącego się w brązowym piecyku.

Księżna — bardzo przystojna, o cerze białej, niezwyklej u kobiet mongolskich i z długimi warkoczami, częstowała nas herbatą, ciastkami chińskimi i sojockim suchym i twardym jak kamień serem. Zjawily się tradycyjne fajki gościnności, lecz sam książę-lama nie palił: przyjął ode mnie moją fajkę, potrzymał ją w ręku i zwrócił wraz ze swoją tabakierką w formie kosztownego flakonu z zielonego nefrytu, z wyrzeźbionym na nim smokiem chińskim.

Gdy pierwsza etykieta była skończona, zapanowało milczenie. Czekaliśmy na odezwanie się księcia — nojona.

Poważnym głosem zadał kilka zwykłych pytań: czy pomyślnie podróżujemy, jak zdrowie jeźdźców, koni i wreszcie, otrzymawszy odpowiedź, zapytał o nasze dalsze zamiary.

Opowiedziałem mu o wszystkim z całą szczerością i prosiłem o okazanie nam gościnności, tak potrzebnej dla wypoczynku ludzi i koni.

Nojon obiecał swoją opiekę i natychmiast rozkazał postawić dla nas cztery jurty.

— Słyszałem — rzekł — że cudzoziemski nojon jest znakomitym lekarzem?

— Umieć leczyć niektóre choroby — odrzekłem — i mam ze sobą trochę lekarstw. Lecz nie jestem lekarzem, tylko uczonym w zakresie innych nauk.

— Nojon jednak tego nie mógł zrozumieć. Leczę, a więc jestem lekarzem.

— Moja żona — zaczął znowu — już od dwóch miesięcy jest chora na oczy. Niech Ta-Lama poradzi na tę dolegliwość.

Obiecałem uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy i prosiłem księżnę o pokazanie mi chorych oczu. Stwierdziłem zwykle zapalenie błony śluzowej powiek, którego dostała od ogólnego brudu i dymu ogniska w jurcie, od czego nie są wolni nawet książęta Sojotów.

Po rozkulbaczeniu koni przystąpiłem do czynności eskulapa.

Starannie przemyłem ropiejące oczy wodą z mydłem i z kwasem bornym, a później wpuściłem trochę kropli cynkowych, poradziwszy pacjentce leżeć kilka minut z zamkniętymi oczyma i z zimnym okładem na powiekach. Obiecałem wieczorem wstąpić i powtórzyć leczenie.

— Proszę Ta-Lamę, bardzo proszę wyleczyć mnie! — zwróciła się do mnie księżna z gorącą prośbą w głosie. — Niech Ta-Lama nie porzuca nas aż wyleczy! Damy baranów, mleka i mąki, ile zażądacie, tylko niech Ta-Lama wyleczy! Teraz często płaczę... Miałam prześliczne oczy i mój mąż, nojon, zawsze powtarzał, że one płoną jak gwiazdy na niebie. Teraz stały się czerwone. Ja tego nie przeżyję!

Przy tych słowach księżna bardzo mile tupnęła nóżką, a później kokieteryjnie przez łzy uśmiechnęła się do mnie i zapytała:

— Wyleczy? Tak?

Charakter i postępowanie pięknej kobiety wszędzie są jednakowe, czy to w wesołej Warszawie, czy na nowojorskim Broadwayu, czy na brzegach Tamizy, czy w Paryżu, czy też w dzikim, chmurami spowitym Tannu-Ołu, w wojłokowej jurcie piękności sojockiej, księżny Soldżaku i Darchat-Uła!

— Będę się starał! Będę się bardzo starał „inyń” (władczyni!) — zapewniał świeżo upieczony okulista.

Popasaliśmy tu, na brzegu zimnej, szalonej Hargi dziesięć dni, otoczeni dowodami gościnności i przyjaźni rodziny książęcej. Oczy księżny, które swoim blaskiem zwiody przed ośmiu laty z drogi celibatu już mocno podstarzałego nojona-lamę, przestały ropieć,

zniknęła czerwoność, stan zapalny i nieprzyjemny, ostry ból. „Inyń” nie posiadała się z radości i nie wypuszczała z rąk zwierciadła, w zachwycie się sobie przyglądając.

Nojon podarował mi pięć dość dobrych koni, dziesięć baranów i duży worek mąki, z której natychmiast napieklismy sucharów.

Mój towarzysz-agronom dał mi za to nowy 500-rublowy banknot rosyjski bardzo piękny i barwny, lecz nie mający dla nas żadnej wartości bo bolszewicy zburzyli system pieniężny; ode mnie zaś książę dostał niewielki kawałek rodzimego złota, znalezione w łożysku małej rzeczki i kieszonkowy rewolwer z dziesięciu nabojami.

Cała rodzina i urzędnicy księcia odprowadzali nas do „kure” (klasztoru), położonego o piętnaście kilometrów od koczowiska władcy Soldżaku. Prowadził Sojot, wysłany przez nojona z rozkazem konwojowania nas aż do Kosogołu.

Nie zatrzymaliśmy się w „kure”, lecz około „duguna” — chińskiej osady handlowej. Chińscy kupcy, patrząc na nas spođe łba, zaczęli nastęrczać różne towary, szczególnie kusząc nas okrągłymi, glinianymi „łanchonami” (karafkami) z „majgoło”, słodką, chińską wódką anyżową. Nie mieliśmy ani srebra w kawałkach, ani chińskich kałgańskich dolarów papierowych, więc ze smutkiem spoglądaliśmy na apetyczne „łanchony”. Nojon jednak rozkazał dać nam pięć butelek i zapisać je na swój rachunek osobisty.

Później, podczas wieczorów zimowych, nieraz wspominaliśmy bardzo wdzięcznie staro nojona, racząc się słodką wódką z gorącą herbatą i trzeba przyznać, że nikt z oddziału nie był obojętny dla sympatycznych „łanchonów”, które starannie owijano w szmaty i w suchą trawę, żeby się nie stłukły w naszych workach skórzanych.

Niech nie oburzają się moralisci i przeciwnicy alkoholu! Nadużycia alkoholu nie było!

Pomyśleć tylko: pięć „łanchonów” i osiemnaście zdrowych, bezdennych gardzieli! Oprócz tego — mróz 15–20 stopni i czternaście godzin dziennie na siodle!

Lecz dość usprawiedliwień, gdyż widzę, że moralisci już się uspokoili i nie oburzają się wcale...

### XIII. TAJEMNICE, CUDA I POTYCZKA

Tego dnia wieczorem jechaliśmy brzegami dużego „świętego” jeziora Teri-Nur. Jezioro zamarzło tylko przy brzegach i mogliśmy obserwować je w całej okazałości. Jest to wielka powierzchnia żółtej, mętnej wody. W kilku miejscach niedaleko brzegów rosły niewysokie trzciny, już brunatne, połamane przez mroźne wiatry. Pośrodku jeziora wynurzała się z wody wysepka, znikająca corocznie. Na niej rosło kilka już padających drzew, a wśród nich wznosiły się jakieś stare ruiny baszt i murów z gliny, zwykłej budowy chińskiej.

Przewodnik opowiedział nam, że przed 75 do 100 laty Teri-Nuru nie było; na równinie Chińczycy założyli silną fortecę. Jakiś święty lama za uczynioną mu przez komendanta chińskiego krzywdę wyklął fortecę i załogę, przepowiedziawszy jej prędką i straszną zagładę. Zaraz nazajutrz ze wszystkich studni lunęły potoki wody, zburzyły mury i budynki. Załoga chińska zginęła bez śladu i tylko czasem fale wzburzonego jeziora wyrzucają na brzegi zgniłe czaszki i kości ludzkie. Jezioro powiększa się co rok, podchodząc coraz to bliżej do okalających je gór.

Po godzinie ominęliśmy od wschodu Teri-Nur i jezioro zniknęło za lasem.

Droga nie była ciężka, lecz przewodnik uprzedzał, że czekają nas miejsca bardzo trudne do przebycia.

Doszliliśmy do nich po dwóch dniach.

Przed nami był gęsty las, wdrapujący się stromymi spychami na szczyt góry, pokrytej grubą warstwą śniegu. Za tą górą w promieniach zachodzącego słońca piętrzyły się majestatyczne wierchy, pokryte wiecznymi śniegami, z których w różnych miejscach wyrastały nagie, bezbarwne skały.

Były to wschodnie najwyższe odnogi Tannu-Ołu.

Zatrzymaliśmy się na nocleg w lesie i o świcie zaczęliśmy przedzierać się przez gęsty bór.

Do południa prowadził nas Sojot przez knieję, robiąc ogromne kręte zygzaki, gdyż wszędzie drogę tamowały niezliczone, głębokie wąwozy, przysypane śniegiem, wysokie wały leżących drzew lub też osypy kamieni i skał, które stoczyły się z gór. Namordowawszy się w ciągu kilku godzin, nieoczekiwanie powróciliśmy na miejsce naszego noclegu.



Nie było wątpliwości, że przewodnik zablądził i zupełnie stracił drogę. Na jego twarzy malowało się paniczne przerażenie.

— Złe duchy starego lasu nie przepuszczają nas! — szepnął drżącymi wargami. — Zły to znak! Lepiej powracać na Hargę do nojona.

Krzyknąłem na niego gniewnie i Sojot znowu poprowadził nas, chociaż stracił wszelką nadzieję odszukania ścieżki przez Tannu-Oł, nie robiąc nawet żadnych w tym kierunku wysiłków.

Na szczęście jeden z moich ludzi, myśliwy urianchajski, zauważył nacięcia na drzewach. Były to znaki, wskazujące ścieżkę ukrytą pod głębokim śniegiem. Brnąc w zaspach, przeszliśmy las „złych duchów”, przecięliśmy inny mniejszy, składający się z czarnych, gołych, spalonych modrzewi i zatrzymaliśmy się o zachodzie słońca w niewielkim gaiku u podnóża Tannu-Ołu. Wkrótce zapadł zmrok, a wraz z nim zerwał się wichur i przyniósł chmury śniegu, zasłaniające białą płachtą cały widnokrąg.

W okamgnieniu nasz obóz był zasypany głębokim śniegiem; konie stały jak białe widma, nie odgrzebywały trawy spod śniegu i nie chciały odchodzić od ogniska. Wiatr szarpał im grzywy i ogony. W szczelinach i wąwozach górskich wichur huczał, gwizdał i jęczał. Chwilami zdawało się, że setki głosów smutnych śpiewają jakąś pieśń złowrogą, pełną rozpacz. Z daleka dochodziły nas odgłosy ponurego wycia wilków.

Już większa część oddziału pokładła się koło ogniska, gdy zbliżył się do mnie przewodnik i rzekł:

— Nojonie! Pójdźmy do „obo”... Chcę ci coś pokazać.

Poszliśmy. Na samym początku stromej ścieżki leżała kupa dużych kamieni ze złożonym na nich bezładnym stosom suchych gałęzi. „Obo” jest lamaickim znakiem świętym, który mnisi-lamowie układają w niebezpiecznych miejscach. „Obo” — to ołtarz na cześć złych demonów, władców tych miejsc niegościnnych. Przyjeżdżający Mongołowie i Sojoci składają tu swe skromne ofiary — błagalne lub dziękczynne, wieszając na gałęziach „obo” szmaty, kosmyki włosów wyrwanych z końskiej grzywy lub „chatyki”, tj. długie pasma niebieskiej jedwabnej materii, które dają w prezencie osobom duchownym lub starszyźnie. Czasem stawiają miseczki z prosem, z bobem lub solą.

— Spójrz! — szepnął Sojot. — Chatyków nie ma...

Istotnie wiatr zerwał i uniósł jedwabne szmaty i nawet przewrócił miseczki z ofiarami.

— Demony są gniewne... Nie puszczą nas, nie ułatwią nam drogi przez Tannu-Ołu.

Sojot nagle schwyił mnie za rękę i błagającym głosem prosił:

— Powróćmy, nojonie, powróćmy! Demony nie chcą użyć nam drogi przez swoje góry. Nikt tu nigdy w zimie nie przechodzi. Już dwadzieścia lat gniewają się demony, a każdy śmiełek — myśliwy lub pastuch, usiłujący przejść tę drogę, zginął! Demony posyłały na niego śnieżną zamieć i mrozy. Widzisz? Wszystko to już się zaczęło... Dużo ludzkich kości leży na tych strasznych szczytach, nikt nie powrócił do swojej jurty. Wracajmy wszyscy do naszego księcia, u którego doczekamy się ciepłych dni wiosny i wtedy...

Nie słuchałem dalej tchórza i poszedłem z powrotem do ogniska, ledwie widocznego przez strugi i kłęby śnieżycy, mknącej z zawrotną szybkością. W obawie możliwej ucieczki przewodnika kazałem wystawić wartę na noc i bacznie na niego uważać.

W nocy obudził mnie wartownik-oficer i rzekł:

— Może być, że ja się mylę, lecz zdaje mi się, słyszałem huk strzału karabinowego...

Cóż mogłem na to powiedzieć?

Może gdzieś tacy jak my podróżni dawali sygnał zbłąkanym towarzyszom, lub może oficer się pomylił, przyjąwszy za wystrzał łoskot toczących się brył śniegu i lodu.

Zasnąłem i od razu przyśnił mi się bardzo wyraźnie dziwny krajobraz.

Zobaczyłem nieskończenie długą płaszczyznę śnieżną, przez którą brnął czarny wąż jeźdźców. Poznałem nasze konie ciężarowe, poznałem Kałmuka na zabawnym, czarnym ogierze w wielkie plamy białe i o garbatym pysku. Widziałem, jak zaczęliśmy schodzić z gór do doliny, obłani jaskrawym światłem słońca. Później nastąpiła noc.

Ujrzałem niewielki gaj z płonącym ogniskiem na jego skraju, a przy ognisku moich ludzi i konie. Wyraźnie słyszałem szum niezamarzniętego potoku, a na śniegu leżącym na jego brzegach ujrzałem krwawordzawe plamy.

Naraz ogień buchnął wysokim płomieniem. Drgnąłem i obudziłem się.

Mętny świt przedzierał się przez mrok i zawieję.

Obudziłem swój oddział i kazałem śpieszyć się z herbatą i z kulbaczaniem koni.

Zamieć wznosiła się coraz bardziej. Śnieg siekł twarz i oczy ze straszną siłą, zmiatał wszelkie ślady ścieżki. Mróz tężał.

Na czele oddziału jechał Sojot, szukający na próżno oznak drogi. Coraz częściej zatrzymywał się, bezradnie i z przerażeniem oglądając się wokół.

Wpadaliśmy do głębokich wyrw, ukrytych pod śniegiem wśród skał, wspinaliśmy się na wysokie zwały kamieni. Po godzinie uciążliwej jazdy Sojot zawrócił konia i zbliżył się do mnie.

— Nie chcę tu zginąć i dalej nie pojedę! — zawołał gwałtownym, zrozpaczonym głosem.

Pierwszym moim odruchem była chęć cięcia tego tchórza nahajem.

Przecież byliśmy tak blisko Mongolii, tej „ziemi obiecanej”, przez którą mogliśmy już spokojnie zdążać do celu i raptem jakiś Sojot sprzeciwia się mojej woli. Wydał mi się on największym wrogiem. Pohamowałem się jednak i nie uderzyłem przewodnika.

W głowie mi błysnęła myśl zupełnie dzika, fantastyczna.

— Słuchaj! — zwróciłem się do Sojota, mówiąc spokojnym, lecz bardzo stanowczym głosem — jeżeli zawrócisz konia i będziesz usiłował stąd odjechać lub uciec, dostaniesz kulą w kark i zginiesz nie na szczytach Tannu-Ołu, gdzie zginęli odważni, ale tu, na jego zboczach, jak pies tchórzliwy. Uważaj teraz, co ci będzie mówił ta-lama, któremu Wielki Burchan (Bóg) dał moc patrzenia w przyszłość. Wszystko będzie dobrze i nic nam nie grozi! Gdy staniemy na szczytach Tannu-Ołu, wicher się uspokoi i nie zobaczymy więcej zamieci śnieżnej. Gdy będziemy brnęli przez śniegi po płaszczyźnie, która jest tam na wierzchołkach, będzie nam świeciło słońce. Zatrzymamy się po tamtej stronie grzbietu w małym lesie modrzewiowym, przez który płynie niezamarzający potok z czerwonymi plamami rdzawej wody na brzegu, okrytym śniegiem. Tam się będzie paliło nasze ognisko i tam spędzimy noc!

Spostrzegłem, że Sojot zaczął dygotać ze strachu.

— Nojon już przebył tę drogę? — szeptał. — Już zna płaszczynę Darchat-Uła, która leży na tych szczytach?

— Nie! — odparłem. — Nigdy nie byłem w waszych górach, lecz tej nocy bogowie wasi nawiedzili mnie i pokazali mi drogę. Wiem, że nic nam nie przeszkodzi przejść szczęśliwie przez Tannu-Ołu.

— Już prowadzę, już prowadzę! — zawołał Sojot i uderzywszy konia, szybko wyjechał na czoło oddziału, jadąc ostrym grzbietem skalnym, wijącym się aż do szczytów, gdzie leżała śnieżna płaszczyna.

Gdyśmy się znaleźli na wąskim gzymsie skalnym, zwieszonym nad głęboką doliną, przewodnik gwałtownie wstrzymał konia i uważnie oglądał śnieg i kamienie.

Po chwili podniósł się na strzemionach i zawołał:

— Dziś w nocy tą ścieżką przeszło dużo podkutych koni. Tu po śniegu ciągnął się rzemień nahaja. To nie Sojot jechał.

Nie mieliśmy czasu na przypuszczenia i domysły, gdyż w tej chwili rozległa się salwa karabinowa, po której jeden z moich oficerów krzyknął, chwycił się za prawe ramię i padł, nie drgnąwszy nawet, a jeden z koni ciężarowych dostał kulą za uchem.

Natychmiast zeskoczywszy z siodła, schowaliśmy się za kamieniami i zaczęliśmy ostrożnie badać sytuację.

Od sąsiedniego szczytu oddzielał nas bardzo głęboki wąwóz, mający około 600 metrów szerokości. Na przeciwległym skraju wąwozu spostrzegliśmy ze trzydziestu jeźdźców, którzy zeskoczyli z siodła i rozpoczęli ostrzeliwanie nas pozostających na odkrytej niedogodnej pozycji.

Ukrywając się za skałami i w dołach, poczęliśmy odpowiadać.

— Celujcie do koni! — zakomenderował jeden ze starszych oficerów, pułkownik Ostrowski.

Rozkazałem przewodnikowi i Tatarowi położyć nasze konie na śniegu za skałami, aby nie służyły za cel napastnikom. Wykonali rozkaz bardzo sprawnie i szybko.

Od naszych strażów po przeciwnej stronie padło sześć koni, a kilka zostało poważnie ranionych, gdyż rwały się, skakały i padały, wnosząc duże zamieszanie w szeregach naszych przeciwników. Kałmuk celnym strzałem wpakował kulę w łeb jakiegoś śmiałka, który wystawiwszy głowę spoza kamieni coś krzyczał i wygrażał pięściami. Zabity padł twarzą naprzód i szybko stoczył się do wąwozu. Czerwoni żołnierze z wściekłością klęli nas i zasypywali coraz gęstszymi salwami.

Nagle zauważyłem, że nasz przewodnik wyprowadza trzy konie, wskakuje na siodło, a za nim, jak cienie, mkną Tatarzyn i Kałmuk. Już zmierzylem się do uciekającego Sojota, lecz uspokoiłem się, spostrzegłszy pościg naszych wschodnich przyjaciół.

— Oni nas nie opuszczą! — pomyślałem.

Bolszewicy zaczęli wściekle ostrzeliwać jeźdźców, lecz ci, przypadłszy do karków końskich, pomknęli i wkrótce zniknęli za załamaniem grzbietu.

Długo trwała strzelanina. Nie wiedziałem, co mam czynić dalej. Strzelaliśmy rzadko, oszczędzając naboje, lecz bądź co bądź traciliśmy nasze zapasy.

Nagle spostrzegłem na śniegu, wyżej od pozycji bolszewików, dwa czarne punkty. Bardzo wolno posuwały się one w stronę naszych wrogów i wkrótce zniknęły za ostrymi skałami, wiszącymi tuż nad strzelającymi do nas sowieckimi bandytami.

Niebawem spoza tych skał znowu wyłoniły się tajemnicze punkty i wtedy nie miałem już wątpliwości, że były to głowy ludzi. Za głowami zjawily się i całe postacie. Wnet poznaliśmy Tatara i Kałmuka.

Podnieśli oni z rozmachem ręce do góry i cisnęli coś na dół.

Z hukiem i łoskotem, setki razy powtórzonym przez echo, wybuchnęły granaty.

Po chwili nastąpił trzeci wybuch, a po nim przeraźliwe krzyki bolszewickich żołnierzy i bezładna strzelanina.

Kilka koni oszalałych z przerażenia rzuciło się do wąwozu. Jeszcze chwil kilka — i czerwoni, ostrzeliwani przez nas, zaczęli zmykać w nieładzie i panice, usiłując skryć się do wąwozu.

Gdy już wszystko było skończone, Tatar opowiedział, że Sojot zaproponował mu przeprowadzenie ludzi do przejścia, którym przedostali się bolszewicy i napaść na nich z tyłu.

Tatar wraz a Kałmukiem obmyślili plan takiego napadu na przeciwnika i cisnęli trzy granaty, widocznie z wielkim powodzeniem.

Opatrzywszy rannego oficera i przełożywszy wory z zabitego konia na inne, ruszyliśmy dalej, omawiając wypadki. Nie ulegało wątpliwości, że spotkany przez nas czerwony oddział szedł z Mongolii. To oznaczało, że tam już są czerwone wojska.

Ile ich jest? W jakich punktach są ześrodkowane siły bolszewików? W jakim kierunku posuwają się oddziały wywiadowcze?

Od prawidłowej odpowiedzi na te pytania zależało nasze życie.

Dreczęła nas myśl, że Mongolia już nie jest „ziemią obiecaną”, wymarzoną przez nas portem ocalenia.

Jechaliśmy smutni i niespokojni.

Tylko natura radowała nas, wiatr ucichł, opadła bez śladu wichura śnieżna. Słońce coraz to częściej wyglądało spoza chmur. Sunęliśmy wysokim płaskowyżem. W miejscach odkrytych wiatr zmiotł śnieg, skupiwszy go w dołach i wąwozach w grube pokłady lub wysokie stopy. Brnąc przez nie, nasze konie traciły resztki sił, często grzęznąc w śniegu z głową.

Szliśmy piechotą, grzęznąc w zaspach i dopomagając wybijającym się z sił koniom. Wpadaliśmy nieraz po szyję do dołów, ukrytych w grubych warstwach śniegu, ślizgaliśmy się na skałach, padaliśmy, lecz brnęliśmy uparcie i wytrwale dalej i dalej tam, gdzie połyskująca płaszczyna na tle szarego niebaagle się urywała.

Dopiero przed zachodem słońca doszliśmy do krańca płaskowyżu i zaczęliśmy schodzić ze stromych południowych zboczy Tannu-Ołu.

Po dwu godzinach ciężkiej drogi zatrzymaliśmy się w niewielkim gaiku modrzewiowym, gdzie nocowaliśmy przy ognisku, piliśmy herbatę z wody wartkiego nie zamrażonego strumienia, biegnącego wśród płaskich brzegów. Na śniegu spostrzegliśmy duże plamy czerwonej, rdzawej wody. W kilku miejscach dojrzeliliśmy też ślady bolszewickiego oddziału, który przeszedł tą drogą.

Wszystko — sama natura i nawet sojockie złe demony Darchat-Uła były po naszej stronie. Nie odczuliśmy jednak zadowolenia i spokoju, gdyż przed nami — znowu była niepewność i groźna tajemnica losu, który nie szczędził nam niebezpiecznych przygód i udręki prawdziwej.

#### XIV. RZEKA DIABŁA

Za grzbietem Tannu-Ołu zaczęliśmy się posuwać naprzód bardzo szybko, ponieważ równina mongolska w tej części kraju Darchackiego zupełnie jest pozbawiona gór.

Spieszyliśmy się... Dokąd?

Było to już dla nas obojętne.

Aby tylko prędzej jakiś koniec, jakieś rozwiązanie niepewności, nieustannie ciążyącej nad nami!

Na równinie pomiędzy Tannu-Ołu a kotliną Kosogołu śniegu prawie nie było. Wszędzie widniały cudowne pastwiska, które wprawiały w zachwyt mego agronoma.

Na niewysokich pagórkach tkwiły młode gaiki modrzewiowe. Często przejeżdżaliśmy przez wartkie rzeczki, lecz były one płytkie i płynęły twardym łozyskiem.

Na drugi dzień naszego pochodu po stepach darchackich spotkaliśmy Mongołów, szybko pędzących stada w kierunku północno-zachodnim, w stronę Ogarkha-Ołu.

Otrzymaliśmy też od nich wiele smutnych i zatrważających wieści.

Kawaleria bolszewicka od strony guberni Irkuckiej weszła w granice Mongolii. Czerwone oddziały zajęły już rosyjską osadę Khathyl, skąd przeszły dalej o sto kilometrów na południe i obozowały w kolonii rosyjskiej, położonej około wielkiego buddyjskiego klasztoru, Mureń-Kure. Mongołowie zapewniali nas, że pomiędzy Khathylem a Mureń nie spotkamy luźnych oddziałów i znacniejszych patroli bolszewickich.

Po długich naradach postanowiliśmy przejść pomiędzy tymi dwoma punktami i dążyć dalej na wschód, kierując się na klasztor Wan-Kure, gdzie podobno operował jakiś oddział antybolszewicki.

Odprowadziliśmy Sojota — przewodnika i wysławszy naprzód trzech wywiadowców, ruszyliśmy kierując się kompasem. Drogę łatwo już było znaleźć, więc przewodnik był już niepotrzebny.

Z gór, które południowo-zachodnimi uskokami dochodziły do brzegu jeziora Kosogoł, mogliśmy zachwycać się wspaniałym krajobrazem. Jezioro, jak wielka szafirowa kropka lub drogocenny wypukły szafir, leżało w ramie ciemnożółtych jak stare złoto gór, przeciętych pasami czarnych lasów modrzewiowych.

Nocą zbliżaliśmy się do Khathylu, zajętego przez bolszewików i zatrzymaliśmy się na brzegu wypływającej z jeziora głębokiej i nadzwyczaj bystrej rzeki Jagi, czyli Egin-Go.

Wyszukaliśmy pastucha Mongoła, który za ćwiartkę cegły herbaty podjął się przeprowadzić nas na przeciwległy brzeg rzeki. Wszędzie spotykaliśmy „obo”, święte modrzewie, czyli Chamtyty i nawet kaplice na cześć złych demonów, co świadczyło o niebezpiecznej przeprawie.

— Dlaczego tu jest tyle „obo”? — zapytałem Mongoła.

— To rzeka Diabła, niebezpieczna, zwodnicza! — odparł pastuch. Przed dwoma dniami pod lodem Jagi zginęła cała karawana. Utonęło pięciu ludzi, piętnaście koni i trzy wozy...

Przyczailiśmy się w krzakach do pierwszych blasków świtu, po czym rozpoczęliśmy przeprawę.

Powierzchnia rzeki przypominała taflę grubego szkła. Śniegu na lodzie nie było wcale, gdyż dął stale silny wiatr od strony Kosogołu. Konie ostrożnie stąpając po lodzie ślizgały się, padały i wierzały. Prowadziliśmy je za uzdy. Drząc na całym ciele i nisko opuściwszy lby, z napięciem wpatrywały się w lód i trwożnie chrapały. Gdym spojrzał na lód, zrozumiałem przyczynę ich strachu.

Przez lodową taflę, nie grubszą nad jedną stopę, wyraźnie dostrzegłem otchłań, a na jej dnie kamienie, krzaki wodorostów i wielkie ryby, śpiące w zagłębieniach dna. Woda była zupełnie przezroczysta. Głębokość rzeki sięgała 15 metrów. Rzeka mknęła pod lodem z jakąś wściekłą szybkością, wirując i wytwarzając długie pasma białej piany, podobne do rozszalałych węży.

Nagle wszystkie konie drgnęły i naraz zatrzymały się, jak wryte.

Stanęliśmy i my.

Nad rzeką huknął strzał armatni, po nim drugi i trzeci.

— Prędzaj naprzód, prędzaj! — wołał wymachując rękami Mongoł, który postępował na czele oddziału.

Znowu rozległ się huk i trzask, budzący jakąś niezrozumiałą trwogę. Coś się stało gdzieś bardzo blisko...

Konie zaczęły się w strachu cofać, wyrwać z rąk i ciężko padać, uderzając łbami o lód.

Prawie tuż pod moimi nogami, o dwie stopy na prawo, pękła powierzchnia lodu i szczelina, jak wąż, z trzaskiem złowrogim pobiegła dalej.

Natychmiast buchnęła z niej woda i płynęła, pieniać się i burząc.

— Prędzaj! prędzaj! — wołał przewodnik.

Z wielkim trudem udało się nam zmusić konie do przejścia przez szczelinę i ruszyć naprzód. Drżały i ociągały się. Tylko straszliwe uderzenia nahajów zniewoliły je do zapomnienia o panicznym strachu przed nieznanym zjawiskiem żywiołowym.

Gdyśmy dotarli do brzegu i zapuściwszy się w las ruszyli dalej, pastuch opowiedział nam, że Jaga często, bez żadnej przyczyny, zrywa lody i oczyszcza wielkie przestrzenie swego prądu. Biada podróżnym, którzy w podobnej chwili przeprawiają się przez rzekę! Szalony prąd zawsze zimnej wody porwie ich i wtłoczy pod lód. Zdarza się też, że nagle pod nogami konia otwiera się szeroka szczelina, do której wpada nieszczęsne zwierzę, ginąc pod lodem, który śmiertelną obręczą znowu jak gdyby się zrasta, druzgocąc mu nogi.

Tak szaleje tajemnicza „rzeka Diabła”, porywając nowe i nowe ofiary.

Kotlina jeziora Kosogoł uwydatnia resztki procesów wulkanicznych, jeszcze nie zakończonych; wyraźne ślady tego w formie law, bazaltów i trachitów można odnaleźć na brzegu zachodnim. Podziemne siły wulkaniczne jeszcze nie zanikły i są czynne, podtrzymując kult diabła, na cześć którego Mongołowie stawiają owe „obo” i składają ofiary.

W lesie wypoczęliśmy po ciężkiej przeprawie, napiliśmy się herbaty, przekulbaczyliśmy konie, umocowaliśmy worki na biednych naszych luzakach i ruszyliśmy dalej. Wkrótce wjechaliśmy w dolinę, pokrytą niegłębokim śniegiem.

Droga była łatwa, więc choć zapadł już zmrok, wciąż jechaliśmy dalej, ponieważ nie można było znaleźć miejsca dogodnego do popasu, ani też drzewa na ognisko; dopiero około dziewiątej godziny gdzieś daleko w stepie błysnął ogień. Wraz z agronorem, pozostawiwszy w tyle cały oddział, skierowałem się w tamtą stronę, w przypuszczeniu, że musi to być niezawodnie jakaś jurta mongolska, w której na tę noc urządzimy obóz.

Przejechawszy galopem około dwóch kilometrów rzeczywiście zobaczyliśmy grupę ubogich jurt pasterskich. Zdziwiło nas, że nikt nie wybiega na nasze spotkanie i że zwykła zgraja czarnych, złych psów dotąd nas nie zwęszyła, nie goniła naszych koni, chwytając je za nogi i ogony, i usiłując ściągnąć nas z siodła. Przecież widzieliśmy ogień z daleka? Więc muszą tu być ludzie!

Zeskoczyliśmy z koni i poszliśmy w stronę najbliższej jurty. Byliśmy o kilka kroków od niej, gdy odchyliła się płachta stanowiąca drzwi i z jurty wybiegło dwóch Rosjan. Jeden z nich z wielkiego rewolweru Colta dał do nas ognia, lecz trafił w siodło, zraniwszy w grzbiet mego konia. Położyłem go trupem ze swego mauzera, zaś drugiego towarzysza, który uciekał w stronę niewielkiego wąwozu, w okamgnieniu dogonił agronom, złapał za szyję, podniósł z ziemi, potrząsnął nim kilka razy i złamał mu w tej powietrznej podróży kręgosłup, zamaszycie cisnął o ziemię.

Obejrzeliliśmy trupy. Byli to żołnierze regularnych wojsk bolszewickich, gdyż w kieszeniach znaleźliśmy dokument szeregowców 2-go karnego oddziału wojsk wewnętrznej „ochrony”. Przenocowaliśmy w jurtach, postawiwszy warty podwójne. Mieszkańcy tego koczowiska zapewne zbiegli przed żołnierzami, którzy zdążyli już dokonać rabunku, spakowawszy najcenniejsze rzeczy Mongołów do worków, które znaleźliśmy pomiędzy jurtami. Rabusie widocznie zamierzali już odjechać, gdyż byli gotowi do drogi. Konie ich stały w wąwozie pośród niewysokich pagórków z wystającymi na ich zboczach skałami.

W torbach, przywiązanych do kulbak, znaleźliśmy niewielki zapas herbaty, tytoniu i zapalek. Oprócz tego zdobyliśmy na rabusiach dwa karabiny i dwa doskonałe colty ze sporą ilością nabojów, a także dwa porządne konie z rynsztunkiem.

Po paru dniach drogi zbliżywszy się do brzegu rzeki Uri, spotkaliśmy dwóch kozaków. Byli to szeregowcy z oddziału jakiegoś hetmana-watażki, Sutuhina, który na własną rękę prowadził wojnę podjazdową z bolszewikami w dolinie rzeki Selengi, w północnej części Mongolii. Jechali oni z listem hetmana do znanego na Altaju wodza białych partyzantów, rotmistrza Kajgorodowa, słynnego z odwagi Tatara.

Kozacy opowiedzieli nam, że wzdłuż całej granicy rosyjsko-mongolskiej zauważono koncentrację wojsk sowieckich, zamierzających rozpocząć poważniejsze operacje przeciwko „białym” oficerom, ukrywającym się w mongolskich miastach: Kobdo, Ułankom, Uliasutaj, Wan, Dzain i Urga. Nadmienili też, że w niektórych z tych miast gubernatorzy chińscy, pod wpływem agentów bolszewickich, aresztują Rosjan i cudzoziemców i wydają ich sowieckim władzom pogranicznym. Bardzo ważną wiadomością było to, że około Wan-Kure i Urgi w kierunku Kiachty, Mandżurii i chińskiego miasta Kałganu walczy z bolszewikami i z Chińczykami dywizja kozackiego generała, barona Ungern von Sternberga i pułkownika Kazagrandi. Baron odniósł porażkę od generała chińskiego, dowodzącego załogą w Urdze i administracja chińska srożyła się i pastwiła nad Rosjanami w miastach, podejrzewając wszystkich cudzoziemców o stosunki z baronem Ungernem.

## XV. POŁOŻENIE SIĘ ZMIENIA

Droga do Pacyfiku została dla nas zamknięta. O ile ja z moim starym towarzyszem podróży, jako Polacy, mogliśmy jeszcze spodziewać się przyzwoitego obejścia ze strony urzędników chińskich, to już w żadnym razie nie mogli oczekiwać tego oficerowie rosyjskiego oddziału.

Nie uważałem zaś za możliwe pozostawienie ich własnemu losowi; wobec tego postanowiłem szukać innych dróg wyjścia z ciężkiego położenia.

Rozważywszy starannie sytuację doszedłem do przekonania, że mamy przed sobą jedno tylko wyjście.

Musimy ominąć miasta mongolskie z chińską administracją i z załogami, przeciąć Mongolię z północy na południe, przejść przez zachodnią część pustyni Gobi w obręb posiadłości chana Jassaktu i plemion Wewnętrznej Mongolii i możliwie szybko i skrycie przebyć sto kilometrów przez chińską prowincję Kansu, aby wejść do Tybetu. W tym tajemniczym kraju spodziewałem się spotkać konsulów angielskich i z ich pomocą dotrzeć do jednego z portów Oceanu Indyjskiego.

Zupełnie wyraźnie przedstawiałem sobie i swoim towarzyszom trudności tej nieoczekiwanej wyprawy, lecz nie mieliśmy nic innego do wyboru.

Pozostawało: albo uczynić tę ostatnią szaloną próbę, albo zginąć z rąk sowieckich katów lub w więzieniu chińskim.

Gdy wyluszczyłem swoim ludziom obmyślony plan, nie tając przed nimi nowych niebezpieczeństw, trudów, oraz znacznej dozy szaleństwa, jaka cechowała mój projekt, wszyscy odpowiedzieli jednogłośnie, szybko i krótko:

— Niech profesor prowadzi, idziemy za panem!...

Na naszą korzyść przemawiała jedna okoliczność.

Mogliśmy nie obawiać się głodu, gdyż „wojna, żywiąc wojnę”, dała nam spore zapasy herbaty, tytoniu, zapalek, koni, siodła, broni, ubrania i obuwia, zdobytych na zabitych wrogach.

Dobrze przestudiowawszy mapę Azji Centralnej, którą posiadał jeden z oficerów, narysowałem następujący plan naszej wyprawy:

Od rzeki Iro pójdziemy na południowy zachód, pozostawiając z prawej strony miasto Uliasutaj i kierując się na koczowisko Caganluk, przejdziemy posiadłości chana Jassaktu i dotrzemy do grzbietu Boro. Tu dopiero będziemy mogli zatrzymać się na dłuższy popas dla wzmocnienia sił jeźdźców i koni.

Następnym etapem byłaby wyprawa przez zachodnią część Wewnętrznej Mongolii, pustynię Małą Gobi, czyli Naron-Khuhu-Gobi, przejście przez grzbiet Khara, szybki pochód nocny przez Kansu, gdzie musielibyśmy ominąć z zachodu miasto chińskie Suczou i po przekroczeniu wysokich szczytów Nań-Szań, wejść do północnego Tybetu w granicach obwodu Koko-Nor, w kierunku źródeł rzeki Yan-Tse-Kiang.

Dalej już słabo wyobrażałem sobie położenie geograficzne, chociaż pamiętałem i sprawdziłem na naszej mapie, że grzbiety górskie na zachód od Yan-Tse oddzielają basen tej olbrzymiej rzeki chińskiej od systemu rzeki Brahmaputry w Birmie, gdzie naturalnie powinniśmy spotkać załogi i władze cywilne angielskie, o ile nie spotkalibyśmy ich na terenie Tybetu.

W Anglii mam przyjaciół, znają mnie dziennikarze i niektórzy mężowie stanu, więc miałem pewną podstawę, aby spodziewać się gościnności i doraźnej pomocy w dalszej podróży już do... Europy.

Lecz plan ten układałem na brzegu Iro, do której dochodziły odnogi gór Tarbagatajskich i Kosogolskich.

Anglicy zaś byli bardzo daleko, za grzbietami Ała-Szań, za tajemniczym Tybetem „wielkiego i trzykroć świętego Dalaj-Lamy”, za „murem świata” — Himalajami!

## XVI. POCHÓD WIDM

Nie mogę innym słowem określić naszego pochodzenia od rzeki Iro do granicy Tybetu.

1740 kilometrów przez śnieżne stopy, góry i przez pustynię Gobi przebyliśmy w 48 dni!

Szliśmy ukrywając się przed ludźmi, robiąc jak najkrótsze i najniezbędniejsze popasy w najbliższych miejscowościach, żywiąc się surowym mięsem, aby dymem ogniska nie zwabiać do siebie tubylców, a na popasach nocnych odrywając ubranie od pozbawionego skóry, krwawiącego ciała, walcząc uporczywie i bezowocnie ze zjadającymi nas pasożytami.

Była to Odyseja męczeństwa.

Gdy zmuszeni byliśmy zdobywać barana lub byka dla naszej „intendentury”, posyłałiśmy tylko dwóch nieuzbrojonych ludzi, którzy podawali się za robotników, jadących z ramienia kolonistów rosyjskich w celu kupna bydła u Mongołów.

Nie mogliśmy nawet polować, chociaż spotykaliśmy ciągle duże stada antylopy i skalnych baranów. Obawialiśmy się huków strzałów, które mogłyby zwrócić na nasz oddział niepożądaną uwagę ludności.

Na szczęście koczowiska mongolskie były już przeniesione w stronę głównej, południowej drogi karawanowej.

W sercu dawnych posiadłości Dżengiza i jego potomków, imperatorów i chanów, prawie wcale nie spotykaliśmy osad tubylczych.

Za Bałyrem, na ziemi lamy Jassaktu-Chana, który osiadł na tronie przodków po otruciu brata z rozkazu „Żywego Boga” w Urdze, spotkaliśmy koczujących na granicy Naron-Khuhu-Gobi bogatych Tatarów i Kirgizów rosyjskich, którzy po ucieczce z Syberii zaszedli aż tutaj.

Przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie. Dali nam kilka byków i trzydzieści sześć cegieł chińskiej herbaty zielonej, która jest najlepszą „monetą” wśród koczowników Azji.

Ci Tatarzy ocalili nas od niechybnej zguby, gdyż wytłumaczyli nam, że przez Gobi w tej porze roku konno przyjechać nam się nie uda. Ani śladu pożywienia nie mogliśmy znaleźć w pustyni.

Musieliśmy wynaleźć wielbłądy i zamienić je za nasze zmordowane konie i inne przedmioty.

Jeden z Tatarów podjął się przeprowadzenia takiej wymiany i nazajutrz sprowadził do nas bogatego Mongoła — Ordosa, który dał nam dziewiętnaście wielbłądów w zamian za wszystkie nasze konie, za karabin, rewolwer i siodło kozackie.

Ten sam Mongoł udzielił nam przyjacielskiej rady, abyśmy odwiedzili święty klasztor Narabanczi, ostatnią świątynię lamaicką w drodze z Mongolii do Tybetu.

Opowiedział nam, że święty hutuhtu klasztoru jest „przeistoczonym Buddhą” i czułyby się dotknięty, gdybyśmy nie wstąpili do „kure” i nie zanieśli modłów przed srebrny posąg starożytnego Buddy w „świętyni błogosławieństwa”. Tam zwykle modlą się pielgrzymi, dążący do „ogniska mądrości i błogości”, Lhassy, stolicy Dalaj-Lamy, największego dostojnika buddyjskiego.

Mój Kałmuk-lamaita gorąco podtrzymywał Mongoła.

Postanowiłem jechać z Kałmukiem, aby zadośćuczynić wymaganiom kultu i prawu obyczajowemu. Tatarzy dali mi kilka dużych jedwabnych szalików — „chatyków” na po-

darunki oraz ofiary i okulbaczyli dla nas cztery wspaniałe wierzchowce; mieliśmy więc po dwa konie na zmianę.

Do Narabanczi-Kure było około 90 kilometrów, lecz wyjechawszy z koczowiska Tatarów koło jedenastej rano, przed wieczorem już wchodziłem do olbrzymiej jurty świętego hutuhtu.

Był to chudy, ogolony człowiek w wieku średnim, podobny do księdza katolickiego. Miał twarz zeszeconą przez ospę, bystre czarne oczy i dobrotliwy uśmiech na wynędzniałej, ascetycznej twarzy. Odziany był w czerwony płaszcz jedwabny, przepasany żółtą wstęgą, oznaką jego duchowej godności.

Nazywał się Dżelyb-Dżamsrap-hutuhtu.

Powitał nas bardzo uprzejmie i zaznaczył, że jest wzruszony uszanowaniem przez cudzoziemców pobożnego obyczaju mongolskich pielgrzymów i ofiarowaniem mu z należytą ceremonią tradycyjnego „chatyka”. Tę ceremonię zawdzięczałem Kalmukowi, który starannie uczył mnie, jak mam złożyć pasmo jedwabnej materii, w jaki sposób przerzucić ją przez wyciągnięte ręce i jaką stroną podać hutuhcie.

Bardzo uważnie wysłuchawszy mojej opowieści o naszej ucieczce, o zbrodniach bolszewików i dalszych planach, hutuhtu dał mi cenne wskazówki, dotyczące drogi do Tybetu i wydał mi list polecający do przeorów i rad lamów tych klasztorów, które leżały na naszej drodze. Imię Dżelyba było w wielkim poszanowaniu u wszystkich lamaitów, gdyż słynął on jako głęboki znawca starych ksiąg religijnych, oraz jako założyciel i kierownik klasztoru najsurowszych obyczajów. Jak się przekonałem później, imię hutuhtu Narabanczi było znane i szanowane w „kraju bogów” tj. w Tybecie i nawet w starobuddyjskich świątyniach Chin.

Spędziliśmy noc w pięknej jurcie przeora. Zdobiły ją czerwone i karmazynowe zasłony i draperie jedwabne, czerwone, lakierowane meblowanie chińskie, upiękkszone mitologicznymi malowidłami i srebrem, ołtarz, na którym stał posąg Buddy z brązu, oraz cały szereg srebrnych i złotych miseczek ofiarnych, lampek i świeczników.

Wczesnym rankiem odwiedziliśmy „świątynię błogosławieństwa”.

Był to wielki budynek modrzewiowy architektury chińskiej. Wysokie kolumny, pomalowane i polerowane na czerwono; spuszczone się z sufitu jedwabne makaty chińskie i indyjskie, święte obrazy z wizerunkami bogów, bogiń i demonów; ołtarz z przedmiotami rytualnymi i ze wspaniałymi świecznikami złotymi, wielki posąg śpiącego Buddy; czarne szafy chińskie z figurami mniejszych bóstw; tron, na którym podczas wielkich ceremonii religijnych siedzi „gegeni”, żywe bóstwo klasztoru; niskie ławki dla kleru i chóru — wszystko to wywarło wrażenie czegoś bardzo silnego, tętniącego wiarą głęboką.

W świątyni odbywało się nabożeństwo poranne z muzyką; grano na długich, chińskich trąbach, gongach, piszczałkach, gwizdkach, dzwoneczkach i bębnach. Groźnie huczały basowe trąby, wesoło i pobudzająco wtórowały im tympany. Lamowie na pół śpiewali głosami tubalnymi i tremolującymi, na pół mówili modlitwy w językach: mongolskim i tybetańskim, a chór chłopców odpowiadał często powtarzanym frazesem tybetańskim.

— Om! Mani padme, Hung! — Bądź błogosławiony, wielki kapłanie, w kwiecie lotosu!

Gdy wyszliśmy ze świątyni, hutuhtu życzył nam powodzenia i szczęśliwej i łatwej drogi, ofiarowując mi duży, żółty „chatyk” i odprowadzając do bramy „kure”.

— Pamiętaj synu — rzekł, kładąc mi rękę na ramieniu — że zawsze będziesz tu drogim gościem! Życie jest zjawiskiem tajemniczym, wszystko się może zdarzyć, a więc może kiedyś wypadnie ci być w dalekiej Mongolii, tu na skraju pustyni. Wtedy nie omijaj Narabanczi-Kure!

Nocą byliśmy już na koczowisku naszych przyjaciół, a nazajutrz pożegnaliśmy ich.

Byłem znużony szybkim marszem do Narabanczi-Kure, więc bardzo mi się podobała jazda na spokojnie i rytmicznie krocącym wielbłądzie, gdyż mogłem spać cały dzień.

Przebyliśmy wschodnią odnogę Altaju i Karlig-Taga, tego krańcowego grzbietu Tiań-Szaniu, wchodzącego do Gobi i przecięliśmy z północy na południe piaszczystą Naron-Khuhu-Gobi. Na szczęście mieliśmy dość silne mrozy i piasek zamrożony nie wstrzymywał szybkiej jazdy.

W oazie, koło przejścia przez grzbiet Khara, trafiliśmy na wielkie koczowisko Mongołów z plemienia Turgutów i nakarmiliśmy nasze wielbłądy trawą, rosnącą na brzegach



niewielkiego jeziora. Turguci zamienili nam bardzo chętnie wielbłądy na konie, naturalnie obdarlszy nas ze skóry i targując się jak przekupnie za Żelazną Bramą.

Przekroczywszy góry, weszliśmy do prowincji chińskiej Kansu. Jest to kraj leśny i górzysty, gdzie tylko w dolinach pracowity wieśniak chiński sieje pszenicę, proso i boby. Była to niebezpieczna część drogi, gdyż władze chińskie mogły nas aresztować.

W kilku miejscach widzieliśmy historyczny wielki mur chiński, w tej części „imperium nieba” znacznie zburzony. Wił się jak olbrzymi, nieskończenie długi wąż, pomiędzy górami i lasami, wspinając się na północne odnogi Nań-Szaniu, lub spelzając w doliny licznych rzek, płynących do Hwang-Ho — Żółtej Rzeki, przecinającej z zachodu na wschód całe terytorium Chin.

W ciągu dnia czailiśmy się w wąwozach, szczelinach górskich, lasach i krzakach; nocami odbywaliśmy forsowne marsze. Na przejście przez Kansu zużyliśmy cztery dni. Chińczycy — włościanie, których nie mogliśmy ominąć, byli bardzo uprzejmi i gościnni. Szczególnymi względami cieszył się nasz Kałmuk, mówiący trochę po chińsku i moja apteczka. Chorych wszędzie było mnóstwo, przeważnie na oczy, reumatyzm i choroby skórne.

Gdyśmy się zbliżyli do gór Nań-Szań, wschodniej odnogi Ałtyn-Taga, biorącego początek na Pamirze i Karakorum, dopędziliśmy wielką karawanę chińskich kupców — przemytników, jadących do Tybetu. Przyłączyliśmy się do nich, zaskarbiwszy sobie ich łaski kilkoma zegarkami, zdobytymi na bolszewikach.

Przemytnicy znali krótsze i łatwiejsze drogi górskie od tych, które opisywali podróżnicy, zwiedzający ten malowniczy kraj gór, lasów i wodospadów, gdzie kiedyś z pewnością zakwitnie przemysł górniczy, gdyż naturalne bogactwa Kansu są nieprzebrane.

Trzy dni jechaliśmy przez nieskończone wąwozy tego grzbietu, wdrapywaliśmy się na szczyty skalistych przełęczy, lecz ta droga była o wiele łatwiejsza od przebytych już przez nas miejscowości w Urianchaju.

Co się tyczy mnie, to prawie nieprzytomny dojechałem do systemu błotnistych jezior, dostarczających wodę tajemniczemu Koko-Nor i całej sieci wielkich rzek chińskich, mających tu swe źródła.

Ze znużenia i z ciągłego napięcia nerwów dostałem ataku nerwowej febry.

Chwilami czułem płomień we krwi; to znowu dygotałem od dreszczy, oblewał mnie zimny pot i szczękałem zębami, strasząc tym swego konia, który kilka razy zrzucił mnie z siodła.

Coś mówiłem, krzyczałem, komuś groziłem. Kogoś bardzo drogiego przywoływałem bardzo namiętnie i objaśniałem, jaką drogą do mnie ma przybyć.

Pamiętam jak przez sen, że moi towarzysze zdjęli mnie z konia, posadzili prawie zemdłonego na terlicy przy ognisku, napoili gorącą herbatą z wódką chińską i wreszcie ocucili mówiąc:

— Chińczycy jadą stąd na zachód, a my musimy iść na południe...

— Na północ! — szorstko poprawiłem mówiącego.

— Ależ nie! Na południe...

— Przed chwilą przepłynęliśmy przez Jenisej, a Algiak przecież leży na północy — z oburzeniem stwierdziłem.

— Jesteśmy przecież w Tybecie! — przekonywał mnie stary pułkownik Ostrowski.

— Musimy kierować się teraz na Brahmaputrę.

Brahmaputra... Brahmaputra!

To słowo zakołowało w moim gorączkującym, chorym mózgu; coś huczało w głowie z łoskotem i wyciem, coś porywało mnie do czynu i walki...

Od razu wszystko sobie przypomniałem, wszystko zrozumiałem. Lecz nie mogłem nic powiedzieć, gdyż ledwie ruszałem ustami i wkrótce wpadłem w niespokojny, ciężki sen, pełen obłądu i miotania się.

Niedaleko stał klasztor buddyjski Szarkhe, gdzie lama-lekarz za pomocą ekstraktu cudownego „džen-szengu”, chińsko-tybetańskiego „panaceum zdrowia, młodości i życia”, szybko powrócił mi siły.

Dżeń-szeng jest to tajemniczy korzeń leczniczy rośliny „*Panax Ginzeng*”, ceniony przez lekarzy buddyjskich na wagę złota, gdyż posiada cudowną siłę uzdrawiania i przywracania młodości.

Sowicie obdarzony za kurację lama uczuł do mnie sympatię i odszedłszy ze mną na stronę, żeby inni nie mogli nas podsłuchać, wyraził wątpliwość, czy uda się nam przejść przez Tybet; nie chciał jednak wytłumaczyć mi, na czym wątpliwości jego polegały.

Zrozumiałem, że wiedział coś ważnego, lecz zaciął się i milczał.

## XVII. W „KRAJU KRAJÓW”

Gdy wróciłem do przytomności, tajemniczy Tybet, „kraj krajów”, już otaczał nas swymi niebotycznymi szczytami, bagnistą równiną Cajdam i pełną zmiennych krajobrazów kotliną Koko-Nor.

Droga dość szeroka ze śladami kół, okutych żelaznymi klamrami, prowadziła przez góry; na piąty dzień weszliśmy do kotliny, pośrodku której leżał Koko-Nor.

Jeżeli Finlandię nazywają podróżnicy „krajem tysiąca jezior”, to północną część obwodu Koko-Nor należałoby nazwać „krajem miliona jezior”. Przeszliśmy na zachód od Koko-Noru pomiędzy Dułan-Kitt i jeziorem, lawirując pośród bagien, trzęsawisk, jezior i rzeczek głębokich, a grząskich.

Woda tu nie zamarzała; dopiero na szczytach przejść górskich odczuwaliśmy wpływ mroźnych i silnych wiatrów północnych.

Tubylców spotykaliśmy rzadko. Z wielkim trudem odnajdywaliśmy tybetańskich pastuchów, od których nasz Kałmuk kupował barany i otrzymywał wskazówki co do dalszej drogi. Okrążywszy od wschodu jezioro Tassun, spostrzegliśmy niewielki klasztor, w którym stanęliśmy.

W klasztorze oprócz nas popasała jeszcze jakaś grupa podróżnych.

Byli to Tybetańczycy.

Zachowywali się względem nas bardzo wyzywająco; na wszystkie pytania Kałmuka odpowiadali szyderczym milczeniem. Ludzie ci byli uzbrojeni w rosyjskie lub niemieckie karabiny i obciążeni pasami z ładunkami i rewolwerami. Zauważyłem, że bardzo uważnie oglądali nas, oceniając widocznie nasze siły.

Tęgoż dnia Tybetańczycy opuścili klasztor.

Kazałem Kałmukowi wybać przeora klasztoru co do tych podejrzanych gości. Mnich dawał odpowiedzi wymijające, lecz gdy mu pokazałem pismo hutuhty z Narabanczi-Kure i duży żółty „chatyk”, подарowany mi przez niego, stał się szczerzy i rozmowniejszy.

— To byli źli ludzie! — szeptał. — Strzeżcie się ich!

Lecz nie chciał powiedzieć imienia ich przywódcy, tłumacząc się przepisami lamaizmu zabraniającego wymieniać imię ojca, nauczyciela i naczelnika.

Znacznie później dowiedziałem się, że w Tybecie, również jak w Chinach, istnieje społeczna instytucja bandytyzmu. I tu i tam jakiś bandyta organizuje własny oddział zbrojny i staje się postrachem dla ludności danego okręgu. Wódz bandytów po pewnym czasie zjawia się do handlowych firm, do klasztorów, wsi i osad bogatych mieszkańców, żądając określonej płacy, i od tej chwili staje się obrońcą i opiekunem tych, którzy przystali na jego żądania.

Przypuszczam, że przeor klasztoru na Tassunie w wodzu spotkanego przez nas oddziału tybetańskich bandytów, czyli „mturdy” (po tybetańsku) i „chunchudzy” (po chińsku), miał właśnie takiego obrońcę na wypadek napadów innych luźnych band zbójceckich, mających prawa obywatelstwa we wszystkich oprócz Mongolii krajach, które wchodziły niegdyś lub wchodzi obecnie w skład dawnych Chin.

Okolo jeziora Tassun istnieje kilka stałych osad.

Gdy zwiedziłem je w daremnym poszukiwaniu przewodnika, zwróciłem uwagę na niezwykle zjawisko.

Podczas mojej podróży przez Mongolię zapomniałem o istnieniu ludzi o złotych włosach.

Tymczasem, o dziwo! osadnicy wsi tassuńskich przeważnie mieli włosy blond lub rude, jak mosiądz. Zacząłem badania, dotyczące pochodzenia tych dziwnych typów o twarzach mongolskich i jasnych włosach, tak dziwnie nie harmonizujących z czarno-brunatną cerą, z wystającymi policzkami i ciemnymi oczyma skośnymi i dowiedziałem się nadzwyczajnej historii osadników.

Przodkowie ich przybyli do Tybetu w XIII stuleciu z Wenecji i z Genui, zwabieni opowiadaniem sekretarza Dżengiz-Chana, genueńczyka Marco Polo, który długie lata spędził w Mongolii, Tybecie i Chinach, podróżując z cesarzem i chanem Kubłajem, władcami Azji i połowy Europy. Są to jedyni w Tybecie mieszkańcy trudniący się rolnictwem i zagrodową hodowlą bydła na wzór europejski. Pamięć o swych przedsiębiorczych przodkach przechowało wiernie wiele pokoleń wraz z opowieściami o ich życiu i czynach, przekazując potomkom stare zbroje weneckie, hełmy i miecze genueńskie. Nie pamiętając imion przodków i z pewnością nie mogąc wymówić nazwisk cudzoziemskich przechowali oni jednak przydomki: „Bystry”, „Walczący”, „Strzelec”, „Pogromca straszego lamparta śnieżnego” (*felis nivica*). Pośród tych potomków mieszkańców pięknej Italii spotkałem dwie kobiety o niebieskich oczach i prześlicznie wykrojonych ustach. Te tybetańskie „signoriny” były jednak nie mniej brudne i dzikie od innych Tybetanek, których pochodzenie ginie w mroku przeszłości.

Co prawda istnieje mit, że jakiś żądny wrażeń samiec-małpa dotarł przez straszliwe Himalaje do Tybetu, gdzie pojął za żonę córkę „ducha gór” i od tej pary małżonków wyprowadza się lud tybetański.

Stąd kult małpy przedostał się do Chin, gdzie w architekturze i w malarstwie w wiekach XIII, XIV i XV figuruje ona bardzo często w przeróżnych motywach.

Gdy znów wyruszyliśmy w drogę, od razu spostrzegliśmy, że jesteśmy śledzeni. Jacyś pojedynczy jeźdźcy często wylaniali się z lasów i spoza skał i obserwowali każdy nasz ruch, wszystkie zaś próby, aby zbliżyć się do nich i rozmówić, spełzły na niczym. Znikali jak cienie na swych małych, śmigłych konikach.

Przebrnęliśmy w śniegu ciężkie do przebycia przejścia górskie Hamszan, idąc śladami jakichś wozów i jeźdźców i już mieliśmy stanąć na popas, gdy nagle około czterdziestu jeźdźców nadjechało na białych koniach i dało do nas kilka salw.

Dwóch moich oficerów z krzykiem spadło z koni. Jeden był zabity, drugi żył jeszcze kilka minut. Nie pozwoliłem swoim ludziom strzelać i wywiesiwszy białą flagę, przywołałem Kałmuka i pojechałem w stronę jeźdźców w celu zawarcia umowy pokojowej.

Tybetańczycy dali do nas jeszcze dwa strzały, lecz po chwili strzelanina umilkła i grupa jeźdźców zaczęła zjeżdżać ku nam z jednej z gór.

Po milczącym powitaniu zaczęliśmy układy. Tybetańczycy oznajmili, że na Hamszanie, jako na miejscu poświęconym bogom, nie wolno palić ogniska i popasać, i radzili nam jechać dalej, gdzie będziemy bezpieczniejsi.

Wybadawszy nas, skąd i dokąd jedziemy, jeden z Tybetańczyków w przykładowy sposób zadziwił nas powiedzeniem, że zna bolszewików i uważa ich za ludzi dobrych, dążących do oswobodzenia ludów Azji od jarzma białych najeźdźców i ciemiężców. Nie chciałem prowadzić z rozbójnikami sporu politycznego i pożegnawszy ich odjechałem. Przez cały czas, jadąc z góry do naszego oddziału, oczekiwaliśmy kulki w plecy, lecz Tybetańczycy widocznie uszanowali białą flagę.

Ze smutkiem pozostawiliśmy ciała dwóch naszych przyjaciół wśród kamieni i powoli ruszyliśmy dalej. Jechaliśmy przez całą noc, usiłując wyjść z gór, przez których szczyty prowadził Hamszan. Konie nasze stawały i kładły się zmęczone, lecz zmuszaliśmy je do dalszego pochodu. Stanęliśmy dopiero wtedy, kiedy słońce było już wysoko. Na wszelki wypadek nie rozkulbaczaliśmy koni, daliśmy im tylko możliwość położenia się i wypoczęcia.

Przed nami leżała szeroka równina bagnista. W tym miejscu bierze początek rzeka Ma-Chu, która jest niczym innym, tylko źródłami jednej z największych rzek Azji — Żółtej, czyli Hwang-Ho. W oddali połyskiwało wielkie jezioro Arung-Nor.

Rozpaliliśmy ogień z „agryłu” (suchego nawozu), o który w Mongolii i w Tybecie nietrudno i zaczęliśmy przyrządzać herbatę, gdy naraz ze wszech stron zaczęto ostrzeliwać nas zupełnie sprawnym ogniem.

Pochowaliśmy się pomiędzy kamienie w oczekiwaniu dalszych wypadków. Strzelanina stawała się coraz gęstsza. Wszędzie z okolicznych wyżyn błyskały ogniki wystrzałów karabinowych, kule świsły we wszystkich kierunkach.

Stało się oczywiste, że wpadliśmy w zasadzkę, gdyż otoczono nas i musieliśmy zginąć. Spróbowałem znów wywiesić białą flagę, lecz gdym się tylko podniósł, gęsta strzelanina zmusiła mnie do ukrycia się za skałą; jednocześnie kula, odbiwszy się od kamienia, wpiła

mi się w lewą nogę. Jeden z moich ludzi padł trupem. Nie mieliśmy innego wyjścia, tylko przyjąć bitwę.

Rozpoczęliśmy ogień.

Potyczka trwała około dwóch godzin. Oprócz mnie, jeszcze trzech moich towarzyszy odniosło lekkie rany. Walczyliśmy, dopókiśmy mogli, lecz bandyci się zbliżali, coraz celniej strzelając. Położenie nasze stawało się rozpaczliwe.

— Dość tego! — rzekł stary pułkownik. — Siadać na koń! Musimy skierować się dokądkolwiek, bo tu nas wystrzelają.

„Dokądkolwiek”...

Było to słowo straszliwe!

Naradzaliśmy się niedługo. Rozumieliśmy, że im bardziej będziemy się posuwali w głąb Tybetu, mając poza sobą zgraję tych bandytów, tym mniej nadziei ujęcia z życiem.

Postanowiliśmy więc powracać do Mongolii.

Ale w jaki sposób?

Tego jeszcze nie wiedzieliśmy...

Poczęliśmy się cofać.

Nie przerywając ognia karabinowego pędziliśmy na północ, ile starczyło sił naszym biednym koniom.

Jeden po drugim padali moi towarzysze. Padł Tatar z przestrzeloną szyją; za nim, głośno klnąc, potoczył się z urwiska pułkownik Ostrowski, ugodzony w brzuch dwiema kulami. Gdy podbiegliśmy do niego, już nie żył. Leżał z siwą, długą brodą i z powichrzonymi włosami, spokojnie patrząc otwartymi oczyma w szare niebo Tybetu, a pięść prawej ręki miał groźnie zacisniętą. Cofając się, zostawiliśmy trzech zabitych przyjaciół.

Powodzenie podniecało napastników. Stawali się coraz zuchwalsi, nie kryli się już i strzelali z miejsc otwartych.

Kulka wbiła mi sprzączkę od buta w kostkę prawej stopy. Mój najstarszy towarzysz agronom jęknął, złapawszy się za ramię. Dzielnym Kałmuk obwiązywał sobie skrwawione czoło jakąś szmatą.

Naraz około piętnastu Tybetańczyków ruszyło do ataku.

Przypuściliśmy ich bardzo blisko i daliśmy salwę. Sześciu pozostało na miejscu, a dwóch, straciwszy konie, które leżały ranne śmiertelnie, uciekło co tchu w stronę skał. Reszta jeźdźców rozproszyła się w różne strony.

Strzelanina nagle ustała.

Za chwilę spostrzegliśmy białą flagę, powiewającą nad skałami, gdzie byli ukryci napastnicy. Dwaj jeźdźcy wkrótce zbliżyli się do nas. Okazało się, że herszt bandytów był ciężko ranny i teraz proszono nas o pomoc lekarską, wiedząc, iż „Europejczycy zawsze wożą z sobą lekarza”.

Od razu błysnął mi promyk nadziei.

Pomimo zranionej nogi czym prędzej zabrałem z sobą apteczkę i wyruszyłem ku nim wraz z Kałmukiem, chociaż moi towarzysze obawiali się podstępu ze strony rozbójników.

— Dajcie temu szatanowi cyjanku potasu! — wołali za mną. Lecz ja planowałem inaczej.

Na terlicy wśród kamieni leżał wódz bandytów. Miałem przekonanie, że nie jest on Tybetańczykiem, lecz raczej mieszkańcem południowego Turkiestanu — mieszkańcem Sarta, Turkmena i Afgańczyka. Patrzył na mnie wzrokiem błagalnym i widocznie bardzo cierpiał.

Opatrzyłem ranę. Kula przeszła mu pierś na wylot z lewej strony. Ranny stracił dużo krwi.

Zrobiłem sumiennie wszystko, co mogłem. Przypaliłem ranę jodyną i zasypałem jodoformem, po czym przewiązałem watą i kawałkiem bandażu. Po tej operacji dałem mu dużą dawkę aspiryny, gdyż gorączkował, otrzymawszy ranę jeszcze w południe.

Nauczyłem jednego z Tybetańczyków jak ma zmieniać bandaż, zostawiłem mu trochę waty, jodoformu i parę pastylek aspiryny.

Po tej czynności zwróciłem się do rozbójników za pomocą tłumacza Kałmuka z taką mową:

— Rana niebezpieczna, lecz dałem mocne i cudowne leki waszemu wodzowi. Wiem, że będzie zdrow i wkrótce wsiądzie na konia. Lecz musicie spełnić jeden warunek... Słuchajcie! Złe duchy śmierci są przy chorym i natychmiast go porwą, jeśli po przyjęciu moich leków rozlegnie się choć jeden wystrzał. Nie wolno nawet nabijać broni! Pamiętajcie o tym! Jedenaście dni i nocy nie wolno wam będzie opuścić tego miejsca i włożyć naboju do lufy. Inaczej duchy śmierci zemszczą się na wodzu...

Z tymi słowami kazałem Kałmukowi wyjąć naboje z karabinu i sam wysypałem kule z magazynu mauzera. Bandyci natychmiast uczynili to samo, ze strachem patrząc na mnie.

Gdym powrócił do swoich, uspokoiłem ich, że jesteśmy na pewien czas bezpieczni, tylko musimy dobrnąć jak najprędzej do granicy Mongolii. Tymczasem konie nasze były zupełnie wyczerpane; trzeba więc było zostać i wypoczywać na miejscu przez całe dwie doby. Odwiedzałem rannego, który się czuł niedobrze. Opatrzyliśmy też tymczasem swoje, na szczęście lekkie rany i trochę wypoczęliśmy.

Dowiedziawszy się od Tybetańczyków o najbliższej drodze karawanowej, skierowaliśmy się tam i wkrótce bardzo szczęśliwie spotkaliśmy dużą karawanę młodego księcia mongolskiego, Puncyga, który odbywał pielgrzymkę z Urgi do Lhassy z pismem „Żywego Buddy” do Dalaj-Lamy.

Księżę bardzo dopomógł nam w uciążliwej podróży i razem z nami odbył drogę do Narabanczi-Kure, gdzie hutuhtu Dżelyb przyjął nas z serdeczną radością i rzekł mi na powitanie:

— Wiedziałem, że powrócisz do nas. Wróżby odkryły mi losy twoje! Wiem, że jeszcze raz będziesz gościem naszego klasztoru... lecz w innych warunkach, w innych...

W Narabanczi spędziliśmy dwa tygodnie, po czym los i wypadki rozproszyły nas po świecie. Oficerowie rosyjscy wstąpili do formujących się dla walki z bolszewikami oddziałów partyzanckich, ja zaś wraz z agronorem podróżowałem w dalszym ciągu przez Azję i przechodziłem nowe, niebezpieczne i tajemnicze dla Europejczyka przygody, dążąc wytrwale do ojczyzny.

# CZEŚĆ DRUGA. PRZEZ KRAJ SZATANA

## I. MONGOLIA

W sercu Azji leży tajemniczy, bogaty, olbrzymi kraj — Mongolia.

Od spadków Tian-Szana i gorących piasków zachodniej Dżungarii do leśnych Sajonów i do wielkiego muru chińskiego zajmuje ona największą część Azji Centralnej. Kolbka ludów, historii i legend, ojczyzna największych i najbardziej krwawych zaborców, którzy pozostawili po sobie ruiny swoich grodów stołecznych, już zaspanych piaskami pustyni Gobi, swoje czarodziejskie sygnety i stare koczownicze prawa; państwo mnichów i złych duchów, arena koczujących plemion — nomadów, rządzonych przez ubóstwianych potomków chanów Dżengiza i Kubłaja — to jest Mongolia.

Tajemniczy kraj kultu Ramy, Sakkia-Muni, Dżonkappy i Pasy, wiernie strzeżonego przez „Żywego Boga” (Buddhę), wcielonego w jednego z trzech dostojników lamaickiej hierarchii kościelnej, Bogdo-Gegeni w Ta-Kure, czyli Urdze; kraj cudotwórców lekarzy, proroków, jasnowidzących, wróżbiarzy i czarowników; kraj pod znakiem „swastyki”; kraj, gdzie żyją potężne, dumne myśli przed wiekami zgasłych władców Azji i połowy Europy — to jest Mongolia.

Kraj nagich, ponurych gór, palonych słońcem i chłostanych zimnym wiatrem, kraj bezgranicznych stepów, kraj chorego bydła, gniazdo dżumy, trądu i czarnej ospy; kraj gorących źródeł siarczanych, przejść górskich dzikich i zamieszkałych przez złych demonów; kraj świętych jezior, pełnych olbrzymich ryb, kraj wilków, jeleni, skalnych baranów, dzikich koni, zdziczałych psów i drapieżnych ptaków, szarpiających i zjadających wyrzucane na step ciała zmarłych — to jest Mongolia.

Kraj, gdzie patrząc na białe, rozsypujące się w proch kości przodków, szybko wymiera rdzenny lud mongolski, który niegdyś podbił Chiny, Syjam, Indie i Rosję, a którego straszliwy pęd rozbił się o stalową pierś rycerzy polskich, broniących wówczas ją od kary Bożej, cały świat chrześcijański od powodzi azjatyckiej — to jest Mongolia.

W tym kraju dziwnym zrzędzeniem losu, po nieudanej próbie przedarcia się przez Tybet do Oceanu Indyjskiego, musiałem żyć i podróżować prawie przez pół roku. Sądzone było mnie i memu staremu, wypróbowanemu towarzyszeni podróżni i przygód brać udział czynny w nader poważnych i niebezpiecznych wypadkach na terenie Mongolii Zewnętrznej, czyli Halhi, w 1921 r. Miałem więc sposobność poznać blisko spokojny, dobry i uczciwy lud mongolski, jego szlachetną, lecz pełną trwogi duszę, jego męczarnie, troski i nadzieje; mogłem zrozumieć cały ogrom przyniatającego go strachu wobec niezbadanej tajemnicy życia.

A tajemnic w Mongolii jest tyle!

Rzeki, nagle podczas najostrejszych mrozów z hukiem i łoskotem burzące więzy lodowe; jeziora, wyrzucające na płaskie brzegi kości ludzkie; niezrozumiałe, dzikie głosy w górach; zapalające się na trzęsawiskach błędne ogniki; płonące jeziora, szczyty górskie, na których umiera każdy śmiełek; całe zwoje węzów w głębokich, ciepłych dolach; niezamarzające potoki, skały, przypominające skamieniałych jeźdźców, wielbłądy i wozy. A ponad tym wszystkim nagie, bezbarwne, beznadziejne góry, podobne do fałd płaszcza diabelskiego, a o zachodzie słońca oblane szkarłatem buntu, czy krwią ofiar.

— Patrz tam! — mówił pewnego razu bardzo stary pastuch, wyciągając rękę w stronę przekłętego przejścia górskiego, Zagastaju. — To nie są góry! To leży On w czerwonym płaszczu i oczekuje dnia, w którym ma się podnieść i zacząć śmiertelną walkę z dobrymi bogami!

Rzeczywiście, w tej chwili powstał mi w pamięci obraz mistyczny słynnego malarza Wróbla. Takie nagie szczyty gór, podobne do sfałdowanego, fioletowo-szkarłatnego płaszcza Szatana, którego oblicze zasłoniła chmura szara, tchnąca zgrozą i martwością.

Straszliwy to kraj Mongolia! Kraj tajemnic i Szatana!

Nic więc dziwnego, że każde pogwałcenie panującego tu pierwotnego trybu życia nomadów azjatyckich wywołuje przelewy krwi i zgrozę, ciesząc pełen nienawiści i pogardy

wzrok Szatana, leżącego na martwych skałach w szarym płaszczu rozpaczy i upokorzenia lub w szkarłatnej oponczy buntu, wojny i zemsty.

W drodze powrotnej z Koko-Noru do Mongolii, wypocząwszy w gościnnym klasztorze Narabanczi, zamieszkaliśmy z moim towarzyszem w stolicy zachodniej Halhi — Uliasutaj. Jest to ostatnie miasto na zachodzie Mongolii Zewnętrznej. Ostatnie... z trzech. W Mongolii istnieją tylko trzy miasta: stolica „Żywego Boga” i administracyjne centrum, Urga, czyli Ta-Kure (wielki klasztor), Uliasutaj i Ułankom, niedaleko od jeziora Ubsa. Istnieje jeszcze jedno miasto Kobdo, ale jest ono siedzibą zachłannej administracji chińskiej w tym kraju, zamieszkałym przez koczujące plemiona, rządzone przez swych książąt bohaterskiego szczepu oletów i tylko nominalnie uznające wpływy Urgi i Pekinu. W Uliasutaju zaś i w Ułankomie, oprócz nieprawnie rządzących się tu gubernatorów chińskich, istnieją gubernatorzy mongolscy — „saity”, których wyznacza swoimi dekretemi „Żywy Bóg” z Urgi na deklarację Rady ministrów.

Przybywszy do tego miasta, od razu pograżyliśmy się w wir namiętej polityki. Właśnie powstały zaburzenia pośród Mongołów, doprowadzonych do rozpaczy naciskiem władz chińskich, które pastwiły się nad nimi, usiłując ściągnąć wszystkie podatki i daniny za ubiegłe lata autonomii Halhi, wyrwanej z rąk Pekinu. Koloniści rosyjscy podzielili się na partie i prowadzili z sobą zażarty spór; w Mongolii Wschodniej na czele wojsk rosyjsko-mongolskich walczył z Chińczykami buddysta, Niemiec, generał rosyjski, baron Ungern von Sternberg, broniący niepodległości Mongolii i cesarskich praw „Żywego Boga”; rosyjscy oficerowie-uciekierzy skupili się w oddziały, przygotowując powstanie przeciwko bolszewikom na Syberii; władze mongolskie na ogół bardzo przychylnie patrzyły na te oddziały, lecz za to urzędnicy chińscy prześladowali i gnębili Rosjan, a z nimi razem i innych cudzoziemców. Rząd sowiecki, zaniepokojony mobilizacją Rosjan-uciekierów, posuwał coraz dalej, głębiej do Mongolii swoje wojska, a gubernatorzy chińscy chętnie wchodzili w jakieś tajne umowy z komisarzami bolszewickimi; w Urdze minister „buforowej” Rzeczypospolitej, Juryn, sformował magistrat komunistyczny w dzielnicy rosyjskiej pod przewodnictwem popa-bolszewika; konsulowie rosyjscy byli nieczynni, przeważnie trudniąc się paskarstwem i wyprzedają własności państwowych; Chińczycy wzmacniali załogi w głównych punktach strategicznych Halhi, posyłając w głąb kraju oddziały karne; żołnierze chińscy wpadali do domów osób prywatnych, rabowali, zabijali i gwałcili.

Do takiej atmosfery dostaliśmy się od razu po przyjeździe.

— Proszę pana — mówił nieraz mój towarzysz — ja już wolę dusić partyzantów, potykać się z chunchuzami i jeść mięso zdechłych od dzumy byków, niż słuchać coraz bardziej trwożnych wieści!

Agronom miał rację. Najgorsze było to, że w tym chaosie namiętności, plotek, podstępów i intryg czerwone wojska mogły niepostrzeżenie zbliżyć się do Uliasutaju i wziąć wszystkich do niewoli za zgodą milczącą gubernatora chińskiego.

Bardzo chętnie porzucilibyśmy to miasto, lecz nie mieliśmy dokąd jechać. Na północy byli nasi wrogowie — bolszewicy, na południu już zdążyliśmy stracić na zawsze sześciu naszych towarzyszy i niemało własnej krwi; na zachodzie, w rejonie Kobdo, srożyli się nad cudzoziemcami Chińczycy; na wschodzie wrzała wojna, o której, pomimo wszystkich usiłowań urzędników chińskich, dochodziły wiadomości, często sprzeczne i fałszywe, lecz świadczące o poważnym stanie rzeczy.

Musieliśmy więc zostać w Uliasutaju i mimo woli żyć jego życiem. Znalazłem tu dwóch Polaków, żołnierzy 5-tej polskiej dywizji syberyjskiej, którzy uciekli z obozu jeńców i przez Urianchaj przedostali się do Mongolii, dwie rodziny polskie i dwie amerykańskie firmy handlowe. Połączyliśmy się i zorganizowali własny wywiad, bacznie śledząc wszystko, co zachodziło w mieście i w Zachodniej Mongolii. Udało nam się nawiązać stosunki dyplomatyczne z władzami mongolskimi i chińskimi, co bardzo nam dopomogło do orientowania się w wypadkach.

Bardzo rozumny i czytany mongolski „sait”, książę Czultun-Bejli, ogromnie się ze mną zaprzyjaźnił i z jego opowiadań poznałem ogólne położenie i jego przyczyny.

— Wielka stała się niesprawiedliwość panie! — mówił strwożonym głosem „sait”. — Nasz kraj ginie! Na mocy specjalnych traktatów pomiędzy Mongolią, Rosją i Chinami 21 października 1912 r., 23 października 1913 r. i 7 czerwca 1915 r. Halha otrzymała

niezależność, a nasz duchowy wódz „żółtej wiary”, jego świątobliwość Żywy Buddha, z tytułem Bogdo Dżebtsung-Damba-Hutuhtu-Chan, stał się cesarzem całej Zewnętrznej Mongolii. Rząd pekiński dochowywał umów, dopóki Rosja była potężna i dbała o swą politykę w Azji; lecz już w początku 1915 r., gdy wojna z Niemcami stawała się niepomyślna dla Rosji, Chiny zaczęły raz wraz odbierać wywalczone przez nas prawa. Gdy w Rosji wybuchła rewolucja i nastąpiły czasy bolszewickie, rząd chiński już się nie krępował. Wszystkich „saitów” patriotów zastąpiono ugodowcami i wtedy wprowadzono do naszego kraju wojska chińskie, które zbrojną ręką wyciskały z ludności podatki za ubiegłe lata. Ludność Hałhi zrabowano do szczytu i wszędzie około miast i klasztorów widać osady biedaków, mieszkających w norach ziemnych i żyjących z jałmużny. Wszystkie nasze majątności narodowe zostały zarekwirowane: skarbcze w Urdze, arsenały, składy, klasztory. Wszyscy patrioci jęczeli w więzieniach chińskich lub zostali otruci przez lekarzy chińskich przysłanych tu w tym celu. Wypłynęły szumowiny niektórych zubożałych i zdemoralizowanych pomniejszych rodów książęcych. Chińczycy przekupywali Mongołów, dawali im wysokie rangi i orderzy, a ci zdrajcy służyli im na zgubę Hałhi! Nie dziw się więc, że zarówno rządząca klasa: „Żywy Bóg”, chanowie, książęta i wyżsi lamowie, jako też i pospólstwo w równym stopniu nienawidzą zaborców chińskich i czekają tylko na chwilę wyzwolenia i zemsty. Powstania jednak nie mogliśmy zorganizować. Nie mieliśmy broni, nie mieliśmy wodzów, gdyż wszyscy wodzowie albo już zginęli, albo byli pod ścisłym dozorem i każda ich próba walki zbrojnej zakończyłaby się dla nich w tym samym więzieniu pekińskim, w którym przed kilku laty umarło z głodu osiemdziesięciu naszych najznakomitszych książąt, potomków wielkiego Mongoła i wysokich lamów — najodważniejszych bojowników za wolność Hałhi. Trzeba było jakiegoś zewnętrznego bodźca, ażeby cała ludność podniosła się od razu i tu już sami Chińczycy niechcący dopomogli, gdyż zaarrestowali „Żywego Buddha” i po raz już drugi usiłowali przekonać lud, że Bogdo-Chan jest „ostatnią” formą przeistoczonego Buddy. Wtedy to rozpoczęły się tajne narady i spiskowanie lamaitów z „Żywym Buddha” oraz plany wyrwania go z rąk chińskich i walki o szczęście naszego kraju i ludu. Nasi lamowie nawiązali stosunki z potomkiem carów buriackich, księciem Dżam-Bołonem, a przez niego z generałem rosyjskim, baronem Ungernem, który miał tytuł księcia mongolskiego, był wyznawcą naszej wiary i serdecznym przyjacielem i „bratem” „Żywego Buddy” w Urdze i Dalaj-Lamy w Lhassie tybetańskiej. Teraz właśnie wre walka!

Tak opowiadał mi książę Czultun-Bejle, potomek Dżengiza.

Znacznie później do Urianchaju przyszły wiadomości, że baron Ungern von Sternberg wszedł do Mongolii z Zabajkała, mając z sobą mały oddział konny, zmobilizował Mongołów i po kilku nieudanych próbach 3 lutego 1921 r. wziął szturmem Urgę, a tron Dżengiza oddał „Żywemu Buddzie” z tytułem cesarza, Bogdo-Chana. Jednak w połowie marca jeszcze nikt tu nie wiedział o tych szczegółach walki o niepodległość Hałhi, chociaż w marcu baron Ungern zadał szereg klęsk wojskom chińskim i zupełnie opanował położenie w kraju. Chińczycy starannie ukrywali prawdę i nikogo nie przepuszczali z Urgi na zachód. Lecz mimo to pogłoski nas dochodziły.

Atmosfera z dnia na dzień była coraz cięższa. Stosunki pomiędzy Chińczykami, Mongolami i Rosjanami stawały się bardzo napięte.

Gubernator chiński, Wan-Dzao-Dziun i dyplomatyczny komisarz, Fu-Siań, obaj ludzie bardzo młodzi, starali się przypodobać swemu rządowi i prowadzili nieprzejednaną politykę względem Mongołów i Rosjan, jątrząc ich wzajemnie. Wan-Dzao-Dziunowi pomagał zastępca dymisjonowanego Czultun-Bejle, nowy sait-ugodowiec, wywołując nienawiść Mongołów.

Oficerowie rosyjscy sformowali potajemnie oddział, aby się bronić w razie wrogich zarządzeń Chińczyków, lecz w oddziale od razu zaczęły się niesnaski i intrygi i nie miałem żadnej wątpliwości, że wobec niebezpieczeństwa oddział ten rozproszy się niezawodnie.

Obawiając się zjawienia wojsk bolszewickich, cudzoziemcy postanowili wysłać zwiad, aby zbadać położenie na zachodzie, czego ja i mój agronom podjęliśmy się chętnie. Książę Czultun dał nam za przewodnika urzędowego dragomana, starego Sojota Cerena, płynnie mówiącego po rosyjsku. Była to miejscowa znakomitość, znana w całej Mongolii, gdyż służył jako niezrównany jeździec. Jeszcze niedawno posyłano go z najważniejszymi



i tajnymi listami do Pekinu, i Ceren przebył konno w ciągu 9 dni 2400 kilometrów, oddzielających Uliasutaj od stolicy chińskiej. Drogę tę odbył w następujący sposób:

Zabandażowano mu piersi, brzuch i nogi pasmami grubego płótna, aby się nazbyt nie wytrzymał na siodle. Do czapki miał przymocowane trzy pióra orle na znak, że musi „lecieć jak ptak”, w zanadrzu chował dokument „dzara” na otrzymanie koni pocztowych na pierwsze swe żądanie; mając z sobą zapasowego konia i dwóch przewodników pocztowych — „ułączeń”, mknął co koń wyskoczy do pierwszej stacji pocztowej — „urtonu”.

Jeden z „ułączeń”, pędząc naprzód, przygotowywał zmianę koni i gdy Ceren podjeżdżał, zdejmowano go razem z siodłem i przenoszono na świeżego konia, po czym Ceren z nowymi „ułączeniami” ruszał dalej. Na każdym trzecim „urtonie”, nie schodząc z siodła, wypijał miseczkę gorącej herbaty z solą i znowu mknął. Po 18–20 godzinach takiej jazdy szalonej zatrzymywał się na nocleg w jurcie urtońskiej, gdzie zjadał całą szynkę barania, wypijał moc herbaty i spał jak zabity do świtu. Tak przez 9 dni mknął chudy Ceren bez wytchnienia!

Z nim to właśnie wyruszyliśmy w mroźny, zimowy poranek na zachód, w stronę Kobdo, skąd nadeszły trwożne wieści, że „czerwoni” wkroczyli do Ułankomu i że Chińczycy zaczęli im wydawać cudzoziemców.

Po kilku godzinach przejechaliśmy po lodzie rzekę Zaphyn, która corocznie zabiera dużo ofiar, gdyż dno jej stanowią bezdenne i ruchome piaski. Za rzeką wjechaliśmy w wąską dolinę wśród gór i niewielkich lasów modrzewiowych.

## II. TAJEMNICZY LAMA — MŚCICIEL

Zrobiwszy około 3000 kilometrów, zbliżyliśmy się do jeziora Baga-Nor, gdzie spostrześliśmy jurtę pastucha. Postanowiliśmy zatrzymać się tu na nocleg, gdyż była już późna godzina i zerwał się zimny wiatr, wznosząc słupy zmarzłego, kłującego śniegu. Obok jurty dojrzeliliśmy wspaniałego konia karego z bogatym siodłem, upiękuszonym srebrem i koralami. Gdy z drogi skręciliśmy w stronę jurty, wypadło z niej dwóch Mongołów. Jeden z nich wskoczył na siodło i szybko znikł za niewysokimi wzgórzami. Spostrzegłem poły żółtego ubrania, które mignęły mi pod zwykłym kozuchem mongolskim i duży nóż w zielonej pochwie, z rękojeścią z rogu i kości.

Drugi pozostał przy jurcie. Był to gospodarz jurty, pastuch miejscowego księcia Nawancyrena. Spotkał nas z widoczną radością i wzdychał z ulgą.

— Kto to odjechał na karym koniu? — pytaliśmy pastucha.

Opuścił oczy i milczał.

— Mów! — Nie mówisz, więc przyjmujesz u siebie złych ludzi?

— Nie! nie! — bronił się pastuch. — Dobry, wielki był ten gość, lecz wymienić imienia wiara nie pozwala.

Zrozumieliśmy, że ten, który odjechał, był albo księciem pastucha, albo wysokim lamą. Nie nalegałem więcej i zaczęliśmy urządzać dla siebie posłanie. Gospodarz tymczasem przygotowywał dla nas kolację, rąbiąc zmarzłe mięso baranie i wrzucając je do kotła z wrzącą wodą.

Dowiedzieliśmy się, że bolszewików tu nie widziano, ale że po krwawej łaźni, sprawionej przez żołnierzy chińskich Mongołom w okolicach Kobdo, ostatni zaczęli się skupiać w oddziały, nad którymi dowództwo objął Tatarzyn, oficer Kajgorodow. Odpoczywaliśmy w jurcie pastucha, przejechawszy w dwie doby przy znacznym mrozie około 300 kilometrów i spokojnie rozmawialiśmy, z apetytem spożywając smaczne i tłuste mięso, gdy raptownie usłyszeliśmy ochryply głos, mówiący:

— Sajn! — Bądźcie pozdrowieni!

Odwróciwszy głowy, zobaczyliśmy niewysokiego barczystego Mongoła w grubym kozuchu, w kołpaku z uszami i z nożem w zielonej pochwie za pasem.

— Amursajn! — odpowiedzieliśmy chórem.

Przybyły rozpiął pas i zrzucił kozuch. Pozostał w szerokim, żółtym płaszczu jedwabnym, jaki noszą lamowie — gelongi, przepasanym pasem niebieskim.

Ogolona twarz, ostrzyżona głowa, różaniec na ręku i żółty płaszcz dowodziły, że widzimy przed sobą jakiegoś wysokiego stopnia lamę. Lecz za pasem gość miał zatknęty duży rewolwer colta.

Rzuciłem wzrok na pastucha i Cerena. Na ich twarzach malowały się głęboki szacunek i przestrasz.

Nieznajomy podszedł do ogniska i usiadł przy ołtarzu z wizerunkiem Dalaj-Lamy.

— Mówmy po rosyjsku! — rzekł zupełnie poprawnie i przyjął ode mnie kawał mięsa, który podałem mu na nożu.

Zaczęła się rozmowa. Nieznajomy okazał się człowiekiem bardzo uświadomionym i odczytanym; wkrótce przeszedł na tematy polityczne i zaczął się skarżyć na nieudolność ministrów „Żywego Buddy”.

— Oni tam wyzwalamy Mongolię, zdobywają Urgę, wyrzynają wojska chińskie, a my tu na zachodzie nic nie wiemy i siedzimy beczynnie, pozwalając Chińczykom rżnąć nas, jak barany. Mógłby przecie Bogdo-Chan przysłać nam tu swoich gońców? Dlaczego Chińczycy posyłają swoich ludzi do Urgi i do Pekinu, prosząc o posiłki, a Bogdo nie może? Dlaczego?

— Czyż Chińczycy otrzymają pomoc? Jaką odpowiedź przywieźli gońcy? — zapytałem.

Nieznajomy Mongoł zaczął się śmiać głucho i odpowiedział:

— Przyłapałem wszystkich gońców, pisma zabrałem, a ich posłałem z powrotem... do ziemi...

Znowu się zaśmiał; dziwnie złowrogo błysnęły mu źrenice.

Dopiero wtedy zauważyłem, że jego sucha twarz, o wystających policzkach ma rysy niezwykle dla Mongołów Centralnej Azji. Był on raczej podobny do Tatara lub Kirgiza z Siedmiorzeczca.

Milczeliśmy, puszczając dym z fajek.

— Czy prędko ma wyjść z Uliasutaju oddział konnych Czaharów? — zapytał nagle, podnosząc na mnie płonące źrenice.

Odpowiedzieliśmy, że o tym nic nie słyszeliśmy i że w Uliasutaju nie było Czaharów podczas naszego pobytu. Wtedy gość nasz oznajmił, że z Pekinu został wysłany dla ujarznienia Urianchaju i Mongołów obwodu kobdoskiego oddział, złożony z jeźdźców wojowniczego i rozbójniczego plemienia Czaharów pod dowództwem słynnego bandyty (Chunchuza), który otrzymał od rządu rangę kapitana. Nieznajomy szczegółowo i systematycznie poinformował nas o ruchu wojsk sowieckich i przez to zwolnił nas od przykrej podróży do Kobdo.

— Nie potrzebujecie jechać teraz do Kobdo, gdy wszystko już wiecie. Zresztą groziłoby to wam niebezpieczeństwem, gdyż Kobdo będzie zburzone i spalone przez Chińczyków. Wiem to ze źródeł wiarygodnych.

Gdy z rozmowy dowiedział się o naszych przygodach w Tybecie, zaczął się nam przyglądać z szacunkiem, a później klasnął w dłonie i zawołał w uniesieniu:

— Nie do hutuhty Narabanczi powinniście byli jeździć z prośbą o pomoc w tej podróży, tylko do mnie! Z moim pismem doszlibyście nawet do Lhassy. Jestem Tuszegun-Lama.

Tuszegun-Lama! Tyle razy słyszałem to imię, powtarzane z mistycznym strachem i uszanowaniem!

Tuszegun-Lama — rosyjski Kałmuk, który za propagandę niezależności Kałmuków przeszedł więzienie przy carach i za to samo przy sowietach, uciekł do Mongolii, gdzie od razu zjednął sobie rozgłos i olbrzymi wpływ na zachodzie. Dzięki temu, że był uczniem i „bratem” Dalaj-Lamy, najbardziej uczonym z lamaitów cudotwórcą i lekarzem, zdobył sobie stanowisko prawie niezależne od „Żywego Buddy” i opanował myśli nomadów Zachodniej Mongolii, Dżungarii i Turkiestanu.

Bezgraniczny wpływ jego polegał na „magicznej nauce”, jak sam się wyrażał, lecz opowiadano, że pochodził raczej z panicznego strachu, który wzbudzał w Mongołach tajemniczy i groźny Kałmuk.

Mongoł, który nie usłuchał rozkazu Tuszeguna, ginął — czy to pastuch, czy książę. Nie znał on ani dnia, ani godziny, kiedy do jego jurty, czy do konia w stepie przypadnie groźny, wszechsilny w czarach „brat” Dalaj-Lamy. Pchnięcie noża, kula lub mocne palce, ściskające gardło jak kleszcze, wykonywały wyrok sprawiedliwości, wymierzony przez „cudotwórcę”.

Za wołkowymi ścianami jurty gwizdał i wyl wicher i głośno uderzał w nie śniegiem. W wyciu wiatru można było słyszeć przeróżne głosy, wołania, krzyki męki i bólu, złowrogi i przeciągły śmiech. Pomyślałem sobie, że w takich warunkach łatwo jest zadziwić i podbić koczownika „cudami”, ponieważ sama natura usposobiła do mistyki.

Nie zdążyła jeszcze ta myśl przebłysnąć w mojej głowie, gdy Tuszegun raptownie zwrócił do mnie twarz z przymrużonymi, jarzącymi się oczyma.

— Dużo jest jeszcze nie zbadanych rzeczy na świecie! — szepnął głosem przenikliwym. — Bardzo dużo! Poznanie części tajemnicy daje możliwość cudu. Lecz jest to dane tylko wybranym. Chcę dowieść tego, a pan mi potem powie, czy zdarzyło mu się widzieć kiedy coś podobnego...

Podniósł się, zakasał rękawy płaszcza, poły jego zatknął za pas, dobył noża z pochwy i zbliżył się do pastucha.

— Wstań, Mińczyk! — rozkazał.

Nie zdążył pastuch podnieść się ze swego posłania, gdy Tuszegun ruchem gwałtownym rozpiął mu kożuch i wbił nóż w piersi. Pastuch padł na wznak. Tuszegun pochylił się nad nim; zobaczyłem rozwartą, krwawiącą się pierś pastucha z oddychającymi płucami i bijącym sercem; rękawy i poły płaszcza Kałmuka były zbroczone krwią. Spostrzegłem, że nachylił się niżej i zaczął rozcinać brzuch leżącego Mongoła. Przymknąłem oczy... Po chwili podniosłem wzrok na Tuszeguna. Siedział zadumany na dawnym miejscu obok ołtarza, powoli puszczając dym z fajki. Po drugiej stronie ogniska spał spokojnie pastuch z rozpiętym kożuchem na piersiach.

— To zdumiewające — zawołałem. — Nigdy nic podobnego nie widziałem.

— O czym pan mówi? — głosem zimnym zapytał Kałmuk.

— O doświadczeniu hipnotycznym, czy o „cudzie”, jak pan to nazywa! — odparłem zdziwiony jego tonem.

— Ja o takich rzeczach panu nigdy nie mówiłem — odparł tym samym zimnym głosem, tylko w jego źrenicach błysnęła ironia.

— Czy widzieliście? — zapytałem agronoma, melancholijnie ćmiąc fajkę.

— Co miałem widzieć? — odezwał się sennym głosem.

Zrozumiałem, że stałem się ofiarą hipnotycznej siły Tuszeguna.

Nazajutrz żegnaliśmy „czarodzieja”. Nasza grupa postanowiła powracać do Uliasutaju, Tuszegun-Lama zaś miał zamiar „utonąć w przestworzu”, jak sam się wyraził. Błąkał się po całej Mongolii, mieszkając w ubogich jurtach pastuchów, w kaplicach z pustelnikami lub we wspaniałych siedzibach książąt i wodzów plemion, wszędzie otoczony jednakowym szacunkiem i zabobonnym strachem, porywając bogatych i potężnych, biednych i słabych płomienną wymową, przepowiedniami i cudami...

Kałmuk, ściskając mi rękę i uśmiechając się chytrze, rzekł przyciszonym głosem:

— Urzędnikom chińskim niech pan nic o mnie nie wspomina...

Obiecałem mu zachować dyskrecję. Tuszegun odszedł ze mną na bok i w zamyśleniu zaczął mówić:

— To, co pan wczoraj widział w jurcie, jest drobnym doświadczeniem magicznym. Europejczycy nie chcą wierzyć, że wiedza tajemnicza kwitnie wśród nas — dzieci natury, koczujących wśród jej objawów, wśród jej sił potężnych. O, gdybyś pan widział cuda i potęgę świątobliwego mędrca Taszi-Lamy, który rozkazuje lampom i świecznikom w świątyniach zapalać się przed starym Buddhą, ciężkim drzwicom świątyń otwierać się i zamykać, i z którym głosami ludzkimi rozmawiają figury i obrazy bogów! Istnieje jeszcze potężniejszy człowiek, lecz jest on w innym świecie...

Przypomniałem sobie od razu szczelinę górską koło Arszanów, w kotlinie Nogan-Kul, wychodzącą z niej parę siarkową i napis runiczny:

— „Wejście do państwa podziemnego Aharty”.

Zadziwaczały mi z głębokim, mistycznym szacunkiem i strachem wypowiedziane przez nojona — lamę Soldżaku i przez nadwornego gelonga księcia Czultu — słowa o „Wielkim Nieznanym”, tajemniczym, półlegendarnym, półrealnym „władcy świata”, mającym swoją stolicę i olbrzymie państwo w podziemiach naszej planety.

— Władca świata w Aharty? — zapytałem

Kałmuk drgnął i ze zdziwieniem podniósł na mnie swe rysie oczy.

— Pan o nim słyszał? — szepnął i zamyślił się głęboko. Lecz po chwili podniósł głowę i poważnym, smętnym głosem rzekł:

— Tylko jeden człowiek na ziemi zna jego imię, tylko jeden z żyjących obecnie ludzi był w państwie Aharty. To ja! Dlatego to właśnie uważa mnie najświętobliwszy Dalaj-Lama i obawia się mnie „Żywy Buddha” w Urdze.

Lecz płonne są te obawy! Nigdy nie będę się ubiegał o świętą władzę najwyższego kapłana i pana Tybetu lub o tron potomków Dżengiz-Chana, którym włada urgiński Bogdo-Gegeni-Chan, wielki dostojnik żółtej wiary. Jam nie mnich. Jam wojownik i mściciel...

W mgnieniu oka Tuszegun skoczył na siodło i uderzywszy konia pomknął w step, rzuciwszy na pożegnanie zwykły frazes mongolski:

— Sajn! Sajn bajna!

W drodze powrotnej stary Ceren opowiadał nam setki legend, otaczających imię Tuszegun-Lamy. Jedno z takich opowiadań szczególnie utkwiło mi w pamięci, tym bardziej, że książkę mongolski Dżap-Hun i kolonista rosyjski Jeryn, którzy byli świadkami wypadku, potwierdzili ten fakt.

Było to w 1911–1912 r., gdy zrozpaczeni Mongołowie z bronią w ręku walczyli z Chińczykami o wolność i prawa ludzkie. W Zachodniej Mongolii główną fortecą chińską było Kobdo. Rząd mongolski polecił księciu Bałdon-Hun zdobyć ową twierdzę. Na czele źle uzbrojonych i wcale niewycwiczonych jeźdźców książkę kilkakrotnie atakował Kobdo, lecz dziesięcioletnia załoga, posiadająca karabiny maszynowe, odpierała napady. Na próżno ginęli Mongołowie pod murami fortecy, na próżno odważny i okrutny Bałdon osobiście szedł do szturm: dziesiątkowany przez kulomioty oddział jego topniał bez skutku. Nagle, nieoczekiwanie zjawił się Tuszegun-Lama i zwoławszy Mongołów, zwrócił się do „cyryków” (żołnierzy) z taką przemową:

— Mongołowie, nie powinniście czuć strachu przed śmiercią i cofać się! Walczycie i umieracie za Mongolię, której sądzono od Boga stać się znowu wielkim krajem potęgi i mądrości. Spójrzcie w przyszłość!

Zatoczył rękami dwa szerokie koła i wszyscy ujrzeni niezmierną okiem przestrzeń Mongolii z licznymi, bogatymi koczowiskami, z tysiącnymi stadami i tabunami bydła, owiec i koni. Po stepie mknęli na śmigłych, bogato przybranych wierzchowcach wspaniale odziani jeźdźcy. Kobiety w szatach jedwabnych, w ciężkich srebrnych i złotych ozdobach na głowach poważnie i spokojnie rozmawiały. Długie karawany wielbłądów, prowadzonych przez kupców chińskich, uniżenie bijących pokłony majestatycznym, mongolskim santom, otoczonym oddziałami „cyryków”, kroczyły gościńcem. Widzenie znikło po chwili, ale Tuszegun zaczął mówić znowu:

— Nie bójcie się śmierci! Ona jest tylko wyzwoleniem od trudów doczesnego życia ziemskiego i przejściem do królestwa błogości. Zwróćcie oczy na Wschód. Czy widzicie zabitych w tych bojach waszych braci i przyjaciół?

— Widzimy! Widzimy! — radośnie wołali mongolscy wojownicy.

W samej rzeczy zebrani ujrzeni jakieś komnaty, obszerne i oblane łagodnym światłem wschodzącego słońca. Były to albo olbrzymie jurty książęce, albo też sklepienia świątyni. Czerwone i żółte makaty jedwabne, mieszając się w jaskrawej gamie kolorów, pokrywały ściany i sklepienia; wszędzie połyskiwały pozłacane słupy i drzwi. Na wielkim ołtarzu szkarłatnym paliły się jaskrawymi płomykami grube świece czerwone w złotych lichtarzach, stały drogie srebrne i złote naczynia z mlekiem ofiarnym, z orzechami i prosem. Na miękkich kobiercach i barwnych kocach siedzieli bogato ubrani Mongołowie, w których obecni poznali towarzyszy zabitych pod murami Kobdo. Przed nimi stały niskie lakierowane stoły z wielkimi tacami i misami, pełnymi dymiącego mięsa, ciast, suchego sera, daktyli, rodzynek i orzechów. Mongołowie palili złote fajki i prowadzili wesole pogadanki.

Obraz znikł przed oczu zachwyconych widzów i pozostał tylko tajemniczy i groźny Kałmuk z podniesioną ręką.

— Ruszajcie do boju! — zawołał — i nie powracajcie bez zwycięstwa! Będę z wami wszędzie.

Rozpoczął się szturm. Mongołowie walczyli jak tygrysy, ginęli masami, lecz wdarli się na mury i do fortecy. Wtedy powtórzyły się dawno już przez ludzkość zapomniane obrazy wojennej orgii tatarskich hord, burzących niegdyś miasta europejskie.

Baldon-Hun rozkazał nieść nad sobą trzy czerwone buńczuki. Było to znakiem, że wódz oddaje miasto zdobywcom na łup w ciągu trzech dni. Zaczął się mord i rabunek. Wszyscy Chińczycy byli wyróżnieni w Kobdo, które zostało zrabowane i spalone. Fortecę zburzono do szczętu. Baldon-Hun po tym zwycięstwie na czele trzystu jeźdźców pomknął do Uliasutaju, lecz Chińczycy już porzucili to miasto i przez Barkul pośpiesznie uchodzili w granice Chin. Książę zadowolili się tylko zburzeniem „Jamynia” — fortecy chińskiej, którą widziałem z poszczerbionymi wałami, murami i budynkami, ze spalonymi basztami i porąbanymi wrotami warownymi.

### III. DZICY CZAHARZY

Powróciwszy do Uliasutaju, dowiedzieliśmy się, że stary, dymisjonowany sait-patriota otrzymał szereg bardzo zatrważających wieści. Znaczne siły kawalerii bolszewickiej w okolicach jeziora Kosogol pomyślnie zaatakowały oddział partyzancki pułkownika Kazagrandi, który cofał się na Mureń-Kure, wobec czego sait oczekiwał zbliżenia się bolszewików do Uliasutaju. Wszyscy cudzoziemcy przygotowywali się do opuszczenia miasta, likwidowali swoje interesy, obawiając się jednak, aby w drodze na wschód nie spotkać oddziału chińskiego, który podobno był wysłany z Kałganu. Postanowiliśmy oczekiwać przybycia tego oddziału, ponieważ mogło to w znacznym stopniu zmienić ogólne położenie.

Oddział przybył po kilku dniach. Składał się on z dwustu rozbójników wojowniczego plemienia Czaharów, pod dowództwem Chunchuza, byłego towarzysza marszałka chińskiego Dżan-Dzo-Lina, takiegoż bandyty jak sam „Ta-Szuan” (wielki wódz). Był to wysoki, chudy Chińczyk, z rękami sięgającymi kolan, o czarnej od słońca, mrozu i wiatru twarzy, z dwiema długimi bliznami w poprzek czoła i policzka, o jednym oku. Miał na głowie olbrzymi kołpak kosmaty ze skóry elków. Osobistość bardzo ponura i groźna, z którą spotkanie nocą w samotnym miejscu nie mogło być zbyt przyjemne.

Czaharzy obrali sobie za kwaterę zburzoną fortecę, gdzie porozbijali namioty wokół jedyne go domu, zamieszkałego przez gubernatora chińskiego i jego urzędników. Tego samego dnia niezdiscyplinowani zbójce zrabowali chiński „dugun” — magazyn, znajdujący się o kilometr od fortecy i obrazili Mongołkę, żonę gubernatora chińskiego, nazwawszy ją „zdrajczynią”.

Trzeba przyznać, że co do ostatniego, Czaharzy, jako Mongołowie, mieli poniekąd słusność, ponieważ historia pani gubernatorowej była dość skandaliczna.

Gubernator Wan-Dziao-Dziun, przybywszy do Uliasutaju, zażądał dla siebie żony-Mongołki. Nowy sait-ugodowiec rozkazał wynaleźć godną tego zaszczytu Mongołkę. Wkrótce też pomimo ogólnego niezadowolenia i oburzenia Mongołów-patriotów znaleziono dziewczynę i oddano ją gubernatorowi wraz z bratem, tęgim Mongołem, pełniącym obowiązki adiutanta, które polegały raczej na pielęgnowaniu białego pinczera, podarowanego nowej żonie przez biurokrata chińskiego. Nic też dziwnego, że piękna pani nie cieszyła się w mieście sympatią Mongołów.

Grabieże, bójki i pijaństwo trwało wśród Czaharów bez końca. Wan-Dziao-Dziun dołożył wszelkich starań, aby ich co prędzej wyprawić do Kobdo, a później dalej do Urian-chaju.

Pewnego poranku mieszkańcy Uliasutaju byli świadkami sceny dość niebezpiecznej i groźnej. Oddział Czaharów z wolna posuwał się jedyną w mieście ulicą. Jeźdźcy siedzieli na małych, kosmatych koniach, jadąc szeregami po trzech. Odziani byli w ciepłe granatowe chałaty i narzucone z wierzchu baranie długie kozuchy mongolskie, w wielkie elkowe kołpaki, nasunięte na oczy i uszy; uzbrojeni zaś od stóp do głów w karabiny, rewolwery, szable i noże. Jechali z dzikim i przeraźliwym krzykiem, wyciem i gwizdaniem, łapczywie spoglądając na sklepy chińskie i na domki kolonistów. Na czele sunął jednooki dowódca-chunchuz Mo-Taj, a za nim trzech jeźdźców w białych kozuchach futrem na zewnątrz. Potrząsali chińskimi sztandarami w czarne, białe, żółte i czerwone pasy i głucho i ochryple trąbili w wielkie białe muszle, dzwoniąc przy tym przeraźliwie.

Jakiś Czahar-szeregowiec, nie mogąc oprzeć się pokusie, podjechał do jednego ze sklepów, zeskoczył z konia i wtargnął do wnętrza. Natychmiast rozległy się trwożne krzyki kupców chińskich. Dowódca żywo obrócił się na siodle, od razu spostrzegł czaharskiego konia, stojącego koło sklepu, i pomknął w tamtą stronę. Chrapliwym głosem zawołał Czahara, a gdy ten wypadł ze sklepu, Mo-Taj uderzył go z rozmachem w twarz ciężkim nahajem. Z rozciętego policzka trysnęła krew, lecz Czahar w okamgnieniu wskoczył na koń i pokornie powrócił do szeregu.

Przeżrana ludność pochowała się po domach, zabarykadowawszy drzwi i okna, z trwożą patrząc na pochód Czaharów, nad którymi w mroźnym powietrzu wznosiły się obłoki pary, buchającej z koni i ludzi. O kilka kilometrów od Uliasutaju udało się im jednak zrabować karawanę chińską, przy czym popili się na śmierć.

Po pijanemu, gdzieś koło Hargany, Czaharzy dostali się w ręce Tuszegun-Lamy i zostali wycięci w pień, a ich ojczyste stopy nie zobaczyły więcej tych jeźdźców dzikich, którzy z chunchuzkim wodzem Mo-Taj zamierzali podbić pokojowych Sojotów, starych potomków Tuba w dalekim kraju urianchajskim.

W kilka dni po odejściu Czaharów spadł tak głęboki śnieg, jakiego nie pamiętano w Mongolii. Wszelka komunikacja została przerwana. Mongolscy przewodnicy i właściciele karawan nie zgadzali się na przewożenie ludzi i ciężarów, gdyż nie tylko konie i wielbłądy, lecz nawet silne powolne byki i jaki nie mogły brnąć w głębokim śniegu, zapadając się po brzuch i kalecząc nogi o ściętą mrozem, cienką, ostrą jak szkło, lodowatą jego powierzchnię.

Ruszyć się z Uliasutaju, gdzie atmosfera wewnętrzna stawała się coraz groźniejsza i gdzie rosło niebezpieczeństwo ze strony najazdu bolszewickiego, nie mogliśmy.

Musielśmy więc oczekiwać. — Na co? Na śmierć lub na zbawienie? Lecz wyratować nas mogły wyłącznie nasze własne siły i ostrożność.

Wobec tego musielśmy zbadać kwestię ruchów i zamiarów kawalerii sowieckiej. W tak ważnej sprawie dowierzałem tylko sobie, a więc wraz z agronomem wyruszyłem na nowy rekonesans. Sait dał nam dwóch Mongołów-przewodników, namiot z piecykiem i zapasy żywności. Mieliśmy dojść aż do Kosogołu, zbadać położenie w Khathyle i w Mureń-Kure.

#### IV. DEMON ZAGASTAJU

Nasza grupa na czterech wierzchowych i jednym ciężarowym wielbłądzie posuwała się w stronę gór Tarbagatajskich.

Droga była kamienista i pokryta głębokim śniegiem, lecz wielbłądy szły ostrożnie, wietrząc ziemię, popędzane okrzykami „ok! ok!” naszych Mongołów. Ze schyłków gór do samej prawie drogi spuszczały się niewielkie lasy modrzewiowe. Minęliśmy fortecę „jamyń” i chiński „dugun” i zaczęliśmy się wspinać w góry. Droga stała się stroma i niebezpieczna, gdyż śnieg pokrył grubą warstwą wielkie kamienie, doły, rowy. Wielbłądy zaczęły trwożnie strzyc uszami i chrapać. Droga biegła chwilami od grzbietu góry w dół ku dolinie, niepostrzeżenie jednak wznosiliśmy się coraz wyżej i wyżej. W oddali na szczytach grzbietu głównego pod ciężkimi, nisko wiszącymi, szarymi chmurami widniały na śniegu jakieś plamy czarne.

— To są „obo”, znaki święte, ołtarze na cześć Zagastaja, złego demona tego przejścia! — objaśniał nas mówiący po rosyjsku Mongoł. To przejście nosi imię Zagastaja, o którym ludność przechowała bardzo dużo legend starych, jak te góry.

Poprosiłem go, aby nam opowiedział jedną z nich.

Przewodnik, kiwając się na wielbłądzie i oglądając miejsce, zaczął:

— Dawno to było, bardzo dawno, jeszcze wtedy, kiedy wnuk Wielkiego Dżengiza siedział na tronie chińskim, rządząc całą Azją. Podstępni Chińczycy zabili chana i zamierzali zgładzić całą jego rodzinę, lecz jeden stary i święty lama zabrał żonę władcy i syna niemowlę, posadził na wielbłąda i uciekł za „wielki mur”, zapuściwszy się w stopy rodzime. Długo chińscy siepacze szukali śladów zbiegów, aż nareszcie wykryli i popędzili w pogoń. Kilka razy omalże dopędzali nieszczęsnych, lecz lama modlitwą i czarami rzucał na głowy prześladowców chmury śniegu, przez które przechodziły wielbłądy, lecz nie mogły iść konie. Stary lama pochodził z dalekiego klasztoru, który wkrótce ujrzemy z bliska. Jest

to Działchancy-Kure. Ażeby doń dotrzeć, należało przejść przez Zagastaj, lecz tu właśnie starzec zachorował, zachwiał się parę razy na siodle i spadł martwy z wielbłąda. Zaszlochła piękna Ta-Siń-Le, wdowa po wielkim chanie, lecz spostrzegłszy z góry mknących doliną jeźdźców chińskich, nieszczęsna ruszyła dalej. Zmęczone wielbłądy poczęły coraz częściej przystawać i kłaść się, biedna kobieta nie umiała sobie z nimi poradzić. Wrogowie nadjeżdżali coraz bliżej. Już słychać było ich radosne głosy, przeczuwające nagrodę, jaką otrzymają od mandarynów, gdy rzucą do ich nóg worek z głowami potomka Dżengiza i żony groźnego władcy Azji. Nieszczęśliwa matka widziała już głowę swego syna, wystawioną na ponurym Chien-Men na pośmiewisko pekińskiej tłuszczy. Wystraszona i zrozpaczona niewiasta wzniosła niemowlę ku niebu i zawołała:

— O ziemi! O bogowie Mongolii! Oto przed wami prawnuk tego, który sławę otoczył imię Mongołów od skraju do skraju świata! Nie pozwólcie zginąć latorośli Wielkiego Dżengiza-Temudżyna!

Nagle wdowa zauważyła na kamieniu małą mysz białą, która, gdy się wielbłąd zbliżył do kamienia, wskoczyła na kolana kobiety i rzekła głosem ludzkim:

— Jestem posłana, aby ci dopomóc. Jedź spokojnie i nie trwóż się! Twój prześladowcy dobiegają w tej chwili do kresu życia.

Zwątpiła jednak Ta-Siń-Le o prawdzie słów białej myszy.

— Jakżeż mała mysz może zatrzymać trzystu uzbrojonych mężów?

Mysz zeskoczyła na ziemię i rzekła:

— Jam demon szczytów Tarbagatajskich, Zagastaj. — Jestem potężny i miły Bogu. Za to, żeś zwątpiła, widząc cudo — mysz mówiąca, Zagastaj od tej chwili stanie się niebezpieczny tak dla dobrych, jak i dla złych ludzi.

Wdowa po chanie została ocalona, lecz Zagastaj pozostaje nieubłagany. Przy tym krętym i zawilym przejściu trzeba mieć się co chwila na baczności. Demon gór czyha na życie podróżnych!...

Mongoł miał słuszość. Zagastaj jak gdyby czyhał na nas. Ledwie wjechaliśmy do jego posiadłości, zerwał się mroźny wiatr do ataku, gwizdał i huczał pośród skał i zmienił się w końcu w szaloną zamieć śnieżną. Wszystko znikło wokół i z trudem można było ujrzeć zaśnieżonymi oczyma mającą postać wielbłąda, idącego na przedzie... Nagle uczulem lekkie wstrząśnienie. Nie mogłem zrozumieć, co się stało; zacząłem się oglądać. Wszystko jednak było po dawnemu. Siedziałem sobie wygodnie pomiędzy dwiema ciężkimi torbami z mięsem i z sucharami, tylko głowy mego wielbłąda nie widziałem. Znikł bez śladu. Pokazało się, że stoczył się ze ścieżki do wąwozu, nie przywiązane zaś torby i terlica, uderzywszy o ziemię, zostały wraz ze mną na śniegu. Był to widać żarcik demona Zagastaju. Lecz było mu tego mało, więc począł się gniewać nie na żarty. Wściekłymi podmuchami wiatru prawie zrywał nas z wielbłądów, omalże nie przewracał naszych garbatych wierzchowców, zasypując nam oczy śniegiem i tamując oddech. Przechodziliśmy nieraz wąskimi ścieżkami pośród zamieci śnieżnej tuż nad urwiskiem przepaści. Trafiliśmy przed wieczorem do małej doliny, gdzie wiatr gwizdał i wołał tysiącami rozpaczliwych, ponurych głosów. Zapadła noc. Mongołowie długo oglądali dolinę, wdrapywali się na góry, później zaś, smutnie kiwając głowami, oznajmili:

— Straciliśmy drogę. Trzeba zatrzymać się tu na nocleg. Źle, że nie doszliśmy do jakiego lasu, zostaniemy bez ogniska, a mróz tęższe...

Z wielkim trudem, odmrażając sobie ręce, postawiliśmy namiot i umocowaliśmy go od strony wiatru naszymi ciężkimi torbami, siodłami i śniegiem. Mongołowie wryli w śniegu rowy i okrzykami: „cok! cok!” zmusili wielbłądy do położenia się w nich.

Gdyśmy weszli do ciemnego i zimnego namiotu, mój towarzysz, porządnie zamarnięty, głośno zaklął i nie chcąc widocznie pogodzić się z myślą lodowatego noclegu w namiocie przy piecyku, szydyczko stojącym pośrodku i... zimnym, powziął jakiś zamiar.

— Idę szukać opału! — rzekł głosem stanowczym i wzięwszy siekiere, znikł w ciemności.

Dopiero w godzinę potem powrócił i przyniósł olbrzymi odłam słupa telegraficznego.

— Dżengizy! — krzyknął na Mongołów, rozcierając skostniałe ręce. — Bierzcie czym prędzej siekiery i pędźcie na lewo na górę. Tam leży dużo zrąbanych słupów telegraficz-

nych. Spotkałem po drodze starego Zagastaja, poznałem się z nim i dowiedziałem się od niego, gdzie są słupy!

Rzeczywiście, niedaleko od doliny biegła linia telegrafu rosyjskiego, obecnie zburzonego przez Mongołów na rozkaz urzędników chińskich.

Dzięki znajomości mego towarzysza z demonem Zagastaju, spędziliśmy noc przy gorącym piecyku i bardzo spokojnie gawędziliśmy sobie w państwie demona, zagniewanego na „sceptycyzm ludzki”.

Nazajutrz o świcie odnaleźliśmy drogę. Znajdowała się ona o 200–300 kroków od naszego namiotu. Po upływie kilku godzin zaczęliśmy się zbliżać do północnych schyłków grzbietu Tarbagatajskiego; wchodziliśmy właśnie w dolinę rzeki Eder, gdy zauważyliśmy stado mongolskich kruków o czerwonych dziobach (*Pyrrhocorax graculus*), krążących nad dwiema ostrymi skałami. Podjechaliśmy i spostrzegli świeże jeszcze trupy konia i jeźdźca.

Co się z nimi stało? — gubiliśmy się w domysłach.

Jeździec i koń leżeli prawie obok siebie. Prawa ręka człowieka owinięta była uzdą wierzchowca. Nigdzie nie wykryliśmy śladów kuli lub noża. Niepodobieństwem było rozpoznać twarz jeźdźca, rozszarpaną przez ptactwo. Miał on na sobie kozuch mongolski, lecz spodnie i koszula zdradzały cudzoziemca. Ciało miał opalone, koloru starego brązu, włosy znacznie miększe i jaśniejsze od włosów Mongołów.

— Co go spotkało? — pytaliśmy się wzajemnie.

Przewodnicy z trwogą kiwali głowami i jeden z nich głosem, w którym brzmiała przekonanie, powiedział:

— Jest to zemsta Zagastaja! Podróżny nie złożył ofiary koło południowego „obo” i demon zadusił go razem z koniem...

Wjechaliśmy wreszcie w dolinę Ederu. Dolina wąska, nieskończenie długa, wije się jak wąż po obu stronach rzeki. Wszędzie doskonałe, obfite pastwiska. Środkiem doliny szła szeroka, dość ubita droga, wzdłuż której sterczały resztki porąbanych słupów telegraficznych i leżały kilkukilometrowe kawałki kabla.

Wkrótce zaczęliśmy spotykać stada baranów i owiec, które rozgrzebywały śnieg i gryzły suchą, brunatną trawę. Wyżej w górach widniały stada byków i jaków. Pastuchowie, zauważywszy nas, natychmiast popędzili konie i ukryli się w górach. Nigdzie nie spostrzegliśmy jurt, chociaż liczne stada świadczyły o zaludnieniu kraju. Mongołowie ukryli się ze swymi domami ruchomymi w głębokich fałdach górskich, dokąd nie mógł dolecieć najsilniejszy wicher i gdzie było ciepło nawet podczas najostrzejszych mrozów.

Wkrótce zaczęliśmy się zbliżać do dużego stada baranów. Zdziwiło nas, że w miarę naszego pochodu stado zaczęło się rozdzielać. Jedna część pozostała na miejscu, druga zaś powoli się oddalała. Od ostatniej oderwała się niewielka gromadka baranów i olbrzymimi skokami zaczęła szybko wdrapywać się na spadek stromej góry. Zaczęłem przez lornetkę oglądać stado. W pozostałej na stepie gromadzie ujrzałem barany i owce domowe, w oddalającej się zaś — mongolskie antylopy, „dżeren” (*Gazella gutturosa* i *Gazella subgutturosa*). Niewielkie stadko, które uciekło w góry, składało się ze skalnych baranów (*Ovis ammon*), czyli po mnogolsku „argali”, o olbrzymich i ciężkich rogach, zagiętych na kształt jakichś muszli potwornych. Cała ta gromada przed naszą inwazją najspokojniej pasła się razem, korzystając ze świetnej i pożywnej trawy doliny Ederu i z rzeki, która w wielu miejscach nie zamarzła i była pokryta kłębam pary.

Antylopy, do których tymczasem zbliżyliśmy się o jakieś 500 kroków, podniosły głowy i uważnie się nam przyglądały.

— Teraz zaczną przebiegać nam drogę! — zawołał ze śmiechem Mongoł. — Zabawne zwierzęta! Nieraz pędzą one obok dobrego konia, usiłując wyprzedzić go, gdy zaś nareszcie dopną celu, spokojnie odbiegają paręset kroków i znowu się pasą, jakby ich nic nie obchodziło.

Wiedziałem o tym systemie strategicznym antylop i postanowiłem skorzystać z niego dla polowania. Jednemu z przewodników, prowadzącemu z sobą ciężarowego wielbłąda, rozkazałem jechać dalej, my zaś we trzech ruszyliśmy w stronę antylop, rozprasząc się w różne strony. Antylopy zatrzymały się zdumione, widząc konieczność przecięcia drogi trzem wielbłądom naraz i do tego w różnych kierunkach. Natychmiast zaczął się zamęt. Stado składało się co najmniej z trzech tysięcy antylop. Cała ta armia naraz zaczęła pędzić



w różne strony, zbijając się w stada lub rozpraszając. Nareszcie z wielkim trudem antylopy podzieliły się na oddzielne grupy. Całymi kompaniami w dość sprawnych szeregach mknęły one przed nami, lecz widząc coraz to innego jeźdźca, powracały, aby znowu powtórzyć ten sam manewr. Jedna grupa licząca około 50 głów, mknąc dwoma szeregami, pędziła wprost na mnie.

Gdy była ode mnie o jakieś 50 kroków, krzyknąłem i dałem ognia. Antylopy na mgnienie oka stanęły jak wryte, później zaczęły się rzucać w różne strony, skacząc przez siebie. Ta panika kosztowała je drogo. Wystrzeliłem cztery razy i zabiłem dwa piękne samce.

Agronom miał większe powodzenie, gdyż jednym strzałem położył trupem dwa „dżerzenie”.

„Argali” tymczasem były już prawie pod samym szczytem góry i stanąwszy w rząd jak szeregowcy, obróciły głowy w naszą stronę. Widziałem przez lornetkę zupełnie wyraźnie ich muskularne, ciemnoszare ciała, z potężnymi rogami kręconymi na olbrzymich pięknych głowach.

Wkrótce obładowani „dżerzeniami” dogoniliśmy posłanego naprzód przewodnika.

W kilku miejscach widzieliśmy trupy owiec, zagryzionych przez wilki.

— W tej dolinie dużo wilków! — zauważył Mongoł.

Spotkaliśmy jeszcze kilka stad antylop, lecz polowania mieliśmy już dość, za to bardzo uważnie obserwowaliśmy zachowanie się „dżereni” przy naszym zbliżaniu się do nich. Nie wiem doprawdy, czym objaśnić dziwny zwyczaj antylop dopędzania i przecinania drogi jeźdźcom?...

Na brzegu małego dopływu Ederu spędziliśmy noc w namiocie.

Lecz była to noc nieprzyjemna!

W naszym piecyku wesoło potrzaskiwał ogień i woda już się gotowała w kotle. Było ciepło i przyjemnie, więc drzemaliśmy w oczekiwaniu kolacji, gdy naraz jakieś wycie złowrogie, a później jak gdyby śmiech szatański, przerwały ciszę nocną. Zewsząd odezwały się ponure, monotonne głosy i naraz urwały.

— Wilki! — spokojnie oznajmił Mongoł i wzięwszy mój rewolwer, wyszedł z namiotu. Długo nie powracał, aż nareszcie z daleka doleciał nas głos strzału, po którym wkrótce zjawił się przewodnik.

— Nastraszyłem wilki — mówił ze śmiechem. — Cała zgraja zebrała się koło trupa wielbłąda na brzegu rzeki.

— Oby tylko nie zagryzły naszych! — zawołałem.

— O nie! Rozłożymy ognisko za namiotem, tego wilki się boją! — uspokoili mnie Mongołowie.

Po kolacji natychmiast zasnąłem, lecz o północy nagle mnie przebudzono. Ktoś spoza płóciennej ściany namiotu bardzo silnie trzącał mnie w bok. Myślałem, że to są żarty kłóregoś z wielbłądów. Schwyciłem więc pistolet Mauzera i rękkojeścią mocno uderzyłem śmiałka.

Usłyszałem skomlenie i warczenie zwierza, a później szmer jego biegu po drobnych kamieniach. Rano przekonałem się, że jakiś wilk, zwabiony zapachem mięsa, starał się podkraść pod namiot w celu rabunku, lecz niespodziewanie spotkał się z niegościnną rękkojeścią mego mauzera.

— Wilki i orły są sługusami Zagastaja! — przekonywająco pouczał nas starszy Mongoł, co zresztą nie przeszkadzało wcale jego rodakom polować na wilki, które doganiają oni w stepie, mknąc na śmigłych koniach i zabijają drapieżników ciężkimi „taszurami” („Ta-szur” — gruby kij bambusowy z krótkim rzemieniem na końcu) lub nahajami z uwiązanymi na końcu kawałkami ołowiu.

Orły i sępy są bezpieczne i szanowane przez Mongołów, którzy starają się ich przyzwyczaić do miejsc koczowisk. Gdy Mongoł zarzyna barana lub byka, zawsze rzuca w powietrze różne odcinki mięsa i wnętrzności. Wiszące w powietrzu orły, jastrzębie, sępy i sokoły zżęcznie łapią pożywienie, przeraźliwie kwiląc i staczając walki o każdy kęs.

Orły i sępy płoszą i rozganiają sroki, wrony i kruki, które są istną plagą dla koni i bydła. Dość jednego zadraśnięcia na ciele bydła, aby krwiożercze ptactwo je rozszarpało i zamieniło w ogromną, nigdy nie gojącą się ranę, z której wyrzywa ono dalej kawały mięsa.

## V. GNIAZDO ŚMIERCI

Posuwaliśmy się naprzód pomyślnie po 50–60 kilometrów dziennie. W pół drogi pomiędzy Uliasutajem i Khathylem zauważyliśmy na uboczu niewielki klasztor, samotnie położony na środku dużej kotliny pomiędzy wysokimi górami. Było to zwykłe „kure”, wybudowane w kształcie czworokąta, otoczonego wysokim płotem z nieciosanych palów. Ogrodzenie składało się z czterech kwadratów, pomiędzy którymi biegły ulice, prowadzące do świątyni; był to budynek w stylu chińskim, ciemnoczerwony, z polerowanych belek i desek, z fantastycznymi dachami, powyginanymi i wykrzywionymi na kształt grzbietu smoka. Za płotami widniały domki i jurty lamów i niskie, małe zabudowania gospodarcze.

Po drugiej stronie drogi o 3–5 kilometrów od klasztoru na płaszczyźnie czernił się drugi kwadrat.

Była to chińska faktoria handlowa, tzw. „dugun”, który zawsze bywa otoczony podwójnym mocnym płotem i obronnymi budynkami wewnątrz. „Duguny” ze znaczną liczbą dobrze uzbrojonych kupców, subiektów i robotników, odgrywają polityczną rolę: wykonują wywiad dla rządu pekińskiego i w każdej chwili mogą zmienić się w warowny fort. Takimi fortami rząd chiński pokrył, jak gdyby siecią, nie tylko Mongolię, lecz Urianchaj, Turkiestan, Afganistan, Beluczistan i Persję.

Pomiędzy „kure” i „dugunem”, bliżej drogi, stało wielkie koczowisko mongolskie. Koni nie było w pobliżu, co oznaczało, że Mongołowie zatrzymali się tutaj na długi popas. Świadczyło też o tym bydło, pasące się w górach w znacznej odległości. Nad kilkoma jurtami powiewały barwne flagi trójkątne, którymi buddyjscy lekarze oznaczają miejsca, gdzie są chorzy; przy niektórych namiotach na wysokich drągach były zatknięte czapki mongolskie na znak, że właściciele ich nie żyją. Wielkie zgraje czarnych, zdziczałych psów wałęsających się po stepie świadczyły, że gdzieś w jakimś wąwozie lub pod urwiskiem nad rzeką leżą ciała zmarłych.

Zbliżyliśmy się do jurt. Z daleka już słyszeliśmy ponure warczenie bębna, przeraźliwy głos piszczalki i szalone krzyki, pełne obłędu. Stary Mongoł wyszedł i objaśnił nas, że kilka rodzin mongolskich przybyło do „kure”, do sławnego z cudownych leków świętego hutuhtu — przeora Dżałchancy, do którego należał klasztor z przyległymi do niego obszarami stepów i gór. Mongołowie, chorzy na trąd i czarną ospę, przybyli z daleka, lecz na nieszczęście nie znaleźli Dżałchancy-hutuhtu, który sprawując urząd prezesa rady ministrów w Urdze, przebywał od dawna na dworze „Żywego Buddy”. Wtedy zmuszeni byli zwrócić się o pomoc do „szamanów”, czyli lekarzy-czarowników i wymierali jeden po drugim.

— Wczoraj zostawiliśmy na stepie 27 ludzi! — ze smutkiem i rozpaczą zakończył starzec swe opowiadanie.

W tej chwili z jurty wyszedł „szaman”. Był to stary, chudy człowiek z bielmem na oku i twarzą zniszczoną przez ospę, ubrany w jakieś brudne, różnokolorowe, rozwiewające się na wietrze łachmany z czerwonymi i żółtymi wstążkami, zwieszającymi się do pasa. Miał duży bęben i piszczalkę z kości.

Szaleństwo wyzierało z jego pałających, szeroko rozwartych, nieruchomych oczu. Nagle zaczął wysoko i szybko podrzucać nogi, jakoś dziwnie schylając je w kolanach, jął obracać się w kółko, dygotać jak w febrze; wił się, uderzając w bęben i gwiżdżąc w piszczalkę, krzyczał, szalał, wyprawiając coraz szybsze i szybsze ruchy, aż nareszcie zbladł straszliwie, oczy mu się nalały krwią, z ust poczęła wyciekać piana. Padł na śnieg i rzucał się i wykrzykiwał nieprzytomnym głosem jakieś dziwne słowa.

W ten sposób leczył swoich pacjentów czarownik-szaman, odpędzając szaleństwem złych demonów choroby i śmierci.

Inny znowu dawał chorym do picia brudną, mętną wodę, którą niegdyś zaczerpnęto z wanny „Żywego Boga”, obmywającego w niej swoje „boskie ciało, które wyszło ze świętego kwiatu lotosu”.

— Om! om! — skowyczał i piszczął szaman.

W międzyczasie, gdy czarownicy w tak niezwykle sposób walczyli z epidemią, chorzy byli pozostawieni własnemu losowi.

Biedacy leżeli w straszliwej gorączce pod kupami owczych skór i kozuchów, bredzili w malignie, miotali się i łkali.

Tymczasem zdrowi Mongołowie, obojętnie gwarząc, jedząc i paląc fajki, oczekiwali swojej kolei.

Jakaś kobieta, pokryta czarnymi wyrzutami ospy, karmiła piersią dziecko i jęcząc, brudnymi paznokciami rozdrapywała swe poranione, wynędzniałe ciało. Obok sterczały nagie, wychudłe nogi trupa, przykryte brudnym kozuchem. W innej jurcie zdrowi Mongołowie pili herbatę wraz z trędowatą kobietą, której usta, policzki i powieki były pokryte strasznymi, ohydnyimi ranami gnijącymi, które coraz dalej i głębiej wżerały się w jej zbolące ciało. Palce jej i dłonie były spuchnięte i oszpecone trądem. Trędowata swymi strasznymi rękami nalewała herbatę gościom i palcami wrzucała sól do ich miseczek, zamieniając się z nimi fajką.

Wielki Dżengiz-Chanie! Dlaczego ty, który pojmwaleś duszę i nastroje całej Azji i Europy, ty, któryś poświęcił całe swoje życie wojnie o sławę Mongolii, nie oświeciłeś światłem wiedzy swego narodu, tak uczciwego, tak święcie przechowującego starą moralność, wytrwałego w obyczajach przodków i spokojnego? Czyż twoje kości, leżące pośród ruin Karakorum, nie poruszają się ze zgrozy wobec szybkiego wymierania szczepu niegdyś wielkiego, który zagrażał całej kulturalnej, lecz występnej ludzkości?

Takie myśli mnie opadły, gdym przyglądał się temu koczowisku skazańców, słuchał jęków i łkania umierających. Kędyś w pobliżu złowrogo wył pies i nieustannie rozlegały się monotonne huczenie bębna i dzikie okrzyki szamana.

Naprzód! Nie miałem dostatecznie silnych nerwów, aby patrzeć na to piekło męczarni, nie mogąc dopomóc nieszczęśliwym.

Szybko oddaliliśmy się od straszliwego miejsca. Zdawało mi się, że ktoś mknął za nami, niewidzialny, zły i przejmujący grozą... Duchy chorób? Widma niewysłowionych męczarni i rozpacz? Dusze umarłych ofiar ciemnoty i zacołania? Jakiś niczym nie objaśniony lęk nas ogarniał i długo walczyliśmy z tym przygniatającym uczuciem.

Westchnęliśmy z ulgą dopiero wtedy, gdy Dżałchancy-Kure, dugun i koczowisko męczenników znikły nam z oczu za niewysokim grzbietem lesistych pagórków malowniczych.

Wkrótce zbliżyliśmy się do wielkiego jeziora Tissin-Goł. Na brzegu południowym stał dom architektury rosyjskiej. Była to jedyna stacja telegraficzna pomiędzy Khathylem a Uliasutajem.

## VI. POŚRÓD MORDERCÓW

Podjechaliśmy do stacji telegraficznej na Tissin-Goł.

Naczelnik stacji wyszedł na nasze spotkanie.

— Nazywam się Kanin — przedstawił się, widocznie zmieszany i uprzejmie zaprosił nas do domu.

Gdy weszliśmy do pokoju, zerwał się od stołu chudy, wysoki człowiek, z wahaniem posunął się o krok w naszą stronę, bacznie nam się przyglądając.

— Goście... — odezwał się Kanin. — Jadą do Khathyłu. Prywatni ludzie, Polacy...

— A... a! — głosem przeciągłym odparł nieznajomy, widocznie uspokojony.

Gdyśmy rozwiązywali pasy i zdejmowali ciężkie kozuchy, nieznajomy z ożywieniem szeptał coś gospodarzowi, a później rzucił mu krótko:

— Musimy tymczasem odłożyć!

Kanin w odpowiedzi kiwnął tylko głową.

Weszliśmy do pokoju jadalnego, gdzie przy stole siedziało kilka osób: pomocnik Kanina, wysoki, blade blondyn, mówiący dziwnie szybko i robiący wrażenie stale wylęknionego; żona Kanina, młoda kobieta z dziwnie przerażonymi oczyma i z twarzą konwulsyjnie skurczoną; dziewczyna lat około 15 z krótko ostrzyżonymi włosami, ubrana po męsku i dwóch małych synków gospodarza. Nastąpiła ogólna znajomość. Za Kaninem wszedł i nieznajomy. Nazywano go Gorochowem, jakoby kolonistą z Samgaltaju, krótkowłosa zaś dziewczyna miała być jego siostrą. Żona Kanina patrzyła na nas ciągle z przerażeniem i milczała, widocznie czując się bardzo źle w naszej obecności.

Kanin opowiedział nam o swym trudnym życiu od czasu zburzenia telegrafu i odmowie władz bolszewickich co do wypłaty pensji. Zmuszony był przeto trudnić się różnymi komisami, polecanymi mu przez kolonistów rosyjskich z Khathyłu i Uliasutaju.

Gorochow, który jechał w sprawach handlowych do Khathyłu, wyraził chęć przyłączenia się wraz z siostrą do nas.

Miał on jednak tak nieprzyjemną, złośliwą twarz i tak starannie unikał mego wzroku, że mimo woli miałem się na baczności.

W rozmowie zapytałem, czy nie ma w okolicach Tissin-Gołu jakich kolonistów. Kanin zmieszonym i podrażnionym głosem odparł:

— Jest tu jeden bogaty, starzec, Bobrow, który mieszka stąd o pół kilometra. Tylko nie radzę panom do niego wstępować, gdyż nie jest zbyt gościnny...

Przy tych słowach Kaninowa nisko opuściła głowę i nie podniosła więcej oczu. Gorochowowie obojętnie palili papierosy. Od razu zauważyłem podrażniony ton Kanina, przeżalenie jego żony i sztuczną obojętność Gorochowych, i dlatego właśnie postanowiłem koniecznie zobaczyć się ze starym kolonistą. Oznajmiłem im, że mam oddać Bobrowowi list z Uliasutaju. Skończywszy herbatę ubrałem się i wyszedłem. W głębokiej kotlinie, w pobliżu stacji stał dom Bobrowa za wysokim mocnym płotem. Okna były oświetlone lampą. Zapukałem. Odpowiedziało mi wściekle ujadanie czterech ogromnych psów. Z dziedzińca odezwał się głos:

— Kto tam?

Odpowiedziałem. Pytający złapał psy i uwiązał je na łańcuch, później otworzył wrota i wpuścił mnie, uważnie oglądając. Był to wysoki stary człowiek o rozumnej, śmiałej twarzy. Miał za pasem duży rewolwer, a w ręku gruby kij sękaty. Dowiedziawszy się kim jestem, grzecznie poprosił mnie do izby, gdzie zapoznał mnie ze swoją żoną i pięcioletnią dziewczynką, znaną w stepie przy trupie matki, która podczas ucieczki z sowieckiej Syberii umarła w drodze. Starzy wzięli ją do domu i opiekowali się nią, jak swoim dzieckiem. Przyjmowano mnie w domu Bobrowych bardzo serdecznie. Stary opowiedział mi, że oddział pułkownika Kazagranda zmusił bolszewików do cofnięcia się z Kosogołu, gdzie obecnie jest zupełnie bezpiecznie.

— Dlaczego pan nie zatrzymał się u nas, zamiast u tych rozbójników? — zapytał kolonista.

Zacząłem wypytywać o mieszkańców stacji telegraficznej i dowiedziałem się ważnych rzeczy. Okazało się, że Kanin był agentem bolszewickim dla obserwacji i wywiadu.

— Teraz Kanin naturalnie jest nieszkodliwy, gdyż komunikacja z Irkuckiem jest przerwana. Lecz za to przybył do niego komisarz bolszewicki...

— Gorochow? — zapytałem.

— To jest fałszywe nazwisko! — zawołał stary. — Jestem z jednego miasta z nim i wiem, że jest to Puzikow — komisarz „czeki”. Dziewczyna zaś, która jeździ z nim, jest jego kochanką, też agentka „czeki”. Tej jesieni para ta rozstrzelała z rewolwerów 70 związanych białych oficerów. Po pijackiej orgii strzelali do nieszczęsnych ze śmiechem, jak do celu. Gagatek ten zjawiał się i u mnie, ale poznałem go od razu i naturalnie wyrzuciłem.

— A pan osobiście nie obawia się tych ludzi? — zapytałem go, gdyż naraz przypomniałem sobie poszczególne wyrazy z rozmowy Kanina i Gorochowych.

— Nie! — zaśmiał się Bobrow. — Niebezpiecznych wrogów miałem już w życiu! Potrafię się obronić. Zresztą mam dobrego obrońcę w synu, który choć ma dopiero 20 lat, już słynie jako strzelec, jeździec i siłacz na całą Mongolię. Cóż nam ci zbóje mogą uczynić? Niech tylko spróbują! Szkoda, że nie ma mego chłopaka w domu, właśnie pojechał do tabunów i powróci dopiero jutro wieczorem.

Po paru godzinach rozstaliśmy się bardzo przyjaźnie i musiałem obiecać Bobrowym, że w powrotnej drodze zatrzymam się w ich „choszunie” („choszun” po mongolsku znaczny dom, zagroda lub majątek ziemski).

— Co panu o nas nagadał stary Bobrow? — spotkali mnie pytaniem ironicznym Kanin i Gorochow.

— O was nie było mowy, ponieważ dowiedziawszy się, że u was stanął, nie chciałem z początku rozmawiać ze mną. Cóż takiego zaszło między wami? — zapytałem, nie zdradzając swych myśli.

— Stare porachunki... — mruknął Gorochow.

— Złośliwy stary! — wtórował mu Kanin.

Mówili spokojnie, lecz wystraszone męczeńskie oczy Kaninowej znowu w trwodze panicznej spojrzały na mnie, jak gdyby oczekując śmiertelnego ciosu.

Gorochow zaczął przygotowywać się do jutrzejszej drogi, my zaś pokładliśmy się do snu w sąsiednim pokoju. Szepnąłem swemu towarzyszowi, żeby miał przy sobie rewolwer na wszelki wypadek, lecz agronom, chytrze się uśmiechając, w milczeniu wyciągnął schowane pod posłaniem rewolwer i siekiere.

— Ci dżentelmeni od razu mi się nie podobali — szepnął mi do ucha. — Jutro pojedę w ślady Gorochowa i jeśli mi się coś nie spodoba, wpakuję mu w kark „dum-dum”.

Nazajutrz o 7 rano ruszyliśmy w drogę. Agronom podążał tuż za Gorochowem i jego damą, jadącymi na dobrych wierzchowcach.

— W jaki sposób państwo utrzymaliście swoje konie w tak dobrym stanie? — zapytałem.

— To nie są nasze konie, wypożyczyliśmy je od Kanina — odpowiedziała krótkowłosa dziewczyna.

Pomyślałem sobie, że Kanin wcale nie jest tak biedny, jak twierdził, skoro posiada takie wspaniałe konie. Za każdego wierzchowca bogaty Mongoł chętnie dałby tyle baranów, ile by było potrzeba, ażeby rodzina Kaninych mogła istnieć przez cały rok.

Wyjechaliśmy w wąwóz pośród zwisających skał. W wąwozie było prawie ciemno, gdyż dzień był szary i ponury. Stamtąd wyjechaliśmy na wielkie bagno, obrośnięte ze wszystkich stron gęstymi krzakami. Bagno nie zamarzło. Zdziwiło nas, że wśród krzaków, grzebiąc się po śniegu, biegały setki białych kuropatw, a ze środka bagna dwukrotnie zerwały się dzikie kaczki. Zima, mróz, lód, śnieg i naraz — dzikie kaczki!

Mongoł-przewodnik tłumaczył nam:

— To bagno nigdy nie zamarza, zawsze jest ciepłe! — Tu kaczki gnieźdzą się przez cały rok i ze wszystkich stron zlatują się kuropatwy, łatwo znajdując żer w miękkiej i cieplej ziemi.

Gdy przejeżdżaliśmy brzegiem bagna, nagle zauważyłem nad brunatną jego powierzchnią płomyk ognia, który mignął w powietrzu i zgasł. Po chwili jednocześnie w kilku miejscach zabłyśły inne ogniki i również bez śladu zgasły. Były to tak zwane błędne ogniki, uświęcone tysiącem romantycznych legend, chociaż chemia objaśnia to zjawisko bardzo prozaicznie, a mianowicie zapaleniem się metanu, gazu błotnego, który wytwarza się przy gniciu resztek roślinnych.

— Tu właśnie mieszkają demony Edenu i walczą z duchami rzeki Mureń — prawil tymczasem Mongoł.

Gdyśmy już przejechali bagno, zobaczyliśmy w oddali wielki klasztor, położony dość daleko od szlaku, którym podróżowaliśmy. Mimo to Gorochow z „siostrą” podążyli do tego klasztoru, tłumacząc się tym, że są tam sklepy chińskie, w których muszą oni załatwić jakieś sprawunki. Obiecali wkrótce nas dogonić. Odjechali i już nie powrócili. Spotkaliśmy się dopiero po kilku dniach w ciężkich dla nich okolicznościach. Byłem rad, że się uwolnił od ich przykrego towarzystwa i wtedy dopiero opowiedziałem agronomowi o wszystkim, czego dowiedziałem się od starego Bobrowa.

## VII. NA WULKANIE

Nazajutrz wieczorem dotarliśmy do Khathyłu. Była to niewielka osada rosyjska, składająca się z rządowego domu, z nieczynnej już stacji telegraficznej i 10–15 oddzielnych „choszunów”, czyli zagród. Osada rozciągała się na przestrzeni paru kilometrów u źródła rzeki Egin-Goł, wypływającej z Kosogołu.

Były to już znane nam miejscowości, które jednak nie pozostawiły po sobie zbyt przyjemnych i wdzięcznych wspomnień. Zналиśmy już tę „rzekę Diabła” i znowu ujrzeliśmy liczne „obo”, postawione na cześć złych i rozpasanych duchów, wyprawiających niebezpieczne dla ludzi awantury. Kosogoł, czyli Chubsuguł, jest to wielkie jezioro „alpejskie”, głębokie i zimne, mające około 140 kilometrów długości i 45 kilometrów szerokości. Mongołowie i Darchat-Sojoci uważają je za święte i tajemnicze i określenia te poniekąd są bardzo usprawiedliwione. Jak już wspomniałem, Kosogoł leży w kotlinie, gdzie nie zanikły jeszcze całkowicie siły podziemne. Latem na Kosogole niespodziewanie, bez

śladów wiatru lub burzy wznoszą się i zaczynają piętrzyć i uderzać o brzeg olbrzymie fale, grożąc zagładą nie tylko łódkom rybackim, ale i parowcom, kursującym pomiędzy północnym a południowym brzegiem jeziora; w zimie zaś jezioro bez żadnej przyczyny nagle kruszy powierzchnię lodową i oczyszcza z lodu wielkie przestrzenie, otaczając się gęstą mgłą i obłokami pary. Widocznie z dna jeziora wyrwywają się gorące gejzery, co znajduje potwierdzenie w tym, że po takich zjawiskach na jeziorze i rzece Egin-Gol można obserwować mnóstwo martwych, prawie ugotowanych ryb, które czasami zbijają się na mieliznach w gruby pokład, tamujący bieg rzeki.

Spędzając czas w Khathyle, miałem możliwość zebrać trochę wiadomości o tym jeziorze tajemniczym. Kosogol obfituje w ryby przeważnie dwóch gatunków. Łososiowate, zwane inaczej białą rybą, są bardzo delikatne, smaczne i dostarczają wspaniałego kawioru. Pstrągowate: białe i czarne chajrusy, pływają w jeziorze olbrzymimi stadami. Biała ryba jest poszukiwana na rynkach Syberii. Co się zaś tyczy pstrągów, dwie rybackie osady istniejące na zachodnim brzegu jeziora wcale nie trudnią się ich połowem, a to z tej przyczyny, że wszystkie ryby tego gatunku są zarażone glistami z rodzaju soliterów, które wyścielają i oplatają ich wnętrzności. Nie tylko ludzie, ale nawet psy i koty nie chcą jeść tych chorych, zarażonych ryb.

W Khathyle zastaliśmy panikę.

Partyzancki „biały” oddział pułkownika Kazagrandi, który bardzo udatnie zaatakował czerwonych, zmuszając ich do cofnięcia się aż na irkucki trakt na północ od Kosogolu, jak to zwykle bywa u Rosjan, na skutek sporów wewnętrznych nagle się rozproszył. Skorzystali z tego bolszewicy i zaczęli ofensywę. Zdemobilizowany i liczebnie słaby oddział, który pozostał przy Kazagrandim, musiał uchodzić na południe, mając zamiar wydać walną bitwę kawalerii sowieckiej w okolicach Khathylu. Mieszkańcy osady porzucili swoje siedziby i częściowo ukryli się w okolicznych lasach i górach, budując naprędce namioty, częściowo wynieśli się do Mureń-Kure, klasztoru buddyjskiego, położonego o 90 kilometrów na południe. Miejscowy urząd mongolski porzucił zagrożony Khathyl, opuściwszy osadę na wielbłądach. Nasi Mongołowie, nastraszeni groźnym położeniem, zbiegli, zabrawszy z sobą wielbłądy i pozostawiając nas w bardzo ciężkiej i niebezpiecznej sytuacji.

W Khathyle był kantor Centralnego Syberyjskiego Towarzystwa Spółdzielczego, tak zwany „Centrosojuz”, który ogłosił się jako organizacja bezpartyjna, lecz prowadził politykę bezsprzecznie przychylną dla bolszewików. Na czele tej organizacji stał weterynarz Gej, mieszkający tu z całą rodziną. Ów Gej podczas rządu Kołczaka był podejrzany o bolszewizm, sądzony, lecz warunkowo niewinny tytułem próby. Wybraliśmy się do niego po informacje co do ogólnego położenia i w kwestii kupna, czy też wypożyczenia dla nas trzech koni. Przyjął nas bardzo grzecznie i z wielką kurtuazją ofiarował żądane wierzchowce, które mieliśmy zostawić w Mureń-Kure, gdzie łatwiej było zaopatrzyć się w inne konie lub wielbłądy. Oczekując na konie, po które Gej posłał Mongoła, musieliśmy spędzić w Khathyle całą noc; a była to noc, w ciągu której oczekiwano zjawienia się pierwszych oddziałów bolszewickich, gdyż Kazagrandi zmienił swój plan pierwotny i cofał się na wschód, pozostawiając osadę na łup wojsk sowieckich.

Zdziwiła mnie bardzo okoliczność, że gdy wszyscy mieszkańcy uciekli z Khathylu, Gej z rodziną i z całą swoją majątnością pozostawał jednak w zagrożonej osadzie.

Nie mogłem tego zrozumieć, gdyż słyszałem, że brał on czynny udział w tworzeniu się oddziału Kazagrandi, nie szczędząc dla niego środków pieniężnych, zapasów żywności i różnych towarów ze sklepów i magazynów „Centrosojuza”. W osadzie wraz z Gejem pozostało jeszcze kilku urzędników tej instytucji, oraz sześciu kozaków, śledzących ruchy czerwonych.

Nadeszła noc... Ja i agronom byliśmy zmuszeni przygotowywać się do boju lub do samobójstwa. Znajdowaliśmy się w niewielkiej chacie, tuż nad brzegiem Jagi, wraz z kilkoma robotnikami, którzy jakkolwiek nienawidzili bolszewików, nie mając jednak koni nie mogli uciec.

Siedzieliśmy w izbie oświetlonej kopczą się świecą lojową i myśleliśmy o przewrotności losu ludzkiego. Nagle wpadł do izby jeden z robotników i zdyszonym głosem zawołał:

— Biada! Biada! Czerwoni przyszli... — W tej samej chwili leśną ścieżką, poza domem, szybko przemknął jakiś jeździec. Krzyknąłem na niego, lecz on w milczeniu pojechał dalej. Koń był mi nieznanym...

— Łżesz! — odezwał się ktoś z robotników. — To z pewnością jakiś Mongoł, a ty już ze strachu czerwonych zobaczyłeś!...

— Nie! to nie był Mongoł — bronił się wystraszony chłop. — Koń był podkutym. Wyraźnie słyszałem szczęknięcie żelaza o kamienie. Biada! Biada!

— Ta — ak! — przeciągłym głosem zauważył mój agronom. — Teraz to chyba i na nas przyszła kreska.

Głupio się stało!

Nie mogłem oponować, gdyż miał on zupełną słuszność. Sytuacja była głupia i... przykra.

Na szczęście jednak posłyszałem za oknem tupot koni i głos Mongoła, wołającego na mnie po rosyjsku. Były to konie, przysłane dla nas przez Geja. Nie tracąc chwili, okulbaczaliśmy je i wyruszyliśmy w drogę. W domu Geja panował popłoch, ponieważ na okolicznych górach spostrzeżono wielkie ogniska. Nie było wątpliwości, że bolszewicy, pewni siebie, nie chcąc nocą wkroczyć do osady, zatrzymali się w lesie na popas, aby rano triumfalnie wejść do Khathułu.

Zaczęliśmy żegnać Gejów, gdy naraz wszedł posłany na zwiad kozak i doniósł, że na górach jakiś nieznanym oddział pali wielkie ogniska, a dwóch wywiadowców przybyło już do Khathułu. Byliśmy obecni przy raporcie tych przybyszów. Oznajmili oni, że oddział białych partyzantów — chłopów z głębi Syberii przedarł się pod dowództwem kilku oficerów do Mongolii i dowiedziawszy się o istnieniu oddziału pułkownika Kazagrandi, szedł aby się z nim połączyć.

W ten sposób niebezpieczeństwo, zagrażające mieszkańcom Khathułu, na razie zostało zażegnane, lecz my nie czekaliśmy na przybycie oddziału partyzantów i pożegnawszy wszystkich, ruszyliśmy z powrotem do Uliasutaju. Po drodze jednak trzeba było zajechać do Mureń-Kure, aby pozostawić tam konie należące do Geja i wynająć wielbłądy do dalszej drogi.

Zbliżywszy się do brzegu Egin-Gołu spotkaliśmy trzech kozaków, wysłanych do uciekających z zawiadomieniem o wypadkach w osadzie.

Zeszliśmy z koni i tak jak poprzednio zaczęliśmy je prowadzić przez „rzekę Diabła” za uzdy. Rzeka zaś szalała. Podziemne siły burzyły uwięzioną pod lodem wodę, która z hukiem i trzaskiem kruszyła swe zimne więzy i porywając całe pola lodowe, pędziła z nimi na południe.

Straszne, nieoczekiwane zjawiające się szczeliny biegnęły powierzchnią zamrożonej wody w różnych kierunkach. W jedną z nich wpadł któryś z kozaków, lecz z naszą pomocą wydostał się na lód; przemokły i zmarznięty musiał powracać do osady. Konie ślizgały się i padały. Zarówno ludzie, jak i konie zupełnie wyraźnie odczuwali obecność śmierci, która czaiła się tu co chwila w nieoczekiwanych niebezpieczeństwach. Przeszliśmy narreszcie przekłętą rzekę i szybko posuwaliśmy się naprzód, coraz bardziej oddalając się od wulkanu w literalnym i przenośnym znaczeniu tego słowa.

Późną nocą dopędziliśmy dużą grupę uciekinierów z Khathułu, którzy zatrzymali się na nocleg koło „duguna” chińskiego w wielkim namiocie, w którym przy dymiącym piecu zgrupowali się mężczyźni, kobiety, dzieci, zdrowi i chorzy. Nie mieliśmy ochoty zostawać w tej przykłej i ponurej atmosferze i pojechaliśmy dalej. Mróz brał coraz cięższy, a wiatr dął coraz silniej i wścieklej. Całe dwa dni brnęliśmy przez głębokie śniegi, kilka razy przejeżdżając przez dość wysokie góry, nareszcie zobaczyliśmy obszerną równinę, przeciętą wstęgą nie zamrożonej rzeki Mureń, z kłębiącą się nad nią parą. W pobliżu jej brzegu widniały wysokie chińskie dachy świątyń buddyjskich, pałac księcia mongolskiego, wielkie murowane „obo”, czerwone słupy, oznaczające granice klasztoru i szary kwadrat rosyjsko-chińskiej dzielnicy. Było to Mureń-Kure, liczące około 10 000 mnichów i około 5 000 ludności cywilnej.

Do „kure” pozostawało nam już tylko około pięciu kilometrów drogi, gdy naraz spoza zakrętu górskiego wysunęło się dwóch jeźdźców, którzy spostrzegli nas, natychmiast zawrócili konie. Krzyknęliśmy na nich, aby podjechali, lecz w odpowiedzi dostaliśmy dwa strzały karabinowe. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kto byli ci dwaj jeźdźcy. Mógł to być

rekonesans bolszewicki lub po prostu zwyczajni bandyci, usiłujący w ten sposób zapobiec ewentualnemu pościgowi.

Po paru godzinach byliśmy już w Mureń-Kure. Zatrzymaliśmy się w domu kolonisty Teternikowa, który wraz z żoną okazał nam w ciągu kilku dni naszego pobytu tyle serca, że zachowaliśmy dla nich na zawsze najlepsze uczucia przyjaźni i wdzięczności. Teternikow wynajął dla nas wielbłądy i przewodników; kosztowało go to niemało trudu, gdyż z powodu częstych zamieci śnieżnych przy silnych i mroźnych wiatrach, Mongołowie obawiali się wyruszać w daleką podróż.

Podczas naszego pobytu w Mureń-Kure zjechało tam kilka rodzin, uciekających z Khathylu, do którego znowu zaczęły się zbliżać oddziały bolszewickie; przybyło także kilku z tych oficerów, którzy uczynili rozłam w oddziale Kazagrandi. Nazajutrz po przyjeździe uciekinierów zjawili się urzędnicy mongolscy i oznajmili, że na mocy rozkazu władz chińskich żądają, aby wszyscy uciekinierzy porzucili teren klasztoru. Żadne układy nie pomogły i uciekinierzy zmuszeni byli opuścić klasztor i rozbić namioty w okolicach Kure. Oficerowie zaś postanowili wyjechać do klasztoru Wan, co też uczynili. Lecz po drodze schwytali ich chińscy żołnierze i zamordowali. Teternikow, dzięki swoim wpływom i osobistym stosunkom z Mongołami, uchronił nas od konieczności wyjazdu. Otrzymaliśmy prawo spędzenia w klasztorze tyle czasu, ile będzie potrzeba na zorganizowanie naszej podróży do Uliasutaju. Nie mogę tu nie wspomnieć, iż pani Teternikowa, która okazała nam tyle dobroci i serdecznej przyjaźni, była córką powstańca polskiego z r. 1863, zesłanego na Altaj, skąd też pochodzili oboje małżonkowie.

Po kilku dniach spędzonych w miłym, gościnnym domu naszych nowych przyjaciół, wyruszyliśmy do Uliasutaju wraz z dużą grupą kupców chińskich i rosyjskich uciekinierów.

## VIII. KRWAWY PORACHUNEK

Wyjechawszy na trakt główny, prowadzący przez Tissin-Goł do Uliasutaju, ujrzelśmy dobroczynne słupy zburzonego telegrafu, które dzięki pomysłowemu agronomowi użytkowaliśmy na opał.

Przeszliśmy znany już nam wąwóz ze zwisającymi nad nim skałami i wjechaliśmy w dolinę jeziora Tissin-Goł.

Zapadał zmrok. Postanowiłem zatrzymać się obecnie u starego Bobrowa, gdy reszta grupy miała rozłokować się na stacji telegraficznej u Kanina.

Było już zupełnie ciemno, gdy zbliżaliśmy się do budynków stacji. Na szarym tle ściany wyraźnie rysowała się sylwetka stojącego na warcie żołnierza z karabinem. Żołnierz zatrzymał nas i zadał kilka pytań. Otrzymaawszy odpowiedź, gwizdnął. Na jego sygnał zjawił się młody oficer, ubrany w skórzany półkożuszek, na którym były naszyte szlify porucznika.

Zapytawszy, kto jest starszym w naszej grupie, zbliżył się do mnie i przedstawił:

— Jestem porucznik Iwanow. Stoję tu ze swymi partyzantami.

Opowiedział mi, że z kilkoma ludźmi z Syberii przedarł się przez oddziały bolszewickie, połączył z uliasutajskim komendantem rosyjskim, pułkownikiem Michajłowem i dostał polecenie trzymania straży na Tissin-Gole. Zaprosił nas do domu i rozłokował na noc. Gdy oznajmiłem mu, że ja i mój towarzysz zamierzamy skorzystać z gościnności Bobrowa, oficer machnął ręką i zawołał:

— Niech się pan nie trudzi! Bobrowowie wszyscy zamordowani, a ich dom spalony do szczętu.

Nie mogłem powstrzymać się od okrzyku zgrozy.

— Zamordowani przez Kanina i Puzikowa, którzy zrabowali dom i spalili go wraz z trupami zabitych — opowiadał oficer. — Zaraz panu to wszystko pokażę!

Wyszliśmy ze stacji i wkrótce zobaczyliśmy ponure zgliszczą. Tu i ówdzie sterczały szerniałe słupy, pośród których leżały w bezładzie spalone deski i belki domu. Na ziemi poniewierały się resztki potłuczonych naczyń, kawałki żelaza i szkła. O kilka kroków od zgliszcz, w pobliżu miejsca, gdzie dawniej stał płot, pod płachtami wołokowymi leżały ofiary zbrodni.



— Wysłałem zaraz raport o wypadku do Uliasutaju — mówił oficer — i stamtąd przyszedł rozkaz, aby nie grzebać zabitych, gdyż będzie zarządzone prawne dochodzenie, chociaż, co prawda, już wszystko wykryłem...

— Jak to było? — zapytałem, wzruszony straszliwym obrazem.

Porucznik zaczął opowiadanie.

— Pojechałem ze swoimi ludźmi nocą do Tissin-Gołu. Obawiałem się, że mogą tu być żołnierze bolszewicy, więc podkradliśmy się niepostrzeżenie. Zajrzałem przez okno i zobaczyłem Kanina, Puzikowa i dziewczynę z ostrzyżonymi włosami; oglądali właśnie jakieś rzeczy, widocznie dzieląc je pomiędzy sobą, a później zaczęli ważyć kawałki srebra, klóćąc się zawzięcie. Z początku nie mogłem zrozumieć, co się stało, lecz ta kompania od razu mi się nie podobała. Kazałem więc żołnierzowi przeskoczyć płot i otworzyć bramę, po czym wjechaliśmy szybko na dziedziniec. Pierwsza wybiegła żona Kanina, zobaczywszy nas, załamała ręce i z okrzykiem: „Wiedziałam, że przyjdzie kara za zły czyn!” padła zemdlona. Z bocznych drzwi wybiegł jakiś mężczyzna i usiłował przeskoczyć przez płot, lecz moi ludzie go zatrzymali. Był to Puzikow. Kanin spotkał mnie blady i drżący. Nie wątpiłem, że w tym domu stało się coś poważnego, więc natychmiast oznajmiłem, że wszystkich aresztuję; mężczyzn kazałem związać, a przy drzwiach postawiłem warty. Na moje pytania nikt nie odpowiadał, tylko Kaninowa padła na kolana i błagała o miłosierdzie dla jej dzieci, które są niewinne. Ostrzyżona dziewczyna zuchwale śmiała się wprost w oczy i puszczała kłęby dymu z papierosów. Zmuszony byłem uciec się do groźby.

— Domyślam się, żeście dokonali jakiejś zbrodni, lecz nie chcecie wyznać i milczeniem usiłujecie ukryć swoją winę. Nie mam nic innego do wyboru, tylko rozstrzelać mężczyzn, a kobiety wyprawić do Uliasutaju dla zbadania ich przez władze wojskowe.

— Mówiłem do nich w sposób bardzo stanowczy, gdyż rozgniewał mnie ich milcząca opór. Ku wielkiemu memu zdziwieniu odezwała się ostrzyżona dziewczyna:

— Opowiem o wszystkim — rzekła — tylko nie karzcie ich śmiercią, ale poślijcie nas wszystkich razem do Uliasutaju.

Spisałem protokół z jej zeznań. Niech pan posłucha tego straszego opowiadania.

— Ja i mój mąż — zaczęła swoją opowieść dziewczyna — byliśmy wysłani jako komisarze bolszewicy, w celu zebrania danych o znacznych jakoby siłach „białych” w Mongolii, jednak od razu poznał nas Bobrow, który pochodził z tego samego miasta, co i my. Chcieliśmy więc stąd uciekać, lecz Kanin poinformował nas, że Bobrowowie są to bogaci ludzie i że on od dawna nosi się z zamiarem zabicia ich i zabrania całego ich dobytku, po czym chce zemknąć gdzieś na Syberię. Postanowiliśmy dopomóc mu i w tym celu zostaliśmy. Zaciągnęłam do nas kiedyś młodego Bobrowa na karty. W powrotnej drodze do domu mój mąż go zastrzelił. Potem wszyscy razem poszliśmy do domu starych. Włazłam na płot i rzuciłam psom zatrute mięso. Wyzdychały od razu. Wtedy przeleźliśmy wszyscy przez oparkanie. Na moje wołanie wyszła stara. Puzikow, przyczajony za gankiem, uderzył ją obuchem i roztrzaskał czaszkę. Gdy weszliśmy do izby, stary spał — zabiliśmy go śpiącego siekierą. Wtedy wbiegła do pokoju mała dziewczynka, wychowanka Bobrowych, która już spała, lecz zbudził ją hałas. Kanin ze strzelby myśliwskiej położył ją trupem na miejscu. Nabój z drobnego śrutu zdruzgotał całą główkę dziewczynki tak, że mózg wypadł i kawałki jego widniały na drzwiach i na pułapie izby. Zabrawszy wszystko, co było najcenniejszego, podpaliliśmy cały dom i płot, przynieśliśmy zabitego syna Bobrowych i wrzuciliśmy go w płomienie. Ogień musiał już zatrzeć wszelkie ślady, gdyż wszystko powinno się było spalić; spaliły się więc bez śladu nawet konie i bydło. Lecz przekłete trupy pozostały. Właśnie mieliśmy odwieźć je gdzieś daleko stąd, gdyście przybyli, a ci idioci od razu się zdradzili.

— Okropna, ponura historia! — ciągnął oficer, powracając ze mną do stacji. Włosy mi dęba stawały, gdy słuchałem spokojnego opowiadania tej dziewczyny, prawie dziecka przecież. Wtedy dopiero zrozumiałem, jaką rozpustę, jaki grzech zaszczerpił bolszewizm w moim narodzie, zabijając sumienie, wiarę, strach przed Bogiem! Pojąłem też, że wszyscy ludzie uczciwi i moralni powinni walczyć z tym wytworem szatana, dopóki starczy życia i sił.

Zamilkł i wpadł w ciężką zadumę.

Idąc ku domowi, zauważyłem na śniegu niedaleko drogi dużą, czarną plamę, która jakoś od razu przykuła mój wzrok do siebie.

— Co tam leży? — zapytałem, wskazując ręką w stronę plamy.

— Tam leży zabójca, Puzikow, którego kazałem zastrzelić — spokojnym głosem odpowiedział porucznik. — Chętnie bym rozstrzelał Kanina i Puzikową, lecz nie mogłem patrzeć na łzy i rozpacz żony i dzieci Kanina, a co do tej ostrzyżonej rozpustnicy, to... nie umiem rozstrzeliwać kobiet. Korzystając z tego, że pańska grupa jedzie w tamtą stronę, pošlę Kanina i tę dziewczynę do Uliasutaju, niech się tam z nimi rozprawią. Ja swoje zrobiłem! Jeżeli oddadzą ich w ręce sędziów mongolskich, ci na pewno torturami i ciężkim więzieniem ich zamęczą.

Wszystko to zaszło na Tissin-Gole, koło którego płoną na błotach tajemnicze błędne ogniki, w pobliżu zaś ciągnie się na południe długa i głęboka szczelina w ziemi. Być może, że wszyscy ci Puzikowowie i Kaninowowie wyszli z piekła przez tę szczelinę i wnieśli do życia ludzkiego zgrozę i mord, usiłując posiać ziarna tej zarazy wśród całej ludzkości.

— Cienie podziemnych złych sił, szludzy szatana! — tak nazywał zabójców Bobrowa błady, stale modlący się żołnierz, posłany przez porucznika Iwanowa dla konwojowania aresztantów.

Nasza podróż od Tissin-Golu do Uliasutaju w towarzystwie ohydnych zbrodniarzy była nader nieprzyjemna. Ja i agronom zupełnie straciliśmy zwykłą równowagę i dobry nastrój. Kanin przez całą drogę nad czymś uporczywie rozmyślał, a bezwstydna i zuchwała dziewczyna śmiała się, śpiewała i paliła, żartując z żołnierzami i z naszymi towarzyszami podróży.

Nareszcie przeszliśmy niegościnnie Zagastaj i w kilka godzin później zobaczyliśmy naprzód Jamyń, a potem bezładne zbiorowisko żółtoszarych domków i niewyraźne baszty świątyni chińskiej. Był to Uliasutaj.

## IX. TRWOŻNE DNI

Podczas naszej nieobecności w Uliasutaju zaszło dużo wypadków. Opowiadano nam, że gubernator chiński potajemnie posłał jedenastu gońców do Urgi z doniesieniem i z prośbą o instrukcje, lecz żaden z wysłanych ludzi nie powrócił. Wszyscy gubili się w domysłach, co by to mogło znaczyć, w chińskim zaś Jamyniu to zniknięcie gońców wzbudziło trwogę, która od razu znalazła oddźwięk pośród kupców chińskich i „kuli”. (Kuli — chiński najprostszy robotnik. Ta warstwa społeczeństwa wydaje żołnierzy, rewolucjonistów, „chunchuzów” i zbrodniarzy).

Oddział rosyjski, istniejący potajemnie, obecnie tak wzmógł się liczebnie, że nie mógł już ująć uwagi Chińczyków, którzy patrzyli na niego wrogo i z obawą. W mieście wszyscy chodzili uzbrojeni, nocami stawiano w każdym domu wartę. Gubernator zmobilizował dwustu „kuli” i rozlokował ich po całym mieście na postrach Mongołom i Rosjanom.

Jednakże ci nowi żołnierze nieregularni czyli gamini, wzięci od ciężkich robót przy „nogan-choszunach” czyli ogrodach warzywnych, otrzymawszy broń, podnieśli głowę i wcale nie mieli zamiaru bawić się w dyscyplinę.

Zbierali się nocami na „nogan-choszunach”, w karczmach chińskich lub w niektórych sklepach i nad czymś radzili. Nocami widzieliśmy, jak znosili skądś karabiny i naboje, widocznie do czegoś się przygotowując. W parę dni potem dowiedzieliśmy się, że „gaminii” zamierzają urządzić pogrom Mongołów i cudzoziemców w celu rabunku. Zachowanie się żołnierzy na ulicy stało się niemożliwie wyzywające i zuchwałe. Wieczorem nie można było wyjść z domu bez obawy zamordowania przez pijanych żołdaków lub w najlepszym razie otrzymania postrzału. Na wszelkie uwagi co do niebezpiecznej sytuacji w mieście, gubernator Wan-Dzao-Dziun dawał nam odpowiedzi wymijające, z czego wywnioskowaliśmy, że nie miałyby chyba nic przeciwko krwawej łaźni w Uliasutaju.

Wobec tego wszyscy cudzoziemcy zupełnie otwarcie przygotowywali się do obrony i ewentualnie do ucieczki.

Po nocach na rogach ulic i w załamaniach krętych uliczek czaiły się patrole oddziału rosyjskiego, na dziedzińcu byłego konsulatu rosyjskiego stali w pogotowiu uzbrojeni oficerowie i żołnierze; w każdym domu czuwali z bronią w ręku koloniści, na dziedzińcach firm chińskich wystawione były warty, gdyż kupcy byli przekonani, że w razie zwycięstwa tej lub innej strony całość ich składów oraz sklepów będzie poważnie zagrożona ze względu na wojowniczy zapal wrogów. Ulicami przechodziły patrole pijanych „gaminów”

i tylko z rzadka można było zauważyć żołnierzy regularnego oddziału chińskiego, pełniących przyboczną straż przy osobie Wan-Dzao-Dziunia. W górach otaczających Uliasutaj grupowali się mongolscy „cyryki”, których przysłał na pomoc księciu Czultun-Bejle chan Jassaktu, mianowany głównodowodzącym siłami zbrojnymi Mongolii Zachodniej; na „nogan-choszunach” w dalszym ciągu odbywały się zbiegowiska i wiece „gaminów” i głodnych „kuli”.

Ta naprężona atmosfera stała się jeszcze niebezpieczniejsza, gdy przyszła wiadomość, iż załoga chińska miasta Kobdo pewnej nocy dokonała pogromu w rosyjskiej i mongolskiej dzielnicy, zamordowawszy kilku Rosjan i Mongołów i zrabowawszy wszystkie domy rosyjskie. Mieszkańcy Kobdo, zaskoczeni zniemacka w nocy tym napadem, zbiegli w góry, lecz mróz dopomógł napastnikom i wielu Rosjan, szczególnie dzieci, padło ofiarą chłodu.

„Gamini” i „kuli”, a po części i urzędnicy chińscy, podburzani i przekupywani przez niektórych kolonistów, spełniających rozkazy sowietów, z którymi się stale komunikowali przy pomocy ciągle przybywających z Irkucka tajnych agentów bolszewickich, poczęli już prawie otwarcie mówić o konieczności krwawego porachunku z Rosjanami za stare krzywdy i z Mongołami za ich zuchwałe dążenia do niepodległości.

Nagle przyszła inna wiadomość, mniej pomyślna dla Chińczyków; ostudziła ona też nieco ich gorące zapaly.

Pewnego wieczora na spienionym koniu wpadł na rynek młody uzbrojony Mongoł. Miał długie, potargane włosy, chudą twarz i barczyste, chociaż wynędzniałe ciało. Był ubrany w rozerwany kożuch, w dobre buty i miał przy pasku rewolwer.

Nie schodząc z konia, zdyszany, lecz tubalnym i radosnym głosem wykrzyknął:

— Urga wzięta przez nas i „Dziańdziunia” (Dziań-Dziuń — wielki generał-głównodowodzący) barona. Bogdo-Gegeni został ogłoszony cesarzem Mongołów! W Urdze wyrzynają Chińczyków i rabują kupców chińskich! Mongołowie, zabijajcie naszych wrogów — Chińczyków i rozbijajcie sklepy! Dość naszych cierpień! Precz z chińskimi katami!

Odpowiedział mu podburzony pomruk tłumu. Mongołowie otoczyli jeźdźca i zaczęli go wypytywać o szczegóły. Natychmiast zawiadomiono o nim władze, które zbadawszy go, zaczęły robić jakieś przygotowania. Gubernator chiński zażądał aresztowania agitatora, lecz książę Czultun-Bejle sprzeciwił się temu stanowczo. Wan-Dzao-Dziuń więcej nie nalegał, z czego już można było wywnioskować, że Chińczycy musieli otrzymać wiadomości, potwierdzające słowa Mongoła.

„Gamini” i „kuli”, jak na sygnał, przycichli i znikli z ulic, a na ich miejsce zjawyły się już otwarcie rosyjskie patrole partyzanckie; na górach zaś coraz częściej poczęły zjawiać się jeźdźcy mongolscy, spoglądający w stronę miasta i „nogan-choszunów”, gdzie się roiło od wylęknionych Chińczyków. Przestрах Chińczyków jeszcze bardziej się zwiększył, gdy nadeszła wiadomość, że altajscy Tatarzy, połączywszy się z Mongołami, zorganizowali pościg za wojskami chińskimi, uchodzącymi po pogromie Kobdo i dogoniwszy je, wycieli w pień.

Chińczycy wpadli w nastrój bardzo minorowy. Zdawało się, że wszelkie nasze trwogi się skończyły i że ze strony „gaminów” i „kuli” już nic nam grozić nie może. Tymczasem do jednego z kolonistów rosyjskich współczującego bolszewikom, przybyło kilku sowieckich agentów z różnymi poleceniami. Wkrótce banda ta zaczęła prowadzić rokowania z Wan-Dzao-Dziuniem i z chińskimi domami handlowymi. Dowiedzieliśmy się, że gubernator chiński dostał znaczną sumę pieniędzy od agentów bolszewickich, a w parę dni później od przyjaznych nam Chińczyków otrzymaliśmy wiadomość, że „gamini” otrzymali podobno wskazówki z Jamynia, w jaki sposób bezkarnie mogą uczynić pogrom w Uliasutaju. Wan-Dzao-Dziuń uczynił wszystko, co było możliwe, aby rozbroić oddział rosyjski, zarządzwszy nagłą rewizję w domach Rosjan i w gmachu konsulatu i rekwirując wszelką broń. Lecz dowódca oddziału był dostatecznie przezorny i arsenał swój ukrył poza miastem w „choszunie” jednego z kolonistów.

Wobec nowych wypadków oddział stale był w pogotowiu i zaczęły się ożywione stosunki pomiędzy oficerami a władzami mongolskimi w kwestii wspólnej obrony.

Młody Chińczyk, syn kucharza z domu zamieszkałego przez nas, doniósł, że tego dnia ma się odbyć na jednym z „nogan-choszunów” decydująca narada „gaminów” i „kuli” co do planu i terminu pogromu. Postanowiliśmy osobiście uczynić szczegółowy wywiad;

w tym celu, zabrawszy ze sobą młodego Chińczyka jako tłumacza, wspólnie z agronomem oraz jednym z oficerów rosyjskich wyszliśmy z domu, mając przy sobie pod kożuchami schowane rewolwery. Nie udało się nam wyjść za miasto zwykłą drogą, gdyż Uliasutaj był już otoczony wartami „gaminów”. Wtedy prześlizgnęliśmy się przez osadę bezdomnych Mongołów, zrujnowanych przez administrację chińską i trzymając się brzegów zamarzłej rzeki, ominęliśmy miasto i pełzaliśmy przez równinę, ukrywając się za kupami śniegu i wyrzuconego tu nawozu, aż pod same płoty ogrodów warzywnych, gdzie stały szopy „kuli”.

Mój zawsze ostrożny przyjaciel agronom pełznął bezpośrednio za Chińczykiem-tłumaczem i aż do nieprzyzwoitości często powtarzał mu sakramentalną obietnicę uduszenia go jak mysz, jeżeli ten będzie usiłował nas zdradzić. Sądząc ze smutnej twarzy Chińczyka, nie czuł się on dobrze w towarzystwie swego olbrzymiego, groźnie patrzącego i sapiącego sąsiada o strasznych, ze względu na ich nieludzką siłę, ogromnych rękach.

Podpełzliśmy pod płot, za którym zgromadzili się „kuli” i żołnierze, i skąd dochodziły nas krzyki i śmiechy. Tu właśnie miał się odbyć wiec. Nasz Chińczyk przez szczeliny płotu przyglądał się zebrany i wymieniał bardziej znane osobistości wśród obecnych na tym zgromadzeniu zbójów.

Wkrótce zauważyłem, że oprócz nas jeszcze jeden człowiek podsłuchuje i przygląda się temu, co się odbywało za płotem.

Zmrok już zapadł, lecz mimo to wyraźnie widziałem sylwetkę nieznajomego, leżącą na śniegu z głową wsuniętą w norę, wykopaną przez psy pod płotem; słuchał, wcale się nie poruszając. O kilka kroków od niego, w niewielkim dołku, leżał biały koń z pyskiem ściśniętym rzemieniem i z nogami skrępowanymi. O sto kroków dalej stał drugi koń, przywiązany do płotu.

Tymczasem za płotem gwar się wzmagał. Było tam około dwóch tysięcy ludzi, którzy krzyczeli, śmieli się, wymachiwali rękami i potrząsali karabinami, nożami lub siekierami. Pośród tego tłumu siedzieli „gamini”, żywo coś tłumacząc, rozkazując i jednocześnie rozdając jakieś papiery i naboje.

Wreszcie na zrębie studni stanął wysoki, barczysty Chińczyk i podnosząc karabin do góry, przeraźliwym głosem rozpoczął mowę.

— On mówi — tłumaczył nasz Chińczyk — że Chińczycy powinni uczynić z Uliasutaju to samo, co uczynili „gamini” z Kobdo i żądać od Wan-Dzao-Dziunia, aby jego konwój nie przeszkadzał pogromowi. Mówi on, że przedtem jednak władze chińskie muszą zmusić oficerów rosyjskich do oddania całej ilości posiadanej broni. Tylko wtedy — zaznaczył mówca — stanie się zadość zemście Chińczyków za utopienie przez Rosjan 3 000 chińskich „kuli” w Amurze w 1900 roku.

Mówca zalecił zebrany, aby nie rozchodząc się czekali na jego powrót, gdyż on bezzwłocznie chce jechać do gubernatora i przedstawić mu żądania „kuli” i „gaminów”.

Powiedziawszy to, wysoki Chińczyk przerzucił karabin przez ramię i skierował się ku bramie. Wówczas spostrzegłem, iż człowiek leżący pod płotem szybko podniósł się z ziemi, rozwiązał białego konia, wskoczył na siodło i odwiązawszy drugiego konia, odprowadził go o paręset kroków w kierunku przeciwnym od miasta. Pozostawiwszy tu wierzchowca, skrył się za rogiem płotu.

Mówca — Chińczyk wyszedł za bramę i zobaczywszy konia stojącego w polu, skierował się ku niemu. Ledwie minął róg, za którym czał się jeździec na białym koniu, gdy ten zjawił się nagle, porwał Chińczyka na siodło i na wpół zduszonemu zawiązał usta czerwoną chustką. Po czym bez zbytniego pośpiechu zabrał chińskiego konia i powoli oddalił się w stronę gór.

— Kto to mógł być? — spytałem zdumiony swego przyjaciela.

— Jestem przekonany — odparł bez namysłu — że był to Tuszegun-Lama.

Późno w nocy dowiedzieliśmy się, że na próżno „kuli” oczekiwali powrotu mówcy-agitatora. W chwili, gdy niecierpliwość zgromadzonych doszła do punktu kulminacyjnego, spoza płotu rzucono do „nogan-choszuna” głowę mówcy. Z tego zgromadzenia nie powróciło też ośmiu „gaminów”, których widziano idących do koszar. W kilka dni potem znaleziono ich trupy, starannie złożone w dołach, gdzie zwykle przechowywano na zimę ziemniaki.

Wszystkie te wypadki ostatecznie nastraszyły tłuszcę, owe szumowiny wspaniałych, mądrych Chin, z chęcią pozbywających się najgorszych warstw zdemoralizowanego proletariatu.

Nie chcieliśmy jednak pozostawić bez protestu tego wiecu, który odbył się pod auspicjami pana gubernatora, zbyt blisko zaprzyjaźnionego z agentami bolszewickimi. Pojechałem do niego wraz z innym Polakiem, p. St. Błońskim, przedstawicielem dużej firmy amerykańskiej. Zwróciliśmy uwagę młodemu administratorowi na niestosowność jego sympatii dla bolszewików i na bezprawia w jego zarządzeniach. Wan-Dzao-Dziun i Fu-Siań byli bardzo zmieszani z powodu informacji, jakie posiadaliśmy o ich rokowaniach z agentami sowieckimi i o udziale w opracowaniu planu pogromu. Zapewnili nas solennie, że są pewni posłuszeństwa konwoju, który nie dopuści do walki ulicznej. Nie wątpimy, że konwój, złożony ze 100 regularnych żołnierzy, pod dowództwem poważnego i fachowego oficera, nie weźmie udziału w pogromie, lecz czyżby ci żołnierze mogli stawiać opór 300 „gaminom”, 3000 „kuli” i 100 uzbrojonym robotnikom i subiektem firm chińskich?!

Nazajutrz po tej rozmowie otrzymaliśmy wiadomość, że rosyjscy partyzanci „bia-li” zdobyli Wan-Kure i Dzain-Szabi, że pułkownik Kazagrandi połączył się z baronem Ungernem i że wszystkie linie komunikacyjne pomiędzy Mongolią Zachodnią i Urgą, a zatem i z Chinami, są już w ręku barona i Mongołów.

Wtedy dowódca partyzantów uliasutajskich, pułkownik Michajłow, urzędowo objął komendanturę nad miastem, aresztował agentów bolszewickich, szybko przeprowadził śledztwo i sąd skazał ich na śmierć, jak również zabójców Bobrowych — Kanina i Puzikową.

To wystąpienie Rosjan oburzyło władze chińskie. Atmosfera znowu zaczęła się zagęszczać, gdyż Mongołowie podtrzymali Rosjan. Lada chwila oczekiwaliśmy otwartej walki, której wyniki były dla mnie bardzo mgliste, gdyż absolutnie nie wierzyłem w dyscyplinę oddziału rosyjskiego i w taktowność ich dowódcy. Wtedy wraz z p. Błońskim, przedstawicielem firmy amerykańskiej, poradziliśmy księciu Czultunowi, by zaproponował zwołanie konferencji mongolsko-chińskiej dla załatwienia sporu bez przelewu krwi drogą rokowań pokojowych. Na tę propozycję zgodziły się władze zarówno mongolskie, jak też i chińskie. W ciągu paru dni zjechali się choszuni księżęta Mongolii Zachodniej i w Jamyniu rozpoczęły się rokowania. Ze strony Mongołów najczynniejszy udział w nich brali książę Czultun-Bejle, ks. Lama Dżap-Gun i ks. Nawanceren, a ze strony Chińczyków — Wan-Dzao-Dziun, Fu-Siań i paru urzędników z komisariatu chińskiego. Ja i p. Błoński byliśmy zaproszeni w roli doradców, lecz faktycznie byłem zmuszony kierować konferencją, gdyż co chwila wynikały spory, kłótnie, wzajemne wymówki i pogrożki, po których niektórzy z przedstawicieli Mongołów, jak np. Lama Dżap-Gun, grozili nożami i chcieli opuścić Uliasutaj, aby z bronią w ręku walczyć z zaborcami. Bolszewicy dowiedziawszy się o zaproszeniu mnie i p. Błońskiego, użyli wszelkich środków, aby wprowadzić do składu konferencji jednego ze swych przedstawicieli, kolonistę Burdukowa. Potrafilimy jednak przekonać go, że podjęcie się przez niego tej misji skończy się albo kulą, albo strykiem. Znikł więc i wkrótce ulotnił się zupełnie z Uliasutaju, co nie przeszkodziło mu jednak posłać o mnie wyczerpującego raportu sowieckim władzom pogranicznym; miało to wkrótce pewne skutki, co prawda z zakończeniem zupełnie nieoczekiwanym.

Dopiero po kilku dniach udało mi się wraz z p. Błońskim przekonać Wan-Dzao-Dziunia, że rząd pekiński uprawia w Mongolii politykę niezgodną z traktatami, uznany mi przez Chiny i że dla dobrych stosunków sąsiedzkich pomiędzy obydwojema narodami, Mongołowie powinni z honorami przepuścić gubernatora, jego urzędników i konwój przez Mongolię na południe do granicy Chin, zapewniając im nietykalność i opiekę. Chińczycy zaś mają dobrowolnie rozpuścić „gaminów” i „kuli”, rozbroić ich, oraz oddać władzę w ręce starego „saita” — księcia Czultuna. Komisariat chiński zaczął natychmiast po podpisaniu traktatu uliasutajskiego przygotowywać się do opuszczenia miasta i nazajutrz miał odjechać. Przed odjazdem gubernator chiński wydał mi list polecający do wszystkich władz chińskich, który bardzo dopomógł mi później do otrzymania pozwolenia na przejście granicy chińskiej.

Naraz gruchnęła wieść, że cały rządowy chiński tabun koni i wielbłądów ciężarowych nocą został skradziony i popędzony w niewiadomym kierunku. Jednocześnie Mongo-

lowie donieśli, że w pobliżu niektórych „urtonów” (stacji pocztowych) wykryto ciała zamordowanych gońców, wysłanych przez Wan-Dzao-Dziunia do Urgi.

Zdumienie powszechne było bezgraniczne. Lecz wyjaśnienie nastąpiło bardzo szybko. Mój przyjaciel Dżełyb-Dzamsrap-hutuhtu pchnął z klasztoru Narabanczi do ks. Czultuna gońca z doniesieniem, że jakiś nieznany oddział rosyjski, pod dowództwem pułkownika kozackiego, Domożyrowa, podszedł do klasztoru Narabanczi i żąda żywności, jurt, koni i srebra; nadto ten sam oddział, w którym znajduje się książę Bąldon-Hun, słynny zdobywca Kobdo, zamierza przeprowadzić mobilizację Mongołów w chanacie Jassaktu, nie mając na to upoważnienia od rządu mongolskiego i działając na mocy ustnego rozkazu barona Ungern von Sternberga. Hutuhtu prosił o pomoc, gdyż obawiał się zrabowania klasztoru przez Mongołów Bąldon-Huna i kozaków Domożyrowa.

Pułkownik kozacki Domożyrow przysłał rozkaz do rosyjskiego komendanta Uliasutaju, aby wyrzucił chińską załogę, zrabować bank chiński i zaaresztować chińskich urzędników, których zamierzał sądzić osobiście. Z wielkim trudem udało się mnie i saitowi przekonać komendanta, płk. Michajłowa, iż należy uszanować umowę mongolsko-chińską i nie naśladować Sowietów w ich gwałceniu wszelkich praw i zobowiązań, oraz nie mieszać się do spraw państw obcych, jakimi są Hałha i Chiny.

Książę Czultun-Bejle postanowił osobiście jechać dla zbadania sytuacji do Narabanczi-Kure, zabrawszy z sobą starostów rosyjskiego i chińskiego. Po jego odjeździe w ciągu kilku dni nie było od saita żadnych wiadomości. Mongołowie zaczęli się niepokoić i książę Lama-Dżap-Gun prosił mnie, żebym pojechał na pomoc Czultunowi i hutuhtu Narabanczi. W towarzystwie oficera, danego mi przez płk. Michajłowa i młodego kolonisty w roli tłumacza, wyruszyłem o świcie znaną mi już drogą do gościnnego Narabanczi-Kure, w kierunku którego widniały na śniegu ślady powozu Czultuna i koni konwojujących go jeźdźców.

## X. „BIAŁA” BANDA

Na trzeci dzień z wysokiej góry ujrzeliśmy Narabanczi-Kure, w okolicach którego spostrzegliśmy kilku jeźdźców, którzy na widok nas natychmiast pomknęli w stronę klasztoru. Nie mogliśmy zrozumieć, co to miało znaczyć.

Po godzinie byliśmy już w klasztorze i hutuhtu przyjął mnie w swojej wspaniałej jurcie, gdzie również znajdował się bardzo pośepny ks. Czultun. Po ceremonii ofiarowania „chatyka” i po wypiciu porannej herbaty hutuhtu rzekł głosem poważnym:

— Sami bogowie przysłali tu pana!

Ks. Czultun potakująco kiwnął głową.

Opowiedzieli mi o bezprawiach, czynionych przez Domożyrowa i Bąldon-Huna, o aresztowaniu przez nich starostów rosyjskiego i chińskiego, przybyłych z Czultunem, o groźbach zrabowania klasztoru i o bezmiernych wymaganiach obydwóch nojonów. W rezultacie prosił mnie o porozumienie się z tymi najeźdźcami i o przekonanie ich, że nie należy gwałcić praw i obyczajów kraju.

Kazałem zaprowadzić się do Domożyrowa. Około godziny 11-tej w nocy dwóch mnichów zaprowadziło mnie i mego oficera aż na brzeg rzeki Zapchyn, gdzie zobaczyłem kilkanaście jurt, które hutuhtu pod terrorem Domożyrowa postawił dla oddziału. Wszedłem do jurty „ursus-nojona”.

Na jakimś fantastycznym, niskim tronie siedział wysoki pułkownik bez butów. Był pijany i prawił dość tłuste dowcipy, zabawiając swoich oficerów, leżących w pozach malowniczych wokoło ogniska i popijających gorącą herbatę z wódką.

Pułkownik zaprosił nas do swojej jurty, częstował herbatą, lecz zaraz na wstępie oznajmił, że wszelkie poważne rozmowy odkłada do jutra. Zachowanie się jego względem nas, pomimo pozorów uprzejmości, było chłodne i nazbyt wstrzemięźliwe.

Podczas swoich opowiadań o wzięciu Urgi i o wojnie barona Ungerna z Chińczykami zaznaczył dobitnie, że ma rozkaz rozstrzelania każdego, kto ośmieliłby się przeszkadzać mu w tępieniu Chińczyków i w zemście nad tymi ciemieżycielami Mongolii. Z tego powodu ma zamiar rozstrzelać księcia Czultun-Bejle i obydwóch starostów z nim przybyłych. Słuchając jego słów oficerowie uśmiechali się nieznacznie, drwiąco patrząc na mnie. Zauważywszy to, oficer z którym byłem, uszczypnął mnie w udo.

Przyglądając się twarzom oficerów tej bandy, od razu dojrzałem kilku znajomych mi osobników, którzy zbiegli z oddziału Kazagrandi i byli przez niego zaocznie skazani na śmierć za dezercję i zdradę. Byli to ludzie ostatecznie zdemoralizowani, zdolni tylko do kłótni i grabieży, nie zaś do walki regularnej i bohaterstwa.

Pułkownik zaproponował nam nocleg w swojej jurcie. Gdyśmy się już pokładli, kolonista-tłumacz wcisnął mi w rękę małą kartkę. Przeczytałem ją ukradkiem, z obawy przed bystrym wzrokiem leżącego obok Domożyrowa.

Kolonista pisał: „Wystawiona warta. Wydany rozkaz strzelania do pana, w razie, gdyby pan zechciał wrócić do klasztoru”.

Gdy po otrzymaniu tej wiadomości rozmyślał nad planem działania, za jurtą rozległ się ochryply głos, pytający po mongolsku:

— Gdzie oni są? Chcę widzieć tych przybyszów!...

Do jurty, nisko pochylając w drzwiach swoją olbrzymią postać, wszedł barczysty Mongoł. Światło dogasającego ogniska oświetlało szeroką, pospolitą twarz pastucha o surowych, zuchwałych rysach. Stał pośród jurty i zasunawszy ręce za pas jął bacznie oglądać leżące postacie. Domożyrow podniósł się ze swego posłania i zaczął rozmawiać z Mongołem. Po chwili odezwał się do mnie:

— Z panem życzę sobie rozmawiać sławny, waleczny książę Baldon-Hun.

Usiadłem na posłaniu i milcząc przyglądałem się surowej twarzy pastucha, odznaczono przed laty tytułem książęcym za wyróżnienie Kobdo. Wyczułem wrogi nastrój księcia i przygotowałem się do odpowiedniego traktowania go.

— Sajn! — mruknął i usiadł przy ognisku, zapalając fajkę.

— Sajn bajna! — odrzekłem, wyjmując swoją.

Książę jednak nie podał mi ognia. Wtedy, nie zwracając na niego uwagi, odwróciłem się w stronę pułkownika, który też zaczął palić.

Baldon uważnie patrzył mi w oczy.

Mój oficer, leżący obok, szepnął do mnie:

— Przypomina mi to jedną ze scen Sienkiewicza: „Chmielnicki u Tuhaj-beja”. Domożyrow — Chmielnicki, ten Mongoł — Tuhaj.

Mimo woli uśmiechnąłem się na to trafne porównanie. Fala krwi uderzyła na twarz Baldona.

— Po coście tu przyjechali? — zapytał chrapliwie.

Puściłem dym i po chwili spokojnie odpowiedziałem:

— Kim jesteś i jakim prawem zapytujesz?

— Jestem książę Baldon — moje imię zna każdy Chińczyk i drży przed nim! — odparł wyniośle.

— Nie jestem Chińczykiem. Chin nie znam, imienia twego nigdy nie słyszałem. Jestem synem wolnego i walecznego narodu i nie mam zwyczaju drzeć przed kimkolwiek. Przyjechałem do naczelnika rosyjskiego w ważnych sprawach i z nim tylko będę o nich mówił.

Mongoł milczał, w oczach Domożyrowa było zdumienie. Wypaliłem fajkę i już nic nie mówiąc, położyłem się.

Baldon siedział kilka minut, głęboko zamyślony. Nareszcie wstał i nie spojrzawszy na mnie więcej, wyszedł.

Przypuszczałem, że znajomość moja z księciem-pastuchem skończy się na tej jednej wizycie. Lecz niestety zawiodłem się, gdyż po kilku minutach zjawił się Mongoł z zaproszeniem od Baldona, abym bezzwłocznie udał się do jego namiotu.

Ubrałem się i wyszedłem na dwór. Chociaż do jurty Baldona było nie dalej niż sto kroków, podano mi jednak konia wierzchowego. Zauważyłem, że do siodła był przywiązany duży, ciężki nahaj-taszur, co było dowodem wielkiej niegrzeczności ze strony Mongoła.

Wszedłem do jurty Baldona. Książę siedział na niskim posłaniu i przywitał mnie ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

Oczy mu zabłysły, gdy zauważył, iż wszedłem do jurty trzymając w ręku taszur, który według etykiety mongolskiej należy zawsze pozostawiać przed mieszkaniem.

Uczyniłem to jednak dlatego, aby zaakcentować niegrzeczne zachowanie się Baldona.

Usiadłem naprzeciwko księcia i zapaliłem fajkę. Zapanowało długie milczenie. Po kilku minutach Baldon, wskazując na mnie palcem, zapytał przez tłumacza:

— Kim jesteś?

Była to nowa, obmyślona impertynencja, gdyż Mongoł nigdy nie pozwolił sobie na takie brutalne pytanie.

Czułem, że porywa mnie wściekłość na tego pastucha. Pomilczawszy trochę, zapytałem z kolei, wskazując na Baldona:

— Kim jest ten człowiek, pastuchem i grubianinem, czy wodzem i księciem?

Baldon podskoczył jak oparzony i długo wpatrywał się w moją twarz. Nareszcie głosem chrapliwym rzucił:

— Rozstrzelam każdego, kto ośmieli się wchodzić mi w drogę!

Porwał za rewolwer, lecz pohamował się i z siłą uderzył ręką w stół. Coś mną wstrząsnęło i w tej samej chwili zareagowałem w sposób najbardziej przekonywujący Azjatów. Wstałem z miejsca i z całej siły smagałem ciężkim nahajem po stole.

— Powiedz — rzekłem do tłumacza — temu chamowi, że może przyjść do mnie na rozmowę, gdy przestanie być bydłem, a nauczy się być człowiekiem.

Zawróciłem i wyszedłem oczekując kuli w grzbiet, lecz Baldon stał jak skamieniały. Dopiero w kilka chwil później rozbił tłumaczowi twarz pięścią, lecz ja byłem wtedy w jurcie Domożyrowa.

Nazajutrz rano, gdy piliśmy herbatę, zjawił się znów Baldon. Był ubrany w paradny strój „huna” (księcia) i ujął nas swoją grzecznością. Pomyślałem, że bydło szybko „nauczyło się być człowiekiem”.

Poprosiłem pułkownika i księcia, aby przeszli się ze mną po stepie w celu swobodnego porozumienia, gdyż nie chciałem rozmawiać przy obcych.

Wyszliśmy. Podczas dwugodzinnej rozmowy przekonałem kozaka i Mongoła, że postępując według taktyki bolszewickiej jętrzą ludność i w ten sposób szkodzą jedynie sprawie walki z Chińczykami i z bolszewikami. Obydwaj przyznali się, że nie mają żadnych upoważnień od barona Ungerna, do którego właśnie posłali gońca po mandaty. Wreszcie wyrazili zgodę na porozumienie się z ks. Czultunem i hutuhtą klasztoru i na zaprzestanie zbójckiej polityki. Cała sprawa została ostatecznie w ciągu paru dni pomyślnie załagodzona. Bandyci uznali traktat uliasutajski, zwolnili aresztowanych starostów i rozpuszcili zmobilizowanych Mongołów. Baldon-Hun skierował się w stronę Kobdo na wywiad; pułkownik zaś Domożyrow pojechał ze swym oddziałem, składającym się z 12 ludzi, do chana Jassaktu w celu prowadzenia układów w kwestii ochotniczej mobilizacji ludności.

Na to nagłe postanowienie Domożyrowa wpłynęła wiadomość, że jakoby w Uliasutaju oczekują walki z czerwonymi wojskami, idącymi z północy. „Odważny kozak”, który wolał zabijać kupców chińskich i rabować ich „duguny” niż wojować, oddalił się od frontu pod pozorem naprędce wymyślonych misji, niby to z ramienia barona Ungerna. Jednocześnie posłał gońców do barona z fałszywymi denuncjacjami na mnie, na Czultuna, pułkownika Michajłowa, hutuhtę Narabanczi-Kure i na tych wszystkich, którzy przeszkadzili mu w wykonaniu jego ważnych „zarządzeń politycznych”.

O postępowaniu płk. Domożyrowa nikt z zainteresowanych osób nie wiedział, zresztą walczyć systemem denuncjacji nie mieliśmy zamiaru. Dopiero po upływie dłuższego czasu zrozumiałem przyczynę skazania na śmierć przez barona Ungerna księcia Czultuna, płk. Michajłowa i wielu innych. Zrozumiałem również dlaczego ja, którego oczekiwał ten sam los, byłem o włos od śmierci w jurcie barona Ungerna, podczas naszego spotkania w klasztorze Wan.

## XI. PRZED TRONEM „WŁADCY ŚWIATA”

Gdy znikły namioty bandy Domożyrowa i Baldon-Huna, którzy wyruszyli w różnych kierunkach, ks. Czultun zaprosił mnie do siebie i oznajmił, że wkrótce opuścimy Narabanczi-Kure. Hutuhtu Dżełyb odprawił nabożeństwo na intencję księcia w „świątyni błogosławieństwa”, ja zaś zwiedziłem klasztor, zaglądając w wąskie uliczki pomiędzy plotami, otaczającymi mieszkania lamów różnych stopni hierarchicznych: gelongów, ge-tułów, czoidzi, rabdzampe etc.; szkoły, gdzie wykładali surowi i uczeni „maramba” —



teolodzy buddyjscy, lub ta-lamy, znawcy medycyny tybetańskiej, bursy dla „bandi” — kleryków, składy, archiwa, biblioteki.

Gdy powrócił do jurty, zastałem już w niej hutuhtę. Podarował mi duży żółty „chatyk” i prosił, bym razem z nim zwiedził klasztor. Twarz Dżelyba nosiła ślady troski i zrozumiałem, że chce znaleźć sposobność do pomówienia ze mną. Gdyśmy szli głównym dziedzińcem klasztoru, przyłączyli się do nas: rosyjski starosta handlowy oraz oficer mongolski. Weszliśmy do jakiegoś dużego domu, stojącego za jaskrawożółtym ogrodzeniem. Ujrawszy moje zdziwienie na widok tej niezwyklej barwy, Dżelyb rzekł:

— W tym domu zamieszkiwali Dalaj-Lama i Bogdo-Gegeni-Chan; na pamiątkę ich pobytu ogrodzenia budynków, gdzie przebywali, zawsze są malowane tą „świętą” farbą. Wstąpmy tu na chwilę!

Wewnątrz dom był urządony z przepychem. Na parterze mieścił się pokój jadalny, w którym stały ciężkie, rzeźbione z hebanu stoły roboty majstrów chińskich i takież szafy i kredensy, przeładowane drogocenną, starożytną porcelaną i brązem. Na pierwszym piętrze były tylko dwa pokoje. W pierwszym z nich mieściła się sypialnia, której ściany i sufit były bardzo gustownie i misternie udrapowane grubą, żółtą tkaniną jedwabną. Z sufitu zwieszała się na łańcuchu z brązu latarnia chińska, wspaniałe dzieło sztuki z drewna, kryształu, malowanej porcelany i masy perłowej.

Na lewo od drzwi stało łóżko szerokie, kwadratowe, z jedwabnymi materacami, poduszkami i nakryciami. Łóżko, kolumny i baldachim były wyrzeźbione w hebanie z rysunkiem nieskończenie długiego smoka chińskiego, pożerającego słońce. Obok mieściła się garderoba w tym samym stylu z płaskorzeźbami, wyobrażającymi różne sceny religijne; tutaj też stały cztery głębokie i wygodne fotele. Naprzeciw wejścia na dwóch dość wysokich stopniach był umieszczony niski tron zwykłego typu wschodniego.

— Zwróćcie oczy na ten tron! — rzekł hutuhtu. — Przed trzydziestu pięciu laty przybyło do nas pewnej nocy kilku jeźdźców. Weszli do klasztoru i zażądali, aby się zgromadzili tu wszyscy gelongi, getuly i kanpo na czele z hutuhtą i gegeni. W tej komnacie zebraliśmy się wszyscy. Wówczas po tych stopniach wszedł człowiek z twarzą osłoniętą gęstą zasłoną czarną i zasiadł na tronie. Padliśmy wszyscy na kolana, gdyż bezwiednie w głębinach dusz naszych zrozumieliśmy, że mamy przed sobą tego, o którym w niejasny, mistyczny sposób mówią czasem w swoich bullach jasnovidzący Dalaj-Lama, najmędrszy Taszi-Lamai proroczy Bogdo-Gegeni. Pojęliśmy, że widzimy tu tego, do którego należy cały wszechświat: niebo, ziemia, woda, podziemia, i którego mądry, jasny wzrok obejmuje bezmierne tajemnice nieznanych światów. Przed nami był „władca świata”. Po krótkiej modlitwie tybetańskiej „władca świata” pobłogosławił zebranych, po czym przepowiedział wszystko, co miało zajść w ciągu trzech przyszłych dziesięcioleci. Wszystko się spełniło, wszystko! Podczas modlitwy „władcy świata” świece i lampy w małej świątyni, mieszczącej się w sąsiedniej komnacie, zapaliły się same, a suche trawy i smoła, leżące w kielichach ofiarnych, zaczęły się rozpuszczać w niebieskie smugi i wirujące potoki wonnego dymu. „Władca świata” znikł nagle. Pozostały po nim tylko te oto fałdy na zmiętym jedwabiu poduszek, leżących na tronie. Sprężysta tkanina jeszcze się ruszała, powoli wracając do stanu pierwotnego.

Hutuhtu wszedł do kaplicy i uklękawszy przed ołtarzem, jął się modlić, zakrywając twarz rękami lub podnosząc dłonie do góry.

Patrzyłem na spokojne, obojętne oblicze mądrego Buddy ze złota, i obserwowałem grę światła i cieni rzucanych przez małą, palącą się na ołtarzu lampę olejną, dziwnie ożywiająca chwilami twarz posągu. Później przeniosłem wzrok na tron, stojący prawie naprzeciwko drzwi kaplicy. O dziwo! Zupełnie wyraźnie widziałem potężną postać starca o jarzących się jak gwiazdy oczach i mocno zaciśniętych wargach, zdradzających niezwykłą siłę woli. Przez jego ciało i białą szatę przeświecało oparcie tronu ze świętymi napisami tybetańskimi. Zamknąłem oczy i po chwili znowu spojrzałem. Na tronie nie było nikogo, lecz fałdy na poduszkach stały się głębsze i jedwab pokrycia nieznacznie się poruszał.

Hutuhtu nagle zwrócił do mnie swoją twarz i rzekł:

— Daj mi swój „chatyk”. Czuję, że się boisz o los tej, którą miłujesz i miłowałaś przez całe życie. Chcę się modlić za nią. Módl się i ty. Zwróć oczy duszy twojej do „Władcy świata” i mów: „Wysłuchaj, zrozum, spełnij”... On cię usłyszysz, bo jest to miejsce uświęcone przez niego i tu pozostał jego cień, który padł na ściany tej komnaty...

Hutuhtu zawiesił „chatyk” na ramieniu Buddy i padłszy na twarz przed ołtarzem, namiętnie i gorąco szeptał słowa modlitw i zaklęć. Po chwili podniósł się i skinął na mnie. Gdy się zbliżył, szepnął:

— Patrz w tę ciemną przestrzeń za posągiem Buddy. On ci pokaże tych, których nosisz w swoim sercu!

Mimo woli usłuchałem tego gorącego, przenikającego szeptu i zacząłem wpatrywać się w ciemną niszę za ołtarzem. Po pewnym czasie w ciemności zjawiała się cienka smuga dymu, rozdzieliła się na kilka innych, które zaczęły wirować, przeplatać się, aż nareszcie przybrały kształty ludzkie. Ujrzałem twarz ukochaną, każdy rys jej był wyraźnie widzialny. Rozróżniłem suknie oraz kilka osób z otoczenia. Po chwili widzenie zaczęło coraz bardziej blednąć, rozwiewać się i wreszcie przeistoczyło się w smugi dymu, przezroczystego jak drganie powietrza nad powierzchnią ziemi, nagrzanej przez promienie słońca. Wreszcie i to znikło. Za posągiem znowu czaił się mrok. Hutuhtu wstał i zdjął z ramienia Buddy „chatyk”.

— Szczęście będzie zawsze z tobą i z tymi, którzy rozjaśniają twoje serce i duszę! — rzekł poważnie. — Łaska bóstwa nigdy cię nie opuści! „Wielki Nieznany” będzie ci odpowiadał, gdy się zwrócisz do niego!

Wyszliśmy z domu, gdzie niegdyś przebywał „Wielki Nieznany”, czyli „Władca świata”, gdzie się modlił za wszystkich ludzi i przepowiadał losy ludów i państw, a więc: rozkład Chin, wzmoczenie się Japonii, upadek Rosji, bolszewizm, podział imperium brytyjskiego i zrodzenie się idei Dżengiza, władcy połowy starego świata. Powracając z klasztoru, zaczęliśmy rozmowę o widzeniu, które miałem w kaplicy i jakież było moje zdziwienie, gdy hutuhtu, starosta i oficer mongolski bardzo szczegółowo i ściśle opisali wszystkie osoby, ich twarze, ubrania i otoczenie, które widziałem pośród smug dymu za złotym posągiem Buddy.

Mongol-oficer opowiadał mi, że ks. Czultun prosił wczoraj Dżelyba, aby w momencie tak doniosłym dla kraju pokazał mu jego przyszłość, lecz Dżelyb z przerażeniem odmówił.

Zapytany przeze mnie, dlaczego to zrobił, hutuhtu nachmurzył brwi i zmarszczył czoło. Na jego twarzy odbiło się głębokie wzruszenie pełne trwogi.

— Widzenie nie dałoby ukojenia i szczęścia księciu! — rzekł ze smutkiem. — Jego losy są czarne jak noc. Onegdaj trzykrotnie wróżyłem z opalonej łopatki barana i ciągle wypadło jedno i to samo...

Nie dokończył i drżąc ze strachu zaslonił twarz rękami. Dżelyb wywróżył prawdę. Los księcia Czultun-Bejle był czarny jak noc jesienna.

W godzinę po tej rozmowie wspólnie z ks. Czultunem pozostawiliśmy za sobą niewysokie góry, otaczające gościnny i tajemniczy Narabanczi-Kure, które ukochał „Wielki Nieznany” za surowe obyczaje i moralność mnichów.

## XII. TCHNIENIE ŚMIERCI

Przybyliśmy do Uliasutaju, który przeżywał znowu dni trwogi. Pułkownik Domożyrow listownie namówił komendanta Uliasutaju, Michajłowa, do posłania pogoni za gubernatorem chińskim i za jego konwojem. Oficer dowodzący oddziałem nie tylko rozbroił konwój chiński bez oporu z jego strony, ale zrabował prywatne bagaże gubernatora i urzędników. Gdy oddział powrócił z tej wyprawy, można było widzieć oficerów i żołnierzy defilujących w ubraniach i butach urzędników chińskich, sprzedających złote zegarki, pierścionki, bransoletki i grających w karty za zagrabione dolary chińskie.

Uczciwsza część oficerstwa rosyjskiego oraz administracja mongolska były oburzone takim hańbiącym czynem i pogwałceniem podpisanej umowy mongolsko-chińskiej. Stosunki pomiędzy ks. Czultun-Bejle a komendantem, płk. Michajłowem, stawały się coraz bardziej napięte; rozłam zaś w obozie oficerów rosyjskich, żołnierzy i kolonistów pogłębiał się z dniem każdym. Wzburzenie dosięgło szczytu wówczas, gdy doszło do powszechnej wiadomości, iż komendant dostał część rzeczy i pieniędzy zrabowanych Chińczykom.

„Sait” żądał odebrania łupów nieprawnie zdobytych i złożenia ich w urzędzie mongolskim dla odesłania do Chin; rosyjska grupa płk. Michajłowa opierała się temu; prze-

ciwnicy zaś pułkownika zaczęli przebąkiwać o konieczności usunięcia go i załagodzenia sprawy przykrej i hańbiącej oficerów.

Czultun prosił cudzoziemców, by przekonali komendanta, że postępuje bezprawnie, lecz Michajłow uparł się, usunął z urzędów oficerów nie zgadzających się z jego polityką i zastąpił ich swoimi przyjaciółmi. Wycofaliśmy się z całej tej sprawy i w charakterze świadków obserwowaliśmy bieg rozwijających się wypadków, które skończyły się niebywałą katastrofą.

Epilogiem całej tej historii miała być wisząca w powietrzu wojna domowa wśród Rosjan. Lecz nowe zdarzenia odsunęły ją na drugi plan.

Pewnego poranka kwietniowego do Uliasutaju zawitała nowa grupa jeźdźców, którzy zatrzymali się w niegościnnym dla niebolszewików domu kolonisty Burdukowa, czyli, jak mówiono tu, w „sztabie bolszewizmu na Mongolię”. Jeźdźcy podawali się za oficerów gwardii carskiej. Byli to: płk Poletika i czterech braci Filipowych.

Zjawiwszy się u komendanta, pokazali oni dokumenty jakiejś nieznanego nikomu, „wszechsyberyjskiej białej organizacji oficerskiej” i oznajmili, że mają rozkaz formowania pułków antybolszewickich z wojowniczych plemion mongolskich: Czaharów, Dzaczynów, Oletów i Turgutów w celu walki z bolszewikami w Urianchaju, a później na całej Syberii południowej. Przybyłszy byli bardzo podrażnieni wiadomością, że Mongołowie już usunęli Chińczyków ze swego terytorium, gdyż mieli „tajne dyplomatyczne polecenia do administracji chińskiej”. Jeden z Filipowych, pułkownik, pokazał rozkaz mianujący go głównodowodzącym mongolską dywizją, płk. zaś Poletikę — naczelnikiem sztabu. Tytułem tego dziwna ta grupa wydała natychmiast szereg rozporządzeń, na mocy których dokonywała nowych mianowań, zmian i awansów. W tych rozkazach i zarządzeniach była taka pewność siebie, że oficerstwo, nawykłe do karność, początkowo się temu poddawało. W razie oporu Poletika groził Domożyrowowi aresztem i wojną z baronem Ungernem i z hetmanem Siemionowem. Był to oszołamiący potok grzmiących słów, groźnych frazesów, pewnych siebie gestów i bezgranicznej bezczelności.

Jeden wszakże z rozkazów tego nowego „naczalstwa” wzbudził we mnie i w adiutancie komendanta poważne podejrzenia co do przyjezdnej „grupy pięciu”. Rozkazem tym zostałem mianowany gubernatorem Mongolii. Dlaczego mnie właśnie powierzono ten urząd? Mongołowie, Chińczycy i Rosjanie Zachodniej Mongolii znali mnie oczywiście dobrze, lecz któż wiedział o moich wpływach i stosunkach w Mongolii w jakiejś nieznannej „białej organizacji” na Syberii?

Z tego wywnioskowałem, że dokument „organizacji” o moim mianowaniu był sfabrykowany na poczekaniu w Uliasutaju przez przybyłych oficerów. Lecz w jakim celu to uczynili?

Na to odpowiedziały mi wypadki dni najbliższych.

„Grupa pięciu” marzyła o przetruceniu wszystkich istniejących już rosyjskich oddziałów partyzanckich do Urianchaju przeciwko wojskom sowieckim. To był cel jasny i zrozumiały. Lecz właśnie wtedy, gdy układano plan tej wyprawy, nadeszły wiadomości, że sowieci wprowadziły do Urianchaju znaczne siły i porozumiały się z gubernatorem chińskiego Sinkiangu. Ten zaś przyrzekł, że o ile w północnej Mongolii zacznie się ruch „białych” oddziałów w stronę Urianchaju, wówczas on rzuci na ich tyły 20 000 żołnierzy chińskich i w ten sposób zmusi je do przejścia granic Urianchaju. Wówczas Urianchaj stałby się pułapką dla oficerów i żołnierzy-uciekierów, a niepokojąca sowieci kwestia tworzenia przez Siemionowa, Ungerna i Kazagrandi sił antybolszewickich na terenie Hałhi byłaby zlikwidowana na zawsze. Po tej zaś likwidacji ja, jako samozwańczy „gubernator” Mongolii, byłbym przez Chińczyków zaarrestowany i wydany sowietom.

Gdy to wszystko doszło do naszej świadomości, „grupa pięciu” została zaproszona na zebranie oficerów dla wyjaśnienia „niektórych budzących niepokój wątpliwości”.

Wątpliwości te zaś były bardzo poważne i zatrważające.

Nie mogliśmy zrozumieć, w jaki sposób tych pięciu ludzi mogło przedostać się, mając tylko sowieckie pieniądze, przez Urianchaj, zajęty przez sowieckie wojska, przedostać się „całą rodziną”, gdyż w grupie było czterech braci. A przy tym mieli oni dobre ubranie, uzbrojenie, konie i co było najbardziej podejrzane, olbrzymią ilość dokumentów, wydanych z organizacji antybolszewickiej.

Dlaczego ci oficerowie zatrzymywali się po drodze tylko w domach sowieckich sympatyków, jak na przykład u Burdukowa w Uliasutaju? Tajny nasz wywiad doniósł, że Burdukow dał przybyłym sporą ilość srebra i dolarów, podejmował ich hucznie i wspólnie i schował u siebie jakieś papiery, oddane mu przez „grupę pięciu”.

Na zebraniu oficerów płk Poletika w tonie przechwałki oznajmił, że jeden z Filipowych był adiutantem sowieckiego głównodowodzącego Kamieniewa i razem z nim odbył pierwszą niefortunną wycieczkę delegacji sowieckiej do Anglii.

Skutkiem tej przykrej pogadanki miejscowych oficerów z nieznanymi przybyszami było wyrażenie ostatnim wotum nieufności; w parę zaś dni potem nastąpił rozłam w oddziale, gdyż sam komendant i jego grupa łatwowernie przeszła na stronę przybyłych.

Nie pomogły żadne perswazje, jakkolwiek jeden z najenergiczniejszych oponentów i sceptyków, bardzo rozumny, niemłody już oficer wyraźnie zaznaczał, że przyjezdni są zdrajcami już choćby dlatego, że publicznie wymieniali nazwę tajnej „białej organizacji”, imiona i adresy jej przywódców, wiedząc przecież, że szpiegdy sowieccy są rozsiani wszędzie po Mongolii.

W rezultacie większość oficerów twierdziła, że nieznanymi przybyszami są agentami sowieckimi, delegowanymi dla unicestwienia wysiłków i akcji oddziałów antybolszewickich na terenie Halhi. Grupa zaś komendanta Michajłowa wierzyła w lojalność nieznanymi i w prawdziwość ich dokumentów osobistych.

Powstały nowe spory, niesnaski, zupełny rozłam w oddziale.

Pierwsza grupa żądała aresztowania podejrzanych przybyszów, druga zaś opiekowała się nimi i nawet sam komendant wtajemniczył ich w sprawy oddziału uliasutajskiego i dopuścił do rokowań z saitem Czultun-Bejle coraz to nieprzychylniejszym dla Rosjan.

Jednakże „grupa pięciu” przycichła. Nie było już mowy o tworzeniu korpusu z wojowniczych Mongołów, o dyplomatycznych stosunkach z Pekinem i z Urgą, o ogłoszeniu barona Ungerna za wyjątego spod prawa i o walce zbrojnej z hetmanem Siemionowem. Nie wspomniano więcej o moim gubernatorstwie w Mongolii, czego stanowczo od razu się zrzekłem, nie zważając na usilne ich prośby; nie wspominali również przyjezdni o nowych awansach i zmianach w składzie dowództwa i o wyprawie do Urianchaju. Czuli widocznie, że każdy ich krok bacznie śledzono.

Nareszcie po nieudanej wyprawie do Jassaktu-Chana, przybył do Uliasutaju płk Domożyrow ze swym oddziałem. Natychmiast zaczęły się na nowo intrygi i spory o władzę pomiędzy komendantem Michajłowem, „grupą pięciu” i Domożyrowem. Oficerowie i żołnierze podzielili się na grupy stosownie do sympatii dla któregoś z pułkowników. Powstały spory i nawet bójkę. Oddział, który mógł stanowić obronę dla uciekinierów rosyjskich w Mongolii, zdemoralizował się do szczytu i coraz szybciej przekształcał się w bandę. Najpoważniejsi i najuczciwsi oficerowie zupełnie wycofali się z życia oddziału i kolonii rosyjskiej, tylko z musu pełniąc swe czynności wojskowe. Domożyrow i „grupa pięciu”, finansowana przez bolszewika Burdukowa, na wyścigi wysyłali gońców: pierwszy do barona Ungerna, drudzy do „Żywego Boga” i do Pekinu. Lecz „sait” Czultun-Bejle przyłapywał gońców z listami. Michajłow ze swej strony słał listy do barona Ungerna z różnymi zapytaniami, prosząc saita o dostarczenie ich do Urgi, lecz Czultun, pozornie zgadzając się na to, listy te również zatrzymywał.

Nareszcie zaszedł wypadek, który ostatecznie dowiódł, że w oddziale uliasutajskim dyscyplina już nie istnieje. Pewnego poranka żołnierze rzucili się na skład broni i rozgrabili go, zabrawszy karabiny, kulomioty i naboje, które częściowo należały do rządu mongolskiego.

— Ta-ak! — zauważył głosem smutnym mój agronom. — Niedługo już będziemy mieli nasz własny „sowiec”.

Rzeczywiście, wypadki biegły tak szybko, że można było przewidywać podobny koniec. Żołnierze urządzili swój własny wiec, na którym jakiś kozak bardzo złośliwie zaproponował:

— Mamy teraz aż siedmiu pułkowników. Każdy z nich ma się za naczelnego dowódcę i wszyscy się kłócą. Co mamy robić? Kogo słuchać? Radzę rozłożyć wszystkich pułkowników na placu i bić ich nahajami. Ten, który się okaże najwytrwalszym, niech pozostanie naszym dowódcą.

To był żart złowrogi, lecz świadczył o demoralizacji oddziału.

Gdy dowiedzieliśmy się o tym, mój towarzysz z właściwym sobie jowialnym dowcipem rzekł:

— Niech to diabli porwą! Mamy już więc „sowiec żołnierskich deputatów”... Trudno, trzeba się z nim pogodzić — Moskale na nic lepszego nie zasłużyli... Źle tylko, że w Mongolii nie ma lasów, do których dobry katolik mógłby dać porządnego nura.

Rozkład wewnętrzny wśród Rosjan potęgował się, dopomagał zaś temu najwięcej Domożyrow, dzięki swoim kozakom, którzy wszędzie agitowali na jego korzyść.

Jakkolwiek prawie zupełnie usunąłem się od życia kolonii i oddziału i prowadziłem z saitem narady w kwestii odjazdu do Urgi naszej polskiej grupy, Domożyrow najbardziej wrogo spoglądał na mnie, pamiętając o swym niepowodzeniu w Narabanczi-Kure i w Uliasutaju, gdzie przedstawiłem płk. Michajłowowi całą sprawę w należytych okolicznościach.

Ludzie z bandy kozackiego zbója szpiegowali mnie i śledzili wszędzie i zawsze. Otrzymałem od przyjaciół kilka ostrzeżeń, abym się miał na baczności. Powtórzono mi słowa Domożyrowa, który jakoby z nienawiścią mówił o jakimś Polaku, który uzurpował sobie prawo wtrącania się do spraw rosyjskich.

Gdy w domu jednego z kolonistów jakiś pijany oficer z bandy Domożyrowa, zamierzając sprowokować z mej strony wybuch, zadał mi pytanie podobnej treści, odpowiedziałem zupełnie spokojnie:

— Jakim prawem wdzierają się do życia Mongolii uciekinierzy rosyjscy, którzy nie mają żadnych praw nie tylko tu, za granicą, lecz nawet w swoim własnym kraju?

Oficer nic na to nie odpowiedział, lecz w jego oczach zamigotały złe ogniki. Zmitygował się jednak od razu, gdyż mój olbrzym bardzo niedwuznacznie przysunął się do niego i bacznie zaglądał mu w oczy.

Jednakże pewnego wieczoru domożyrowscy bandyci zamierzali uczynić na mnie napad, który udaremniłi moi towarzysze z grupy polskiej.

Wówczas późnym wieczorem powracałem z fortecy od saita do miasta. Należało jechać około dwóch kilometrów szerokim gościńcem, przez bezludną równinę. Mój wierzchowiec szedł stępą. Nagle o pół kilometra od miasta z rowu przy gościńcu wyskoczyło trzech ludzi i zaczęło biec ku mnie w milczeniu, nie reagując na moje pytania, kim są i czego chcą ode mnie. Zaciąłem wtedy konia i popędziłem w stronę miasta. Nagle ktoś głosem znajomym zaczął na mnie wołać. Obejrzałem się i zobaczyłem kilka postaci, szamocących się wśród kamieni. Wreszcie dobiegło mnie wołanie po polsku. Popędziłem z powrotem i zbliżywszy się, spostrzegłem trzech oficerów domożyrowskich, którym żołnierze polscy pod kierownictwem mego agronoma związywali ręce, on zaś sam z jakąś straszną siłą wykręcał ręce wysokiemu barczystemu kozakowi i zaciągał je pasem. Później rzucił go jednym pchnięciem nogi na ziemię, zapalił swą nieodstępną fajeczkę i głosem zdradzającym bardzo poważne zafrasowanie, rzekł:

— Myślę, że najlepiej wrzucić tych drabów do rzeki...

Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu, słysząc tak poważną uwagę mego przyjaciela. Widząc przerażenie kozaków zapytałem ich, w jakim celu mnie gonili i z czyjego rozkazu działali.

Milczeli, spuściwszy oczy. Milczenie ich powiedziało mi wszystko. Przy rewizji znaleźliśmy u każdego z nich rewolwer w zanadrzu.

— Doskonale! — powiedziałem, zwracając się do kozaków. — Wszystko rozumiem. Poślę was cało do tego, kto dał wam zbójce zlecenie, lecz powiedzcie mi, że za następnym razem nie ujrzę was więcej. Broń waszą zatrzymuję i oddam ją komendantowi.

Agronom zaczął rozwiązywać im pęta, a czynił to z taką samą, jak poprzednio, starannością... aż stawy im trzeszczały. Przy tej operacji szeptał im do ucha:

— Co do mnie, to bym was posłał do rzeki na pokarm dla ryb...

Zostawwszy kozaków, powróciliśmy do miasta.

W kilka dni później do Uliasutaju przybyło nowe „naczalstwo” — jakiś prosty kozak Kazancew z pełnomocnictwem od barona Ungerna, którego oszukał, przedstawivszy mu się jako oficer. Kazancew aresztował komendanta, rozbroił „grupę pięciu”, zrobił duże zmiany w oddziale i wniósł nowe rozdrażnienie i niesnaski.

Za zgodą Kazancewa „grupa pięciu” zaczęła formować jakiś swój własny „sztab”, z którym zamierzała wyjechać do barona w celu rozpoczęcia rokowań w imieniu „białej ofi-

cerskiej organizacji syberyjskiej”. Plk Poletika, jeden z oficerów tej grupy, zręczny agent i doskonały demagog, potrafił przeciągnąć na swoją stronę kilku oficerów z Michajłowem na czele, ofiarowując im znaczne sumy pieniędzy.

Cała grupa cudzoziemska postanowiła wreszcie opuścić niezwłocznie Uliasutaj. Część ich z rodziną państwa Stanisławostwa Błońskich na czele skierowała się starym traktem karawanowym przez Gobi, omijając Urgę i zamierzając wyjść na pierwszą stację kolei — Kokohoto, skąd miała się udać na Kałgan-Pekin-Szanghaj. Moja zaś partia, złożona z agronoma, z dwóch żołnierzy polskiej dywizji syberyjskiej oraz mnie — miała jechać do Urgi, kierując się przez Dzain-Szabi, gdzie postanowiłem spotkać się z pułkownikiem Kazagranti, który prosił mnie o to w kilku listach. Zresztą nie chciałem omijać Urgi, gdyż wiedziałem, że baron Ungem był wrogo do mnie usposobiony i gdybym chciał uniknąć spotkania się z nim, ten nieprzychylny stosunek byłby niezawodnie przyczyną śmierci mojej i mojej grupy.

Nareszcie więc rozstaliśmy się z Uliasutajem, gdzie przeżyliśmy tyle silnych wrażeń. Jechaliśmy konno, mając „dzazrę”, daną mi przez księcia Czultuna.

Obie nasze grupy, choć z różnymi przygodami, dotarły jednak do celu wyprawy. Uliasutajska zaś kolonia doczekała się strasznych dni kary za niesnaski, bandytyzm, brak karności i patriotyzmu. Baron Ungern posłał do Uliasutaju duży oddział mongolski pod dowództwem Buriata, oficera Wandałowa i rosyjskiego kapitana Bezrodnowa, którzy mieli ustalić porządek w mieście.

Oddział ten, który spotkałem w drodze do Urgi, przyłapał plk. Poletikę, braci Filipowych, plk. Michajłowa i kilku innych oficerów, którzy jechali z żonami i dziećmi. Bezrodnow wiedział, że grupa ta chciała ominąć Urgę, siedzibę barona Ungerna, że miała przy sobie rzeczy zrabowane Chińczykom, dużo srebra i jakieś podejrzane papiery. Wszyscy członkowie tej grupy, z wyjątkiem plk. Filipowa, który dostał pozwolenie natychmiastowego wyjazdu do barona Ungerna, zostali rozstrzelani wraz z rodzinami. Stało się to w ponurym wąwozie koło klasztoru Dzain-Szabi, gdzie znalazła śmierć tajemnicza „grupa pięciu” i uciekinierzy rosyjscy, których smutne losy ojczyzny nie nauczyły jednak ani karności, ani jedności.

Po przybyciu do Uliasutaju Bezrodnow rozstrzelał księcia Czultuna-Bejle, aresztował Domożyrowa i odesłał go do Urgi, gdzie baron Ungern kazał mu dać 150 kijów i trzymał go w przeciągu 8 dni na dachu bez jedzenia i ciepłego ubrania; rozstrzelał też prawie wszystkich kolonistów i oficerów, którzy walczyli o władzę i zaprowadził... ład śmierci. Spełniły się więc raz jeszcze przepowiednie hutuhtu Narabanczi. Czultun-Bejle zginął z powodu denuncjacji Domożyrowa, który i mnie też nie oszczędzał. Wiedziałem więc, że grozi mi bezpośrednie niebezpieczeństwo, lecz postanowiłem bądź co bądź jechać do Urgi. Przyzwyczailem się patrzeć śmierci prosto w oczy, więc jechałem na spotkanie straszliwego „krwawego” barona.

Można było ominąć siedzibę „krwawego” Ungerna, lecz losu nikt nie ominie... Za winnego się nie uważałem, a uczucie strachu w ciągu naszej podróży zupełnie już w mnie zanikło od ciągłego obcowania z niebezpieczeństwami.

O krwawych zdarzeniach w Uliasutaju i Dzain-Szabi dowiedziałem się już w drodze, od Mongoła, który jechał z jakimiś listami do Urgi i spędził noc razem ze mną w jurcie „urtonu”. Przy herbacie opowiedział mi ponurą „legendę śmierci”.

— Dawno, bardzo dawno, wtedy, kiedy Mongołowie byli jeszcze władcami Chin, księciem Uliasutaju był szalony Bełtys-Wan. Karał on śmiercią wszystkich bez sądu i nikt nie odważał się jeździć po posiadłości szaleńca. Oburzeni książęta „choszunów”, bogaci Mongołowie, otoczyli wreszcie miejsce, w którym szalał Bełtys, odcięli wszystkie drogi, nie wpuszczając i nie wypuszczając nikogo. W Uliasutaju zaczął się głód i nareszcie Bełtys-Wan postanowił przebić się ze swoją drużyną przez wrogie kordony na zachód, do Oletów, z plemienia których pochodził. Zginął on jednak wraz ze swymi bojownikami w potyczce z powstańcami. Książęta, idąc za radą hutuhtu klasztoru Bujanty, pogrzebali ciała zabitych na północnych spadkach gór otaczających Uliasutaj. Zakopali je z zaklęciami przeciwko duchom mordy, aby już nigdy w tym kraju nie mogła się zdarzyć śmierć z rąk morderców. Hutuhtu też przepowiedział, iż śmierć i duchy mordy zjawiają się dopiero wtedy, kiedy na mogile pogrzebanych zostanie przelana krew człowieka. Taka to istniała pośród nas legenda... Obecnie sprawdza się ona! Rosjanie na mogile Bełtys-Wana

i jego drużyny rozstrzelali bolszewików. Chińczycy zaś dwóch Mongołów. Duchy mordu wyrwały się spod przywalających je kamieni, a zły duch Bełtysa, w postaci śmierci, szerzy mord na ziemi, kosząc ludzi jak suchą, ściętą mrozem trawę. Zginął potomek Dżengiz-Chana, szlachetny Czultun-Bejle, zginął „urus-nojon”, Michajłow, zginęło dużo, dużo ludzi, a śmierć mknie stepami Mongolii i wszędzie dla niej wolna droga! Kto ją teraz wstrzyma? Kto zwiąże jej ręce nielitościwie? Złe przyszły czasy, krwawe, wrogie bogom i dobrym duchom... Gdy złe duchy rozpoczęły wojnę przeciwko dobrym... cóż tu poradzi słaby człowiek? Co mu pozostaje? Tylko zguba... Tylko śmierć...

# CZEŚĆ TRZECIA. „KRWAWY GENERAL”

## I. DROGA DŻENGIZ-CHANA

Wielki wojownik, syn surowej i ponurej Mongolii, Dżengiz-Chan — według jednej z legend — „wstąpił na szczyt Karasu-Togoła i orlim wzrokiem ogarnął Zachód i Wschód. Na Zachodzie ujrzał morze krwi ludzkiej, nad którym unosiła się mgła czerwona, zakrywająca widnokrąg. Nie dojrzał Dżengiz na zachodzie swego przeznaczenia, lecz bogowie rozkazali mu iść tam i prowadzić za sobą waleczne hordy, złożone ze wszystkich szczepów mongolskich. Na wschodzie zaś Dżengiz widział bogate miasta, wspaniałe świątynie, szczęśliwe tłumy ludzi, ogrody i pola, pełne owoców i zboża. Uradowała się dusza wielkiego Mongoła. — Tam na Zachodzie — powiedział, zwracając się do synów — będę ogniem i mieczem, groźną i karzącą Karmą; na Wschód zaś przyjdę jako miłośnicy, wielki budowniczy, który przyniesie szczęście i sławę ludom i krajom...”

Tak opiewa legenda. Przekonałem się, że jest w niej sporo prawdy. Przebyłem znaczną część zachodniego szlaku dżengizowego, zawsze odnajdując go przy pomocy starych mogił lub zuchwale piętrzących się kurhanów krwawego wozu. Szedłem też wschodnim szlakiem wielkiego zdobywcy, szlakiem, który prowadzi do Chin.

Wyjechawszy z Uliasutaju, pewnego wieczora zatrzymałem się ze swymi towarzyszami na nocleg w Dżargałantu. Stary arendarz „urtonu”, który już znał mnie z mojej podróży do Narabanczi-Kure, przyjął nas bardzo gościnnie i przy kolacji zabawiał opowiadaniem. Wyprowadził mnie z jurty i pokazał mi górę oblaną światłem księżyca, opowiadając, że Dżengiz-Chan, zanim został władcą całej Centralnej i Wschodniej Azji, wykonując wolę bogów, posuwał się na wschód i tu, zachwycony ponurą, lecz malowniczą miejscowością i doskonałymi pastwiskami, rozkazał wznieść miasto warowne. Przebywał tu jednak niedługo i pociągnął dalej. Miasto to opustoszało, gdyż Mongołowie, dla których step jest domem, miasto zaś światem, mieszkac w miastach nie lubią i nie mogą. Kilkakrotnie miasto to było świadkiem boju pomiędzy Chińczykami i hordami potomków Dżengiza. Później o nim zapomniano i teraz pozostała tylko jedna rozsypująca się w gruzy baszta, z której niegdyś staczano na głowy napastników ciężkie kamienie, oraz część muru z „wrotami Kubłaja”, dżengizowego wnuka. Na zielonkawym niebie, przesyconym blaskiem księżyca, odcinały się ciemne, ostre zęby górskiego szczytu i czarne widmo baszty z otworami okien, przez które widniało niebo i płynące po nim obłoczki srebrzyste.

W jurcie Mongoła zaobserwowałem bardzo ciekawą scenę urodzin dziecka i pierwsze chwile jego istnienia na tym padole łez i smutków. Natychmiast po urodzeniu wymyto je po raz pierwszy i... ostatni w życiu kwaśnym mlekiem jaka<sup>3</sup>, po czym oddano je matce, która trzymając dziecko przy piersi, wyniosła je z namiotu w step zupełnie nagie, pomimo dość silnego i mroźnego wiatru. Po godzinie dopiero powróciła do jurty, na progu której kobiety ofiarowały jej kołyskę — małe korytko modrzewiowe, do połowy napełnione suchym nawozem owczym.

Matka, nakrywszy nawóz cienką skórą kozłą, położyła niemowlę, owinęła je wraz z kołyską w dwie skóry baranie i obwiązała mocnymi rzemieniami. Ojciec zaś zawiesił kołyskę na pułapie jurty na długim rzemieniu i pchnął silnie. Krążąc po jurcie, niemowlę pływało w powietrzu pełnym dymu, skazane na taki tryb życia w ciągu dwóch lat. Zwykle matki-Mongołki przy karmieniu nie wyjmują dziecka, lecz razem z kołyską przytulają do piersi i tylko raz na dwa tygodnie zmieniają mu w kołysce nawóz owczy, który doskonale wchłania wszystkie wydzieliny i dezynfekuje. Matka karmi dziecko do pięciu lat, o ile może piersią lub mlekiem białego jaka, po czym już ojciec uczy je jeździć konno. I wkrótce staje się ono uprawnionym członkiem rodziny, co znaczy, że je z apetytem mięso baranie, pije herbatę z solą, pasie owce, strzeże tabunów koni i pali fajkę bez względu na płęć. Taki obywatel do pięciu lat życia jednego tylko przywileju nie posiada, a mianowicie noszenia ubrania i obuwia, przeto około koczowisk mongolskich można zawsze widzieć kupy dzieciaków baraszkujących w lecie i w zimie w „stroju Adama”.

<sup>3</sup>jak — tybetański rodzaj bydła rogatego. [przypis redakcyjny]



O jakie sto kilometrów od klasztoru Dzain-Szabi, przy skróceniu drogi z głównego gościńca, rozstałem się ze swoimi towarzyszami, którzy jechali wprost do Urgi, gdzie mieli oczekiwać na mój przyjazd.

Słońce ledwie zaczęło wschodzić, gdy z Mongołem przewodnikiem wjeżdżałem na niewysoki łańcuch gór, pokryty lasem, ze szczytu którego długo jeszcze widziałem pędzące przez stopy sylwetki moich towarzyszy.

Wkrótce pochłonęły mnie kręte wąwozy.

Po pewnym czasie przewodnik Mongoł wstrzymał konia na piaszczystym brzegu jakiejś małej rzeczki i powiedział, że tu jest „złoty piasek”. Mongołowie w lecie przyjeżdżają tu całymi rodzinami i wydobywają z piasku złoto. Jest to oczywiście bardzo pierwotny sposób „metalurgiczny”. Goły Mongoł, mając zawieszony na szyi niewielki woreczek skórzany, kładzie się na piasku twarzą na dół i za pomocą orlego pióra powoli rozgrzebuje piasek, stale w niego dmuchając. Od czasu do czasu zwilża śliną palec i wylapuje spstrzeżone ziarenka złota, które kładzie do woreczka. Pracując w ten sposób, w ciągu dnia zbierze on złota na sumę 1/2 do 2 dolarów amerykańskich. Czasami taki szczęśliwy przemysłowiec znajdzie znacznie większy kawałek naturalnego złota, co mu zapewnia istnienie w ciągu całego roku. Takim fachem zajmuje się najbiedniejsza, zrujnowana przez Chińczyków część ludności. Złoto znaleziono w różnych miejscach Mongolii: na rzece Dzak, Bajdryk, w chanatach Tuszetu i Cecen, gdzie istniały dwa przedsiębiorstwa rosyjskie, obecnie naturalnie nieczynne.

Postanowiłem przebyć drogę do Dzaina przed zachodem słońca, więc nagliłem dozorców urtońskich do łapania i siodłania prawie dzikich, tabunowych koni. O jakie 40 kilometrów od celu mojej podróży przy wsiadaniu na jakiegoś białego żrebca dzikiego zostałem przez niego silnie kopnięty w lewą nogę, w to samo miejsce, w które otrzymałem kulę podczas boju na rzece Ma-Chu w Tybecie. Na razie nie zwróciłem uwagi na ból i dopiero zrobiwszy kilka „urtonów” poczułem, iż nie mogę stać na lewej nodze. Z wielkim trudem i bólem wsiadałem na konia, dążąc do Dzain-Szabi. W trzy godziny później, gdy zachodzące słońce zalewało już szkarłatem szczyty gór i wierzchołki olbrzymich modrzewi, ujrzałem pierwsze zabudowania osady, położonej przed klasztorem, a wkrótce potem — Dzain-Szabi, do którego pozostało nie więcej nad trzy kilometry.

Spuściliśmy się w dolinę, przeciętą niewielkim potokiem, który rozdzielał budynki klasztorne od chińsko-rosyjskiej osady. Minęliśmy górę, której szczyt był wyłożony białymi kamieniami, ułożonymi w formie wyrazów, stanowiących modlitwę tybetańską. U stóp tej góry leżały liczne kości i czerepy ludzkie, pozostałe po nieboszczykach, których tu mnisi składali. Wreszcie zobaczyłem jak na dłoni cały klasztor. Zwykły kwadrat, otoczony płotem z palów modrzewiowych, w środku kwadratu, pomiędzy niskimi domami lamów i innymi zabudowaniami stała wysoka świątynia o białych ścianach i czarnym dachu. Świątynia ta, wybudowana w tybetańskim stylu architektonicznym, miała białe ściany z szeregiem prostych okien w czarnych ramach i wejście skromne bez krzyczących krążganków chińskich i słupów lakierowanych; czarny dach był oddzielony od białych ścian grubymi wiązkami jakichś nigdy nie gnijących prętów, dostarczanych z Tybetu. O pół kilometra na wschód od klasztoru stał niewielki biały domek z czerwonym dachem żelaznym i z ładnym mурowanym ogrodzeniem. Druty telegraficzne łączyły ten domek z osadą rosyjską.

— To dom miejscowego „boga” — hutuhtu Pandita-Gegeni — objaśnił mnie Mongoł. — On lubi Rosjan i ich obyczaje.

Ze strony północnej, w pewnej odległości od klasztoru, na niewysokim, stożkowatym pagórku wznosił się budynek, przypominający swą architekturą trzypiętrowe baszty babilońskie, czy „ziguraty”. Baszta miała białe ściany i dach czarny. Na rogach tego budynku stały wysokie maszty czerwone — oznaka świętego miejsca. Była to świątynia, gdzie przechowywano księgi i rękopisy starożytne, należące do kultu lamaickiego, płaszcz, czapki oraz ozdoby zmarłych hutuhtu, gegeni i innych dostojników „żółtej wiary”.

Zaraz za tą basztą wznosiła się wysoka, zupełnie pionowa skała, z wykutymi w niej olbrzymimi obrazami bogów. Nocą palono przed nimi lampki, zapalane przez jakiegoś pustelnika, w niewytłumaczony sposób wdrapującego się na tę niedostępną ścianę. Zatrzymałem się w lokalu znanej mi firmy rosyjskiej, gdzie przyjęto mnie jak przyjaciela.

Gdym wyraził zdumienie, że tu tak dokładnie znają moje imię, nazwisko i działalność w Mongolii, zarządzający firmą opowiedział mi, że to hutuhtu Dżełyb-Dzamsrap z Narabanczi doniósł już wszystkim klasztorom historię ratowania Narabanczi-Kure, żądając dla mnie wszędzie pomocy i gościnności i zaznaczając, że „wróżby i horoskopy powie-działy, iż polski nojon jest przeistoczonym bóstwem, przyjacielem dobrych duchów”. Poczciwy hutuhtu swoim okólnikiem okazał mi wielką przysługę i kto wie? być może, wyratował mnie od śmierci, która w kilka dni później stała tuż za mną.

Gościnność firmy była mi bardzo pożądana, gdyż moja rana otworzyła się i przy zdejmowaniu buta wylałem z niego wielką ilość krwi. Musiałem zaleczyć ranę i trochę wypocząć. Miejscowy felczer bardzo umiejętnie się mną zaopiekował. Na trzeci dzień mogłem już trochę chodzić, a na piąty czułem się zupełnie dobrze.

Pułkownika Kazagrandi nie zastałem już w Dzainie, natomiast pozostawił on dla mnie bryczkę, która miała mnie dowieźć do klasztoru Wan-Kure, położonego o 350 kilometrów na północ. Przykra to była okoliczność, lecz postanowiłem jechać, gdyż rozumiałem, że pułkownik chce się ze mną spotkać dla przyczyn bardzo poważnych.

W Dzainie pokazywano mi zburzony „dugun” chiński, w którym bronili się Chiń-czycy od Mongołów i oficerów rosyjskich, a także cmentarz, gdzie pogrzebano zabitych przez Chińczyków: komendanta Polaka, kapitana Barskiego, oraz kilku kolonistów.

Pewnego dnia przybył do mnie z wizytą miejscowy „bóg” gegeni, Pandita-hutuhtu. Dziwniejszego „boga” nie mógłbym sobie wyobrazić! Był to młodzieniec lat 20–22, wzrostu średniego, wiotki i szczupły, o szybkich, nerwowych ruchach i twarzy wyrazistej, na której, jak zresztą u wszystkich mongolskich „Żywych Bogów”, płonęły oczy ogromne, zawsze przerażone i zdziwione. „Bóg” był przybrany w jasnoszafirowy mundur rosyjski doskonale uszyty, z żółtymi szlifami, na których były oznaki Pandity<sup>4</sup>, oraz czarna swastyka<sup>5</sup>. Szafirowe spodnie z żółtymi lampasami były wsunięte w cholewy wysokich botfortów oficerskich. Na głowie Pandita miał olbrzymią białą „papachę” ze skóry barana, o żółtym denku, za pasem rewolwer, przy boku szablę. Nie wiedziałem, co mam myśleć o takiej maskaradzie „boga”, lecz gegeni, siadłszy wygodnie i przyjąwszy od gospodarza filiżankę herbaty, zaczął opowiadać, mieszając słowa mongolskie i rosyjskie:

— Niedaleko od mego kure znajdują się ruiny Erdeni-Dzu, założonego przez wielkiego chana Dżalair-Huntaidzi. W okolicach tego klasztoru był niegdyś starożytny gród Dżengiza i Kubłaja — Karakorum. — Przyjeżdżali tam wielcy chanowie, władcy Chin, Indii, Persji, Afganistanu i Rosji, aby wypocząć po trudach rządzenia swoimi poddanymi. Nic już teraz nie pozostało z tego „ogrodu błogich dni” oprócz zwalisk i grobów. Jednakże świątobliwi mnisi z Barun-Kure znajdują w podziemiach stare księgi, starsze od samego Erdeni-Dzu. W tych księgach mój maramba Dzam-Batur-Sur wynalazł przepowiednię o dwudziestoletnim hutuhtu, z tytułem Pandity, który ma powstać z serca ziemi dżengizowej, a który przyjdzie na świat ze znakiem Panditów na piersiach. Hutuhtu Pandita ma być czczony przez naród w dni wielkiej wojny i wstrząśnień, a gdy pójdzie do walki ze złymi slugami „czerwonego demona”, zwycięży ich i ustali porządek na ziemi. A w dniu tym będzie on święcił triumfy w wielkim, białym mieście z tysiącami świątyń i dzwonów. To jest przepowiednia dla mnie! Jam jest Pandita-hutuhtu! Posiadam wszystkie oznaki, a więc zwalczę bolszewików, slugi „czerwonego demona” i będę wypoczywał w Moskwie po krwawym, znojmym żniwie. Dlatego też prosiłem pułkownika Kazagrandi, aby mnie przyjął do swoich wojsk i dał mi możliwość spełnienia przepowiedni starych ksiąg. Lamo-wie są przeciwni moim zamiarom, lecz kto tu jest bogiem? Ja, Pandita-hutuhtu, tylko ja! Jam ten, o kim mówią księgi z Erdeni-Dzu...

Tupnął groźnie nogą, a straż przyboczna, która z nim przybyła, gegeni i lamowie, nisko mu się pokłonili.

Odjeżdżając, ofiarował mi „chatyk”. Ja zaś zacząłem przetrząsać swoje torby, aby znaleźć jakiś upominek dla wojowniczego „boga”. Nareszcie znalazłem coś godnego Pandity. Była to szklana rurka z kryształami dość rzadkiego minerału, „osmium-iridium”.

— Jest to najtrwalszy i najtwardszy metal — rzekłem, podając mu rurkę — niech więc będzie symbolem twojej siły, Pandito!

<sup>4</sup>*pandita* — wysoki stopień duchowny w ogólnobuddyjskiej hierarchii. [przypis redakcyjny]

<sup>5</sup>*swastyka* — znak tajemniczego pochodzenia, wyobrażający dwie skrzyżowane litery „z”. [przypis redakcyjny]

Gegeni, dziękując serdecznie, zaprosił mnie do siebie. Odwiedziłem go po paru dniach. W domu gegeni wszystko było na wzór europejski: elektryczne światło i opał, dzwonki i telefon, gdyż posiadał sprowadzoną przed kilku laty dynamo-maszynę. Mieszkanie łączyło się telefonicznie z osadą przyjaciela Pandity, Rosjanina, który w celach wyzysku nauczył go pić wódkę i grać w karty. Gegeni częstował mnie winem i słodyczami oraz zapoznał z dwoma bardzo ciekawymi ludźmi. Jeden z nich był to niemłody już Tybetańczyk, lekarz o twarzy prawie brunatnej, zeszpeconej przez ospę, o skośnych oczach i wielkim, ciężkim nosie. Lekarz starał się nie patrzeć mi w oczy, lecz chwilami rzucał na mnie spojrzenia bystre i badawcze, którymi jak gdyby mnie macał. Był to specjalny lekarz, „wyświęcony” w Tybecie. Jego zadaniem było leczyć chorych gegeni, oraz... truć ich, gdy zaczynali prowadzić politykę niezgodną z poglądami „Żywego Buddy” z Urgi lub Dalaj-Lamy z Lhassy. Mam przekonanie wewnętrzne, iż obecnie biedny gegeni Pandita znalazł już ostatni przytułek ziemski w jakim białym „obo” na szczycie odosobnionej góry na wieki uleczony tajemniczymi ziołami swego nadwornego lekarza; wojowniczość bowiem Pandity nie podobała się lamom, którzy ciągle zasyłali modły o uleczenie swego „żywego boga” z „choroby czerwonego ducha przelewu krwi”.

Pandita dość często się upijał i grał w karty. Pewnego razu na wizycie u kolonisty rosyjskiego, ubrany w bardzo elegancki garnitur europejski, spił się okrutnie. Biesiada trwała do późna, ale nad rankiem przybiegli lamowie, szukając swego „boga”, którego właśnie powinni byli wnieść do świątyni i usadowić na tronie przed bogobojnym tłumem modlącym się. Nie od razu go znaleziono; po długich poszukiwaniach ujrano go za zielonym stolikiem. Pozostawało mało czasu i Pandita, wcale nie zmieszany, natychmiast włożył na swój żakiet europejski i na eleganckie spodnie długi, szeroki, karmazynowy płaszcz gegeni, wdział na głowę świętą czapkę przeistoczonych bogów, rozkazawszy osłupiałym lamom, by go usadowili w rytualnej lektyce i zanieśli do świątyni. Taki tryb życia młodego „boga” przerażał lamów i z tego powodu tybetański lekarz-truciciel w każdej chwili mógł przystąpić do ostaniej operacji nad lekkomyślnym gegeni, ułatwiając mu prędkie przejście do Nirwany.

Oprócz lekarza tybetańskiego poznałem w domu Pandity jeszcze chłopaka 13-letniego. Dziecięcy wiek, czerwone ubranie, krótkowłosa głowa dawały mi powód do myślenia, że widzę przed sobą usługującego „bogu” małego kleryka — „bandi”. Lecz wkrótce okazało się, że chłopak ten był pierwszym „chubiłganem”, też przeistoczonym bóstwem, jasnowidzącym i następcą Pandity na świętym tronie boga Dzain-Szabi. Prawdopodobnie obecnie figuruje on w roli „boga” podczas ceremonii religijnych w klasztorze, gdzie gegeni Pandita tak nieopatrznie przerażał i ubliżał potężnej kaście lamów. „Chubiłgan” był chłopcem bardzo zepsutym, gdyż pił wódkę, namiętnie grał w karty i stale urządzał bardzo zabawne, obrażające żarciki z poważnymi „kanpo” i z „gelongami” w czerwonych i żółtych szatach powłóczystych.

Tegoż dnia poznałem drugiego „chubiłgana”, faktycznego kierownika życia duchowego, polityki i majątności Dzain-Szabi, korzystającego z praw udzielonego księstwa, podlegającego nie miejscowemu chanowi Sain-Noin, lecz wyłącznie „Żywemu Buddzie” w Urdze.

Drugi „chubiłgan” Gudzi-Lama-Battur-Sur, niespełna lat 35-ciu, był człowiekiem poważnym, uczonym i wykształconym. Znał on język rosyjski i chociaż nie władał nim płynnie, jednak czytywał bardzo dużo, szczególnie z dziedziny geografii i historii. W specjalny zachwyty wprawiał go geniusz twórczy i inicjatywa Amerykanów. Z tego powodu mówił do mnie:

— Gdy pan będzie w Ameryce, niech pan poprosi, aby ten wielki naród wysłał swoich najlepszych ludzi do Mongolii dla wyprowadzenia naszego kraju z ciemnoty. Chińczycy i Rosjanie chcą nas zgubić, Amerykanie mogą nas jeszcze ocalić!

Zaprzyjaźnił się z Battur-Surem na terenie nauki. Opowiadałem mu dużo o geologii Mongolii i o możliwej koniunkturze ekonomicznej, gdy wszyscy będą się ubiegali o koncesję w tym bogatym kraju, a później pokazałem mu kilka doświadczeń chemicznych, posiłkując się lekarstwami ze swojej apteczki. Gdy zobaczył tworzenie się zabarwionych płynów przy połączeniu bezbarwnych, zjawienie się ognia w płynie, wybuchy niewinnych na pozór proszków, wtedy w dużych, poważnych i bystrych oczach „chubiłgana” zamigotały ognie namiętne. Mimo woli pomyślałem, że Battur-Sur marzy zapewne

o możliwości skorzystania z tej efektownej wiedzy dla celów religijnych, pomnażając ilość cudów, którymi lamowie trzymają w karbach pracujący dla nich cichy, bogobojny lud mongolski.

Gdy byłem już zupełnie zdrow, Pandita zaproponował, aby z nim odbyć podróż do Erdeni-dzu. Chętnie przystałem na tę propozycję, bardzo dla mnie przyjemną i interesującą. Rano zajechał lekki powóz, którym podróżowaliśmy całe pięć dni. Zwiedziliśmy Erdeni-dzu, Koszo-Cajdam i Khara-Bałgasun. Wszędzie spotykałem ruiny miast, wybudowanych przez Dżengiza i jego potomków, chanów Mongolii i imperatorów (bogdo-chanów) Chin, Ugedeja i Kubłaja w XIII wieku. Obecnie pozostały tylko resztki baszt i murów, kilka grobowców i kurhanów, oraz znaczne ilości ksiąg i rękopisów z legendami i opisami historycznych i cudownych wypadków.

Gdy mnisi oprowadzali nas, słyszałem takie opowiadania:

— Tu, pod tym kurhanem pogrzebano młodszego syna chana Ujuka. Syn wielkiego władcy był przekupiony przez Chińczyków i spiskował przeciwko swemu ojcu, za co został otruty przez siostrę, która stała na straży sławy i potęgi starzejącego się imperatora i chana. A to jest grób Tiniły, ukochanej żony walecznego chana Mangu. Piękna „gwiazda czystego nieba” opuściła wspaniałą stolicę Chin dla cichego Khara-Bałgasuna, gdzie pokochała odważnego pastucha Damczarena, który na swym sławnym koniu Torochu doganiał wiatr i gołymi rękoma chwycił dzikie konie i jaki. Zrozpaczony małżonek wpadł, jak burza, do Bałgasuna i zadusił niewierną żonę, jednak później pogrzebał ją z honorami cesarskimi i często zjeżdżał do tego odosobnionego grodu, aby się modlić na mogile Tiniły i płakać nad jej losem i swoją miłością zniesławioną.

— Co się stało z Damczarenem? — pytałem.

— Jak głosi podanie, przystał on do rozbójników Czaharów, stał się ich wodzem i przez długie lata niepokoił zachodnie kresy imperium chińskiego. Podanie nic o tym nie mówi, gdzie i w jaki sposób zakończył życie... — odpowiedział mi stary lama, sekretarz Pandity, człowiek noszący w pamięci i w sercu cały zasób legend mongolskich.

Ten sam lama-sekretarz w chwili, gdy gegeni odbywał jakąś naradę z mnichami Erdeni-Dzu, wyszedł ze mną w step i zaprowadziwszy mnie na szczyt samotnie stojącej góry, pokazał tkwiący w ziemi duży kamień biały, na którym czas pozostawił tylko resztki jakichś znaków, wrytych ręką ludzką.

— Pan, jako „Parando”<sup>6</sup>, zainteresuje się zapewne moją opowieścią. Stoimy na górze zwanej „Miłością Chana”. Pod tym kamieniem leżą szczątki jedynej żony surowego chana Gundzura, który przez całe swe życie nie znał kobiety, pędząc życie mnicha-rycerza. Pod jego stopami występowała na ziemi krew, od jego palającego wzroku wybuchały pożogi w wielkich miastach, od jego głosu groźnego wypadała broń z rąk wrogów, jak od „strzały bogów”. Gundzur, będąc jedynym spadkobiercą spuścizny dżengizowej, brał udział w bojach z Polakami i z Węgrami i stamtąd przysłał tu, do Erdeni-Dzu, wraz z tłumem jeńców młodą i piękną brankę z ziemi polskiej. Powróciwszy z wyprawy, pojął ją za żonę i miłość ich była jak step bezgraniczna i jak wichur potężna. Na imię jej było Eleer-Bałasyr, co znaczy „żona-obrączka”. Miłość i łaska spływały z pałacu chana, zamienionego w świątynię szczęścia. Lecz Eleer-Bałasyr umarła po kilku latach, a zrozpaczony chan na rękach zaniósł ją aż tu i spełniając jej wolę, pochował ją, postawiwszy na grobie biały kamień z dalekiej ziemi Bytów, gdzie istnieje wejście do królestwa Wielkiego Nieznanego”. Po śmierci chana Gundzura syn jego pochował ojca obok grobu Eleer-Bałasyr, lecz w kilka lat później powstańcy chińscy wykopali kości groźnego władcy i rozproszyli je po stepie...

Długo stałem przed białym grobowcem „żony-obrączki”. Myśli rzewne i smętne tłoczyły mi się do głowy. Jakie imię nosiła ta branka polska, która znikła z ziemi ojców bez śladu po to, aby stać się małżonką władcy Azji, Eleer-Bałasyr, źródłem miłości, łaski i szczęścia, słońcem i osłodą surowego życia mnicha-rycerza, który był dla Europy „mieczem bożym”? Czy nie jej pomocy zawdzięczają ocalenie i powrót do ziemi ojczystej ci jeńcy polscy, którzy przybywali czasami aż z „ziemi pesińskiej” (Chin) i ze spadków Pamiru?

<sup>6</sup>Parando — chińska nazwa Polaków; zniekształcone ang. słowo — Poland. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>strzała bogów — piorun. [przypis redakcyjny]

Jakże musiała być piękna i jaką siłą miłości i czaru władała? Jakże mądra była, skoro ujarzmiła wojownika, który płomieniem oczu rozniecał pożogę w miastach wrogów!

Spożywaj na szczycie góry, o ty, piękna „Miłości Chana”, mądra branko z ziemi polskiej i świeć wzorem miłości i szczęścia ludziom, którzy zapomnieli już o legendach, opiewających pełne rzewnego czaru Eleer-Balasyr — „żony-obrączki”...

Gdy zeszlismy na dół i zbliżyliśmy się do starych ruin, lama opowiedział mi, że mnisi stale szperają wśród zwalisk i grzebią w piaskach Gobi, zasypujących coraz bardziej Karakorum i Erdeni-Dzu; nieraz znajdują oni zwoje pergaminów, tabliczki i cegły z napisami, stosy zmurszałych ksiąg, ukrytych w lochach podziemnych starego i niegdyś potężnego grodu. Niedawno wykryto skład starożytnych strzelb chińskich i innej broni, dwa złote pierścienie i jakieś odłamki różowego, jak skóra kobiety, agatu, zawierającego w sobie tajemnicze skamieniałe krzaczkę mchu.

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego potężni władcy połowy świata dążyli do tego od-ludzia, gdzie nic nie opiewało ich sławy wojowników i zaborców i gdzie straszliwa pustynia Gobi szybko zacierała wszelkie ślady wysiłków człowieka, chociażby imię jego zgroszą przejmowało serca ludów?

Przecież nie dla tych smętnych dolin i gór z nikłymi lasami brzoź i modrzewi, nie dla piasków Gobi, dla wysychających jezior i nagich skal? Zdawało mi się, że znalazłem odpowiedź...

Potężni chanowie, pamiętając o widzeniu Dżengiz-Chana, szukali tu nowych objawień i cudownych przepowiedni dla siebie, otoczeni ubóstwieniem, niewolniczą pokorą lub na przemian zdradą i nienawiścią. Gdzież mieli szukać spotkania z bogami, z dobrymi i złymi duchami? Naturalnie tylko tam, gdzie bogowie i duchy przebywają, a siedliskiem ich właśnie cała okolica Erdeni i Dzaina.

— Na taki szczyt zdoła wejść tylko ten, kto jest zrodzony z potomków Dżengiza — powiedział mi w pewnej chwili Pandita, wskazując ręką górę, porośłą bujną trawą i gęstymi krzakami. — Już w połowie góry brak tchu i każdy śmiałek, który odważy się iść dalej, umiera. Przed paru laty Mongołowie otoczyli gromadę wilków, które przedarłszy się, pomknęły na schyłek tej góry i wszystkie padły, nie dobiegłszy szczytu. Tam, na tej górze leżą kości orłów i sępów, argali i lekkich jak podmuch wiatru antylop-kabarg. Przebywa tam zły demon, czytający księgę losów ludzkości.

— Mam już odpowiedź! — pomyślałem.

Widziałem na Zachodnim Kaukazie, pomiędzy Suchum-Kale i Tuapse górę, gdzie ginęły wilki, orły i sarny, a i człowiek zginąłby też niezawodnie, gdyby nie siedział na koniu. Na zboczach góry wydobywają się z ziemi suche źródła gazu węglowego, zabijające żywe stworzenia. Gaz węglowy trzyma się grubą warstwą nad ziemią, lecz jeździec na szczęście ma głowę ponad tą atmosferą, tającą w sobie śmierć.

Niezawodnie tu, na tej górze, w przybytku złego demona, mamy to samo zjawisko. Lecz jakże dobrze zrozumiałem religijny strach Mongołów i groźny urok tego miejsca dla olbrzymich potomków Dżengiz-Chana! Głowy ich są zawsze ponad trującą warstwą gazu i na swych dużych, pięknych wierzchowcach mogą oni z łatwością dotrzeć do szczytów góry tajemniczej!

Nawet geologicznie daje się potwierdzić to mniemanie. Do Erdeni zbliża się południowo-zachodni koniec obwodu, obfitego w węgiel. Węgiel zaś jest właśnie źródłem gazów: kwasu węglowego i metanu.

Zły demon doskonale korzystał z tego naturalnego laboratorium chemicznego, dopomagając planom politycznym sławnych Dżengizydów.

O kilkanaście kilometrów na zachód od Karakorum na obszarach należących do księcia Dobczin-Dżamco, leży małe jezioro, które czasami pali się czerwonym, dymiącym płomieniem, strasząc Mongołów i tabuny końskie. Jezioro, naturalnie, jest owiane legendą. Niegdyś spadł tu z nieba palący się kamień i głęboko wbił się w pierś stepu. Od czasu do czasu mieszkańcy przestworów podziemnych wypychają ten gorejący kamień na powierzchnię ziemi, a wtenczas zapala on wodę jeziora i znowu pogrąża się w ziemię. Nie zwiedzałem tego jeziora, lecz jeden z kolonistów rosyjskich opowiadał mi, że na jego powierzchni pływa warstwa nafty, zapalająca się od ogniska pastuchów lub od pioruna.

Bądź co bądź trudno zrozumieć powody, które pociągały do tego kraju wielkich władców mongolskich, pełniących na Wschodzie swoje historyczne przeznaczenie i pozostawiających

wiających po sobie znikające teraz grody, gdzie przebywali z wojskiem, otoczeni kultem religijnym przez ubóstwiający ich naród. Szczególne wrażenie pozostawiają ruiny Karakorum, gdzie żył niegdyś i układał szerokie plany wspaniałe i mądry Kubłaj-Chan, zalawszy Zachód krwią, a Wschód promienną sławą.

Wojowniczy gegeni Pandita długo modlił się na ruinach, pośród których błąkały się cienie dawno zmarłych władców świata, a dusza jego zrywała się do wielkich czynów i sławy Dżengiza i Tamerlana Chromego.

W powrotnej drodze, niedaleko od Dzain-Szabi, zaproszono nas do koczowiska bogatego Mongoła, który właśnie postawił już był książęce jurty koloru szafirowego, upięk-szone dywanami i tkaninami jedwabnymi. Gegeni przyjął zaproszenie. Wkrótce siedzieliśmy bardzo wygodnie na miękkich poduszkach i Pandita błogosławił Mongołów, kładąc im na głowy ręce i przyjmując od nich tradycyjne „chatyki”.

Po tej ceremonii podano nam w olbrzymiej misie całego barana ugotowanego, co czyni się tylko dla najbardziej szanownych gości. Gegeni swoim nożem odkrajał tylne nogi: jedną wziął sobie, drugą podał mnie. Potem odciął kawał mięsa i ofiarował go najmłodszemu dziecku w jurcie. Było to sygnałem do ogólnego jedzenia. W mgnieniu oka baran znikł, pocięty nożami na drobne kawałki. Po chwili w milczeniu rozlegało się młaskanie warg, głośnie żucie, zgrzyt zębów, trzask rozgryzanych kości i wysysanie szpiku. Gdy gegeni skończył jeść swoją olbrzymią porcję, gospodarz wyjął z ogniska kawałek skóry baraniej z wełną i podał ją „bogu”, trzymając obydwoma rękami. Pandita dobył znów noża, zeszkrobał węgiel, popiół i włosy, po czym zaczął odcinać cienkie plasterki tłuszczu i z apetytem spożywać. Jest to najwytworniejszy i rzeczywiście bardzo dobry przysmak mongolski, tak zwany *sułty*, tj. ostra, mocno otluszczona wypukłość na piersi barana, tuż pod szyją. Ten rodzaj narośli ścinają wraz ze skórą i wełną i pieką w gorącym popiele ogniska. „Sułty” ofiarowuje gospodarz najbardziej poważanemu gościowi, który nie ma prawa dzielić się tym przysmakiem, gdyż inaczej obraża ofiarodawcę i gwałci tradycję.

Po obiedzie Mongoł zaproponował nam wyjazd na polowanie na argali, czyli barany skalne, których duże stado pasło się na kamienistym płaskowzgórzu o parę kilometrów od jurt. Podano nam świetne wierzchowce z bogato ozdobionymi kulbakami i uzdami, przy czym koń „boga” gegeni miał rzemienie uzdy i rynsztunku przybrane skrawkami czerwonej i żółtej tkaniny; była to oznaka godności księcia i wyższego dostojnika lamaickiego.

Tłum konnych Mongołów pędził za nami.

Gdy zsiadliśmy z koni, postawiono nas za odłamami skał o 300 kroków jeden od drugiego. Mongołowie, rozdzieliwszy się na dwie partie, zaczęli otaczać górę, wznosząc się coraz wyżej i wkrótce znikli nam z oczu.

Stałem nieruchomo za skałą. Czekałem dość długo, gdy naraz daleko pośród kamieni i skał coś mignęło i znikło. Za chwilę ujrzałem z daleka mknącego olbrzymimi susami wspaniałego argali, za którym pędziło prawie płaszcząc się po ziemi całe stado, składające się z 20–25 sztuk. Zakląłem ze złości, gdyż byłem przekonany, że stado przerwało się przez Mongołów, których nie było w pobliżu, aby zmienić kierunek ucieczki argali. Lecz się omyliłem. Spoza skał nagle wynurzył się jeździec i machnął kilka razy rękami. Stado, zakręciwszy młynka na miejscu, od razu zmieniło kierunek i pomknęło ku mnie; tylko stary baran się nie uląkł i dał drapaka tuż obok nie uzbrojonego Mongoła. Wypaliłem i dwa barany padły ranne śmiertelnie. Pandita zastrzelił jednego argali i niespodziewanie przebiegającą antylopę piżmową (*gazella mosca Cabarga*). Rogi jednego z argali zabitych przeze mnie ważyły przeszło 30 funtów, chociaż był to młody jeszcze okaz.

W tej miejscowości wszędzie się spotyka większe lub mniejsze stadka argali, które wcale się nie obawiają ludzi, nigdy nie słysząc wystrzałów i nie znając pogoni.

Nazajutrz po powrocie do Dzain-Szabi z wycieczki z Panditą wyruszyłem w wygodnej bryczce wraz ze starym kolonistą, jadącym ze mną w roli tłumacza, do Wan-Kure. Do dyszla bryczki był przywiązany rzemieniami drąg poprzeczny. Mongołowie podnosili dyszel wraz z drągiem do góry i pod drąg wjeżdżało czterech jeźdźców-ułacenów, którzy kładli go sobie na kolana i od razu ruszali galopem. Z tyłu za bryczką jechało jeszcze czterech ułacenów dla zastąpienia pierwszych, wiodąc za sobą konie zapasowe.

Przed opuszczeniem klasztoru poszedłem pożegnać się z gegeni, który ofiarował mi duży „chatyk” i zasypał mnie podziękowaniami za lekarstwo, które mu podarowałem.

— Co za wspaniałe lekarstwo! — wołał w zachwycie. — Czułem się po podróży zmęczony i rozbity, zażywszy zaś twego lekarstwa od razu wyzdrowiałem. Dziękuję, dziękuję!

Biedaczysko „bóg” przelknął „osmium-iryd”, który oczywiście nie mógł mu zaszkodzić, ponieważ zaś po przyjęciu tego środka poczuł się lepiej (według swego mniemania), zwracam więc uwagę lekarzy na ten zadziwiający wynalazek; dodam tylko jeszcze, że nie jestem pewien, czy Pandita połknął zawartość rurki, czy również i rurkę szklaną.

## II. ZWIASTUN ŚMIERCI

Gdy odjechaliśmy kilkanaście kilometrów, zobaczyliśmy z góry długi wąż jeźdźców, przejeżdżających przez błotnistą równinę. Był to jakiś znaczny oddział, liczący około 300 ludzi. Po upływie pół godziny moja bryczka zrównała się z czołem oddziału na brzegu grząskiego i głębokiego potoku.

Był to oddział złożony z Mongołów, Buriatów i Tybetańczyków, uzbrojonych w karabiny rosyjskie. Na czele jechało dwóch jeźdźców. Jeden z nich w czarnej burce kaukaskiej, w olbrzymiej barankowej czapie i z czerwonym baszłykiem, rozwiewającym się na plecach na kształt skrzydeł drapieżnego ptaka, ruszył ku mnie, zagroził mi drogę i głosem głuchym rzucił szereg pytań:

— Kto? Skąd? Dokąd?

Odpowiedziałem również lakonicznie.

Wtedy jeździec podjechał jeszcze bliżej i rzekł:

— Oddział nasz kieruje się na zachód, dokąd został wysłany przez barona Ungern von Sternberga pod dowództwem rotmistrza Wandałowa, ja zaś towarzyszę mu jako sędzia wojenny. Jestem kapitan Bezrodnów.

Przy tych słowach nagle roześmiał się głośnie. Jego zuchwała zwierzęca twarz wydała mi się dziwnie wstrętą. Ukłoniwszy się wymówiłem swoje nazwisko i kazałem ruszać.

— Przepraszam! — zawołał kapitan i znowu zagroził ułaczenom<sup>8</sup> drogę. — Nie mogę puścić pana dalej. Mam z panem bardzo dużo do pomówienia w ważnej sprawie. Jestem zmuszony zawrócić pana do Dzain-Szabi.

Protestowałem, pokazując pismo płk. Kazagrandi, lecz oficer przerwał mi zimnym głosem.

— Pisać listy to rzecz Kazagrandiego, a zmusić pana do powrotu do Dzaina jest moją sprawą. Proszę teraz oddać mi broń!

Uczynić tego nie chciałem nawet w razie, gdyby mi groziło niebezpieczeństwo.

— Niech mi pan powie szczerze — rzekłem z oburzeniem — czy to jest oddział, walczący z bolszewikami, czy, co jest pewniejsze — czerwona banda?

— Upewniam pana — rzekł podjeżdżając drugi oficer, Buriat Wandałow — że jest to oddział z dywizji generała barona Ungerna. Już blisko trzy lata walczymy z sowietami.

— Tym bardziej więc nie mogę oddać panom broni — spokojnie ciągnąłem dalej — gdyż przewiozłem ją przez kordony bolszewickie, walczyłem nią, a teraz mam być rozbrojony przez takich samych jak ja, wrogów bolszewizmu? Nie mogę pogodzić się z tą myślą, panowie!

Oficerowie spoglądali na siebie ze zdumieniem i zakłopotaniem. Zrozumiałem, że mój protest nie pomoże i skorzystawszy z ich chwilowego zmieszania, cisnąłem nagle mój karabin i rewolwer do potoku.

Bezrodnów aż zzieleniał ze złości.

— Oswobodziłem siebie i was od hańby — rzekłem.

Bezrodnów gwałtownie zawrócił konia i odjechał. Cały oddział zaczął posuwać się za nim i tylko dwóch ostatnich jeźdźców stanęło za moją bryczką i kazali ułaczenom ruszać za oddziałem.

A więc byłem aresztowany!...

Jeden z konwojujących mnie ludzi był Rosjaninem. Pamiętam to bydlę.

Nazywał się Bogdanow, a był, jak mówił, studentem politechniki piotrogrodzkiej. Dowiedziałem się od niego, że oddział kieruje się do Uliasutaju dla „zaprowadzenia tam ładu” i w tym celu Bezrodnów ma w kieszeni kilkanaście wyroków śmierci, już podpisanych przez „krwawego” barona.

<sup>8</sup>ułaczen — przewodnik, prowadzący konie i pomagający w drodze. [przypis redakcyjny]

Bogdanow mówią to śmiały się głośno, bezczelnie patrząc mi w oczy.

Rozmowa ta przekonała mnie, że wyrok śmierci zapadł też i na mnie za ratowanie Uliasutaju od dzikiego pogromu i za uczestniczenie w konferencji chińsko-mongolskiej, która zapobiegła wojnie pomiędzy Chińczykami i Mongołami na Zachodzie.

— Bardzo głupio się stało! — myślałem, wlokąc się za oddziałem. — Warto było bić się z czerwonymi oddziałami, przedzierać o mrozie i głodzie przez Urianchaj i Mongolię, omal nie zginąć w Tybecie, aby teraz oto tu zginąć od kuli Mongoła z oddziału Bezrodnowa gdzieś pod Dzainem! Dla takiej frajdy nie trzeba było iść tak daleko! W pierwszej lepszej „czece” na Syberii miałbym możliwość dawniej pożegnać się z życiem.

Wiedziałem, że Bezrodnowowi nie uda się rozstrzelać mnie, gdyż miałem przy sobie znaczną ilość cyjanku potasu, pożytecznego środka w przygodach tego rodzaju.

Gdy wlokąc się ogromnie, powolnie przeszliśmy ostatni przed Dzainem łańcuch niewysokich wzgórz, spostrzegłem w dolinie, gdzie stał klasztor, oddział, który już stawiał namioty, rozkulbaczał konie i pętał im nogi, aby puścić na paszę.

Bezrodnow jednak zatrzymał się w domu jednego z kolonistów i natychmiast zawezwał mnie do siebie.

Kapitan przyjął mnie niespodziewanie grzecznie i nalewał mi duży kieliszek wódki, gdyż siedział właśnie przy obiedzie.

Podziękowałem, lecz nie chciałem pić.

— Gniewa się pan? — uśmiechnął się kapitan.

— W stosunku do gwałtu, uczynionego nade mną, słabo powiedziane! — odparłem. — Jestem oburzony i będę szukał zadośćuczynienia.

— To pańskie prawo! — poważnie rzekł kapitan.

— A-a! — pomyślałem. — Przyszługują mi jeszcze jakieś prawa, więc śmierć nie teraz mi jeszcze sądzona.

Zaspokoiwszy głód Bezrodnow przeprosił mnie, że jadł w mojej obecności i zaprosił do przyległego pokoju.

— Niech pan wybaczy, że musiałem go zatrzymać i zmusić do powrotu — zaczął — lecz pan raczy zrozumieć, iż mając rozkaz barona Ungerna „zlikwidowania” Uliasutaju, chciałem słyszeć od tak czynnego uczestnika wypadków o ich przebiegu, aby sprawiedliwości mniej lub więcej stało się zadość.

Nie wchodząc w ocenę poszczególnych jednostek, skreśliłem w przybliżeniu obraz życia i przebieg zdarzeń, które wstrząsnęły nieszczęśliwym miastem. Z uwag Bezrodnowa zrozumiałem, komu w Uliasutaju grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i byłem zdumiony bogactwem szczegółów, które posiadał kapitan, a także dobrymi informacjami, dotyczącymi grupy Poletiki i pułkownika Filipowa, co zupełnie potwierdziło moje co do nich podejrzenia.

Gdy skończyliśmy rozmowę, Bezrodnow wstał i wyciągając do mnie dłoń, rzekł:

— Bardzo mi się podobała duma pańska, gdy nam pan odmówił oddania broni. Zechciej pan przyjąć ode mnie ten upominek i jeszcze raz wybaczyć zwłokę w jego podróży.

Mówiąc to, wyciągnął ku mnie doskonały pistolet Mauzera ze srebrną rękojeścią i grzecznie uśmiechając się oznajmił mi, że bryczka i świeże konie czekają na mnie.

W kilka minut później jechałem już z Dzaina, mając w kieszeni przepustkę kapitana na wypadek spotkania się z jego patrolami, które miały rozkaz zatrzymania wszystkich jadących i odstawienia ich do sztabu oddziału.

### III. JAZDA „URGA”

Znowu jechaliśmy okolicami znanymi. Przebyliśmy górę, skąd dojrzałem oddział Wandałowa, potok, do którego wrzuciłem swoją broń, i równinę, gdzie wlokąc się pod eskortą Bogdanowa, miałem dużo ciężkich i przykrych myśli.

Na pierwszym „urtonie” (stacja, gdzie się zmienia konie) czekała na mnie niemiła niespodzianka. Nie znaleźliśmy tu wcale koni, gdyż zabrał je z sobą oddział Wandałowa. W jurcie był tylko dozorca z dwoma synami. Gdy pokazałem mu swoją „dzarę<sup>9</sup>”, dozorca

<sup>9</sup>dzara — urzędowy dokument mongolski, nadający prawo korzystania z koni pociągowych. [przypis redakcyjny]



ożywił się i oznajmił, że na mocy dokumentu posiadam prawo jazdy „urgą”, i że konie dla mnie będą wkrótce.

Wskoczył na okulbaczonego wierzchowca-byka, skinął na dwóch moich ułaczonych i wzięwszy długi, cienki drążek z pętlą, czyli „urgą”, na końcu i kilka uzd, ruszył w step dobrym klusem.

Bryczka jechała za nim.

Zjechaliśmy w bok od naszej drogi i w godzinę potem ujrzeliśmy duży tabun koni.

Dozorca i ułaczeni za pomocą „urgi” bardzo zręcznie i szybko złapali kilka koni i z triumfem prowadzili je do bryczki. Nagle ze wszystkich stron zjawili się konni pastuchowie i widząc co się święci, mknęli ku nam co koń wyskoczy. Lecz gdy dozorca odczytał im moją „dzarę”, pastuchowie z pokorą okulbaczyli złapane zwierzęta i zastąpili poprzednich „ułaczonych”, którzy spokojnie odjechali do domów, prowadząc swoje wierzchowce. Przy jeździe „urgą” podróżuje się nie zwykłym szlakiem urtońskim, lecz od tabunu do tabunu, gdzie się chwyta coraz to nowe konie i gdzie ułaczonych zastępują właściciele tabunu lub ich robotnicy. Wszyscy Mongołowie starają się przy tym jak najprędzej odbyć tę powinność, mkną, jak szaleńcy, dążąc do najbliższego tabunu innego właściciela. Podróżnik posiadający prawo na „urgę” może osobiście złapać potrzebną ilość koni i o ile nie zjawi się ich właściciel lub pastuch odjechać, zostawiając konie w następnym tabunie. Mongołowie nie lubią poszukiwać swoich koni w cudzych tabunach, więc natychmiast zjawiają się i wchodzą w rolę ułaczonych.

Droga oraz szlak urtoński, którym jechałem, były zupełnie niezaludnione, gdyż w tych okolicach Mongołowie, nastraszeni potyczkami i ciągłymi rekonesansami mongolskich i rosyjskich oddziałów, zwinęli „urtony” i koczowiska i odeszli w góry, gdzie nie bacząc na nagą i pustą okolicę, umieją się kryć i znikać bez śladu.

Dzięki tym okolicznościom przejechałem około 350 kilometrów przez część bezludną środkowej Mongolii w granicach chanatów Sain-Noin i Tuszetu.

Dało mi to możliwość uczynienia szeregu spostrzeżeń nad miejscową, nader interesującą fauną. Spotykałem coraz częściej olbrzymie stada antylop mongolskich (*gazella gutturosa* oraz *gazella subgutturosa*). Niektóre z tych stad liczyły po 5000 sztuk. Na skalistych zboczach gór widziałem nieraz grupy dumnych i ostrożnych argali (*ovis ammon*), niewielkie stada antylop piżmowych (*gazella Cabarga*); w gaikach, schowanych w głębi wąwozów, szare bystre dziki (*sus scrofa*) z brunatnymi pręgami na grzbietach zawzięcie ryły ziemię; na wysoko położonych pastwiskach „alpejskich” wspaniałe jelenie — vapi-ti — żerowały lub schodziły niżej i chciwie lizały białe plamy zwietrzałej soli, którymi pokryta była ziemia. Kilka razy na widnokręgu zamajaczyły, jak widma mknące, dzikie konie (*Equus-primigenius Przewalski*) i dzikie osły (*Equus hemionus*).

Spotykałem też i starannie obserwowałem kolonie świstaków.

Na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych widniały tysiące małych pagórków, pod którymi można było zauważyć głębokie, szerokie nory. Były to siedziby świstaków, tych największych okazów z rodzaju gryzoniów. Pomiedzy norami stale przebiegały i kręciły się zwierzątka żółte lub brunatne, sięgające czasem wielkości średniego psa. Biegały ciężko, przechylając się z jednego boku na drugi, przy czym skóra na ich tłustych kadhubach fałdowała się i ruszała, jak gdyby była za szeroka. Świstaki są doskonałymi górnkami — poszukiwaczami rudy. W usypywanych przez nich pagórkach odnajdowano nieraz złoto, cynę, miedź i ołów, które wykopują one z ziemi przy budowaniu nor. Zwykle, gdy świstak jest niedaleko od swojej nory, nagle zatrzymuje się, siada na tylnych łapach i zamienia się w nieruchomy słupek, który łatwo można wziąć za kamień lub kawał wystającego z ziemi drzewa. Gdy spostrzega jeźdźca, zaczyna mu się ciekawie przyglądać, gwizdząc przy tym przeciągle. Myśliwi korzystają z tego dla swoich celów. Znając ciekawość zwierząt, pełzną w stronę nor wymachując kijem z uwiązaną na jego końcu szmatką. Cała uwaga świstaka skierowuje się wtedy na nieznanego, zaciekawiającego go przedmiot i dopiero kula przeszywająca biedne zwierzątko rozstrzyga domysły rojące się w jego okrągłej główce. Mongołowie chętnie polują na świstaki, zabijając rocznie do dwóch milionów sztuk. Tłuste i smaczne mięso świstaka zjadają, skórki zaś sprzedają Chińczykom, którzy eksportują je do Chin. Tam zaś futro tych zwierzątek jest ogromnie poszukiwane pośród najszerzych warstw społeczeństwa, gdyż jest lekkie, ciepłe i tanie.

Świstak jednak bywa też niebezpieczny dla ludzi, gdyż najzwyczajszą chorobą tego gryzonia jest straszliwa dżuma, łatwo udzielająca się ludziom.

Nader podniecającą scenę obserwowałem pewnego razu niedaleko rzeki Orchonaj w granicach posiadłości księcia Bejle-Sando.

Spotkałem tam tysiące nor i trzeba było wielkiej uwagi ulaczeńów, aby konie nie połamały sobie nóg w dołach, powyrywanych przez świstaki. Naraz spostrzegłem dużego orła, który zawisł wysoko w powietrzu, upatrując zdobyczy. W pewnej chwili spadł on na ziemię jak kamień i usiadł na pagórku tuż za norą, gdzie przed chwilą schował się świstak. Orzeł siedział nieruchomo, jak posąg ze spiżu lub z czarnego marmuru. Świstak po kilku minutach wybiegł z nory i skierował się do nory sąsiada widocznie z jakimiś ważnymi nowinami, tyzczącymi się może mojej grzmiącej i skaczącej bryczki?

Orzeł natychmiast ciężko zeskoczył z pagórka, usiadł przed norą świstaka i jednym skrzydłem szczelnie zakrył wejście do niej.

Świstak zaś, posłyszawszy szmer, zatrzymał się, spojrział w stronę swojej siedziby i z przeraźliwym gwizdem ruszył do ataku, chcąc się dostać do swego domu, gdzie pozostawił rodzinę. Rozpoczęła się bitwa. Orzeł walczył swobodnym skrzydłem i dziobem, nie otwierając wejścia do nory; świstak zaś skakał na wroga z wielką odwagą, lecz wkrótce padł, otrzymawszy kilka ciosów w głowę. Wtedy dopiero orzeł zwinął skrzydło, zbliżył się do leżącego przeciwnika, dobił go uderzeniem potężnego dzioba i z trudem go podniósłszy, odleciał w miejsce bezpieczne na smaczne i obfite śniadanie.

Opowiadano mi jednak, że czasem świstakowi udaje się zwalczyć orła, odgryzłszy mu nogę ze straszliwymi szponami i zmusiwszy w ten sposób do ucieczki.

W miejscach prawie zupełnie pozbawionych roślinności, gdzie tylko tu i ówdzie wystają z suchej ziemi żdźbła trawy, spotykałem inne gryzonie, tak zwane po mongolsku „imurany”. Są to bardzo ruchliwe zwierzątka, szybkie w biegu, nie większe od wiewiórki, futerko mają koloru szarego piasku, doskonale przystosowane do ogólnego tła miejscowości. Setki ich śmigają po stepie, zbierając przyniesione z wiatrem nasiona roślin i żyją spokojnie, dopóki ludzie nie zwrócą niebezpiecznej uwagi na ich skórki. Nory mają one w postaci głębokich, okrągłych dziur w twardej ziemi. Imuran posiada oddanego sobie przyjaciela, którym jest wielki skowronek stepowy (*Larca flava*), żółto-szary z brunatną główką i z grzbietem koloru ciemnej rdzy.

Spostrzeższy mknącego imurana, ptaszek natychmiast podlatuje do niego, siada mu na grzbiet i na przemian śpiewając lub trzepocąc skrzydełkami i łapiąc pasożyty trapiące przyjaciela, odbywa wesołą konną przejażdżkę ku widocznemu zadowoleniu imurana, zamasyżuje wywijającego długim ogonkiem z ciemną kitą na końcu. Mongołowie nazywają imurana „rumakiem wesołego skowronka”.

Skowronek i imuran mogą służyć za przykład tak zwanej „obronnej symbiozy”. Imuran wyrzuca z nory robaczki, liszki i różne odpadki swego gospodarstwa, z czego korzysta znów skowronek w tych pozbawionych pokarmu miejscowościach. Ptak zaś zastępuje swemu przyjacielowi wartość: gdy spostrzeże krążącego sępa, natychmiast wydaje dwa krótkie gwizdki trwożne i zapada gdzieś pod kamień lub w dołek, zlewając się bez śladu z szarożółtą powierzchnią stepu. Po tym sygnale żaden imuran nie wymknie się już ze swych podziemnych labiryntów, oczekując spokojnie na wesołą arię skowronka, gdy nieprzyjaciel odleci.

W ten sposób w warunkach przyjaznego sąsiedztwa żyją w mongolskich stepach głodowych i w pustyni skowronek i jego „koń” — imuran (*Lagomys ladacensis*).

W kilku miejscach Mongolii, a mianowicie w dolinie rzeki Mureni i na granicy Bargi spotkałem jeszcze jednego gryzonia stepowego.

Był to czarny szczur stepowy z rodzaju *Microtus*, podobny z kształtu ciała, z zabarwienia i braku ogona do zwykłego kreta. Szczury żyją koloniami i są świetnymi gospodarzami, robiąc olbrzymie zapasy żywności na zimę; mają one część swoich spichlerzy na powierzchni ziemi. Niedaleko od okrągłego otworu, prowadzącego do nory, szczur układa wysoki na 2 stopy stóg siana. Swymi wystającymi, przednimi zębami „kosi” trawę, suszy ją i składa w prawidłowy, okrągły stóg, w środku którego chowa w dołku, wykopanym w ziemi, nasiona i korzenie pokarmowe.

Jednak w obawie, iż wściekle wichry zimowe mogą zburzyć jego pracę, szczur wynalazł sposób na zaradzenie złemu. Ścina on trzy cienkie gałązki jakiegoś krzaka i przetyka nimi swój stóg, związuje gałązki za pomocą mocnej trawy na wierzchołku stogu. Taki stóg jest zabezpieczony od zburzenia, gdyż jest on taki mocny, iż kopnięciem nogi nie mogłem go rozwalić. Konie i wielbłądy starannie poszukują tych stogów, gdyż są one ułożone z najsmaczniejszych i najpożywniejszych gatunków trawy.

W dolinie Orchonu, porosłej wysoką, dobrą trawą spotykałem duże stada kuropatw-jaskółek, czyli salg (*Perdrix hirundo-Salga*), które są charakterystycznym dla Mongolii okazem ornitologicznym, zamieszkującym zarówno stepy jak i pustynię. Ten rodzaj kuropatw posiada jasnoszare „mimetyczne” zabarwienie i dwa długie pióra sterowe w ogonie, co właśnie podczas lotu nadaje tym ptakom, stale świergocącym, wielkie podobieństwo do dużych jaskółek. Samiec-kuropatwa w szarym upierzeniu ma brunatno-czekoladowe plamy na grzbiecie i na skrzydłach, nogi zaś pokryte krótkimi, lecz gęstymi i twardymi piórami.

Dzięki jeździe „urgą” poczyniłem cały szereg ciekawych spostrzeżeń zoologicznych, z których najcenniejsze były obserwacje nad dzikimi końmi i osłami, które na ogół są do siebie podobne: jednakowej szarozółtawej barwy z brunatną lub czarną pręgą, idącą przez grzbiet. Okazy te nie są większe od koni kurlandzkich lub fińskich, tylko nogi mają krótsze i bardziej krępe. Dzikie koń (*Equus primigenius Przewalski*) ma dłuższą pręgę ciemną.

Dzikie osioł (*Equus Hemionus*) ma czasem pręgi dodatkowe, spuszczające się na boki, krótszą grzywę i ogon długości średniej, dłuższe uszy i znacznie szybszy bieg. Mongołowie nazywają dzikie konie i osły kulonami; polują na nie z powodu smacznego ich mięsa. Są to dzikie zwierzęta i nigdy nie zbliżają się do tabunów koni oswojonych.

Mongołowie wieźli mnie szybko i uczciwie, zbytnio nie oddalając się od wytkniętego kierunku i otrzymując w nagrodę za to srebrne dolary chińskie, których pewną ilość zarobiłem w Uliasutaju lekcjami francuskiego i angielskiego, udzielanymi kupcom chińskim i kolonistom rosyjskim.

Lecz widocznie przyzwyczajenie moje do siodła, na którym zrobiłem już 5000 mil angielskich, dało mi się we znaki. Trzęsienie i kołysanie się mojej bryczki rozbiło mnie do szczętu. Skacząc przez kamienie, nory świstaków i rowy, bryczka mknęła unoszona przez czwórkę dzikich koni, klekotała, trzeszczała i jęczała, i chyba tylko przez opór, a może dla podtrzymania reputacji „wygodnych powozów mongolskich” nie rozsypała się na kawałki. Wszystkie stawy, głowa, zęby, nawet oczy zaczęły mnie boleć. Jęczałem i kłamię. Wreszcie dostałem ostrego paroksyzmu ischiasu. Do rana nie zmrużyłem oka, nie mogłem leżeć ani siedzieć. Całą noc przespacerowałem pomiędzy jurtami jakiegoś koczowiska, utykając na chorą nogę i jęcząc boleśnie oraz słuchając potężnego i niezupełnie muzycznego chrapania pastuchów; od czasu do czasu staczałem energiczne walki z całą zgrają czarnych, złych psów, marzących o dobrej kolacji z mięsa nieznanego cudzoziemca, blakającego się nocami po stepie.

Nazajutrz wyruszyliśmy w dalszą drogę, lecz jechaliśmy tylko do południa. Czuję się bardzo źle; ból stał się nie do zniesienia. Zatrzymałem się w jakiejś jurcie na skraju małego klasztoru i postanowiłem się leczyć. Lecz chociaż połknąłem cały zapas swojej aspiryny i chininy, ból nie zmniejszył się wcale, przeciwnie, coraz gorzej się potęgował.

Wreszcie gospodarz jurty zapytał mnie, czy nie chciałbym poradzić się doskonałego lekarza-lamy. Poradziłbym się chętnie nawet diabłu, aby mi tylko ulżył cokolwiek.

Po kilku minutach wysoki, chudy i nader poważny lama trzymał mnie za puls; skrzyżowawszy mi obydwie ręce, wysłuchał bicia serca, opukał całe ciało i rzekł:

— Jesteś zdrow, jak ten dziki jak, lecz rozbiła cię jazda na siodle, a reszty dokonała bryczka. Dam ci dwa proszki. Jeden wypij z gorącą wodą, drugi — z zimną. Przez noc będziesz cierpiał, rano wsiądziesz na koń. Wszystko minie... Om! Om!

Otrzymałszy honorarium, przyniósł proszki i sam mi je przyrządził. Były one obrzydliwie gorzkie i jak gdyby przetłuszczone. Po chwili poczułem gwałtowne bicie serca, potem przypływ krwi do głowy i straszny, wzmagający się ból w nodze i grzbiecie, co zmusiło mnie do wstania i wyjścia z jurty; zacząłem biegać, żeby choć trochę zapomnieć o bólu.

— To dobrze! — cieszył się mój lekarz-lama, wypijając dziesiątą miseczkę herbaty.  
— Leki działają!

W duchu życzyłem mu wszelkich klęsk europejskich i mongolskich; biegałem, siadałem, aby za chwilę znowu się porwać z miejsca i rozpocząć chodzenie, raczej gonitwę, chwytając się co chwila za nogę i grzbiet. Tak przeszła noc. Przy pierwszych blaskach świtu, ból począł się zmniejszać, a gdy lama odsłonił płachtę na wierzchołku jurty, wpuszczając różowe promienie słońca zjawiającego się spoza gór, zmówił krótki pacierz poranny, po czym zwrócił się do mnie ze słowami powitania, już byłem zdrów. Z apetytem zjadłszy śniadanie, kazałem okulbaczyć dla siebie konia i jechałem obok bryczki, w której paradował mój przewodnik, stary kolonista.

Podczas kulbaczenia koni do jurty nagle podjechał pułkownik Filipow. Oznajmił mi on, że kapitan Bezrodnow zatrzymał całą ich grupę w Dzain-Szabi, pozwalając tylko jemu jednemu jechać do Wan-Kure dla spotkania się z baronem Ungernem, którego tam właśnie oczekiwano.

Tak opowiadał pułkownik Filipow, a w tym samym czasie całą jego grupę stracili Mongołowie i Tybetańczycy Bezrodnowa w ponurym wąwozie Dzaińskim. Tego jednak wtedy Filipow nie wiedział, jak również nie wiedział, że przed nim już przemknął do Wanu goniec z listem kapitana do krwawego barona...

Filipow ogromnie się śpieszył i wypiwszy naprędce herbatę, ruszył dalej, zamierzając przed wieczorem być w Wan-Kure, gdzie stał obóz płk. Kazagrandiego.

#### IV. STARY WRÓŻBIARZ

Opuściwszy klasztor jechaliśmy drogą urtońską. Konie były słabe i zniszczone ciągłą jazdą z rozkazu płk. Kazagrandiego oraz miejscowego „choszunnego” księcia, Dajczyn-Wana. Prócz tego do Wan-Kure podążał Pandita gegeni z 30 jeźdźcami eskorty, śpiesząc na spotkanie z baronem Ungernem.

Zmuszeni byliśmy zanocować na ostatnim „urtonie”, poprzedzającym klasztor, gdzie dozorcą był stary, otyły Mongoł; oprócz niego w jurcie zastaliśmy jego syna, młodego olbrzyma o pięknej, śmiałej twarzy. Gdy w zachwytem spoglądał na tak wspaniałą okaz ludzki, stary uśmiechając się z dumą rzekł:

— Ten młodzik zrobi swoje w życiu! Już teraz z rozkazu księcia gołymi rękami schwytał w górach stare dziczczale jaki i przywłókł je do księżęcej jurty. Księżę dał mu za to tytuł „merina<sup>10</sup>”.

Młodzian nawet nie spojrzął na nas; siedział zadumany i palił fajkę.

Wieczorem po kolacji stary wziął łopatkę baranią, starannie ją oczyścił, opalił do czar na węglach, otrząsnął z popiołu i zaczął uważnie rozpatrywać ją pod światło ogniska.

— Będę ci wróżył... — rzekł i nagle urwał, z przerażeniem patrząc mi w oczy.

— Cóżś zobaczył? — spytałem uśmiechając się.

— Milcz! — szepnął Mongoł. — Widziałem rzecz straszną...

Znowu położył kość na węgle, potem zaczął ją oglądać ze wszystkich stron, szepcąc modlitwy i zaklęcia.

Przejmującym i wystraszoną głosem szeptał przepowiednie:

— Ponura śmierć od wysokiego człowieka o rudych włosach i białej jak mleko twarzy stanie za tobą i będzie czyhać, długo, długo. Inny znów biały człowiek stanie się twoim przyjacielem... Stracisz wielu znajomych, zanim nastąpi czwarty dzień... gdyż umrą od długiego noża... Już widzę, jak ich ciała szarpia psy... Pamiętaj o małym trójkącie na wierzchołku dużego... Strzeż się człowieka o głowie w kształcie siodła. Ten będzie szukał twojej śmierci... Przez krzyż, znak śmierci widzę szczelinę w kości. Śmierć może odejść... Zbierz siły i odwagę!

Pijąc herbatę, długo siedzieliśmy jeszcze po wróżbiarskich praktykach dozorczy, lecz stary Mongoł patrzył na mnie z zabobnym strachem.

Przypomniałem sobie stare dzieje, gdy siedząc w więzieniu jako przestępca polityczny, z takim właśnie nieokreślonym strachem spoglądałem w oczy skazanym na śmierć, bojąc

<sup>10</sup>merin — urzędnik, naczelnik powiatu. [przypis redakcyjny]

się spotkać z ich wzrokiem. Lecz prędko otrząsnąłem się od tych wspomnień i wrażeń i zasnąłem bardzo spokojnie i mocno.

Do Wan-Kure pozostało jakieś 25 kilometrów. Tam przecież są Europejczycy, z którymi można rozmówić się po ludzku! Wobec niebezpieczeństw miałem już wyrobioną stanowczość, pomysłowość i sztukę przekonywania ludzi, w ostatecznym zaś razie mauzer lub... cyjanek potasu.

Nazajutrz wyjechawszy z „urtonu”, około 11-tej ujrzałem pałac Dajczyn-Wana, potem zabudowania klasztoru, świątynie chińskiej architektury i nieco na prawo osadę handlową, gdzie się mieścił sztab Kazagrandiego.

Nad wrotami powiewał sztandar brygady pułkownika. Wszedłem do długiej, niskiej szopy i oznajmiłem oficerowi dyżurnemu o swoim przyjeździe; wkrótce byłem otoczony zbiegającymi się ze wszystkich stron oficerami, którzy dobrze znali moje nazwisko jeszcze za rządów adm. Kołczaka. Przyszedł pułkownik Kazagrandi, bardzo dobrze wychowany i wykształcony człowiek lat czterdziestu, znany w kołach wojskowych z powodu bohaterkiej obrony wyspy Moon w zatoce ryskiej podczas wojny z Niemcami.

Spotkał mnie niemal radośnie i bardzo serdecznie, zaprowadził do przygotowanego już pokoju i dał mi możliwość wymycia się w dobrej łaźni rosyjskiej.

Złożyłem wizytę miejscowemu staroście i tam właśnie nadbiegł płk Filipow, witając mnie hałaśliwie i z radością demonstracyjną. Po nim zaraz wszedł wysoki oficer o rudej czuprynie, o zadziwiająco białej, nieruchomej twarzy i szeroko rozwartych, zimnych, niebieskich oczach, które zupełnie nie pasowały do jego dziecięcych ust. W oczach oficera była taka jakaś zawziętość, nienawiść i okrucieństwo, że wprost nie mogłem patrzeć na jego przystojną, dziwną twarz. Załatwiwszy ze starostą jakiś interes wyszedł on, nie zapoznawszy się z nami. Dowiedziałem się, że był to kapitan Weselowski, adiutant gen. Riezuchina, przyjaciela barona Ungerna i dowódcy odrębnej brygady, która już biła się na pograniczu zabajkalskim z wojskami sowieckimi. Riezuchin i Weselowski przybyli tu tego ranka dla widzenia się z baronem.

Na obiedzie byłem u Kazagrandiego, który wyjaśnił mi przyczynę zaproszenia mnie do Wanu. Sprawa tak się przedstawiała. Baron z powodu wewnętrznej niezgody pośród oficerów w Uliasutaju oraz zhańbienia rabunkiem honoru oficerskiego i pogwałcenia umowy mongolsko-chińskiej, rozkazał rozstrzelać wszystkich oficerów i „saita”. Przedtem jednak Kazagrandi chciał otrzymać informacje ode mnie, aby wyratować niewinnych. Bronilem więc jak mogłem płk. Michajłowa i „saita” Czultun-Bejle, nie mogąc jednak i nie chcąc charakteryzować działalności grupy Poletiki i Filipowych, tym bardziej, że sam Filipow był w Wanie i mógł udzielić wyjaśnień najbardziej przekonywujących.

Dowiedziałem się teraz, iż przyczyną zapraszających listów Kazagrandiego był głównie rozkaz bar. Ungerna, który koniecznie chciał mnie widzieć. Dowiedziałem się też, iż Geja wraz z rodziną, tj. z żoną, teściową i trojgiem dzieci wywieziono w dniu mego przybycia do Wanu również z rozkazu barona.

— Wywieziono ich do sztabu generała Riezuchina — mówił Kazagrandi — lecz nie dojadą...

— Dlaczego?

— Będą straceni w drodze... Taki rozkaz barona...

— Trzeba ich ratować! — zawołałem. — Przecież i pan, i ja zawdzięczamy dużo Gejowi!

— Tak! Tak! — odparł pułkownik. — Bardzo mi przykro, lecz nie wiem, co zrobić... Niech pan spróbuje pomówić z Riezuchinem.

Dowiedziawszy się, gdzie mieszka generał Riezuchin, zacząłem się właśnie do niego wybierać, gdy nadszedł Filipow i z wielkim zapałem zaczął dzielić się z nami swymi spostrzeżeniami nad ćwiczeniami wojskowymi Mongołów, które odbywały się za klasztorem.

Podczas opowiadania Filipowa drzwi się powoli uchylily i wszedł oficer małego wzrostu, szczupły, w starym kożuchu mongolskim i w kozackiej czapce z daszkiem. Prawą, zranioną rękę trzymał na temblaku. Kazagrandi powitał przybyłego z wielkim szacunkiem i z pewnym zakłopotaniem.

Był to generał Riezuchin, „pies łańcuchowy” krwawego barona. Nastąpiło zapoznanie się. Generał bardzo zręcznie, aczkolwiek, grzecznie i taktownie, wypytywał nas o dwa ostatnie lata naszego życia, żartując i dowcipkując w sposób miły i elegancki.

Gdy wyszedł, pośpieszyłem za nim, aby rozmówić się co do Geja.

Riezuchin spokojnie i uważnie wysłuchał opowiadania o moich przejściach w Khatyle, gdzie taką wybitną rolę odgrywał Gej i rzekł swym cichym głosem:

— Gej był agentem bolszewików, udawał „białego” żeby lepiej prowadzić wywiad. Baron posiada świeżo przechwycone listy Geja, które nie pozostawiają ani cienia wątpliwości co do jego zdradzieckiej działalności.

Umilkł i po chwili dodał:

— Jesteśmy otoczeni wrogami. Lud rosyjski do szczytu zgnił i za cenę złota jest zdolny do wszelkiej zdrady i ohydy. Tak jest i z Gejem... Zresztą nie warto o nim wspominać, gdyż został już stracony wraz z całą rodziną. Dziś rano moi ludzie zarabali ich wszystkich w pobliżu klasztoru...

Z przerażeniem podniosłem oczy na tego eleganckiego oficera o takim pieszczotliwym głosie i miękkich ruchach. W jego żrenicach zobaczyłem całą otchłań nienawiści i stanowczości i od razu zrozumiałem i nadmiar szacunku ze strony Kazagrandiego, i paniczny strach, który się malował na twarzach salutujących mu oficerów i szeregowców.

Spełniła się więc w części przepowiednia starego Mongoła z „urtonu”, gdyż nie upłynęły cztery dni, a już cała grupa znajomych mi ludzi rozstała się z życiem.

A teraz jeszcze, zgodnie z przepowiednią, pozostawało straszliwe uczucie stojącej poza mną śmierci... Skąd ona ma przyjść? Pomimo że nie jestem zabobonny, myślałem jednak o wróżbie urtońskiego dozorczy, czytającego z opalanej w ogniu łopatki barana...

Tegoż wieczora otrzymaliśmy wiadomość, że za dwa dni baron ma przybyć do sztabu.

W pośpiechu szalonym inż. Wojciechowicz, Polak, budował na rzece Orchon most dla oddziałów, które miały iść z Urgi do Wanu i dla przejazdu samochodu barona. Gdym oglądał ten most, zauważyłem, iż klasztor Wan-Kure ma formę trójkąta i położony jest na dużej wyspie trójkątnej, uformowanej przez rzekę Orchon i jej dopływ.

Znowu przypomniały mi się słowa wróżbiarza o dwóch trójkątach. A więc tu muszę zwalczyć śmierć?

Co prawda wiedziałem już, że o nią tu nie jest trudno.

Nazajutrz do Wan-Kure wpadł olbrzymi „fiat” barona Ungern von Sternberga, naczelnika odrębnej dywizji azjatyckiej, honorowego chana mongolskiego, głównodowodzącego, czyli dziań-dziunia armii „Żywego Buddy” i wybawiciela Mongolii.

## V. „ŚMIERĆ STANIE ZA TOBĄ...”

„Straszliwy” generał, „szalony krwawy baron” wpadł do Wanu nieoczekiwanie, oszukawszy wszystkie warty i ominąwszy patrole. Zatrzymał się w pałacu księcia Dajczen-Wana, złożył wizytę hutuhtu klasztoru i nagle zjawił się w sztabie, skąd posłał po Kazagrandiego.

Po krótkiej rozmowie z pułkownikiem baron udał się do jurty Riezuchina, dokąd wezwał płk. Filipowa i mnie. O tym wezwaniu dowiedziałem się od Kazagrandiego, który sam do mnie przyszedł. Chciałem natychmiast iść, lecz pułkownik zatrzymał mnie dość długo, a później rzekł:

— No, z pomocą Bożą niech pan idzie!

Dziwne i zatrważające było to pożegnanie. Przełożyłem z kieszeni za mankiet kozucha flaszeczkę z cyjankiem potasu i nabiwszy mauzer wyszedłem z domu.

Gdym wszedł na podwórze, gdzie stała jurta barona, zbliżył się do mnie kapitan Weselowski. Na jego olśniewająco białej twarzy ponuro świeciły zimne, nienawiścią palające oczy. Miał za pasem szablę kozacką i rewolwer bez pochwy. Wszedł do jurty i zameldował mnie.

— Proszę wejść! — rzekł, zjawiając się z powrotem.

W chwili, gdym miał już dotknąć drzwi jurty, tuż koło progu spostrzegłem kałużę krwi, która jeszcze nie zdążyła wsiąknąć w ziemię. Coś złowrogiego było w tej niewielkiej czerwonej plamie gęstej, jak gdyby żywej jeszcze krwi...

Zapukałem do drzwi.

— Proszę! — rozległ się wysoki głos tenorowy.

Wszedłem do półciemnej jurty. Na spotkanie moje rzucił się jakiś oficer, ubrany w jedwabny, jaskrawy „chałat” mongolski, nerwowym ruchem uściśnął mi rękę i nim zdążyłem przyjrzeć się jego twarzy, padł z powrotem na niskie posłanie i głosem chrapliwym wykrztusił:

— Proszę mówić, kim pan jest?! Tylko prawdę! Mamy tu tylu prowokatorów i szpiegów...

Baron Ungern (bo był to właśnie ów „straszliwy” generał!) utkwiał we mnie swe oczy.

Teraz dopiero mogłem mu się przyjrzeć. Mała głowa na szerokich, chudych barkach. Powichrzone, złotawe włosy. Cienkie, długie wąsy rude. Wynędziała, szcerniała od wiatrów i mrozów chuda twarz, jaką można widzieć na bardzo starych obrazach świętych. Lecz wszystko to znikło, gdy spojrzałem na ogromne sklepienie czoła ze straszliwą blizną od cięcia szablą, spod którego połyskiwały stalowe, olbrzymie, okrągłe oczy jasne, które jak dzikie zwierzęta z głębi jaskini, śledziły wyraz mej twarzy bacznie, bez zmruczenia powiek. Lewe oko z powodu-przekrwienia było jeszcze straszniejsze od prawego.

Poczyniłem te spostrzeżenia w okamgnieniu i zrozumiałem, że mam przed sobą niebezpiecznego człowieka, zdolnego do odruchów natychmiastowych i bezpowrotnych. Niebezpieczeństwo było wyraźne, lecz i obelga, rzucona mi, była również ciężka.

— Proszę usiąść! — szepnął baron głosem syczącym, nie spuszczać ze mnie oczu i skubiąc wąsy.

— Generał pozwolił sobie na zniewagę względem mnie — zacząłem, czując jak stopniowo wzmaga się we mnie szalony gniew. — Moje imię jest dostatecznie znane, ażeby uchronić mnie od przymiotników, wymienionych przez pana. Może pan uczynić nade mną gwałt, jaki mu się podoba, ponieważ przemoc jest po pańskiej stronie, lecz nic nie potrafi mnie zmusić do rozmowy z panem.

Baron nagłym, drapieżnym ruchem spuścił nogi z posłania i wsparł się na boku, zaczął mi się przyglądać jeszcze uważniej, lecz przestał skubać wąsy i miałem wrażenie, że zatamował oddech w piersi.

Zachowując zewnętrzny spokój i zimną krew, przyglądałem się postaci leżącego oraz jurcie. Dopiero wówczas spostrzegłem siedzącego w ciemnym kącie generała Riezuchina. Zamieniliśmy ukłony w milczeniu. Po chwili znowu spojrzałem na barona. Siedział, spuściwszy głowę na piersi i zamknąwszy oczy; widocznie myślał nad czymś.

Chwilami mocno tarł ręką czoło i coś szeptał.

Raptem podniósł się i rzekł patrząc gdzieś powyżej mojej głowy:

— Odejdź! Już nie trzeba...

Szybko się obejrzałem. Z tyłu poza mną stał Weselowski z szablą w ręku, wpatrzony swymi zimnymi oczyma w barona, jak w tęczę.

Kapitan spuścił szablę i wyslizgnął się z jurty.

— Śmierć z ręki białego człowieka o rudych włosach stała za mną... — pomyślałem. — Lecz czy odeszła naprawdę?

Baron rozmyślał jeszcze długą chwilę, a później, wyciągnąwszy ku mnie rękę, zaczął szybko mówić, płacząc się w słowach i nie kończąc zdań:

— Proszę mi wybaczyć... Pan powinien zrozumieć... Tylu zdrajców... Uczciwych ludzi prawie już nie pozostało... Nikomu nie można ufać... Wszystkie nazwiska przybrane... fałszywe... Dokumenty łżą. Łżą oczy i języki... Wszystko splugawione, zepsute przez bolszewizm... Przed przyjściem pana kazałem zarąbać pułkownika Filipowa... Dowodził mi, że jest przedstawicielem białej organizacji oficerskiej... Zrewidowano go i znaleziono za podszewką kurtki sowiecki tajny alfabet... Gdy Weselowski wzniósł szablę, Filipow... Do diabła!... Tak się wżarła w ludzi przekłeta dyscyplina komunistyczna... Filipow w obliczu śmierci krzyknął: „za co zabijacie mnie, towarzyszu kapitanie?!” Nikomu nie wolno ufać! Nikomu...

Umilkł. Milczałem, nie ruszając się z miejsca.

— Przepraszam pana z całego serca — zaczął znowu baron. — Obraziłem pana ciężko... Pojmuję... pojmuję... Lecz jam nie tylko człowiek, jam — wódz... Na mojej głowie tyle istnień... tyle trosk... i smutku...

W głosie jego posłyszałem szczerłość i rozpacz.

Znowu wyciągnął ku mnie rękę i uczułem nerwowy uścisk małej, silnej dłoni.

Zapanowało milczenie. Przerwałem je zapytaniem:

— Co generał rozkaże mi czynić obecnie, gdyż nie posiadam ani fałszywych, ani prawdziwych dokumentów? Znają mnie jednak niektórzy oficerowie z pańskiej dywizji; nadto mam nadzieję, iż znajdę w Urdze takich, którzy dowiodą, że nie jestem prowokatorem, ani...

— Dość, dość! — zawołał przerywając mi baron. — Wszystko skończone, wszystko zrozumiane! Wniknąłem w duszę pańską i wiem już wszystko... wszystko... Hutuhtu z Narabanczi pisał mi, że jesteś przeistoczonym bogiem. Modlił się w obecności pana, miał widzenia... Opowiadał o „Wielkim Nieznany”... Prawdą jest wszystko! Czym mogę panu służyć?

Opowiedziałem mu o naszych przygodach i o tym, że nasza grupa polska dąży do Pacyfiku, aby przedostać się nareszcie do ojczyzny, a więc proszę o pomoc w tej wyprawie.

— Z największą przyjemnością dopomogę panom — zawołał baron. Do Urgi dowiozę pana swoim samochodem... Jutro jedziemy... W Urdze omówimy dalszy plan... Do widzenia, do jutra!

Gdy wychodził z jurty barona, jeszcze raz spojrzałem na kałużę krwi. Teraz wiedziałem, że była to krew pułkownika Filipowa. Jeden moment oddzielał mnie od tego, aby moja krew również powoli wsiąkała w mocno udeptaną ziemię mongolskiego podwórza. Śmierć z ręki białego człowieka była tuż za mną...

Tymczasem jednak żyłem.

W domu zastałem pułkownika Kazagrandiego, który chodził po izbie w wielkim niepokoju.

— Chwała Bogu! — wykrzyknął na mój widok.

Wzruszyła mnie ta radość pułkownika. Lecz zarazem pomyślałem, że powinien być może użyć radykalniejszych sposobów, niż modlitwa, dla uratowania od śmierci swego gościa.

Wrażenia ubiegłego dnia bardzo mnie wyczerpały nerwowo. Czulem się znużony i zniechęcony. Wydało mi się nawet, że przez te kilka godzin się zestarzałem i że na skroniach mych zjawilo się więcej siwizny, oczy zaś zapadły głębiej. Położyłem się wcześnie, lecz zasnąć nie mogłem. Widziałem wynurzającą się z ciemności przystojną, wesołą twarz płk. Filipowa, która nagle znikła, tonąc w krwawej, dymiącej kałuży... Majaczyły mi się zimne oczy Weselowskiego, w uszach zaś brzmiał syczący głos barona...

Nagle drzwi się otworzyły i na tle oświetlonego pokoju sąsiedniego zjawila się wysoka postać Ungerna, za którym wszedł Kazagrandi. Baron szybko zbliżył się do mego łóżka. Pomyślałem, że jest to dalszy ciąg moich mar sennych, lecz w tej samej chwili baron zaczął mówić:

— Przyszedłem pana przeprosić — rzekł uśmiechając się — iż nie mogę zabrać go jutro do samochodu, gdyż „Żywy Bóg” polecił mi przywieźć do Urgi księcia Damczarena. Natomiast kazałem dać panu jutro rano swego własnego białego wielbłąda, doskonałego, śmignętego wierzchowca i zostawiłem do usług pańskich dwóch swoich ordynansów-kozaków. Najdalej za osiem dni dojedzie pan do Urgi... Jazda będzie bardzo wygodna... Prowianty i namiot są już wydane... Przepraszam, że pana obudziłem!

Nie zdążyłem nawet podziękować mu, gdy Ungern w jednej chwili szybko, niemal biegiem opuścił mój pokój i drzwi bez hałasu się za nim zamknęły.

Sen zupełnie mnie opuścił. Ubrałem się i usiadłem przy stole; zacząłem palić fajkę po fajce, usiłując uspokoić podrażnione nerwy. Doprawdy! Daleko łatwiej było bić się z „czerwonymi” na Sejbi i przechodzić przez śnieżne szczyty Ułan-Tajgi i Tybetu, gdzie złe duchy i źli ludzie zabijają śmiałków! Tam wszystko było jasne, zrozumiałe, a tu jakaś zła mara, jakiś wicher ponury i straszny! Wyczuwałem tragedię, grozę w każdym słowie, w każdym ruchu barona Ungerna, za którym szły niby dwa cienie: milczący, o białej jak mleko twarzy kapitan Weselowskij i... śmierć...

## VI. GROZA WOJNY

Było jeszcze daleko do świtu, gdy do mego pokoju wpadł żołnierz dyżurny i z przerażeniem zawołał:

— Przyszli po pana żołnierze od barona!



Narzuć mi kożuch i wyszedłem. Przed gankiem stało dwóch uzbrojonych ludzi. Jeden z nich człowiek starszy, z obrzękłą twarzą i zawiązanym okiem, drugi — młody, przystojny, ubrany starannie.

— Przyszliśmy po pana z rozkazu generała.

Milczałem, bo nie wiedziałem jeszcze, co to ma znaczyć, a kozak ciągnął dalej:

— Zaraz wyjeżdżamy do Urgi. Baron rozkazał przygotować dla pana swego wielbłąda. Przyszliśmy po siodło i rzeczy pańskie.

W pół godziny potem mijalem ostatnie zabudowania Wan-Kure, kierując się ku brzegom Orchon. Oprócz kozaków jechało ze mną dwóch żołnierzy mongolskich i kulawy, gadatliwy lama. Tuż za klasztorem spostrzegłem zgraję psów, gryzących się koło leżącego trupa. Może były to szczątki Filipowa?...

Kozacy i Mongołowie milczeli. Szczególnie nieprzychylnie spozierał na mnie starszy kozak. Nikt z nich nie zaczynał ze mną rozmowy, lecz kozacy stale jechali za mną z tyłu. Ta okoliczność wcale mi się nie podobała. Baron Ungern mógł nie chcieć skończyć ze mną porachunków w Wanie, gdzie prawie wszyscy oficerowie znali mnie od dawna, lecz może zamierzał uczynić to nieznacznie podczas mojej wyprawy do Urgi. Przecież to tak łatwo! Kula w grzbiet lub w głowę i — koniec! Psy i wilki dokończą reszty. Dlatego stale miałem się na baczności, przygotowawszy swój rewolwer do natychmiastowego strzału. Nieznacznym manewrem zmusiłem kozaków, aby jechali obok mnie lub przede mną.

Przejechaliśmy most na Orchonie i tam poprosiłem inżyniera Wojciechowicza, aby pozdrowił ode mnie płk. Kazagrandiego. W ten sposób chciałem zostawić jakiś ślad po sobie na wypadek oczekiwanej przygody.

Po czterech godzinach posłyszałem dalekie huczenie samochodu i wkrótce obok nas przemknął baron Ungern z dwoma adiutantami i z księciem mongolskim. Generał bardzo uprzejmie pozdrowił mnie i krzyknął:

— Do widzenia w Urdze, profesorze!

— Hm — pomyślałem — więc dojadę do Urgi...

To znacznie mnie uspokoiło na czas drogi do stolicy „Żywego Buddy” i „krwawego szalonego barona”. Żyłem już od dawna krótkimi okresami czasu. W Urdze znajdą nowe okoliczności; tam obmyślę sytuację, tam będzie mój olbrzym — agronom i dwóch bardzo dzielnych żołnierzy polskich.

Po spotkaniu się z baronem kozacy od razu zmienili swój stosunek do mnie, starając się zabawić mnie rozmową i figlami z kulawym lamą. Przy każdej sposobności na wyścigi starali się mi dopomóc i usłużyć.

Opowiedzieli mi oni o bojach swojej dywizji w Zabajkału z bolszewikami i w Mongolii z Chińczykami, o niezwyklej, czarującej odwadze barona, którego kule najwidoczniej omijają.

Stary kozak opowiadał:

— Gdy przed rozpoczęciem szturm chińskiego przedmieścia Urgi, Majmaczenu, wojska były już na pozycjach i oczekiwały sygnału, baron siedział sobie spokojnie koło ogniska na stepie. Mroźny wiatr szalał, ścinając krew w żyłach. Generał zaś był bez czapki, palił papierosy i patrzył w ogień. Widocznie o czymś głęboko się zamyślił. W jakiś czas potem wstał i zawoławszy mnie kazał podać sobie dwa konie. Wskoczywszy na jednego, skinął na mnie. Pojechaliśmy. Była ciemna noc. Jechaliśmy po naszymu, po kozacku, tak jak niegdyś, gdy skradaliśmy się do Niemców, jak wilki lub cienie... Podkova nie szczęknęła, strzemień nie zadzwoniło... Zobaczyłem przed sobą światełko. Powiadam: „Ekscelencjo, to już Majmaczen!” On burknął: „Wiem!” — Znów mówię: „Ekscelencja bez broni!” On zaś wyrzucił mnie przez grzbiet taszurem<sup>11</sup> i zaśmiał się. „Łżesz! — powiedział — mam broń”. Jechaliśmy jeszcze dość długo głębokim wąwozem lub brzegiem rzeki. Gdzieś na prawo od siebie usłyszeliśmy głosy żołnierzy chińskich. Lecz jazda trwała dalej i po jakimś czasie znaleźliśmy się na tyłach pozycji chińskiej. Co zamierza uczynić baron? — myślałem, patrząc na niego. Zaczęły się wkrótce płoty Majmaczenu. Wjechaliśmy w wąską uliczkę. Baron, zapaliwszy papierosa, spokojnie jechał dalej. Przejechaliśmy ulicę jedną i drugą. Wreszcie baron zatrzymał konia około jakiegoś płotu i stanąwszy na strzemionach, długo się czemuś przyglądał i coś obliczał. Gdy skończył, zawrócił konia i burknął

<sup>11</sup>taszur — kij bambusowy z krótkim rzemieniem do poganiania konia. [przypis redakcyjny]

do siebie: „Tych dział nie zdążą wywieźć na pozycję! Jeżeli zdobędziemy miasto prędko, działa przejdą do mnie”... Nagle z zakrętu ulicy wyjechał patrol chiński, złożony z oficera i żołnierza. Zerwałem karabin z ramienia, lecz baron głosem spokojnym rozkazał: „Nie strzelaj! zrzuc żoźnierza z siodła taszurem!” Zrobiłem, co kazał. Baron osobiście rozwalil oficerowi głowę taszurem, ja zatłukłem żoźnierza. Powróciliśmy do swoich i baron od razu dał sygnał do ataku. Nad rankiem byliśmy już w Majmaczenie i w Urdze. Działa, które stały na podwórzu za płotem, przeszły do barona. Stało się tak, jak mówił.

Na takich opowieściach dzień przemknął niepostrzeżenie. Wielbłądy szły zamasy-  
stym kłusem, robiąc do 80 kilometrów dziennie. Wyjątkowo szybki w biegu był mój wiel-  
błąd, olbrzymie, prawie zupełnie białe zwierzę o wspaniałej grzywie i o wysokich, twar-  
dych garbach, podarowane baronowi przez ksiąząt Mongolii Wewnętrznej wraz z dwiema  
skórkami czarnych soboli, zawieszonymi przy uździe wielbłąda.

O 120 kilometrów na wschód od Ochronu spostrzegliśmy pierwszego trupa żołnierza  
chińskiego. Leżał w poprzek drogi w ciepłym, szarym płaszczu futrzanym z czarną twarzą  
o wydziobanych przez ptaki oczach i wyszczerzonych żółtych zębach. Na czole widniała  
straszalna rana od cięcia ciężkiej szabli tybetańskiej. Obuwie było zdarte i z watowanych  
spodni sterczały czarne stopy bez palców.

Trochę dalej pośród kamieni leżało kilka trupów chińskich. Byli to gamini z oddziału,  
posłanego z Kiachty na pomoc generałowi chińskiemu w Urdze, Czen-Y. Po utarczce  
z wojskami Ungerna rozproszyli się i skierowali na zachód, lecz tu dogonili ich i wytępiłi  
Tybetańczycy i Buriaci barona.

Posuwając się dalej, przeszliśmy przez grzbiet Burgucki; zapuściliśmy się w równinę,  
przeciętą rzeką Toła, na brzegu której, nieco dalej na wschód, leżała stolica mongolska,  
Urga.

Wkrótce trafiliśmy na szeroki gościniec, zasypany porzuconymi przez uciekających  
Chińczyków kozuchami, czapkami, koszulami, butami, kociołkami i innym dobytkiem  
żołnierskim.

O kilka kilometrów dalej, na błocie, spostrzegliśmy dużo nagromadzonych w różnych  
miejscach trupów ludzkich, końskich i wielbłądzych, połamanych wozów, żelaznych pie-  
cyków, kotłów i blaszanek od galetek i benzyny, kozuchów, czapek i nawet porwanych  
woreczków chińskich do tytoniu oraz fajek. W tym miejscu zatrzymano i zdobyto ucie-  
kające obozy oddziału chińskiego.

Straszny był ten obraz śmierci i zniszczenia obok wrzącego dokoła, budzącego się po  
zimie życia!

W każdej kałuży pluskały się dzikie kaczk i szkarłatne „ptaki-lamowie”; w wysokiej  
trawie żurawie wyprawiały dziwne skoki; na jeziorach pływały olbrzymie stada dzikich  
gęsi i łabędzi; na miejscach suchych szukały pożywienia, biły się i biegały dropie; gwizdząc  
frunęły stadka kuropatw-salg; na stokach gór wylegiwały się na słońcu wilki, rozmarzone  
cieplem i wiosną.

Natura zna i kocha życie! Nie znosi śmierci i ślady jej stara się ukryć pod białą powłoką  
śniegu lub bogactwem zieloności i kwiatów barwnych.

Co naturze do tego, że gdzieś tam koło Czifu, czy w wiosce na Yan-Tze staruszka-  
-matka daremnie ofiarowuje bogom ryż i świece, modląc się o życie dla syna, którego  
powrotu oczekuje z dnia na dzień, nie wiedząc, że leży on tu, w dolinie Toły, zabity,  
szczerniały, rozszarpany i nikomu nie znany. Natura wie, że trup ten wkrótce zniknie  
bez śladu pod promieniami słońca, pod tchnieniem wiatru stepowego. Wspaniała jest ta  
zupełna obojętność przyrody dla śmierci i to umiłowanie przez nią życia we wszystkich  
jego przejawach!

Czwartego dnia pod wieczór dotarliśmy do brzegu Toły. Długo szukaliśmy brodu, lecz  
bezsukutecznie; wreszcie znudzony bezowocnym poszukiwaniem, zmusiłem swego olbrzy-  
ma-wielbłąda do wejścia do wody, chcąc spróbować przebyć rzekę wplaw. Na szczęście  
trafiłem na mieliznę i wkrótce byliśmy już na przeciwległym brzegu, gdzie rozbiliśmy  
namiot i spędziliśmy noc. O świcie ruszyliśmy dalej.

25 kilometrów za Tołą zaczyna się pole bitwy, trzeciej wielkiej bitwy o niepodle-  
głość Mongolii. Tu właśnie armia rosyjsko-mongolska, pod dowództwem Niemca, ba-  
rona Ungern von Sternberga, rozbiła piętnaście tysięcy wojska chińskiego, wzięwszy do  
niewoli 4 000 ludzi i wytępiwszy resztę. Olbrzymia przestrzeń stepu była zawałona tru-

pami, chociaż od czasu bitwy minęło już około dwóch miesięcy. Gdzieniedzie widniały całe góry trupów. Wszędzie widać było połamane wozy, potrzaskane karabiny, rzeczy porozrzucane w panicznej ucieczce.

Mongołowie zwinęli stąd swoje koczowiska, miejscowość przeto była bezludna; natomiast we wszystkich wąwozach, pośród kamieni, czaiły się wilki, ci towarzysze żołnierza; z nimi zaś staczały zacięte walki ogromne zgraje psów zdziczałych. Wielbłądy nasze z przerażeniem kręciły głowami, trwożnie parskały i tuliły się jeden do drugiego.

Dwie i pół godziny jechaliśmy przez to pole śmierci. Wszędzie leżały trupy... trupy... setki, tysiące trupów, najokropniej rozplatanych od szyi do bioder, z odrąbanymi głowami i ramionami.

— To cięcia Tybetańczyków! — wołał z uniesieniem młody kozak. Oj, ci to umieją wywijać szablą!

Przejechaliśmy obok konia, który leżał z szyją odrąbaną prawie przy piersi. Straszliwie pocięte twarze, zdruzgotane czaszki, porozrzucane, odcięte od tułowia dłonie składały się na straszliwą ofiarę, złożoną zachłannemu bogu wojny przez dzikie, waleczne wojska barona Ungerna.

Wreszcie minęliśmy to złowrogie pobojowisko. Zbliżyliśmy się do wartkiego i płytkiego potoku. Mongołowie zeskoczyli z wielbłądów i zdjęwszy kołpaki, zaczęli pić wodę z tego „świętego” źródła, które płynęło przez dziedziniec pałacu „Żywego Buddy”.

Wkrótce potem zobaczyliśmy wysoką górę, porośłą gęstym, prawie czarnym lasem. W gęstwinie białe ściany kaplic i małych zabudowań mongolskich.

— To jest święty szczyt Bogdo-U! — zawołał lama. — Tu przebywają bogowie ochraniający „Żywego Buddy”.

Bogdo-U! jest jak gdyby ogniwem, łączącym trzy schodzące się tu grzbiety górskie: Dżegil ze wschodu, Gangyn — z południa i Guntu — z północy. Góra jest regalią, własnością panującego w Urdze Bogdo-hutuhtu, czyli „Żywego Buddy”. Lasy rosnące tutaj są przepelnione różnorodnymi zwierzętami i ptactwem, żyjącym tu zupełnie bezpiecznie, bo polowanie jest wzbronione pod groźbą śmierci, jak również i przejście przez górę. Jeden tylko człowiek przekroczył ten zakaz. Był to baron Ungern, który z setką kozaków przebył Bogdo-U!, przekradł się do pałacu „Żywego Buddy” i porwał go na oczach wart chińskich, ochraniających najwyższego mongolskiego dostojnika, aresztowanego z rozkazu Pekinu.

## VII. W MIEŚCIE „ŻYWYCH BOGÓW”

Gdyśmy się zbliżyli do lasu, ujrzeliśmy wylaniający się spoza drzew pałac „boga”. U podnóża Bogdo-Utu, za złotym ogrodzeniem muirowanym wznosił się malowniczy budynek w tybetańskim stylu, którego dach z ciemnozielonych, emaliowanych dachówek lśnił na słońcu. Naokoło ciągnął się gęsty park i widać było fantastyczne dachy świątyni pałacowych i mniejszych budynków. Dalej widać było drewniany, przerzucony przez Tołę most, który prowadził do miasta mnichów, do czczonego na całym Wschodzie Azji Ta-Kure, czyli Urgi.

Tu oprócz „Żywego Buddy” zamieszkuje cała gromada drugorzędnych cudotwórców, proroków, czarowników i cudownych lekarzy. Wszyscy oni są boskiego pochodzenia i czczeni jako „żywi bogowie”.

Po lewej stronie drogi, na dość wysokim płaskowyżu stoi klasztor. Jest to najbogatszy i najludniejszy klasztor lamaicki po Lhassie Tybetańskiej. Nad morzem dachów, pokrywających najróżniejszego rodzaju budynki, wznosi się ogromna, ciemnoszkarlatna wieża „świętyni grodu lamów”, gdzie stoi olbrzymia złocona figura Buddy spoczywającego w kwiecie lotosu. Prócz niej na terenie klasztoru rozsiane są dziesiątki mniejszych świątyni i kaplic — „obo”, ołtarzy, wież dla wróżbiarstwa astrologicznego. A dalej szara, bezbarwna zbita masa domów, jurt i szałasów, gdzie się gnieździ 60 000 mnichów — lamów różnych rang i wieku, zabudowania szkół, archiwów, księżnic, burs dla „bandi” (kleryków) i domów gościnnych dla dostojnych lamaitów z Tybetu lub z kraju Buriatów.

Poniżej klasztoru, na równinie piaszczystej leży tzw. cudzoziemskie przedmieście, zamieszkałe przez kupców rosyjskich i chińskich; na tym przedmieściu mieszczą się wszystkie sklepy i kantory oraz barwny, hałaśliwy bazar wschodni. W odległości jednego ki-

lometra widać szarożółty, z gliny ubitej czworokąt dzielnicy chińskiej Maj-ma-Czenga; a jeszcze dalej ciągnie się nieskończenie długa ulica pomiędzy dwoma szeregami domów rosyjskich i widnieje cerkiew, szpital, więzienie i ciężki, niezgrabny, ciemnoczerwony budynek czteropiętrowy konsulatu rosyjskiego, obecnie nieczynnego.

Przy samym wjeździe do miasta mnichów, u wejścia do małego wąwozu ujrzałem kilku żołnierzy mongolskich, znoszących trupy ludzkie do jakiegoś dołu.

— Co oni robią? — spytałem kozaków, lecz ci milczeli, uśmiechając się tajemniczo.

Nagle wyprostowali się jak struny, przyłożyli dłonie do daszków od czapek. Z wąwozu wyjechał na dzielnym bachmaciku jakiś wojskowy.

Miał na głowie zieloną czapkę z kokardą oficerską, a na ramionach — szlify pułkownikowskie. Spostrzegłem, że mijając, przelotnie obrzucił nas ostrym wzrokiem. Zapamiętałem jego szare, prawie bezbarwne oczy, ukryte pod krzaczastymi brwiami siwiejącymi.

Przejeżdżając obok nas, zdjął czapkę i zaczął wycierać chustką spocone czoło. Od razu rzucił mi się w oczy dziwny kształt czaszki tego człowieka; była to czaszka podłużna, której przednia i tylna część były jak gdyby rozdęte, a wierzchołek głowy przepołowiony wyraźną linią, idącą w poprzek. Przypominało to poduszkę, przeciągniętą rzemieniem. Był to niezawodnie „człowiek z głową podobną do siodła”, przed którym ostrzegał mnie stary wróżbiarz w okolicach Wanu.

— Kto to jest? — spytałem kozaków.

— Pułkownik Sipajłow, komendant Urgi... — wyszeptali, wpatrzeni w oddalającego się szybko oficera.

Słyszałem o nim dużo w Wanie i w Dzainie od kapitana Bezrodnowa. Była to najbardziej ponura osobistość na krwawym tle epopei mongolskiej z r. 1921. Sipajłow, technik z wykształcenia, przeszedł przed kilku laty na służbę do żandarmerii carskiej i bardzo szybko zrobił karierę. Stał się zdenerwowany, podniecony, ustawicznie zżymający się od wewnętrznych bólów nerwowych, mówił szalenie szybko, krztusząc się i prychnając śliną; oczy jego w czasie mowy zezowały, a przez całą twarz przechodziły drgania konwulsyjne. Był to typ psychicznie chory i baron kilkakrotnie usiłował pozbyć się tego człowieka, który stał się złym duchem buddysty Ungerna. Sipajłow był człowiekiem zwyrodniałym, dla którego największą rozkoszą było wykonywanie wyroków śmierci, które on inicjował i prowokował bardzo starannie i umiejętnie. Podczas trawienia skazańców radował się, pocierał ręce, wyśpiewywał piosenki operetkowe i wymyślał nadzwyczajne tortury dla swoich ofiar.

O komendancie Urgi szeptano wszędzie z niewymowną trwogą, nienawiścią i wstrętem. Cała fama o bezwzględny, straszliwym okrucieństwie barona była dziełem rąk i choroby psychicznej pułkownika Sipajłowa. Był to wściekły krwiożerczy pies, poszukujący ciągle świeżych ofiar.

Baron Ungern nieraz w późniejszych rozmowach swoich ze mną, prowadzonych w Urdze, wspominał o wstręcie, o fizycznej prawie nienawiści, jaką czuł do Sipajłowa i o chęci oddalenia go od siebie. Lecz to mu się nie udawało. Ten bezmiernie odważny człowiek dziwnie bał się Sipajłowa; nie było to uczucie zwykłego strachu, lecz jakiś nie dający się określić lęk mistyczny. Sipajłow bowiem doskonale rozumiał psychikę barona, jego zabobonność, jego mistyczny ustrój umysłowy, bezwzględną ideowość i umiał to wyzyskać.

Podczas pobytu barona w Zabajkalu pułkownik wynalazł jakiegoś buriackiego „szamana” — wróżbiarza, który przepowiedział, że z chwilą rozstania się z Sipajłowem baron zginie śmiercią straszliwą. Buddysta Ungern święcie w to wierzył i od tej pory godził się z obecnością Sipajłowa, który szalał coraz to bardziej, wylewając krew potokami i mordując dokoła winnych i niewinnych. Rodzinę Sipajłowa wyróżnęli bolszewicy, on sam przeszedł okropne tortury w więzieniu bolszewickim, skąd wreszcie udało mu się uciec. Ten szalony, krwiożerczy, dyszący nienawiścią, umysłowo chory człowiek mścił się straszliwie...

Zatrzymałem się w filii tego samego domu handlowego, w którym popasałem w Zaninie... Rodzina dyrektora przyjęła mnie bardzo serdecznie. Moi towarzysze: agronom i żołnierze polscy natychmiast przybyli do mnie i zaczęli opowiadać o krwawych przeżyciach Urgi i tysiącach niebezpieczeństw, podstępów, intryg i zbrodni, dokonywanych w tej stolicy „Żywego Buddy”. Po śniadaniu wyszliśmy na miasto. Wszystkimi ulica-

mi, zaułkami i placami sunęły barwne tłumy ludzi. Gwar uliczny mnie ogłuszył. Ludzie wykrzykiwali, kłócili się przy sprzedaży i kupnie, przyglądali się pstrym tkaninom chińskim, paciorkom, baranom, bransoletkom, skórą, koniom, obuwiu, ciężkim ozdobom srebrnym do włosów pań mongolskich, słowem wszystkiemu, co tylko było ciekawego na ulicy. Obok rzeźnicy macali przyprowadzone na sprzedaż barany i znaczyli wybrane i kupione znakami czerwonymi na grzbietach. Mongolskie strojnise w swoich olbrzymich uczesaniach, nadających głowie kształty ćmy, w ciężkich czapczkach srebrnych przesuwały się w tłumie, podziwiając stosy barwnych tkanin, wstążek i długich sznurów sztucznych koralii chińskich; poważni, otyli Mongołowie bardzo szczegółowo oglądali niewielki tabun doskonałych źrebców, spokojnie targując się z Dzachaczynem, właścicielem tabunu; chudy, na węgiel spalony Tybetańczyk, który przybył jako pielgrzym do siedziby „Żywego Buddy” lub może z jakimiś tajnymi zleceniami od wyższego jeszcze „boga” z Lhassy, tej lamaickiej Mekki, usiadłszy na ziemi wybierał posążki Buddy, wyrżnięte z czarnego lub żółtego agatu i przedstawiające Buddę w kwiecie lotosu w wielkiej świątyni w Urdze. W innym znowu miejscu duży tłum Mongołów i Buriatów otoczył kupca chińskiego, sprzedającego prześliczne tabakiery ze szkła, kryształu, porcelany, ametystu, chryzoprazu, agatu i nefrytu. Były to precudowne drogocenne wyroby chińskich, cierpliwych rzeźbiarzy. Za jedną tabakierkę z zielonkawo-mlecznego nefrytu, przeciętego siatką brunatnych żyłek, Chińczyk żądał dziesięć młodych byków, wskazując z zapalem i artystycznym zachwytem płaskorzeźbę, przedstawiającą misternie wykonanego smoka, który otoczył zwojami swego ogona tłum kąpiących się dziewcząt.

Wszędzie można było dojrzeć Buriatów w czerwonych chałatach jedwabnych i w małutkich czerwonych myckach na dużych, okrągłych głowach, i Tatarów w czerwonych kożuchach baranich i w czarnych „tiubetijkach”. Ogólne tło jednak stanowili lamowie. Wałęsali się wszędzie całymi gromadami, ubrani w płaszcze karmazynowe lub żółte, malowniczo zarzucone przez jedno ramię, w przeróżnych czapkach przypominających grzyby, kołpak frygijski lub też hełm grecki z wysokim grzbietem. Lamowie stąpali cicho, rozmawiali prawie szeptem, przebierali różańce i wróżyli żądnym przepowiedni. Lecz to nie było celem ich całodziennych przechadzek. Lamowie wyszukiwali bogatych klientów, którzy przybyli do Urgi z dalekich „choszunów”, a nawet spoza granic Hałhi po przepowiednie, wróżby i leki, słynne w tym mieście, zamieszkanym przez 60.000 lamów i posiadającym 30.000 posągów Buddy. Prócz tego do stolicy „Żywego Boga” przybyli w owym czasie księżęta chińskiej Mongolii Wewnętrznej, którzy natychmiast zostali otoczeni niewidzialną siecią szpiegostwa i dozoru ze strony obserwujących ich lamów.

Ponad domami w dzielnicy handlowej powiewały różnobarwne flagi: chińskie, rosyjskie, angielskie, mongolskie, trochę zaś na uboczu — gwiazdzista flaga Ameryki. Nad jurkami Mongołów, niby barwne motyle, trzepotały w powietrzu różnokolorowe flagi jaskrawe trójkątnej lub kwadratowej formy, długie w kształcie wstęg, krótkie i okrągłe. Były to znaki księżąt i rodzin prywatnych lub chorągwie żałobne nad jurkami ciężko chorych, umierających, albo umarłych na ospę lub trąd...

Wszystko to razem wyglądało jak pstra plama ruchoma oblana jaskrawym słońcem wiosennym. Wszędzie śmiech, krzyki, rżenie koni, ryk bydła, hałas.

Od czasu do czasu przechodzili żołnierze z azjatyckiej dywizji konnej barona Ungerna: Rosjanie — w długich chałatach szafirowych, Mongołowie — w czerwonych z żółtymi znakami Dżengiz-Chana na ramieniu. Zjawili się też żołnierze chińscy, którzy po porażce generała Czen-Y przeszli na służbę do „Żywego Buddy”, przysięgając mu wierność.

Przechodziliśmy właśnie przez plac, gdy naraz z bocznej ulicy z hukiem syreny wytoczył się ogromny samochód. Siedział w nim baron Ungern w złocistym jedwabnym chałacie chana, opasany niebieskim szalem i w niebieskiej czapce oficera rosyjskiego z żółtym lampasem. Jechał szybko, ustawicznie rozglądając się w tłumie. Zauważył mnie i poznał od razu. Samochód się zatrzymał, baron przywitał się ze mną i zaprosił do siebie.

Mieszkał w małej, bardzo skromnie urządzonej jurcie, która stała na podwórzu domu chińskiego. Obok wznosiły się jeszcze dwie jurty dla sztabu.

— Dowiedziałem się dzisiaj, że pan szybko i pomyślnie dojechał do Urgi — zagał baron rozmowę.

Podziękowałem mu za pomoc w drodze i przypomniałem o obietnicy zorganizowania wyjazdu całej grupy polskiej dalej, na wschód.

Twarz barona spochmurniała; spuścił głowę i głosem smutnym zaczął mówić po francusku.

— Tutejsza moja praca zbliża się ku końcowi. Za dziewięć dni rozpoczynam wojnę z bolszewikami i mam zamiar wtargnąć w granice Syberii. Chcę bardzo serdecznie prosić pana o zamieszkanie u mnie w ciągu tych dziewięciu dni. Nie jest to zbyt długi termin dla pana. Mnie zaś wyświadczy pan tym ogromną przysługę i przyjemność. Od tylu lat już jestem pozbawiony towarzystwa kulturalnego. Niegdyś dla wypoczynku duszy jeździłem do hetmana Siemionowa, do jego sztabu, gdzie obmyślał on i urzeczywistniał swoje olbrzymie, wspaniałe plany. Obecnie Siemionow daleko, ja czuję się bardzo samotny pośród całej mojej dywizji. Chciałbym, żeby pan wiedział o mnie wszystko, poznał moje myśli, plany i zamiary, żeby mógł pan pomówić ze mną, nie jak z „krwawym i szalonym baronem”, jak nazywają mnie wrogowie i nie z „dziadkiem”, jak ze strachem szepcą o mnie moi żołnierze; lecz jak z człowiekiem, który dużo myślał, a jeszcze więcej cierpiał...

Ungern chciał jeszcze coś dodać, lecz wpadł w nagłą zadumę. Nie chciałem mu przezywać, zaciekawiony tym nieoczekiwanym wybuchem szczerości.

Po paru minutach baron ciągnął dalej:

— Wszystko już obmyśliłem i przyrzekam odstawić całą grupę do punktu, skąd wam łatwo będzie dotrzeć do celu, lecz niech mi pan przyrzeknie również, że będę mógł uważać go za swego gościa w ciągu tych dziewięciu dni. Niech dni te będą moim wypoczynkiem i zapomnieniem wszystkiego...

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? W głosie barona wyczuwałem obok namiętnej prośby odcień głęboko ukrytej męki wewnętrznej i jakiejś tajemnicy. Zresztą byłem przecież w jego rękach i bez jego pomocy nie mogłem ruszyć dalej, ani też wywieźć swoich towarzyszy podróży.

Przyjąłem więc zaproszenie „krwawego barona”.

Ungern mocno, z wdzięcznością uściśnął mi dłoń i kazał podać herbatę.

## VIII. POTOMEK KRZYŻAKÓW I PIRATÓW

— Niech pan mi opowie o sobie i o swoich przejściach! — poprosił mnie baron przy herbacie.

Opowiedziałem mu wszystko, co mogło go interesować i rzeczywiście był on bardzo przejęty moją historią.

— A teraz ja zacznę swoją spowiedź, żeby pan wiedział, z kim ma do czynienia — zaczął Ungern, bacznie wpatrując się we mnie swymi palającymi oczyma. — Imię moje jest otoczone taką nienawiścią i strachem, że nikt nie wie naprawdę kim jestem, gdyż historię splątano z mitem, rzeczywistość z fantazją, prawdę z oszczerstwem. Kiedyś w swoich pamiętnikach opisz pan może tę podróż przez Mongolię i pobyt u „szalonego Ungerna”...

Spuścił powieki i paląc papierosa zaczął rzucać urywane zdania, śpiesząc się, nie kończąc słów, jak gdyby w obawie, że ktoś mu może przeszkodzić.

— Ród Ungern von Sternbergów jest bardzo stary. Mieszanina Niemców z Węgrami, Hunami z czasów Attyli. Moi wojowniczy przodkowie uczestniczyli we wszystkich wyprawach krzyżowych. Jeden z Ungernów zginął w Jeruzalem, walcząc pod sztandarami Ryszarda „Lwie Serce”, a nawet tragiczna wyprawa krzyżowa dzieci miała w liczbie swych ofiar Ralfa Ungerna, jedenastoletniego krzyżaka. Gdy na kresy wschodnie imperium niemieckiego posyłano najśmielszych i najokrutniejszych rycerzy, wśród nich był mój przodek, Artur baron Hals-Ungern-Sternberg. Na wschodzie obszarów niemieckich rycerze ci założyli zakon Teutonów, ogniem i mieczem szerząc chrześcijańską naukę o miłości bliźniego wśród dzikich pogan: Litwinów, Estów i Słowian. Teutoński zakon rycerski zawsze miał pośród swoich „braci” przedstawicieli mego rodu. Pod Grunwaldem zginęło dwóch Ungern von Sternbergów. Ród mój, jak już wspominałem, był wojowniczy i religijny, więc skłonny do mistycyzmu i ascetyzmu. W XVI i XVII wieku na ziemiach Estów i Łotyżów było kilku baronów Ungernów, po których pozostały stopy kronik z legendami i powieściami o ich życiu i czynach. Henryk Ungern, przewany „Toporem”, był „błędnym rycerzem”. Turnieje Francji, Włoch, Hiszpanii i Brytanii знаły to imię, strachem przejmujące serca zapaśników. Henryk odznaczał się niezwykłą sztuką władania toporem bojowym. Został zabity w Kadyksie przez rycerza mauretańskiego,

który rozwalil mu czaszkę wraz z hełmem uderzeniem topora. Ralf Ungern, baron na Sternbergu, miał swoją siedzibę około gościńca pomiędzy Rewlem a Rygą i pod groźbą śmierci zmuszał wszystkich podróżników do płacenia mu daniny. Baron Piotr Ungern był właścicielem zamku na wyspie Dago na Bałtyku, gdzie wybudował sobie całą flotyllę okrętów żaglowych, które stały się postrachem i klęską dla kupców.

Od tego przodka, rozbójnika morskiego, rozpoczęła się cała dynastia Ungernów, piratów i marynarzy, do których należę i ja. Wreszcie legendy znają jeszcze jednego barona mego nazwiska, który żył u schyłku XVII wieku. Miał na imię Wilhelm, a przydomek „Brat Szatana”. Przydomek ten przysługiwał mu z tego powodu, iż baron był alchemikiem i dawał w swoim domu przytułek wszystkim magom i czarownikom, prześladowanym w Europie za tajemne praktyki.

Wspomniałem już, że Piotr Ungern dał początek morskiej dynastii Ungernów. Potomkiem Piotra — pirata w prostej linii był mój dziad, który dopłynął na własnym żaglowcu aż do Oceanu Indyjskiego, gdzie zajmował się rabunkiem i rozbijaniem angielskich okrętów handlowych. Do czasów bolszewickich w naszym pałacu przechowywały się wspaniałe, starożytne meble mahoniowe, zdobyte przez dziada na jednym z zatopionych przez niego okrętów. W ciągu kilku lat dziad mój operował bezkarnie na oceanie, lecz nareszcie Anglicy wzięli go do niewoli i oddali w ręce konsula rosyjskiego, który odesłał go do Petersburga. Tam go sądzono i zesłano na całe życie do Zabajkala. Taka jest moja łączność z Syberią Wschodnią. Z wykształcenia jestem marynarzem, gdyż ukończyłem szkołę kadetów morskich w Petersburgu, później zaś wstąpiłem do pułku kozaków zabajkalskich, w którym walczyłem najpierw z Japończykami, a później z Niemcami. W tej ostatniej wojnie zostałem odznaczony za waleczność oficerskim krzyżem Św. Jerzego. W czasie pokoju życie moje upływało na studiowaniu filozofii i buddyzmu. Dziad mój przywiózł z sobą z Indii kajdany rosyjskie i indyjski buddyzm. Ojciec mój również był wyznawcą buddyzmu i mnie go przekazał. Posiadam pismo ofiarowane memu dziadowi przez jednego świątobliwego indyjskiego mahatmę — yoga; dzięki temu pismu miałem wstęp tam, dokąd chyba tylko Dalaj-Lama lub Taszy-Lama bywają dopuszczani przez kapłanów pierwotnego kultu Sakky-Muni. W swoim czasie chciałem założyć zakon wojskowych buddystów do walki z rozpustą rewolucji...

Baron umilkł i pił filiżankę po filiżance czarnej jak kawa herbaty.

— Rozpusta rewolucji... Czy myślał pan kiedy o tym? Czy ktokolwiek w ogóle zastanawiał się nad tą kwestią? Może jedynie tajemniczy Swedenborg lub najmędrzy z mędrców Taszy-Lama w Tybecie!...

Przytaczając teorie naukowe, tytuły dzieł, nazwiska uczonych i pisarzy, oraz cytaty z biblii i z literatury buddyjskiej, ten potomek pirata i „Brata Szatana” zaczął mówić natchnionym, podniesionym głosem, mieszając język rosyjski z niemieckim i wtrącając przy tym co chwila wyrazy francuskie i angielskie:

— W buddyjskich starych księgach i apokryfach z czasów pierwszych chrześcijan są wskazówki i prorocтва, które głoszą nadejście chwili, gdy powstaną przeciwko sobie duchy dobre i złe. Wówczas ma przyjść nieznaną „Przekłętą”, aby ogarnąć całą ziemię i wytepić ludzkość, zabijając kulturę i moralność. Geniusze i szaleńcy, te bliźnięta tragiczne, wyraźnie odczuwają zbliżanie się okresu katastrof w historii ludzkości i przyjście „Przekłętego”, którego bronią jest rewolucja. Miejsce dawnego, bogatego w doświadczenie, intelektu-twórcy zastępuje dzika wola burzyciela. Na pierwszy plan wysuwa się żądania instynktów niższych, co nadaje myśli charakter spekulacyjny we wszystkich jej przejawach, a więc w polityce, ekonomii, nauce i sztuce. Ludzkość odbiega daleko od duchowych zagadnień i dążeń. Historia ludzkości dowiodła, że powinniśmy zmienić kierunek naszej myśli i zastosować twórczość w dziedzinie kwestii moralno-duchowych. Prądy te ujawniły się już przed wybuchem wojny światowej w 1914 roku. Lecz wówczas, jak zwykle w takich okresach, zjawiał się Ten, o którym mówi apostoł Jan w Apokalipsie, Ten, który się zjawiał Chrystusowi na puszczy; Ten, z którym walczyli Buddha, Pasma, założyciel lamaizmu współczesnego i pierwsi chrześcijanie; obecność którego ze zgrozą i trwogą odczuwali Dante, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Tasso, Goethe, Dostojewski. Ten „Przekłęty” jest już pośród rzeszy ludzkiej i cofa fale kultury i duchowego postępu od Boga ku sobie. W ten sposób „Przekłęty” rękami zboczonymi krwią rewo-

lucji wstrzymuje umysłowy i psychiczny bieg ludzkości do świetlanej mety — bóstwa. Sprawiedliwy i miłościwy „Wielki Nieznany”, antyteza i wróg „Przekłętego”, postawił przy progu naszego życia nie znającą gniewu i miłości Karmę. Robi ona zimny porachunek naszych czynów, odmierza i waży. Karma podsumowuje wszystko, co „Przekłęty” zasiał wśród ludzkości, a więc: głód, choroby, ruinę, śmierć kultury, sławy, honoru, ducha, śmierć państw i ludów... Widzę, widzę już tę grozę, tę ponurą, szaloną zagładę świata i ludzi.

Drzwi jurty nagle się rozwarły i w progu ukazał się sztywnie wyprostowany adiutant barona.

— Czego chcesz? — gniewnie krzyknął Ungern.

— Ekszelencjo! Nasz wysunięty na północ patrol schwytał sześciu wywiadowców bolszewickich w pobliżu granicy i przyprowadził ich do sztabu...

Baron zerwał się z posłania. Oczy jego miały pioruny, a twarz drgała konwulsyjnie.

— Postawić jeńców przed moją jurtą! — rozkazał cichym, syczącym głosem. — Idź!...

W tej chwili baron nie pamiętał o niczym: uduchowiona, natchniona mowa, przenikający do serca głos — wszystko to utonęło w bezmiernym gniewie, który jak wichur szalał w jego sercu.

Ungern nacisnął czapkę na głowę, schwycił swój nieodstępny taszur i wypadł z jurty. Wyszedłem za nim. Przed jurtą stali jeńcy otoczeni przez uzbrojonych kozaków, zziębniętych daleką i szybką jazdą.

Baron zatrzymał się przed czerwonymi żołnierzami i przez kilka minut wpatrywał się w ich oczy, nie odrywając od nich wzroku. Na jego twarzy znać było ogromny wysiłek myśli i woli. Wreszcie odszedł, usiadł na progu jurty, zdjął czapkę i utkwivszy oczy w ziemię jął mocno trzeć czoło. Nagle powstał i stanowczym krokiem zbliżył się do jeńców.

— Stań więcej na lewo — a ty na prawo... — rozkazywał baron jeńcom, z lekka uderzając każdego taszurem w prawe ramię.

Dwóch przeszło na lewo, czterech na prawo.

— Zrewidować ubranie tych dwóch! — zakomenderował. — To są komisarze sowieccy!

Zwracając się zaś do czterech wylekzionych jeńców stojących na prawo, rzekł do nich:

— A wy jesteście chłopami, zmobilizowanymi przez bolszewików.

— Wedle rozkazu, ekszelencjo!... — wrzasnęli jeńcy zupełnie nie podług dyscypliny bolszewickiej. — My nie ze swojej woli.

— Idźcie do komendanta i powiedzcie mu, że przyjmuję was do oddziału tybetańskiego — rzekł spokojnie baron.

Ucieszeni „bolszewicy” natychmiast opuścili podwórze strasznego generała. Tymczasem u dwóch pozostałych znaleziono w podszewce cholew paszporty politycznych komisarzy sowieckich.

Baron nachmurzył czoło i powoli wymawiając każde słowo rzucił w przestrzeń rozkaz:

— Zatluc ich kijami!

Po czym wszedł do jurty i usiadł, lecz po tym zajściu rozmowa już się nie wiązała. Pożegnałem więc wkrótce generała i wyszedłem. Gdyśmy po obiedzie u moich gościnnych gospodarzy, na którym było kilku ungerskich oficerów, rozmawiali wesoło, jeden z obecnych trwożnie podniósł głowę i szepnął ze strachem:

— Gdzieś w pobliżu przejechał w tej chwili baron...

Wszyscy umilkli, lecz po chwili rozmowa potoczyła się dalej. Nagle tuż pod oknem ryknął samochód, po czym do pokoju wbiegł nastraszonego służący z okrzykiem:

— Baron!...

Lecz Ungern stał już na progu. Bardzo uprzejmie powitał wszystkich i zwracając się do gospodarzy, prosił o pozwolenie zabrania mnie do siebie w nagłej sprawie. Dostrzegłem przerażenie na twarzach niektórych moich nowych znajomych, lecz ja osobiście byłem spokojny, gdyż rozumiałem już duszę „krwawego generała”.

Zacząłem się ubierać i z przyzwyczajenia włożyłem do kieszeni mego palt rewolwer.

— Niech pan zostawi tę zabawkę! — z uśmiechem zawołał baron. — Tu panu już nic nie zagraża. Zresztą hutuhtu z Narabanczi przepowiedział panu, że „szczęście zawsze z nim będzie!”



— A tak! — zgodziłem się — lecz hutuhtu nie powiedział, co on uważa dla mnie za szczęście. Może śmierć — najlepszy odpoczynek po mojej włóczędze? Muszę się jednak przyznać, że wolę jeszcze podróżować, byle żyć.

Wsiadliśmy do samochodu, którym kierował wyprostowany i sztywny jak posąg oficer bez czapki.

— W stronę radiostacji — rozkazał baron.

Pomknęliśmy.

W Urdze, jak w dzień tak i wieczorem, tętniło życie.

Tylko w nocy było ono dziwniejsze i bardziej tajemnicze. Pośród hałaśliwego tłumu przejeżdżali jeźdźcy różnych szczepów mongolskich, odróżniających się wzajemnie formą kulbak i sposobem trzymania się na siodle. Szła poważnie karawana naładowanych wielbłądów; ciągnęły ciężkie wozy — „arby” o dwóch kołach, skleconych z sześciu kawałków grubo ciosanego drzewa, nabitego olbrzymimi gwoździami; a wszystko to było zalane fioletowym światłem dużych latarni elektrycznych. Po opanowaniu Urgi baron natychmiast rozkazał poprawić zepsutą od dawna stację elektryczną, oczyścić ulice miasta, które zapewne od czasów Dżengiz-Chana nie znały miotły i dezynfekcji, i zainstalować sieć telefoniczną. Powstały różne warsztaty i fabryczki, zaczęły funkcjonować szkoły, szpitale, ambulatoria, punkty weterynaryjne, ruch autobusowy; naprawiono drogi, domy i mosty. Baron opiekował się handlem i przemysłem i nielitościwie wieszał rosyjskich i mongolskich żołnierzy za okradanie sklepów chińskich.

Stolica „Żywego Buddy”, spadkobiercy tronu wielkiego Dżengiza, zalana elektrycznością! Doprawdy, był to nie mniejszy cud niż wszelkie praktyki czarowników mongolskich!

Gdyśmy wjeżdżali do dzielnicy rosyjskiej, na moście przerzuconym przez mały potok stało kilku żołnierzy, flirtujących z Mongołkami. Żołnierze skamienieli w postawie wojskowej przed generałem, dwie Mongołki uciekły pod most, a reszta kobiet w przerażeniu pozostała na miejscu. Po chwili wszystkie podniosły dłonie do swoich uczesań fantastycznych salutując po wojskowemu.

Generał uśmiechnął się i rzekł do mnie:

— Czy pan widzi, jaka u mnie panuje dyscyplina? Nawet Mongołki salutują!

Za miastem samochód pomknął jeszcze szybciej. Zimny wiatr zrywał czapki i rozrzucił poły palt. Baron, przymknąwszy oczy, widocznie rozkoszując się szybką jazdą, szeptał chwilami:

— Prędeż!... prędeż!...

Szofer przyspieszał biegu, aż powietrze świstało w uszach. Milczeliśmy. Nagle baron się odezwał:

— A ja wczoraj obilem adiutanta za to, że nie pozwolił mi dokończyć opowiadania...

— Przecież generał może to uczynić obecnie! — odparłem.

— Czyż panu to jeszcze nie zbrzydło? — zapytał, a w jego głosie posłyszałem radość.

— No dobrze! Teraz nastąpi część najciekawsza...

Ungern usiadł wyprostowany jak świeca, nie dotykając poduszek samochodu i paląc papierosa za papierosem rozpoczął:

— Miałem zamiar założyć w Rosji zakon wojskowych buddystów. Po co? — Dla obrony moralnej ewolucji ludzkości od zgubnych wpływów rewolucji, gdyż jestem tego zdania, że postępek ewolucyjny prowadzi do ideału, tj. bóstwa, rewolucja zaś po gwałtownym skoku naprzód wstrzymuje rozwój i prowadzi wstecz do zezwierzęcenia. Lecz działałem w Rosji, w tym przeklętym kraju, gdzie nie ma dyscypliny w narodzie, gdzie chłop chodzi do cerkwi chrześcijańskiej, wierzy zaś w wiedźmy i czary, gdzie klasa inteligentna dba tylko o własne zadowolenie i przyjemności. Lud brutalny, dziki, niepiśmienny, powiedziałbym nie lud, lecz specjalny zoologiczny rodzaj ssących; romantyczny inteligent rosyjski wmawiał w siebie i innych, że naród rosyjski jest męczennikiem, roznosicielem idei bóstwa, wszechświatowej tęsknoty ku dobru, wmawiał, nie znając swego narodu i nie kochając go wcale.

Wobec takich właściwości charakteru moi towarzysze zaczęli się wylamywać spod praw mego „zakonu”. Wtedy wprowadziłem celibat, wyrzeczenie się wygód życiowych i zbytków podług ustawy klasztorów lamaickich. Żeby zaś dać ujście energii, pozwoliłem na nieograniczone używanie wódki, opium, haszyszu... Teraz za picie wódki — wiem,

wówczas zaś upijaliśmy się do delirium tremens. Oczywiście zakonu nie utworzyłem, lecz wychowałem dwie setki dzielnych, bezwzględnie odważnych oficerów, którzy położyli wielkie zasługi w wojnie z Niemcami i z bolszewikami. Wszystkich, którzy pozostali przy życiu, zużytkował później hetman Siemionow, lecz niestety jest już ich bardzo niewiele...  
Wojna — zła macocha!...

— Radio, ekscelencjo! — oznajmił szofer.

— Zatrzymaj się! — rozkazał generał.

Obejrzeliliśmy dużą stację telegrafu iskrowego, dobrze urządzonej przez Amerykanów dla rządu chińskiego. Przeczytaliśmy kilka przejętych telegramów pomiędzy Moskwą, Władywostokiem i Pekinem. Pokazano nam jakąś depezę ze szczytu wieży Eiffel w Paryżu. Baron kazał natychmiast posłać kilka telegramów do sztabu, dla umieszczenia ich w wychodzącej od czasu do czasu jednodniówce, wydawanej w drukarni należącej do konsulatu rosyjskiego.

Gdy skończyliśmy czytanie depezy i oglądanie stacji, baron zaprosił mnie do samochodu i zapalając papierosa zawołał z radosnym uśmiechem:

— Teraz... w przestworze!

Szofer ruszył pędem wiatru i wkrótce utoniliśmy w mroku nocy, w przestrzeni bezgranicznych stepów, poprzecinanych niewysokimi, pochyłymi wzgórzami. Nie mogłem zrozumieć, czemu nie rozbiliśmy się, nie ulegliśmy najokropniejszej katastrofie! Samochód skakał jak piłka po kamieniach i rowach, przebiegał przez małe potoki, w niepojęty sposób lawirował pośród nagromadzonych gdzieśgdzie odłamów skał. Szofer, tak umiejętnie kierujący olbrzymią maszyną, musiał mieć chyba oczy żbika.

W mroku nocy zauważyłem małe ogniki rudawe, które co chwila zapalały się lub gasły...

— To wilki! — uśmiechając się rzekł Ungern. — Nakarmiliśmy je do syta swoim i nieprzyjacielskim mięsem. — Ale pozwól pan, że będę dalej opowiadał o swoich przejściach.

Zwrócił się do mnie i wpatrując mi się swoim zwyczajem w oczy, zaczął:

— Podczas wojny niemieckiej zaprzyjaźniłem się z Gregorym Siemionowem. Obaj odnieśliśmy dużo ran i otrzymaliśmy krzyże walecznych. Na froncie widzieliśmy stopniowy rozkład armii, spodlenie duszy rosyjskiego chłopca i mieszczanina, przewidywaliśmy zdradę Rosji względem sojuszników i rozumieliśmy całą głębię niebezpieczeństwa, zagrażającego ludzkości ze strony rewolucyjnej dziczy rosyjskiej. Wówczas towarzysz mój, zwykły esaul kozacki, a obecnie hetman wszystkich kozaków syberyjskich, Siemionow, ułożył olbrzymi, porywający plan. My się z nim rozumiemy. Siemionow to na pół Mongoł, ja buddysta. Siemionow postanowił połączyć wszystkie szczepy mongolskie, związane pomiędzy sobą krwią plemienną lub jednakowym kultem religijnym, w jedno państwo azjatyckie, składające się z autonomicznych części pod moralnym kierownictwem Chin, kraju najstarszej i najwznioślejszej kultury duchowej. Państwo to powinno być silne moralnie i fizycznie; musiałoby się zabezpieczyć od wpływów rewolucji wysokim murem surowych i mądrych praw oraz bronić swojej duchowej podwaliny: kultu, wiary, filozofii i polityki. Jeżeli zdemoralizowana i szalona ludzkość nie zatrzyma się w swym biegu ku przepaści i wyda na zagładę cały dobytek ducha ludzkiego, państwo azjatyckie będzie zmuszone położyć temu tamę i zabezpieczyć ludzkości długotrwały pokój. Tak myślał hetman Siemionow i będąc jeszcze na froncie niemieckim, rozpoczął agitację pośród Buriatów i Turkmenów. Słowo hetmana padło na urodzajną glebę! Zresztą nie mogło być inaczej. Wszyscy Azjaci z wyjątkiem Japończyków rozumieją, że spekulacyjna kultura zachodu prowadzi ludzkość do zguby, zatruwając ją bakcyllami rewolucji. Plan zjednoczenia Mongołów był bliski urzeczywistnienia w 1918 roku, kiedy Rosja haniebnie zdradziła Francję, Amerykę i Anglię. Wtedy Siemionow oznajmił, że nie może pozostawać w szeregach zdrajców, protestował przeciwko traktatowi zawartemu w Brześciu Litewskim i wyjechał do Zabajkala w celu werbunku ochotników dla naszej wojny z Niemcami. Z nim razem pojechałem też i ja oraz kilku innych oficerów. Postanowiliśmy zmobilizować Azję do wojny z Niemcami, posłaliśmy emisariuszy do Mongolii, Tybetu, Turkiestanu i Chin. Sprawy szły dobrze. Ale wtedy właśnie bolszewicy zaczęli wytępiać oficerów i byliśmy zmuszeni rozpocząć walkę obronną, która przeszła w zaciętą wojnę domową. Na ogólną organizację azjatycką nie pozostawało już czasu! Uformowaliśmy swą armię, nie prze-

stając marzyć o dniu, kiedy obudzimy całą Azję mongolską i z jej pomocą utrwalimy pokój i Boga na zalanej krwią ziemi. Ze swej strony dopomogłem temu przebudzeniu się Azji, dając niepodległość prastaremu krajowi władcy Azji, sławnego i mądrego Dżengiza... A mimo to hetman Siemionow obawia się mnie, mojej surowości i okrucieństwa. Nie może jeszcze zrozumieć, że prowadzimy walkę nie z partią polityczną, lecz z „sektą” spiskowców przeciw całej duchowej kulturze ludzkości, przeciwko idei bóstwa. Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego Włosi skazują na śmierć członków mafii „czarnej ręki”, dlaczego Amerykanie sadzają na fotelu elektrycznym anarchistów-bombistów i dlaczego ja nie mam tępić bolszewików, morderców duszy i ciała społeczeństwa? Siemionow — pół-Rosjanin, pół-Mongoł — człowiek wrażliwy i miękki, ja zaś jestem Teutonem, potomkiem „Brata Szatana” i piratów. Dla sekty morderców — tylko śmierć!... Wracamy do Urgi!...

Po dwóch godzinach zamajaczyły przed nami dalekie jeszcze ognie miasta.

## IX. OBÓZ MĘCZENNIKÓW

Niedaleko od wjazdu do Urgi, koło jednopiętrowego domku stał samochód.

— Co to ma znaczyć? — zapytał baron szofera.

Szofer nie umiał mu wytłumaczyć.

— Podjeżdżaj do tego domu! — rozkazał baron.

Zatrzymaliśmy się przed gankiem. W tej chwili drzwi z łoskotem się rozwarły, z domu wybiegło kilku oficerów, którzy w popłochu rzucili się do ucieczki.

— Stój! — dźwięcznym, wysokim tenorem krzyknął Ungern.

Wszyscy stanęli jak wryci.

— Wróćcie — rozkazał tonem, jakim się mówi do psów, nie do ludzi.

Gdy wrócili z głowami pochylonymi, baron wszedł za nimi, opierając się na swym ciężkim taszurze. Drzwi pozostały otwarte, mogłem więc słyszeć i widzieć wszystko, co zachodziło w oświetlonym pokoju.

— Oj, będzie bieda! — wyszeptał z trwogą oficer-szofer. — Nasi oficerowie, dowiedziawszy się pewno, że baron pojechał za miasto na daleki spacer, postanowili urządzić ucztę. Teraz baron każe ich rozstrzelać albo zatłuc kijami... Bieda!

Widziałem przez drzwi koniec długiego stołu, zastawionego butelkami i blaszankami po konserwach. Na rogu siedziała młoda kobieta, która na widok barona w przerażeniu zerwała się z miejsca. Z pokoju dochodził chrapliwy głos Ungerna. Padały ciężkie, urywane zdania:

— Wasza ojczyzna ginie. Hańba okrywa was, Rosjan, a wy tego nie możecie zrozumieć... Odczuć... Potrzebujecie wina... kobiet... kart... Szubrawcy... zwierzęta!... Po 150 taszurów każdemu... po 150!...

Głos mówiącego zniżył się do złowrogiego szeptu.

— A wy, kobiety, czyż nie czujecie zguby waszego narodu? Nie czujecie bólu ludu? Dla was jest to obojętne! Zlitowałybyście się nad swoimi mężami! Oni tam na froncie i w boju, może zginą... Wy zaś tutaj pijecie wino... oddajecie się rozpuciu, osłabiacie ducha moich oficerów!... Wyście nie kobiety! Szanuję kobietę, która czuje głębiej od mężczyzny... Wy zaś nie jesteście kobietami! Słuchajcie, co powiem. Jeżeli która z was jeszcze raz zostanie przeze mnie przyłapana, każę powiesić.

Zawrócił się i wyszedł. Sam dał trwożny sygnał syreną samochodu i rozkazał patrolowi, który zjawił się natychmiast, zaprowadzić aresztowanych do komendanta.

W ciągu dalszej drogi Ungern milczał, oddychając ciężko i coś szepcząc. Nareszcie odezwał się:

— Krzyczą, piszą, że jestem okrutny... Szalony baron! Ja zaś nie mogę zrzucić z siebie zmyślenia zdrady armii, do której należałem; nie jem, nie śpię, gdyż mam ciągle przed sobą straszne obrazy śmierci najszlachetniejszych ludzi... Śmierć z rąk najgorszych, najciemniejszych, najwystępniejszych zbrodniarzy! A ci... nie mogą bez wódki! A kobiety... te kobiety bez serca, szlachetności... bez duszy! „Krwawy” generał!... Z takimi tylko można walczyć surowością! Rosjanie nie powinni lubić — muszą się bać... To są zwierzęta... Zwierzęta...

Baron zapalał papierosa za papierosem i rzucał je ruchem gwałtownym.

— Niech pan zje ze mną kolację! — zaproponował po chwili.

Na kolację był również zaproszony naczelnik sztabu, młody, skromny, bardzo dobrze wychowany prawnik, syn znanego w Rosji profesora Iwanowskiego. Podano jakąś gorącą potrawę chińską, po niej zaś zimne mięso, kompot z kalifornijskich owoców i herbatę. Jedliśmy zwyczajem chińskim laseczkami z kości.

Baron był podrażniony i smutny. Bardzo ostrożnie nawiązałem rozmowę o aresztowanych oficerach, starałem się znaleźć dla nich usprawiedliwienie w surowym trybie życia dywizji i w potrzebie rozrywki.

— To są jednostki zgniłe, pogrążone w rozpuszcieniu!... — mówił gniewnie generał.

Naczelnik sztabu podtrzymał mnie i wreszcie Ungern zmiękł i kazał aresztowanych uwolnić.

Nazajutrz spędziłem dzień ze swymi towarzyszami i zapoznałem się bliżej z życiem miasta. Gwałtowna natura barona zmuszała wszystkich do pracy. Sam był wszędzie i we wszystko wglądał, nigdy jednak nie wtrącając się do zarządzeń kierowników. Wszystko było przewidziane. Nabijano pociski armatnie i karabinowe, remontowano armaty i inną broń, rozpoczynano fabrykację prochu i gazów trujących, robiono saletrę i terpentynę, którą miano zastąpić benzyną przy samochodach; baron marzył o samolotach i tankach... Wszystko, co żyło — pracowało. Domy handlowe były zajęte dostarczaniem żywności i materiałów potrzebnych dla armii. Nawiązywano stosunki handlowe z Chinami.

Wieczorem zaprosił mnie do siebie naczelnik sztabu Ungerna. W jurcie jego było kilku oficerów. Gospodarz częstował nas herbatą z konfiturami oraz ciastkami chińskimi. O godzinie 11-tej wszedł do jurty, coś nucąc, pułkownik Sipajłow. Wszyscy od razu umilkli i pod różnymi pozorami zaczęli wychodzić.

— Nie lubią Sipajłowa — mruknął pułkownik, filuternie mrużąc swoje bezbarwne oczy i bryzgając śliną.

W chwili gdy Sipajłow wszczął rozmowę z naczelnikiem sztabu, do jurty wszedł baron, który spostrzegłszy pułkownika zachmurzył czoło i z obrzydzeniem w głosie rzekł do mnie:

— Niech pan nie rozmawia z tą gadziną!

Sipajłow zbladł i wcisnął swoją potworną głowę w plecy. Baron opuścił jurcję i po chwili słyszeliśmy, jak wydawał rozkaz, aby zjechał samochód.

— Oj — jęknął Sipajłow — wiem, że przyjdzie dzień, kiedy baron każe mnie zatłuc kijami!

Lecz w głosie jego poczułem udany strach. Wychodząc, pułkownik zawołał wesoło.

— Pijecie tylko herbatę? Każę przysłać panom na kolację przepyszny pieróg z rybą i doskonałej zupy.

Gdy wyszedł, naczelnik sztabu porwał się za głowę i wyszeptał z rozpaczą:

— Boże mój, Boże! Do jakiego upodlenia doprowadziła nas rewolucja. Zmuszeni jesteśmy pracować z takimi typami! Ze zbrodniarzami i złodziejami... Sipajłow jest złym duchem barona. Podsuwa mu do podpisu coraz to nowe wyroki śmierci, zabija ludzi niewinnych bez sądu i bez wiedzy generała, rabuje pod pokrywką nie istniejących rozkazów barona...

W parę minut przyszedł od Sipajłowa żołnierz i przyniósł obiecaną kolację. Gdy się nachylił, rozwiązując serwetkę, naczelnik sztabu wskazując go oczami szepnął:

— Niech się pan uważnie przyjrzy temu człowiekowi!

Żołnierz był małego wzrostu, o szerokich, silnych barach. Ubrany był bardzo starannie. Jego gładko wygolona twarz była bardzo uprzejma, spokojna, pełna szacunku „dla naczałstwa”, lecz w szarych przymrużonych oczach i w załamaniu ust było coś odpychającego i strasznego.

Gdy opuścił jurcję, naczelnik sztabu opowiedział mi, że ten żołnierz, nazwiskiem Czystiakow, jest prawą ręką Sipajłowa i jego przybocznym katem. Ten grzeczny, uprzejmy młodzieniec własnymi rękami dusił ludzi, nie robiąc sobie kłopotu z wieszaniem.

Powstał i nim zrozumiałem, wylał za drzwi zupę z miski i rzucił pieróg w daleki kąt dziedzińca.

— Co pan robi? — zawołałem, myśląc że mój znajomy dostał nagłego obłądu.

— To poczęstunek Sipajłowa — odparł — a więc nie wiadomo, czy nie ma w sobie trucizny. W domu pułkownika obcy nie powinien nic jeść ani pić, gdyż nigdy nie wiadomo, co go może spotkać...

W ciężkim nastroju powróciłem do domu i tu dowiedziałem się, że Sipajłow kazał zaaresztować moje rzeczy i odstawić do komendantury, aby je poddać rewizji.

Zaniepokoiłem się bardzo, gdyż Sipajłow mógł podłożyć mi jakieś papiery, które od- dałyby mnie w ręce kata Czystiakowa, lecz od gospodarza dowiedziałem się, że moje rze- czy były przyniesione do Sipajłowa w chwili, gdy był u niego baron. Na widok tego, co się dzieje, Ungern straszliwie wybuchnął, uderzył Sipajłowa taszurem i kazał natychmiast odstawić rzeczy z powrotem.

Na razie więc wszystko zakończyło się pomyślnie, lecz wiedziałem, że w osobie po- twornego wyrodka, Sipajłowa, mam wroga śmiertelnego. Jaka była przyczyna tej nie- nawiści? Sipajłow obawiał się mego wpływu na barona, widząc że Ungern z wielkim zaufaniem odnosi się do mnie i stara się być ciągle w moim towarzystwie. Sipajłow po- dejrzał, że będę się starał źle usposobić Ungerna przeciwko niemu, co groziłoby mu niechybną śmiercią, której bał się panicznie.

Trzeba było więc śpieszyć się z odjazdem, gdyż pomysłowy żandarm mógł zaplątać mnie w swoje sidła, a wówczas żadna siła ludzka w warunkach życia urgijskiego nie oca- liłaby mnie od śmierci.

Już chciałem się położyć do łóżka, gdy przybiegł po mnie młodszy adiutant Ungerna. Wypadło iść.

Zastąpiłem barona czytającego jakąś książkę francuską. Cisnął ją i podniósłszy się na moje powitanie powiedział:

— Przepraszam, że wciąż pana niepokoję, lecz chcę mówić! Muszę przecież komuś się wypowiedzieć, kto potrafi zrozumieć wszystko — i złe, i dobre...

Instynkt pisarski poddał mi pytanie:

— Czy mogę napisać kiedyś książkę o tym, co tu słyszę i widzę?

Ungern zamyślił się przez chwilę, a później rzekł:

— Niech mi pan da swój notatnik.

Podaliśmy mu album, w którym robiłem szkice podrózne, a on napisał po rosyjsku:

— „Po mojej śmierci — Baron Ungern”.

— Jestem starszy od generała, więc umrę przed panem — zauważyłem.

Baron potrząsnął głową.

— O nie! — rzekł. — Jeszcze 130 dni i — koniec!... Nirwana!... O, żeby pan wiedział, jak bardzo jestem zmęczony cierpieniami moralnymi i trawiącą mnie nienawiścią!

Po długim milczeniu baron, paląc papierosy i popijając czarną herbatę, rozpoczął przerwane onegdaj opowiadanie. Dowiedziałem się, że wykonując plan hetmana Siemio- nowa, Ungern nawiązał stosunki ze wszystkimi plemionami mongolskimi i buddystami Azji, miał pisma od tajnej rady mahatmów indyjskich, od Dalaj-Lamy, od Taszy-Lamy, od chanów kirgiskich i kałmuckich, od władców Afganistanu, od chińskich monarchi- stów i dostojników lamaickich. Dowodził, że cała mongolska i buddyjska Azja marzy o zjednoczeniu się w olbrzymie środkowoazjatyckie państwo z mądrymi, monarchiczny- mi Chinami na czele.

Wkrótce przerwał swoją opowieść i kazał dać samochód, chociaż była to już późna godzina nocna.

— Pojedziemy do świątyni wielkiego, miłościwego Buddy! — zawołał porwany jakąś myślą, patrząc na mnie palającymi oczyma.

Było to zakończenie obrazu życia tego ogromnego obozu jakichś męczenników tra- gicznych — półbandytów, półrycerzy, półmnichów, tego zgromadzenia wygnańców i mści- cieli, pędzonych wypadkami dziejowymi w objęcia śmierci i smaganych surowością nie- nawidzającego ich i poniewierającego nimi mistyka, potomka piratów i Teutonów. On zaś, żyjąc w ustawicznej udręce, nie znał godziny spokoju. Dręczony ciężkimi, jadowity- mi myślami, przeżywał męki Tantala, wierząc, że każdy nowy dzień odcina jedno ogniwo od łańcucha życia, złożonego ze 130 dni, które oddzielały go od nieznannej, bezdennej otchłani — śmierci.

## X. PRZED OBLICZEM BUDDHY

Cicho przemknął samochód przez część handlową miasta i zbliżył się do stromych sto- ków płaskowzgórza, na którym stał klasztor. Baron zatrzymał samochód; poszliśmy dalej

piechotą, coraz bardziej zapuszczając się w labirynt wąskich uliczek pomiędzy domami klasztorными. Stanęliśmy wreszcie przed największą świątynią Urgi, Mongolii, a nawet całego świata lamaickiego. Był to budynek architektury tybetańskiej, lecz z chińskim, misternie wykrzywionym dachem. Samotna latarnia paliła się przy wejściu. Ciężkie drzwi, okute żelazem i brązem, były zamknięte na ogromną kłódkę.

Baron trzykrotnie uderzył w gong młotkiem wiszącym na ścianie. Po paru minutach zbiegło się kilku przestraszonych mnichów. Niektórzy mieli w rękach latarnie. Poznawszy „dziań-dziunia” padli na twarz i nie śmieli podnieść na niego oczu.

— Wstańcie i prowadźcie nas do świątyni! — rozkazał baron.

Weszliśmy do świątyni. Wygląd jej niczym się nie różnił od innych większych świątyni lamaickich. Te same rytualne chorągwie różnobarwne z mongolskimi i tybetańskimi modlitwami, z symbolicznymi znakami i wizerunkami świętych i bogów; długie pasy tkanin jedwabnych, zwieszających się z sufitu; święte obrazy bogów i bogiń. Od wejścia do jedynego stopnia ołtarza leżał wąski, długi kobierzec; po obydwu jego stronach stały niskie kanapy, obite czerwonym sukniem; były to miejsca dla lamów i chóru podczas nabożeństwa. Na ołtarzu paliły się lampki, rzucające migotliwe błyski na sprzęty rytualne i na lichtarze ze złota i srebra. Za ołtarzem wisiała olbrzymia, żółta kotara jedwabna ze znakiem Dżengiza — swastyką i modlitwą tybetańską: „Om, mani padme Hung!”

Lamowie odsłoniли kotarę.

W niepewnym świetle lampek olejnych wynurzyła się z ciemności potwornych rozmiarów postać Buddy, mająca około 80 stóp wysokości, cała suto złożona, zrobiona w Chinach z najlepszego brązu. Buddha siedział w złotym lotosie. Oblicze boga-mędrca było obojętne i spokojne; ożywiała je gra cieni i światła, wskutek czego zdawało się, że Buddha patrzy na ludzi uważnie i zimno, a pełne, kształtne jego usta chwilami układały się w łagodny, lecz szyderczy uśmiech. Wszędzie, wzdłuż ścian, w szafkach i na półkach, stały duże i małe figury Buddy. Mówiono mi, że jest ich tam do trzydziestu tysięcy. Są to ofiary wiernych.

Baron zadzwonił w wiszący gong, który służył do zwracania uwagi boga na modlącego się i wrzucił do wielkiej urny brązowej monetę złotą. Człowiek, który przewertował dzieła wszystkich zachodnich filozofów, który znał europejską literaturę i naukę XIX i XX stulecia, modlił się przed posągami Buddy z brązu. Złożył wyciągnięte przed siebie ręce i zamknawszy oczy szeptał słowa modlitwy. Dojrzałem, że miał na lewej ręce różaniec buddyjski. Modlitwa trwała około 10 minut, po czym zwróciwszy twarz do lamów, Ungern rzekł:

— Zawołajcie starca!

Jeden z lamów, schylony w niskim ukłonie, natychmiast odszedł i wkrótce powrócił, prowadząc pod ramię starca w brudnym, żółtym płaszczu gelonga. Głowa i ręce starca drżały; z trudem poruszał on nogami, lecz widocznie już wiedział, czego będzie od niego żądał straszny „dziań-dziun”, gdyż miał w torbie starą księgę w drewnianej okładce.

Był to maramba Wągaden — hutuhtu, uczony lamaita, znawca ksiąg indyjskich i tybetańskich.

— Czytaj! — rozkazał baron.

— Mówił do ludu Taszy-Lama — zaczął starzec cichym, łamiącym się głosem — nie bójcie się i nie szlochajcie, bo przyjdzie z północy wysoki, biały człowiek o oczach niby kawały połyskującego lodu w głębokiej jaskini. Przejdzie on po ziemi jak płomień i śmierć... Każdy krok jego wycisnie krwawy ślad. Będzie to bóg wojny, zjawiający się powtórnie. Da on wolność braciom, powiedzie wszystkie narody, plemiona i szczepy Dżengiz-Chana ku sławie, szczęściu i pokojowi...

Starzec umilkł, lecz Ungern ruchem gwałtownym przewrócił kilka kart i szepnął dobitnie:

— Czytaj! Teraz to będzie przepowiednia dla mnie.

Obojętnym głosem maramba odczytał:

— Nastąpi czarny dzień. Dzień zguby wybawiciela narodów. Otoczą go setki wrogów. Czeka go samotność. Będzie go żarła troska, że nie ma nikogo, komu mógłby przekazać myśli swoje i swoją tęsknotę. Nastąpią długie godziny okrutnych walk. Lecz nie osłabią ducha aż do ostatniego tchu. Otworzą się podwoje Nirwany i wstąpi do niej dusza oczyszczona przez mękę i tęsknotę.

Baron spuścił głowę i szepnął do mnie:

— Tak zawsze wypada ze wszystkich przepowiedni! Takim będzie mój koniec...

Opuściliśmy świątynię i poszliśmy na drugi koniec klasztoru.

— Nie lubię tej świątyni! Jest ona zbyt nowa, gdyż lamowie wybudowali ją wtedy, gdy „Żywy Bóg” stał się niewidomy, czyniąc ze świątyni ofiarę błagalną. Nie lubię świątyni „grodu lamów”, ponieważ na obliczu złotego Buddy nie widzę śladów łez, nadziei, troski, rozpacz, bólu, szczęścia i wdzięczności modlących się. Ludzie jeszcze nie zdołali wyrycić śladów w złotym brązie Buddy... Pójdziemy teraz do starej kaplicy przepowiedni i wróżb!...

Zobaczyłem mały, szerniały budynek, podobny do wieży z okrągłym dachem. Drzwi stały otworem. Z obydwoch stron wejścia były koła ruchome z wypisanymi na nich modlitwami — najprostszy sposób modłów. Nad drzwiami tablica mosiężna ze znakami Zodiaku. Przy wejściu oraz wewnątrz paliły się duże chińskie latarnie papierowe. Dwóch mnichów monotonnymi głosami czytało jakieś księgi. Gdyśmy weszli, nie podnieśli nawet głów.

Baron zbliżywszy się do nich rzekł:

— Rzućcie kości na liczbę dni mego życia!

Mnisi, nie przerywając czytania i nie patrząc na stojącego przed nimi, wyrzucili na czarny stół z wielkich brązowych kubków białe kości.

Baron długo liczył, wreszcie westchnął głęboko i wyszeptał:

— 130!... Znowu 130... To już po raz piąty!...

Zapadł w głębokie zamyślenie; podszedł do ołtarza, gdzie stała stara kamienna figura Buddy, przywieziona niegdyś z Indii i modlił się, zatopiony w swoich myślach i w trwodzie.

Do świtu błakaliśmy się z Ungernem po klasztorze. Zwiedziliśmy wszystkie świątynie, kaplice, muzeum szkoły medycznej, wieżę astrologów, miejsca różnych modłów, a gdy słońce pokazało się na szczytach gór, poszliśmy na plac otoczony domami młodych lamów i kleryków-bandi. Półnaczy tłumnie wybiegali z domów i rozpoczynali walkę poranną, szybką, ruchliwą, pełną ruchów i pozycji wymagających wielkiej siły i zręczności. Kierował tymi zapasami stary lama, który niegdyś był „bogadyrem”, co znaczy siłaczem, dumą całej Mongolii. Wzrost jego dosięgał 7 stóp, a gdy wsiadał na małego konia mongolskiego, to wysunąwszy nogi ze strzemion od razu stawał na ziemi, koń zaś wyskakiwał spod niego. W młodości bez wielkiego wysiłku nosił na plecach konia. Grupa mnichów oddawała się gimnastyce oddechowej podług przepisów indyjskiej Hatha-Jogi.

W innym znowu miejscu jacyś przyjezdni książęta ćwiczyli się w strzelaniu z luków do celu przedstawiającego ulepione z gliny głowy Chińczyków. Strzelali z odległości 50 kroków; niektórzy z łuczników dobrze władali tą tradycyjną bronią mongolską.

Po powrocie do miasta poczułem w głowie jakiś chaos — skutek tego wszystkiego, com widział i słyszał podczas tej fantastycznej nocy.

— Gdzie jestem? W jakim czasie żyję? — pałały w moim mózgu pytania.

— 130 dni życia... Krwawy generał — wcielony „bóg wojny”... zbawiciel narodów... — błyskawicznie mknęły myśli, odtwarzając wrażenia z podróży do siedziby Buddy... Lecz jednocześnie jeszcze niewyraźnie, wprost odruchowo odczuwałem w tym chaosie ideę jakiegoś wielkiego planu i nie dającą się opisać mękę człowieka.

## XI. W PAŁACU „ŻYWEGO BOGA”

Po obiedzie wpadł po mnie generał.

— Chcę przedstawić pana Bogdo-Chanowi-Hutuhcie! — zawołał.

Rzadko komu udaje się widzieć „Żywego Buddha”, więc naturalnie od razu porwałem palto i czapkę i byłem już w samochodzie.

Zatrzymaliśmy się u wrót złotego w czerwone pasy muru, otaczającego pałac „boga”. Parę setek lamów w ubraniach czerwonych i żółtych rzuciło się na spotkanie „dziań-dziunia”, który za wyzwolenie Mongolii otrzymał od „boga” tytuł „chana”. Z wielkim szacunkiem odprowadzili nas tłumnie do wejścia pałacu.

Wprowadzono nas do obszernej, mrocznej sali. Rzeźbione, ciężkie drzwi prowadziły do apartamentów wewnętrznych. W głębi stał szeroki, niski tron z kilkoma jedwabny-

mi poduszkami. Oparcie dla pleców było z czerwonego aksamitu i otoczone złotą lamą. Z obydwóch stron stały żółte parawany w ramach z hebanu, ozdobionych chińską misterną rzeźbą. Pod ścianą mieściły się niskie szafki oszklone, przeładowane różnymi przedmiotami sztuki chińskiej, japońskiej, indyjskiej i rosyjskiej; była tam nawet grupa porcelanowa z Sewru, przedstawiająca tańczących markizów i markizy.

Przed tronem stał długi, bardzo niski stół, przy którym siedziało na poduszkach ośmiu poważnych Mongołów. Pośrodku, na miejscu prezesa zobaczyłem starca o twarzy dobrotliwej i rozumnych, przenikliwych oczach. Oczy te przypominały mi oczy figur japońskiego buddyzmu, jakie widziałem w muzeum cesarskim w Tokio, zrobione z drogich kamieni oczy Amidy, Danniczi-Buddhy, bogini Kwan-Non i dobrego starca Chote.

Był to „święty”, szanowany nie tylko w Mongolii, lecz i poza jej granicami Dżałchancy-Hutuhtu, „bóg” (gegei) i władca klasztoru w pobliżu jeziora Tessin-Goł, obecnie zaś prezes mongolskiej rady ministrów. Reszta obecnych składała się z ministrów, chanów i wpływowych choszunnych książąt Halhi.

Barona z honorami posadzono obok prezesa, dla mnie podano krzesło europejskie. Za pomocą tłumacza baron oznajmił ministrom, że za parę dni opuszcza Mongolię i poleca w dalszym ciągu bronić niezależności ziemi, zamieszkaną przez potomków Dżengiz-Chana, którego wielka dusza żyje i połączy wszystkie plemiona mongolskie w jedno wielkie sławne „Środkowe Państwo”.

Po tej krótkiej mowie Ungern powstał. Mongołowie uczynili to samo. Baron zęgnął każdego z osobna, poważnie i surowo. Tylko przed Dżałchancy-Lamą nisko się skłonił, a ten położył mu rękę na głowie i błogosławił.

Z sali rady ministrów przeszliśmy do niewielkiego domu, zbudowanego według architektury rosyjskiej, gdzie mieszkał z rodziną „Żywy Buddha”. Dom był otoczony tłumem żółtych lamów, sług i doradców Bogdo, urzędników różnych kancelarii, wróżbiarzy, medyków i faworytów. Od tego domu przez cały teren pałacu ciągnął się sznur czerwony, którego koniec zwieszał się, przez północną ścianę koło bramy. Tłumy pielgrzymów na kolanach podpełzały do tego sznura i z nabożeństwem go dotykały, oddając dyżurnemu lamie „chatyk” i srebro. Dotknięcie sznura oznaczało otrzymanie błogosławieństwa „Żywego Buddhy”, który miał trzymać drugi koniec sznura w swoich dostojnych rękach. Było to więc coś na kształt błogosławieństwa za pomocą prądu po kablu... Sznur był z wełny wielbłąda i białego włosia końskiego, pomalowanego na czerwono „sandarakiem”. Mongoł, który dotknął sznura, dostawał czerwoną taśmę na szyję na znak dokonanej pielgrzymki.

Dużo słyszałem o Bogdo-Chanie, czyli o „Żywym Buddzie”, zanim ujrzałem go w Urdze. Nieraz słyszałem opowieści o jego pociągu do alkoholu, co doprowadziło go nawet do utraty wzroku, o jego dążeniu do zewnętrznej kultury europejskiej, o jego żonie — „dahyni”, dotrzymującej mu towarzystwa w pijaństwie i w przyjmowaniu posłów cudzoziemskich. Opowiadano mi, że w pałacu stoją klatki z małpami i zamorskimi ptakami i że w parku przechadzają się słonie. Bogdo jest posiadaczem wspaniałego samochodu, światła elektrycznego, telefonu, gramofonu, fortepianu automatycznego i innych wynalazków europejskich włącznie z aparatem masującym twarz i separatorem do mleka.

Wszystko to oczywiście widziałem, lecz prócz tego zauważyłem jeszcze coś bardziej interesującego i imponującego.

W gabinecie „Żywego Buddhy”, gdzie stała szkatuła rzeźbiona z kości słoniowej z pieczęcią imperatora i gdzie w dzień i w nocy czuwali lamowie-sekretarze, panowała dziwna cisza i prostota. Zwyczajny lakierowany stół z chińskimi przyrządami do pisania, szkatuła z pieczęcią zawiązaną w żółtą, jedwabną chustkę, niski fotel i brązowy piec stanowiły całe umeblowanie. Na ścianach widniały znaki swastyki oraz mongolskie, tybetańskie, indyjskie i chińskie napisy. Za fotelem stał ołtarz z figurą złotego Buddhy, przed którym paliły się dwie świece aromatyczne. Na posadzce leżał miękki, żółty dywan.

Gdy weszliśmy, „Żywy Buddha” był w małej prywatnej kaplicy, do której nikt nie śmiał wchodzić oprócz samego Bogdo i jednego mnicha o wysokiej randze kanpo-gelonga, porządkującego w kaplicy i pomagającego w samotnych modłach „Żywego Buddhy”.

Sekretarz powiedział nam, że Bogdo od rana był bardzo podniecony i przed południem wszedł sam jeden do kaplicy. Długo słyhać było głos Bogdo, lecz po chwili rozległ się



jakiś inny, nieznanymi głosem. W kaplicy odbywała się narada pomiędzy „ziemskim Buddhą” a Buddhą niebieskim. Sekretarze słyszeli wykrzykniki przerażonego czymś Bogdo, jego pełne trwogi pytania i gorące, namiętne modły.

Postanowiliśmy czekać na Bogdo. Baron zaczął opowiadać o Dżalchancy-Lamie, że w chwilach gdy wyteża on swój mózg, nad głową tego dostojnika żółtej wiary zjawia się aureola świetlna, którą zresztą Mongołowie zawsze widzą. Baron twierdził, że osobiście widział dwukrotnie świetlne promieniowanie nad głową prezesa ministrów mongolskich.

Nagle lamowie pełniący czynności sekretarzy zwrócili głowę w stronę kaplicy, nad słuchując, a po chwili padli na twarz. W tym samym momencie drzwi powoli się uchyliły i podpierając się wysoką laską z kości słoniowej wyszedł imperator Mongolii, „Żywy Buddha”, jego świątobliwość Bogdo-Dżeptsung-Damba-Hutuhtu-Gegeni-Chan.

Był to dość otyły starzec liczący około 70 lat, o starannie ogolonym obliczu, przypominającym dumne twarze patrycjusza rzymskich. Ubrany był w żółty „chałat” mongolski z czarnym lamowaniem. Głowę miał prawie łysą, oczy szeroko rozwarte, jakby zdziwione lub przerażone. Ciężko opadł na fotel i wyszeptał:

— Piszcie!

Lamowie z zasuniętych za pas torebek natychmiast wydobyli papier i przyrządy do pisanja. Bogdo zaś zaczął dyktować swoje widzenie i rozmowę z Buddhą w kaplicy w sposób bardzo powikłany i pełen alegorii.

Starzec mówił długo, mowę zaś swoją zakończył w ten sposób:

— Wszystko to widziałem ja, Bogdo-Chan-Hutuhtu, 31-szy „Żywy Buddha”, który tego dnia rozmawiał z wielkim, błogim i mądrym Buddhą, otoczonym dobrymi i złymi duchami. Mądrzy lamowie, hutuhtu, kanpo, maramby i święci gegeni, raczcie wyjaśnić moje widzenie!

Skończywszy, wytarł spocone czoło czerwoną chustką i zapytał, kto jest obecny w pokoju.

— Chan, dzień-dziur, baron Ungern! — odpowiedział klęcząc sekretarz-lama.

Baron zbliżył się do starca i przedstawił mnie, Bogdo uczynił znak powitania, po czym zaczął rozmowę z generałem.

Przez drzwi otwarte widziałem wewnątrz małej kaplicy Bogdo-Hutuhtu. Zauważyłem wielki stół przywalony stosami starych ksiąg. Obok stał piecyk z palącymi się węglami oraz kosz z łopatkami i wnętrzościami baranów. Ungern wstał i schylił głowę przed Bogdo, który objął tę głowę potomka krzyżaków i zaczął się modlić. Potem zdjął z piersi ciężki posążek Buddy wisiący na czerwonym sznurku i zawiesił go na szyi barona.

— Nie umrzesz — wyszeptał w uniesieniu — lecz przeistoczysz się w formę doskonałą! Pamiętaj o tym synu, pamiętaj Chanie wdzięcznej ci zawsze Mongolii, pamiętaj, przeistoczony duchu wojny!...

Zrozumiałem, że „Żywy Buddha” błogosławił krwawego generała przed śmiercią.

Opuściliśmy gabinet „boga”.

## XII. „ŻYWY BUDDHA”

W kraju tajemnic i cudów, Mongolii, żyje mistyczny znawca wszelkiej tajemnicy i nieznanymi przejawów sił przyrody, „Żywy Buddha”, 31-sza forma nigdy nie umierającego Buddy, jego świątobliwość Bogdo-Dżeptsung-Damba-Hutuhtu-Gegeni-Chan.

Jest on spadkobiercą trwającej w tajemniczy sposób od 1670 r. dynastii cesarzów duchowych, noszących w sobie ciągle udoskonalającego się ducha Buddy, Awalokiteszwara oraz Czen-Za-Zi, czyli „Ducha Himalajów”. W nim jest złączone wszystko: słoneczny mit, czar tajemniczych, niebotycznych szczytów straszliwych Himalajów, legendy świątyń indyjskich, groźna wspaniałość dawnych władców Mongolii i Chin, mgliste kroniki mędrców chińskich. W polityce urgińskich Bogdo-Chanów jest połączenie różnorodnych wpływów: rozpamiętywania braminów, mnisza surowość sekty Geluk-Pa, która dała początek „żółtej wierze”, mściwość odwiecznych koczowników Oletów-Kałmuków, dumne i potężne pomysły Dżengiz-Chana i Kubłaja, zacofana, pełna zabobonów hierarchiczno-klerykalna psychologia, tajemnica królów tybetańskich i bezwzględność rewolucjonisty religijnego, Pasy. Cała mglista historia Azji: Pamiru, Himalajów, Mezopotamii, Persji i Chin otacza tajemnicą tron „Żywego Buddy” w Urdze. Nic więc dziwnego,

że jego imię jest z czcią wymawiane na brzegach Wołgi, w Arabii, Azji Centralnej, w Indiach, na Syberii i na brzegach Oceanu Lodowatego.

Kilka razy udało mi się być w siedzibie Bogdo-Chana. Rozmawiałem z „Żywym Buddhą”; opowiadały mi o nim osoby, najbliższej przy nim będące — uczeni maramba; widziałem jego wróżby, słyszałem jego proroctwa, oglądałem składy ksiąg starożytnych i kronik dziejów wszystkich Bogdo-Chanów. W pałacu „boga” cieszyłem się zaufaniem, ponieważ pismo hutuhtu Narabanczi-Kure otwierało mi drzwi świątyni oraz usta i serca lamaitów.

Znajomość z osobą najwyższego kapłana mongolskiej „żółtej wiary” oraz z jego rządem zrodziła we mnie cały szereg myśli o charakterze politycznym i dała mi możliwość zrozumienia planów hetmana Siemionowa i barona Ungern von Sternberga.

Panujący obecnie „Żywy Buddha” jest osobistością dwoistą, jak wszystko w lamaizmie. Rozumny, przenikliwy, energiczny Bogdo jednocześnie oddaje się nałogowi pijaństwa, który doprowadził go do ślepoty. Wtedy to lamowie wpadli w rozpacz. Jedni wypowiadali się za tym, aby ślepcę otruć i jego tron oddać innemu przeistoczonemu bóstwu, inni zaś, uwzględniając wielkie zasługi Bogdo dla lamaizmu i Mongolii, postanowili przebłagać bogów wzniesieniem wspaniałej świątyni „grodu lamów” — z olbrzymim posągami złoczonego Buddy.

Nie pomogło to wprawdzie Bogdo w odzyskaniu wzroku, lecz za to owa rozbieżność zdań wśród lamów i znaczna zwłoka czasu pozwoliły mu stopniowo wyprawic do Nirwany zbyt radykalnych lamów.

Nie przestając myśleć ani na chwilę o sprawach kościoła i polityki mongolskiej, Bogdo lubi jednak zabawiać się różnymi rzeczami ciekawymi. Tak np. interesował się on przez pewien czas artylerią. Jakiś przedsiębiorczy oficer rosyjski podarował mu dwie stare armaty, z których, ku wielkiej ucieście niewidomego „boga”, strzelano w dni świąteczne. Za tę przyjemność Bogdo nadał oficerowi tytuł „Tumbair-Huna”, co znaczy „księcia miłego memu sercu”. Samochody, bicyle, gramofony, telefony, kryształy, porcelana, obrazy, perfumy, instrumenty muzyczne, rzadkie ptaki i zwierzęta w rodzaju słoni, niedźwiedzi himalajskich, małp, węży indyjskich i papug — wszystko to przesunęło się przez pałac „boga”, lecz o wszystkim bardzo szybko zapomniano.

Do Ta-Kure wpływają podarki, ofiary, danina religijna ze wszystkich końców lamaickiego świata.

Pewnego razu skarbnik „boga”, czcigodny Bała-Dordzi-Lama, pokazał mi wielką salę, gdzie przechowywano te podarki. Było to drogocenne muzeum, jedyne w swoim rodzaju. Tu nagromadzono przedmioty nieznanne w muzeach Europy. Mogłem je obejrzeć tylko bardzo pobieżnie, lecz i tego wystarczyło, aby sądzić i o wartości tych nadzwyczajnych zbiorów, i o powadze i polityczno-moralnym znaczeniu dostojnika „żółtej wiary”.

Skarbnik otwierając szafy i kufy ozdobione srebrem i złotem, opowiadał:

— To są dziwne w swoich kształtach kawałki złota z Bej-Kemu, to — czarne sobole z Kemczyckiego Nojonatu. Tu są złożone cudotwórcze panty<sup>12</sup>; w tej szkatule z rogu barana skalnego wodzowie Oroczenów przysłali z dalekiej północy czarowne korzenie „Dzeń-Szengu” i „Cybetu” pachnącego piżmem; ten kawał bursztynu pochodzi z brzegów morza wiecznie pokrytego lodem, a waży 134 łana<sup>13</sup>; tu przechowujemy drogie kamienie z Indii...

Długo jeszcze wyliczał, opowiadał i sam nie mógł ukryć zachwyty nad pokazywanymi rzeczami. Przed moimi oczami migotały stopy najdroższych futer: białego bobra, czarnych, białych i niebieskich lisów, czarnych soboli, czarnych panter; małe, misternie rzeźbione pudełka szyldkretowe, w których przechowywano cienkie jak pajęczyna, 10-jardowe jedwabne „chatyki” indyjskie; woreczki plecione ze złotych sznurów, a pełne pereł przysłanych od radży Trawankoru; olśniewające przepychem i misterną robotą sygnety ze szmaragdami, rubinami i szafirami z Chin i z Indii; olbrzymie chryzoprazy, diamenty; kość słoniowa z artystyczną inkrustacją ze złota, pereł i drogich, barwnych kamieni; tęczowe tkaniny, wyszyte złotem i srebrem; kły morsów, na których artyści, rybacy z morza Beringa, nacięli dziwaczne rysunki pierwotnej sztuki.

Niepodobna wyliczyć wszystkiego!

<sup>12</sup>panty — wiosenne rogi jelenie. [przypis redakcyjny]

<sup>13</sup>134 łana — 11 funtów. [przypis redakcyjny]

W oddzielnym pokoju stały ofiarne posągi Buddy: złote, srebrne, z brązu, kości, koraliki, z masy perłowej, kryształu, ametystów i nefrytu; były tam posągi z rzadkich, nieznanymi gatunków drzew barwnych i aromatycznych.

— Niech pan weźmie który z tych posągów i obejrzy go! — zaproponował mi mój cicerone.

Uczyniłem to i od razu posłyszałem jakiś chrzęst i szum wewnątrz posągu.

— Słyszysz pan? — zapytał skarbnik, uśmiechając się chytrze. — To są drogie kamienie i kawałki złota. To „wnętrzości” boga. Tu się kryje przyczyna, dlaczego wy, Europejczycy, przy zdobywaniu — jak to było w 1900 roku w Chinach — miast buddyjskich i świątyń, przede wszystkim zaczynacie burzyć nasze posągi, mówiąc, że nasi bogowie są wrogami waszych. Lecz przyczyna waszej nienawiści dla naszych bogów leży w chęci zabrania wnętrzości posągów... W ten sposób bardzo wiele znakomitych, drogich kamieni wyszło na świat dzienny z mroku posągów, do których zasyłały modły narody Babilonu<sup>14</sup>, Chin i Indii.

Długa amfilada pokoi zajęta jest przez księżnicę „boga”. Są tu ręcznie pisane foliały z różnych epok, w różnych językach azjatyckich, na różnorodne tematy: religijne, filozoficzne, historyczne i magiczne. Widziałem rękopisy rozsypujące się w proch. Żeby uratować je od ostatecznego zniszczenia, lamowie moczą je lepkiem sokiem jakiejś rośliny tybetańskiej. W szafach leżą tablice gliniane z asyryjskimi hieroglifami. Księgi chińskie, indyjskie, tybetańskie i mongolskie przechowują się w osobnych szafach. Zawierają one dzieła z zakresu buddyjskiego kultu Sakkya-Muni, sekty „czerwonych kołpaków”<sup>15</sup> oraz księgi żółtego buddyzmu, czyli tybetańskiego lamaizmu, legendy, historyczne kroniki, przepowiednie, magiczne, lekarskie i astrologiczne przepisy i formuły. Setki lamów wertują te stare szpargały, studiując je, przepisując, szerząc w ten sposób i przechowując starożytną naukę i legendy. Istnieje pokój, gdzie zgromadzono wyłącznie tajemnicze dzieła magiczne z opisami życia, czynów i cudów wszystkich 31 „Żywych Buddhów”; bulle Dalaj-Lamy, orędzia mądrego Taszy-Lamy; pisma hutuhtów chińskiego lamaizmu z Wu-Ta-Y; dzieła antagonisty „Żywego Buddy” — Pandity — Gegeni z Dołon-Noru, oraz horoskopy periodyczne stu chińskich mędrców buddyjskich. Klucze od tej tajemniczej komnaty są starannie przechowywane w szkatule „boga” wraz z pierścieniem Dżengiz-Chana i z pieczęcią cesarską.

Osobę „jego świątobliwości” otacza 5000 lamów, podzielonych na kilka stopni hierarchicznych, od prostych służek kościelnych do „radców boga”, z których właśnie składa się rząd niezależnej Halhi.

Szczególnie interesowały mnie trzy kategorie lamów, o których opowiadał mi sam „Żywy Buddha”, gdy go odwiedził wraz z księciem buriackim Dżam-Balonem, pomocnikiem i przyjacielem barona Ungerna. „Buddha” uskarżał się, że leniwe, bogate i rozpustne życie, jakie prowadzą lamowie, z zatrważającą szybkością zmniejsza ilość prawdziwych, natchnionych wróżbiarzy i proroków.

— Gdyby nie Dżałchancy i Narabanczi-Hutuhtu, prowadzący surowy ascetyczny rygor klasztorny, Ta-Kure pozostałoby niezawodnie bez wróżbiarzy i jasnowidzących. Przeszli w inne formy istot, błogosławieni przez bogów Barun-Abaga-Nar, Dorczyuł-Dżurdok, którzy mogli widzieć tajemnice przyszłości i dalekie cienie przeszłości.

Bogdo miał słuszne powody do skargi, gdyż kategoria wróżbiarzy w jego dworskim otoczeniu jest nader potrzebna. Objasnia się to tym, że nowa osobistość zjawiająca się w pałacu „boga” jest pokazywana najpierw lamie-wróżbiarzowi, czyli „dzurenowi”, który na podstawie swojej tajemniczej sztuki informuje się co do przeszłości i przyszłości przybysza i w ten sposób „Żywy Buddha” już wie, jak ma rozmawiać z gościem lub interesantem.

„Dzuren” są najczęściej starcami; są to surowi asceci, wyniszczeni bezsennymi nocami i ciągłymi praktykami jogów. Widziałem i młodych „dzurenów”, czasem nawet dzieci. Lecz są to „hubiłgani”, bóstwa przeistoczone, w przyszłości hutuhtu i gegeni klasztorów lamaickich.

<sup>14</sup>Babalan — Babilon. [przypis redakcyjny]

<sup>15</sup>sekta „czerwonych kołpaków” — Buddyzm zepsuty przez naleciałości demonologiczne. [przypis redakcyjny]

Drugą kategorię uczonych lamów stanowią medycy, czyli „ta-lamowie”. Badają oni działanie na organizm ludzki traw i ziół oraz soków zwierzęcych, przechowują recepty medycyny tybetańskiej i leczą chorych. Bardzo starannie studiując anatomię i fizjologię człowieka, medycy ci jednak nie posiłkują się wiwisekcją. Są to bardzo zdolni masażyści, wprawiacze kości, znawcy hipnotyzmu, żywego magnetyzmu i okultyzmu, co szeroko stosują w praktyce lekarskiej.

Trzecią nareszcie kategorią jest najwyższy stopień lekarski, dostępny prawie wyłącznie dla Tybetańczyków, Kałmuków i Buriatów. Są to „turdzy-lamowie” czyli lekarze-truciele. Można by ich nazwać „doktorami medycyny politycznej”. Turdzy-lamowie mieszkają w odosobnieniu, pędzą życie samotne i są milczącą, tajemniczą bronią w rękach „Żywego Buddy” — Bogdo-Chana.

Książę Dżam-Balon objaśnił mi, że turdzy-lamowie przeważnie są niemi, gdyż prawdopodobnie w dzieciństwie podlegają specjalnej operacji. Widziałem jednego „turdzy”. Był to ten sam lekarz, który otrul swego chińskiego kolegę, przysłanego do Urgi z Pekinu dla zgładzenia ze świata nader zuchwałego i niezależnego Bogdo. Malutki, siwy, pomarszczony staruszek z siwą, kozią bródką miał zbyt bystre, przenikliwe oczy, aby można było czuć do niego sympatię. Gdy „turdzy” przybywa do gegeni jakiegoś klasztoru, do koczowiska chana lub księcia, ci od razu przestają jeść i pić, obawiając się trucizny, którą posiada ta mongolska Lokusta rodzaju męskiego. Nawet środki zapobiegawcze nie uratują skazanego. Zatruta czapka, koszula lub buty zmoczone płynem trującym, paciorki różańca lub frędzle uzdy, monstrancja posypana zabójczym proszkiem lub księgi rytualne — dokonają wyroku „Żywego Buddy”.

Niewidomy dostojnik lamaicki jest otoczony najgłębszą czcią i ubóstwieniem religijnym. Przed nim wszyscy padają na twarz, a lamowie zbliżają się do jego tronu czołgając się na kolanach.

Wszystko to jest ponure, tchnie wschodnią starożytnością i psychologią pierwotną. „Żywy Buddha” — to krzyżący anachronizm dla nas, Europejczyków. Pijany ślepiec, lubujący się w banalnych piosnkach gramofonu lub puszczający prąd elektryczny w swoich przybocznych lamów; okrutny starzec trujący potajemnie swoich politycznych przeciwników, dostojnik kościoła trzymający w ciemnocie umysłowej swój naród i ogłupiający go swymi prorocztwami i wróżbami — nie jest jednak zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

Pewnego razu, gdy siedzieliśmy w gabinecie Bogdo i książę Dżam-Balon tłumaczył mu moje opowiadanie o postępach nauki zachodniej, starzec nagle podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać, co się dzieje w kaplicy; jakkolwiek wyteżąłem cały swój słuch, nic nie mogłem dosłyszeć. Wreszcie podniósł się z poduszki i pokornym, przestraszonym, pełnym ekstazy religijnej głosem rzekł:

— Bogowie mnie wołają...

Sekretarze pochwycili Bogdo pod rękę i doprowadzili do kaplicy. Wszedł sam i szczerze zamknął za sobą drzwi. Pozostawał tam dwie godziny, które spędził na modlitwie. Modlitwa ta składa się z rozmowy z niewidzialnym bóstwem, w imieniu którego Bogdo sam daje odpowiedzi na swoje własne pytania. Wyszedł z kaplicy błydy, wyczerpany, lecz spokojny i radosny. Jest to osobista modlitwa samotna „Żywego Buddy”.

W kościelnych ceremoniach Bogdo bierze tylko udział bierny. Jest wtedy tylko „bogiem”. Lamowie stawiają go z tronem na ołtarzu i modlą się do niego wraz z nabożnym ludem. On zaś wysłuchuje i przyjmuje modły, prośby, nadzieje, łzy, rozpacz i radość i patrzy przed siebie nieruchomo swymi szeroko rozwartymi ślepyimi źrenicami. Lamowie, zależnie od momentu nabożeństwa, ubierają go w rozmaite płaszcze i nakładają mu na głowę przeróżnej formy czapki, mitry i kołpaki. Nabożeństwo kończy się chwilą doniosłą, gdy „Żywy Buddha” w złotej tiarze błogosławi narody wschodu, zachodu, północy i południa monstrancją, wyobrażającą Buddę w kwiecie lotosu i odmawia modlitwę ofiarną, wyciągając ręce na Zachód i w stronę Europy, do której podług przepowiedni powinna wtargnąć nauka mądrego Buddy.

Gdy wszyscy wychodzą ze świątyni, Bogdo pozostaje sam na sam z Buddą i zaczyna modlić się długo i gorąco, z natchnieniem improwizując modlitwy i psalmy prześliczne w swej formie. Czasami podczas rozmowy lub posłuchania ministrów starzec odchodzi do świątyni lub kaplicy na modlitwę, mówiąc z namaszczeniem:

— ON wszedł do NIEGO i ich dusze połączyły się w zrozumieniu...

Przy tych słowach wszystkich ogarnia strach mistyczny, wszystko ucicha i zamiera przed obliczem jakiejś uroczyściej tajemnicy; lamowie stają w pozie do modlitwy i przebierając różańce, szepcą frazesy święte: „Om! Mani padme, Hung!” lub kręcą koła z napisanymi na nich modlitwami i zaklęciami; wróżbiarze przystępują do swoich praktyk; jasnowidzący zapisują swe objawienia; uczeni bibliotekarze odszukują w starych foliałach i zwojach rękopisów teksty wyjaśniające słowa „Żywego Buddy”.

### XIII. CIENIE DAWNYCH WIEKÓW

Widziałem nieraz w starych zamczyskach Francji, Włoch i Anglii szary, miękki kurz na gzymsach ścian i na framugach okien; widziałem w kątach piwnic i lochów całe płachty starej, czarnej pajęczyny... Są to również zabytki dawno minionych wieków! Może ten pył dotykał twarzy, hełmów i mieczów rzymskiego Augusta, Św. Ludwika, Wielkiego Inkwizytora lub Galileusza? Mimo woli głęboki szacunek i rozrzewnienie ogarnia duszę przed tymi świadkami dawno ubiegłych epok. Takie samo wrażenie miałem w Ta-Kure. Może nawet jeszcze głębsze i silniejsze! Życie tu płynęło tym samym łożyskiem, którym płynęło również tysiąc lat temu. Cały lud żyje tu tylko przeszłością, wspomnieniami, legendami i tradycjami; wszystko, co jest współczesne, wikła tylko to pierwotne, naturalne życie Mongołów.

— Dziś dzień wielki — oznajmił mi pewnego wieczora Bogdo — dzień zwycięstwa buddyzmu nad wszystkimi innymi wyznaniem! W tym dniu przed ośmiu wiekami wielki chan Kubłaj zaważył do siebie kapłanów wszystkich wyznań i rozkazał im opowiadać, w co i jak każdy z nich wierzy. Wszyscy wychwalali swoich bogów i swoich najwyższych kapłanów. Wśród lamów zaczął się spór. Tylko jeden lama milczał. Wreszcie pobłażliwie się uśmiechnął i rzekł:

— Wielki Bogdo-Chanie, panie i władco! Rozkaż każdemu z nich uczynić cud i dowieść siły swoich bogów. Później wybierz sam boga najpotężniejszego!

Kubłaj-Chan zgodził się na jego radę i wydał kapłanom rozkaz wykonania cudu; lecz wszyscy milczeli i nikt nie ruszył się z miejsca.

— Teraz — rzekł nachmurzony chan do milczącego lamy — musisz uczynić cud ty, nieproszony doradco! Dowiedź potęgi swych bogów!...

Lama długo i uporczywie wpatrywał się w oczy chana, później objął wzrokiem wszystkich obecnych i wyciągnął rękę. W tej chwili złoty kubek chana oderwał się od stołu, a ręka niewidzialna przycisnęła go do ust Kubłaja, który uczuł smak rozkosznego, orzeźwiającego napoju. Wszyscy oniemieli, a wielki Kubłaj, władca Mongolii, Chin, Syjamu i Indii, zawołał:

— Chcę się modlić do twoich bogów i do nich będą zanosily modły podwładne mi narody, plemiona i szczepy od krańca po kraniec ziemi! Jak się nazywa twoja wiara, ktoś ty jest i skąd przybyłeś?

— Moja wiara to nauka mądrego Sakky-Muni-Buddhy. Jestem Pandita-Lama-Turdzy-Gamba z dalekiego, świętego klasztoru Sakky w Tybecie, gdzie przebywa wcielony w człowieka duch „nauczyciela mądrych”, cała jego wiedza i potęga. Pamiętaj królu, że narody wyznające naszą wiarę będą władaly wszystkimi obszarami krajów Zachodu i w ciągu 811 lat ustala naszą naukę na całej ziemi. Nauka Buddy będzie płynęła powietrzem w postaci łagodnego lub burzliwego wiatru, będzie biegła przez góry i lasy drogami niewidzialnymi, będzie się sączyła podziemnymi potokami coraz to głębiej, coraz to dalej...

— To stało się w owym dniu na wiele wieków przed nami. Lama Turdzy-Gamba nie powrócił do Tybetu, lecz pozostał tu, w Ta-Kure, gdzie wtedy istniała jedna tylko mała kaplica „obo”. Stąd odbywał on podróże do stolicy chanów w Karakorum i do stolicy Chin w celu umocnienia imperatora w wierze, udzielania mu rad i przepowiadania losów narodów i państw.

Bogdo milczał przez chwilę, po czym ciągnął dalej.

— Ta-Kure — to stare gniazdo „żółtej wiary”... Gdy Dżengiz-Chan przedsięwziął wyprawę do Europy, poszli z nim na wojnę odważni Oletowie-Kalmucy, którzy jednak już nie powrócili do swych stepów, pozostawszy na Woldze i na brzegach wielkiego morza<sup>16</sup>.

<sup>16</sup>wielkie morze — Morze Kaspjskie. [przypis redakcyjny]

Po kilku wiekach powołali ich do Mongolii lamowie „żółtej wiary”, aby stoczyli walkę z królami Tybetu i z lamami — „czerwonymi kołpakami”, którzy ujarzmili lud Tybetu. Kałmucy zwyciężyli, rozbiorwszy około jeziora Tengri-Nur wojska „czerwonych kołpaków”. Lecz wówczas zrozumieli, że Lhasa, Taszy-Lumpo i Sakky<sup>17</sup> leżą zbyt daleko od świata mongolskiego, od rdzennych szczepów dzengizowych, a więc nie mogą szybko i dzielnie szerzyć nauki Buddy pośród narodów Azji. Książę kałmucki, Guszy-Chan, przywiózł z Tybetu do Urgi świętego lamę, imieniem Undur-Gegeni, który był w podziemiu „Władcy Świata”. Był on pierwszym przeistoczonym „Żywym Buddhą” i od tej pory istnieje dynastia „Żywych Buddhaów” — Bogdo, chanów mongolskich. Pozostawił on nam w spuściznie sygnet Dżengiza, kubek z czaszki tajemniczego, czarnego cudotwórcy z nieznanego kraju. Z tego kubka pił wodę 1600 lat temu król Tybetu, nabożny Srongtsan. Pierwszy „Żywy Buddha” sprowadził do Mongolii kamienny posąg Buddy, który był przywieziony z Delhi do Tybetu przez założyciela „żółtej wiary”, Paspę...

Bogdo klasnął w dłoń; wówczas jeden z lamów wyjął z czerwonej chustki duży klucz srebrny i otworzył stojącą na stole szkatułę z pieczęciami. Starzec opuścił rękę i wyjął pudełko z kości, w którym przechowywano wielki sygnet złoty z czarną emalią oraz z dużym rubinem z wyróżnionym w nim znakiem swastyki.

— Ten pierścień był zawsze na prawej ręce Dżengiza, a później Kubłaj-Chana — objaśnił Bogdo.

Gdy zamknięto szkatułę, „Żywy Buddha” rozkazał jednemu z marambów<sup>18</sup> opowiedzieć mi o „czarnym kamieniu”, największej relikwii lamaickiej, o której często wspominają lamowie przy nabożeństwach zimowych. Maramba głosem wyuczonym zaczął szybko recytować:

— Gdy odważny Guszy-Chan, wódz Oletów, skończył wojnę z „czerwonymi kołpakami” w Tybecie, wywiózł on z sobą cudowny „czarny kamień”, który niegdyś był przysłany Dalaj-Lamie przez „Władcę Świata”. Guszy-Chan zamierzał założyć na zachodzie Mongolii stolicę „żółtej wiary”, żeby zjednoczyć w sercu Buddy wszystkie szczepy Mongołów w Azji Centralnej. Lecz Oletowie zmuszeni byli walczyć z Mandżurami o tron Chin, o tę spuściznę Wielkiego Mongoła. Walka była niepomysłna i ostatni chan Amursana musiał ukryć się w Rosji, lecz przedtem przysłał do Ta-Kure „czarny kamień”. Dopóki był on w ręku „Żywego Buddy”, choroby i śmierć nie grasowały w Mongolii. Sto lat temu jacyś zbrodniarze ukradli tę naszą relikwię. Próżno buddyści szukają jej po całym świecie! Ze zniknięciem jej lud mongolski i jego stada wymierają straszliwie!

— Dość! — rzekł Bogdo. — Chińczycy i Rosjanie znęcają się nad nami, nasi sąsiedzi poniewierają nami. Zapomnieli oni o twardej ręce swoich władców: Dżengiza, Ugedeja i Batyja. Lecz my przechowujemy stare przepowiednie i wierzymy, iż przyjdzie dzień zwycięstwa narodów plemienia mongolskiego i „żółtej wiary”...

Tak mówił „Żywy Buddha” i tak głośno zmurszałe, rozsypujące się w proch foliały.

#### XIV. KSIĘGI O CUDACH

Książę Dżam-Balon, który był moim ciceronem w siedzibie „Żywego Buddy”, prosił marambę o pokazanie mi księżnicy Bogdo. Był to niewielki pokój, w którym pracują przepisywacze kronik, mówiących o cudach „Żywych Bogów” mongolskich, zaczynając od Undur-Gegeni kończąc na cudach istniejącego „Żywego Buddy”, oraz gegeni i hutu różnych klasztorów mongolskich. Kroniki te następnie rozsyłają do wszystkich klasztorów, świątyń i szkół „bandi”.

Maramba przeczytał mi niektóre urywki.

— Błogosławiony Bogdo-Gegeni dmuchnął na zwierciadło. Wówczas, jak przez mgłę, zjawiła się obszerna dolina, gdzie tysiące tysięcy ludzi walczyło ze sobą...

Mądry, miły bogom „Żywy Buddha” zapalił wonności w wazie ofiarnej i modlił się do bogów, prosząc o wskazanie losów książąt. W niebieskim dymie wszyscy zobaczyli ponure, ciemne więzienie i blade ciała zmarłych książąt, wyczerpanych cierpieniem...

Po każdym takim opisie następowały komentarze i przepowiednie.

<sup>17</sup>Lhasa, Taszy-Lumpo i Sakky — najbardziej czczone świątynie lamaickie i stolice najwyższych dostojników „żółtej wiary” w Tybecie. [przypis redakcyjny]

<sup>18</sup>maramba — uczonego teologa lamaickiego. [przypis redakcyjny]

Osobna księga, przepisywana już po tysiąc razy, głosiła o cudach obecnego Bogdo-Chana. Z niej odczytał mi maramba parę ustępów:

— W pałacu Bogdo-Chana przechowuje się drewniany posąg Buddy z otwartymi oczyma. Posąg ten przywieziono z Syjamu. Bogdo kazał postawić go na ołtarzu w swojej kaplicy, dokąd natychmiast udał się na modlitwę.

Gdy wyszedł stamtąd, kazał przynieść posąg do pokoju. Zdumienie ogarnęło wszystkich, gdyż oczy boga były zamknięte, a spod powiek błysnęły łzy, z drewnianego zaś ciała wychodziły świeże gałęzie o liściach pachnących cudnie.

Rzekł wówczas Bogdo-Chan:

— Rozpacz i radość czekają na mnie. Stanę się niewidomy, lecz Mongolia zostanie wolnym krajem za mego panowania na łonie „Żywych Buddhaów” i Dżengiz-Chana!

Przepowiednia się ziściła.

— Innym razem Bogdo jednego z takich dni, gdy nawiedzą go trwoga i niepokój, wziął wielkie naczynie z wodą i postawiwszy je przed ołtarzem świątyni przepowiedni, dokąd zwołał lamów wyższych stopni, zaczął się modlić, gdy lamowie śpiewali pieśni wychwalając mądrość Buddy. Nagle na ołtarzu zapaliły się świece i lampki z olejkiem wonnym, woda zaś w naczyniu mieniła się wszystkimi barwami tęczy.

Dżam-Bałon opowiadał mi, jak Bogdo-Chan wróży za pomocą świeżej krwi, na powierzchni której zjawiają się obrazy i napisy; w jaki sposób ten ślepiec odczytuje tajemnicze zdania na drgających jeszcze wnętrznościach baranów i kozłów. Z układu zaś wnętrzności Bogdo poznaje myśli oraz plany polityczne chanów i książąt; kamienie i kości odkrywają „Żywemu Bogu” przeszłe i przyszłe losy człowieka; zgodnie z rozkazem gwiazd na niebie starzec układa amulety przeciwko kulom i chorobom.

— Starzy Bogdo-Chanowie wróżyli najczęściej według „Czarnego kamienia” — ciągnął dalej maramba. — Na czarnej powierzchni tego kamienia zjawiały się hieroglify tybetańskie, z których składano wyrazy. Kiedy zaś ten cudowny kamień skradziono, Bogdo-Chanowie zaczęli układać horoskopy według gwiazd lub wróżyć za pomocą wody, krwi, kości i wnętrzności zabitych zwierząt.

Gdy maramba wspomniał o „Czarnym kamieniu” i zjawiających się na nim znakach tybetańskich, pomyślałem, że jest to zjawisko zupełnie możliwe, nie mające nic wspólnego z cudem. W południowym Urianchaju, pomiędzy rzeką Hargą a górami Ułan-Tajga, spotkałem jedną miejscowość z wielką ilością odłamów czarnych piaskowców. Na kamieniach tych rosły liszaje, przypominające misterny rysunek koronek weneckich lub całe tablice jakichś hieroglifów tajemniczych. Ten liszaj jest znany pod nazwą „Tybetańskiego napisu”.

Nikt ze zwykłych śmiertelników nie może prosić Bogdo o wróżbę i przepowiednie. Wróży on czując natchnienie lub wówczas, gdy go o to prosi specjalnym pismem, posyłałym przez uroczyste poselstwo z darami, świątobliwy Dalaj-Lama lub imperator chiński, jak to było przy dynastii Daj-Cynów.

Cesarz rosyjski Aleksander I, który pod wpływem baronowej von Krüdener pogrążył się w ponury mistycyzm, posyłał podobno specjalnego posła do Urgi, prosząc „Żywego Buddha” o przepowiednie. Panujący wtedy Bogdo, prawie jeszcze dziecko, radził się „czarnego kamienia” i zawyrokował, że „biały car”, czyli „urus-chan”, skończy swe życie w męczeńskiej włóczędze, nikomu nie znany i prześladowany. Jak wiadomo w Rosji uporczywie utrzymuje się mniemanie, że Aleksander I pod imieniem „starca Fiodora Kuźmicza” ukrył się na Syberii, gdzie się błąkał z uciekinierami z więzień kryminalnych i katorżnikami. Z powodu braku dowodów osobistych bywał często więziony i karany batami; umarł zaś w Tomsku, gdzie do tej pory odbywa się specjalna pielgrzymka do domku, w którym według podania żył i umarł cesarz. Mogiła zaś „Fiodora Kuźmicza” jest miejscem licznych uzdrowień i innych cudów. Zainteresowanie się tą legendą niektórych członków rodziny Romanowych jeszcze bardziej podtrzymywało wiarę w jej autentyczność. Bolszewicy, którzy jak wiadomo powyrzucali z grobowców wszystkich carów, w grobowcu Aleksandra I ciała nie znaleźli, co potwierdza jeszcze prawdopodobieństwo legendy i wzmoże pielgrzymkę do mogiły „starca Fiodora”, którym w rzeczywistości miał być Aleksander I, car Rosji, „z dobrej woli pokutujący za zbrodnie i gwałty swoich poprzedników”.

## XV. ZJAWIENIE SIĘ „ŻYWEGO BUDDHY”

„Żywy Buddha” nie umiera. Dusza jego z ciała Bogdo przechodzi do ciała innego człowieka, który rodzi się albo w dzień jego zgonu, albo jeszcze przy życiu dostojnika i „boga”. Ta nowa powłoka „ducha Buddy” zjawia się na świat prawie zawsze w jurcie biednego tubylca w Tybecie lub Mongolii. W tym tkwi gra polityczna. Lamowie obawiają się dopuszczenia na tron Dżengiz-Chana potomka rodu książęcego, gdyż to może spowodować wzmocnienie się tego rodu i politykę wroga lamom oraz ustrojowi klerikalnemu rządów obydwóch krajów. Obawy te nie są płonne, gdyż już cztery razy Bogdo-książęta wszczykali wielki nieład w rządzie i ustępowali tylko pod wpływem „turdzy”, który wyprawiał ich do cieniów przodków. Przeważająca liczba Bogdo pochodziła z Tybetu.

Jeden z wysokich lamów i zarazem chan Jassaktu, którego spotkałem w drodze pomiędzy Uliasutajem a Zain-Szabi, opowiadał mi o sposobach wynalezienia w razie potrzeby nowego „Żywego Buddy”.

— W klasztorze Taszy-Lumpo w Tybecie zawsze dokładnie wiedzą z listów z Urgi o stanie zdrowia „Żywego Buddy”. Gdy jego powłoka ludzka starzeje się, a duch usiłuje ją porzucić, w tybetańskich klasztorach rozpoczynają się osobliwe nabożeństwa i praktyki astrologiczne, wskazujące tych świątobliwych lamów, którzy mogą wynaleźć nową powłokę „dla nieśmiertelnego ducha Buddy”. W tym celu obrani lamowie zaczynają podróżować po całym kraju i obserwować dzieci i młodzieńców. Czasami samo bóstwo daje wskazówki. Na przykład: około jakiejś jurty tubylca zjawi się biały wilk, urodzi się jagnię o dwóch głowach lub spadnie z nieba „kamień ognisty”. Inni lamowie łapią ryby w świętym jeziorze Tengri-Nur i na ich łusce odczytują imię następcy Bogdo-Chana z Urgi; mnisi szukają kamieni z licznymi szczelinami i starają się odczytywać zawiłe kombinacje linii, układając je w litery i wyrazy; hutuhtu wsłuchują się w tajemnicze głosy w wąwozach górskich, gdzie mieszka „duch gór”, który czasem dobitnie wymawia imię nowego dostojnika. Po odnalezieniu kandydata potajemnie gromadzą o nim wszystkie potrzebne informacje, które oddają pod sąd Taszy-Lamy, noszącego miano „Erdeni”, co znaczy „wielki skarb uczoneści”. Ten szuka potwierdzenia wyboru w starych pergaminach indyjskich lub decyduje sprawę podług tajemniczych znaków Ramy. Jeżeli Taszy-Lama zgadza się z wyborem, zawiadamia o tym bullą Dalaj-Lamę, który po nabożeństwie w świątyni „ducha gór” kładzie na bulli pieczęć najwyższego kapłana. Jeżeli w tym czasie tron urgiński zostaje osierocony, to do Ta-Kure zjawia się poselstwo z Tybetu wraz z nowym „Żywym Buddhą”.

Wybory gegeni i hutuhtu dla klasztorów mongolskich odbywają się w ten sam sposób, tylko są ograniczone terytorium Mongolii, zatwierdzenie zaś wyboru należy wyłącznie do Bogdo-Chana w Urdze.

Teraźniejszy niewidomy Bogdo-Chan Halhi jest Tybetańczykiem i pochodzi z rodziny sług przy dworze Dalaj-Lamy. W młodości prowadził życie burzliwe i całkiem nieascetyczne, lecz wkrótce porwała go idea niezależności Mongolii i utworzenia imperium mongolskiego pod berłem dżengizowych potomków i pod moralnym wpływem kultury chińskiej. Taki program polityczny od razu otoczył młodego Bogdo powagą w oczach Mongołów i sympatiami Tybetu, Buriatów, Kirgizów i Rosji, która dopomagała „Żywu Bogu” swoją dyplomacją i swoimi finansami. Bogdo nie obawiał się ostrych wystąpień przeciwko Daj-Cyńskiej dynastii mandżurskiej w Pekinie, ufając w realną pomoc Rosji.

Rząd pekiński unikając otwartej walki z „Żywym Buddhą”, co mogłoby rozdrażnić buddystów i lamaitów chińskich, pewnego razu posłał do Urgi doświadczonego lekarza-truciciela. Lecz uprzedzony na czas Bogdo, obeznany ze skutecznością trucizn zalecanych przez medycynę tybetańską, wyjechał na pielgrzymkę do klasztorów mongolskich w Tybecie. Zastępcą jego został niejaki „hubilgan<sup>19</sup>”, który zaprzyjaźnił się z lekarzem, wysondował zeń wszystko, co chciał i zawiadomił o tym „Żywego Buddhę”. Po kilku dniach lekarz chiński zachorował i umarł, oplakiwany przez hubilgana i cały dwór urgiński. Wkrótce Bogdo powrócił do swojej stolicy.

Raz jeszcze groziło Bogdo doraźne niebezpieczeństwo. Stało się to wtedy, gdy w Lhasie zdecydowano, że „Żywy Buddha” uprawia zbyt niezależną od Dalaj-Lamy politykę.

<sup>19</sup>hubilgan — wysoki stopień wcielonego bóstwa. [przypis redakcyjny]



Z kancelarii tybetańskiego kapłana najwyższego przyjechało do Jassaktu-Chana poselstwo z listem od Dalaj-Lamy, rozkazującym przyspieszenie przejścia ducha Buddy do innej powłoki ziemskiej i obiecującym wielkie za to łaski. Jassaktu-Chan, zgodziwszy się na wspólny sposób działania z Sain-Noin-Chanem, przybył wraz z nimi do Urgi, gdzie „Żywy Buddha” przyjął ich nad wyraz serdecznie i radośnie zaprosił na obiad. Podczas uczty spiskowcy nagle poczuli się słabo i przed wieczorem zmarli. Bogdo z honorami wyprawił zwłoki posłów do ich stolic koczowniczych.

„Żywy Buddha” wie o każdym słowie, myśli, czynie i zamiarze chanów, książąt, gegeni i hutuhtu, mając wszędzie szpiegów, ku pomocy zaś im w nagłych wypadkach... niemego „turdzy” — truciciela!

Pekin postanowił walczyć z „Żywym Buddhą” innymi sposobami, używając metody intryg politycznych. O tej epoce walki zachłannego Pekinu z wolnościowo nastrojoną Urgą opowiadał mi baron Ungern von Sternberg:

Do Pekinu zostali zaproszeni nie uznający zwierzchnictwa „Żywego Buddy” Pandita-Gegeni z Dołon-Noru i najwyższy kapłan lamaitów chińskich — hutuhtu z Wu-Ta-Y. Ci dostojnicy na podstawie jakichś apokryficznych ksiąg buddyjskich zdecydowali, że obecny Bogdo-Chan jest ostatnim „Żywym Buddhą”, ponieważ ta część „ducha Buddy”, która jest w niego wcielona, może posiadać tylko trzydzieści jeden form cielesnych, Bogdo-Chan zaś, licząc od Undur-Gegeni, był właśnie 31-ym wcieleniem Buddy. W ten sposób z jego śmiercią dynastia urgińskich „Żywych Buddhów” musiałaby zgasnąć, władza przeszłaby do konklawe lamów, z którymi w drodze intryg rząd pekiński łatwiej dawałby sobie radę. Jednak mądry Bogdo znalazł wyjście. Dowodząc nieautentyczności apokryfów użytych przez swoich przeciwników, wynalazł jednocześnie w literaturze tybetańskiej wzmianki, że jeden z tybetańskich najwyższych kapłanów w Lhassie był żonaty, syn zaś jego był uważany za naturalne przeistoczenie Buddy wcielonego w ojca. Bogdo niezwłocznie się ożenił i ma obecnie syna, bardzo zdolnego i dzielnego młodzieńca, dzięki czemu tron Dżengiz-Chana i stolica „Żywych Buddhów” nie będą osierocone. Dynastia Daj-Cynów znikła z widowni politycznej, a „Żywy Buddha” pozostał i wziął w swoje ręce ster jeszcze wyraźniejszej i bardziej stanowczej ideologii panmongolskiej.

W pałacu „Żywego Buddy” pokazywano mi duży kufer cyprysowy ze złotym okuciem. W nim Bogdo przechowywał najdroższe i najważniejsze dokumenty: bulle i listy tybetańskich „Żywych Buddhów”, dekrety imperatorów chińskich, mongolsko-chińskie umowy, pisma carów rosyjskich, protokół ostatniego prorocтва Bogdo i mosiężną tablicę z tajemniczymi znakami pisma „Waten” którego używa „Władca Świata”, a które odczytać potrafi tylko jeden z indyjskich mahatmów.

## XVI. WIDZENIE „ŻYWEGO BUDDHY” 17 MAJA 1921 R.

Opisywałem już tę pierwszą moją wizytę u Bogdo-Chana, gdy po modłach w swojej kaplicy, gdzie miał prorocze widzenie, kazał sekretarzom zapisywać swoje słowa:

Modliłem się i zobaczyłem rzeczy skryte przed oczyma ludzkimi. Przed sobą ujrzałem wielką równinę z górami na horyzoncie. Równiną tą szedł stary lama z koszem pełnym zwyczajnych kamieni. Starzec z trudem się posuwał, gdyż był chory, słaby i znużony. Z północy, spoza gór zjawił się jeździec na białym rumaku, ubrany w białe szaty. Zbliżył się do starca i rzekł:

— Daj mi twój kosz, pomogę ci donieść go do klasztoru. Lama podał mu ciężki kosz, lecz jeździec nie mógł podnieść go na wysokość siodła. Starzec smutnie poszedł swoją drogą, uginając się pod ciężarem kamieni. Wówczas od północy ukazał się inny jeździec w czerwonych szatach i na rudym koniu. Jeździec ten rzekł do lamy: „Głupcze, po co nosisz kamienie, gdy ich wszędzie jest pod dostatkiem?” Mówiąc to, potrącił starca koniem, ten upadł, kamienie zaś potoczyły się po ziemi. Spostrzeżono wtedy, że były to drogocenne diamenty. Wszyscy zaczęli w pośpiechu je zbierać, lecz nikt nie mógł oderwać ich od ziemi. Wówczas lama zaczął się modlić, ażeby bogowie dopomogli mu donieść drogocenny, lecz ciężki kosz do celu.

Przez całe życie — modlił się starzec — niosę to brzemię, a teraz, gdy pozostało tak mało do przejścia, zgubiłem je! Pomóżcie mi, wielcy, miłośnicy bogowie!

Nagle ukazał się stary, stuletni człowiek zgarbiony, zebrał wszystkie diamenty do kosza i oczyściwszy je z kurzu i trawy podniósł kosz na ramię i ruszył, mówiąc do lamy:

— Odpocznij tymczasem! Przed chwilą doniosłem do celu swoje brzemię i cieszę się, że mogę ci dopomóc, bracie.

Starcy odeszli i znikli za górami, a jeźdźcy rozpoczęli bój, który trwał do świtu. A gdy weszło słońce, na stepie nie widziałem już nikogo, ani żyjących, ani umarłych. Nawet śladów dojrzeć nie mogłem. Wszystko to widziałem ja, Bogdo-Chan-Hutuhtu, 31-szy „Żywy Buddha”, który tego dnia rozmawiał z wielkim, błogim i mądrym Buddhą, otoczonym dobrymi i złymi duchami. Mądrzy lamowie, hutuhtu, kanpo, maramba i święci gegeni, raczcie wyjaśnić moje widzenie!

To widzenie było zapisane w mojej obecności. Nie wiem, co odpowiedzieli gegeni i maramba, lecz czyż nie jest zrozumiała odpowiedź na to widzenie ślepego Bogdo, jeżeli głębiej zastanowić się nad dziejami Azji w chwili obecnej?!

Obudzona Azja jest pełna zagadek, lecz zarazem pełna odpowiedzi na pytania, stawiane przez dzieje ludzkości...

Ten kraj kapłanów tajemniczych, żywych bogów, mahatmów i mędrców czytających straszną księgę losów pojedynczych osobników i ludów całych, obudził się i wzburzył olbrzymi, zgrozą przejmujący ocean miliarda ludzkich istnień; potworne jego fale piętrzą się wszędzie, aż hen! po krańce horyzontu, za którym leży odłogiem ślepa Europa i kultura zachodnia, tak daleka od zagadnień ducha...

## XVII. OSTATNIA NOC

Baron Ungern zorganizował bardzo wygodną jazdę dla całej naszej grupy na wschód. Mój agronom, a z nim dwóch żołnierzy polskich dostali wielbłądy, wozy, żywność i przewodników i mieli kierować się na granicę Bargi, przejechać ją z południa na północ, dotrzeć do stacji kolejowej Chajłar; stąd kolejną, sprzedawszy konie i wozy, mieli dojechać do Charbina i Szanghaju, gdzie były już konsulaty polskie.

Ja zaś otrzymałem w prezencie od barona i „boga” samochód, który miał mnie odwiedzić tą samą drogą do jeziora Buir-Nor na granicy Bargi, gdzie powinienem był spotkać agentów Ungerna, którzy ułatwiliby mi przejazd końmi do Chajłaru. Ze mną zamierzał jechać lama z plemienia Turgutów z listami barona do Chin. Mój wyjazd miał nastąpić nazajutrz 21 maja 1921 roku, w godzinę po opuszczeniu przez Ungerna stolicy mongolskiej, skąd wyruszał z dywizją na północ na wyprawę przeciwko wojskom bolszewickim na pograniczu Zabajkala.

Nadszedł ostatni wieczór mego pobytu w Urdze. Na obiedzie byłem u barona. Ungern był spokojny i zamyślony. Po obiedzie pojechaliśmy do księcia Dżam-Bałona. Jurta księcia stała na krańcu dzielnicy rosyjskiej, a była urządzona z nadzwyczajnym przepychem.

Gdy samochód zatrzymał się przed jurtą, książe wyszedł na nasze spotkanie. Usadził nas na wspaniałych poduszkach, kazał podać małe stoliki, na których po chwili zjawiała się herbata w chińskich porcelanowych filiżankach, ciastka, orzechy, daktyle i rodzynki. W głębi jurty stał duży ołtarz z posągami Buddy i z kilku jarzącymi się świecami. Na ścianach połyskiwała broń różnego gatunku i wisiały bogate siodła i uzdy.

— Dziś ostatnia noc, Dżam-Bałonie! — rzekł baron. — Obiecałeś!...

— Pamiętam! — odparł Buriat. — Wszystko przygotowane...

Długo słuchałem wojennych opowiadań tych starych przyjaciół bojowych, ich wspomnień o zabitych towarzyszach i ciężkich, niebezpiecznych przygodach na froncie niemieckim i bolszewickim... Na zegarze wybiła północ. Dżam-Bałon wstał i wyszedł.

— Chcę jeszcze po raz ostatni zapytać o swój los — rzekł generał głosem zakłopotanym, jak gdyby się usprawiedliwiając. — Nie czas mi jeszcze umierać, dla sprawy — nie czas!

Buriat powrócił razem z małą kobietą w nieokreślonym wieku. Usiadła przy piecyku i ukłoniwszy się nam utkwiała swoje czarne oczy w twarzy Ungerna.

Baron w milczeniu skinął w jej stronę, lecz kobieta długo jeszcze siedziała nieruchoma, chwilami tylko nas bystrym wzrokiem ogarniając.

Cerę miała białą, daleko bielszą niż zwykle Mongołki, rysy również o wiele drobniejsze i delikatniejsze, usta pełne, małe, świeże. Odziana była nie po mongolsku, w czystą

suknię koloru ciemnego, a na czarnych włosach miała narzuconą chustkę w pstre pasy. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że była to najslawniejsza wśród Buriatów czarownica i wyrocznia, córka Cyganki i Buriata. Kobieta powolnymi ruchami, jak gdyby od niechcenia, wyjęła woreczek z ziółkami i łopatkę baranią. Szepcząc jakieś słowa niezrozumiałe, od czasu do czasu rzucała do ognia ziółka. Wkrótce poczułem ostry zapach, lekki zawrót głowy i gwałtowne bicie serca.

Czarownica, spalivszy cały zapas ziół, włożyła w ogień kość, opaliła ją i zaczęła uważnie oglądać ze wszystkich stron. Nagle twarz jej kurczowo się ściągnęła, w oczach zjawił się przestach i ból. Zerwała z głowy chustkę, krzyknęła przeraźliwie, upadła i zaczęła się wć w konwulsjach, wyrzucając głosem chrapliwym urywane zdania:

— Widzę... groźnego boga wojny... Życie idzie... straszne... za nim cień... czarny jak noc... czarny... Życie kroczy dalej... Pozostaje do mety... 130 kroków... dalej ciemność... nic nie widzę!... nic nie widzę!... Znikł bóg wojny...

Ungern ze smutkiem w oczach spojrział na mnie.

— Znowu 130... 130 dni! — szepnął w rozpacz.

Kobieta spała, upadłszy na wznak i rozłożywszy ręce, lecz w pewnej chwili wydało mi się, że spostrzegłem błysk jej ostrych źrenic pod czarnymi rzęsami.

Słudzy Buriata wynieśli bezwładne ciało czarownicy, małej, tajemniczej kobiety, która brała w tragedii urgińskiej jakiś niezrozumiały dla mnie udział.

W jurcie zapanowało długie i ciężkie milczenie. Ungern wstał i zaczął szybko chodzić, szepcząc coś z cicha. Wreszcie zatrzymał się i z palającymi oczyma zaczął śpiesznie mówić:

— Umrę... wszystko jedno! Sprawa zaczęta nie umrze... Widzę już przyszłe losy mego dzieła... Plemiona Dżengiz-Chana obudzone. Nikt już nie potrafi zgasić ognia roznieconego w piersi Mongołów! Po upływie niedługiego czasu Mongolia stanie się olbrzymim państwem od Spokojnego i Indyjskiego Oceanu do Wołgi. Mądra nauka Buddy będzie się szerzyła na Zachód i Północ. Będzie to zwycięski pochód ducha! Zjawi się bojownik, wódz potężniejszy od Dżengiza i bardziej stanowczy niż Ugedej. Będzie on mądrzejszy i miłociwszy niż sultan Baber i potrafi utrzymać władzę nad Azją i Europą do tego szczęśliwego dnia, gdy zjawi się z głębi swego podziemnego państwa „Władca Świata”. Lecz dlaczego, dlaczego mnie już nie będzie wówczas w pierwszych szeregach rycerzy buddyzmu?! Lecz trudno! Taki wyrok Karmy...

Postąpił kilka kroków, zatrzymał się i rzekł znowu:

— Tak będzie, ale najpierw Rosja powinna się oczyścić z hańby rewolucji! Oczyścić się przez krew i śmierć! Żywiołowym wybuchom przeciwko gwałcicielom duszy ludzkości nie wolno stawiać żadnych przeszkód!

Ungern trząsł ręką w powietrzu, grożąc komuś niewidzialnemu, komuś przekazując swą ostatnią wolę.

Zaczął świtać...

— Już czas! — rzekł. — Za godzinę wyruszę z Urgi.

Mocno i krótko uściśnął nam ręce, wyszedł z jurty, ale za chwilę powrócił i rzekł ponuro:

— Żegnam was na zawsze! Umrę straszną śmiercią, lecz jak świat światem, ludzkość nie widziała takich okropności, jakie ja jej pokażę, gdy wtargnę do Syberii ze swoją dywizją!

Drzwi się zamknęły.

Milczeliśmy, nie mogąc ochłonąć ze wzruszenia; ciężkie myśli tłoczyły się nam do głowy.

— Czas już i na mnie! — powiedziałem wstając. — Dziś przecież i ja odjeżdżam.

— Wiem o tym! — odparł Dżam-Balon. — Baron pozostawił pana u mnie rozmyślnie. Dam panu jeszcze jednego pasażera do samochodu, mongolskiego ministra wojny, który dopomoże panu w drodze, pan zaś dowiezie go do jego koczowiska. Jest to dla pana niezbędne...

Buriat wymówił te słowa z takim naciskiem, że nie wypytywałem go nawet o szczegóły, ponieważ podczas 9 dni pobytu w Urdze zdążyłem się już przyzwyczaić do tajemnic tego gniazda złych i dobrych duchów.

## XVIII. „CZŁOWIEK Z GŁOWĄ PODOBNĄ DO SIODŁA”

W godzinę później pożegnałem moich towarzyszy ciężkiej podróży, którzy ładowali już na wozy swoje rzeczy i wkrótce wyjeżdżałem z Urgi samochodem, mając ze sobą otyłego i poważnego ministra wojny i lamę — Turguta, przyglądającego mi się badawczo. Gdyśmy już byli o kilkanaście kilometrów od stolicy „Żywego Buddy”, usłyszeliśmy z tyłu ryk syren i turkot samochodu, zbliżającego się w pełnym pędzie. Zauważyłem, że minister spoważniał jeszcze bardziej, a czarnooki lama wcisnął głowę w ramiona i zaczął szybko przebierać różaniec. Instynkt samozachowawczy obudził się od razu. Poczulem niebezpieczeństwo. Odpiąłem leżącą przede mną torbę i szybko wysunąłem z niej rękę — rękojeść mauzera.

W tej chwili dogonił nas samochód pędzący z szaloną szybkością: siedział w nim pułkownik Sipajłow, jego kat Czysiakow i jeszcze jakiś oficer. Sipajłow ujrawszy ministra wojny zmieszał się. Po chwili uśmiechając się i sepleniąc, zapytał:

— Pan będzie jechał na Buir-Nor? Jadę też w tamtą stronę, gdyż muszę dogonić wysłanego wczoraj w nocy gońca z listami. Będziemy razem nocowali w Kazahuduku... Do widzenia!

Samochód pomknął dalej, my zaś pojechaliśmy za nim znacznie wolniej. Z wysokiego pagórka dojrzeliliśmy w oddali samochód, pędzący w kierunku północnym. Znikł on wkrótce za niewysokim łańcuchem gór.

— Stój! — zawołał minister i zwracając się do mnie, rzekł: — Nie pojedziemy wcale na Buir-Nor i w Kazahuduku nie spotkamy tego człowieka. Dżam-Bałon wczoraj się dowiedział, iż Sipajłow chce pana zabić w drodze. Książę doniósł o tym baronowi, a ten bojąc się Sipajłowa, kazał mi jechać z panem i oszukać tego zbrojnego. Pojedziemy drogą najkrótszą na Kałgan.

Dowiedziawszy się o zamiarze Sipajłowa żalowałem szczerze, że nie było ze mną mego agronoma i żołnierzy polskich. Wówczas na pewno Sipajłow i jego zbroje nie dojechaliby do Kazahuduku...

W godzinę potem byłem już daleko od miejsca, gdzie spotkał po raz ostatni „człowieka z głową podobną do siodła”, przed którym ostrzegał mnie stary wróżbiarz w okolicach Wan-Kure.

Po trzech dniach dotarliśmy szczęśliwie przez Gobi i przez ziemie plemienia Czacharów do Kałganu, zrobiwszy wraz z lamą ostatnie 100 kilometrów konno w obawie przed chińskimi władzami pogranicznymi. Po kilku godzinach drogi wyrosły przede mną w grubym murze otaczającym Pekin potworne wrota Chien-Men.

Odпочyiwając w Pekinie we wspańiałym „Hotel des Vagons-Lits”, otoczony możliwymi wygodami kulturalnymi i porzuciwszy wszystkie atrybuty myśliwego i wojownika, długo nie mogłem się pozbyć straszliwych wrażeń z dziewięciu dni spędzonych w Urdze, gdzie codziennie spotykałem „szalonego Ungerna”, o którym przypominały mi dzienniki, szczegółowo opisujące krwawy pochód jego przez Syberię Wschodnią. Nawet teraz, po upływie prawie dwóch lat, nie mogę zapomnieć tych nocy szaleństwa, natchnienia i nienawiści, spędzonych w jurcie potomka Krzyżaków teutońskich. Przepowiednie się ziściły. Mniej więcej po 130 dniach, w końcu września 1921 roku baron Ungern von Sternberg zginął w straszliwych torturach w więzieniu bolszewickim.

Baron Ungern von Sternberg... Przemknął on krwawą wichurą karzącego losu. Co zostawił po sobie?

Surowy rozkaz, powołujący pod jego sztandary wszystkich uczciwych, kochających ludzką wojowników i kończący się mistyczną przepowiednią z Apokalipsy.

Lecz Ungern pozostawił po sobie ślad jeszcze jeden, głębszy, który będzie miał znaczenie historyczne.

W jurtach Mongołów różnych plemion, przy ogniskach buriackich, mongolskich, dżungarskich, kirgiskich, tybetańskich pastuchów cichymi, lecz przejętymi głosami śpiewają legendę, zrodzoną przez barona Ungerna:

— Przyszedł z północy biały rycerz i powołał Mongołów do skruszenia kajdan, nałożonych przez niezwalczony Chiny. Padły rozbite kajdany na ziemię naszych wolnych stepów. Ten biały rycerz był odrodzonym Dżengiz-Chanem i przepowiedział przyjście na

świat „Wielkiego Mongoła”, który szerzyć będzie mądrą naukę Buddy i sławę władców Azji. Tak będzie!...

Obudziła się Azja, a jej synowie głoszą wolne, śmiałe słowa. Biada Zachodowi, jeżeli Azja, natchniona przez „złych duchów”, pójdzie nie za mądrym i miłościwym Ugedej-Chanem lub Baber-Sultaniem, lecz za krwawym burzycielem — Tamerlanem Chrymym...

Co też powie w chwili stanowczej „Władca Świata”, zjawiwszy się ze swej skrytej w głębi ziemi stolicy?

## XIX. „WŁADCA ŚWIATA”

— Stój! — szepnął pewnego razu stary Mongoł-przewodnik, gdyśmy na wielbłądach przebiegali stopy około Cagan-Luka. — Stój!

Mongoł z jakimś religijnym strachem ześlizgnął się ze swego wielbłąda, a ten położył się bez żadnego rozkazu. Mongoł złożył ręce przed twarzą. Obracając się na cztery strony świata, szybko powtarzał: „Om! Mani padme, Hung!” reszta Mongołów natychmiast zatrzymała swe wielbłądy i konie i rozpoczęła modlitwę.

— Co się stało? — myślałem ze zdumieniem, widząc przed sobą zieloną, wiosenną już trawę, niebo bez śladu obłoków i powietrze nieruchome, jak gdyby śpiące w łagodnych promieniach zachodzącego słońca.

Mongołowie długo stali zatopieni w modlitwie, wreszcie zaczęli do siebie coś szeptać, następnie zaś umocowali siodła i wory i ruszyli dalej.

— Czy widziałeś — spytał mnie stary przewodnik — jak trwożnie strzygły uszami nasze wielbłądy, jak tabuny koni stały z podniesionymi, przerażonymi głowami na wzgórzach i jak przycisnąwszy się do ziemi leżały stada owiec? Czyś zauważył, że nie latały ptaki i nie biegały imurany i szczury? Wszystko się zatrzymało, wszystko słuchało w trwodzie... Powietrze z lekka drgało i niosło z daleka pieśń dźwięczną a przenikającą do duszy człowieka, zwierza i ptaka. Niebo i ziemia przestały oddychać. Wiatr ustał nagle i słońce zatrzymało się w swym biegu. W takiej chwili zatrzymują się skradający się do stada wilk i ryś; przerywa swój szybki bieg stado wystraszonych dżereni<sup>20</sup>; wypada nóż z rąk pastucha, zamierzającego zarznąć barana lub wołu; świstaki nie ryją swych nor; krwiożerczy gronostaj nie napada na śpiącą salgę<sup>21</sup>; nie płyną na firmamencie zasłuchane księżyc i gwiazdy. Wszystko w zachwycie i trwodze modli się, oczekując wyroku. Tak było przed chwilą. W swojej dalekiej, skrytej pod ziemią świątyni „Władca Świata” modlił się i pytał Boga o losy wszystkich ludów ziemi...

Tak opowiadał mi stary Mongoł, prosty pastuch, przewodnik i myśliwy...

Ludzie starzy na rzece Amył opowiadali mi słyszaną od dziadów legendę o Mongołach, którzy skrywając się przed hordami Dżengiza, weszli do podziemi „Władcy Świata”. Sojot pokazał mi w pobliżu jeziora Nogan-Kul jaskinię, która miała być wejściem do państwa podziemnego.

Przez tę jaskinię podobno dotarł do „Władcy Świata” jakiś zabłąkany myśliwy sojocki i powróciwszy zaczął w zachwycie opowiadać, co widział, lecz lamowie obcięli mu język, aby milczał i nie bluźnił. W głębokiej starości myśliwy powrócił do krainy podziemnej, której wspomnienie rozpromieniało i upiększało jego ciężkie, surowe życie nomady.

Szczegółowsze wiadomości słyszałem o „Władcy Świata” od Dżelyb-Dżamsrap-Hutu w Narabanczi-Kure; napomykał też o nim Tuszegun-Lama; w chwilach uniesienia wspominali o nim „Żywy Buddha” i baron Ungern.

Zacząłem robić pewne kroki dla zbadania tej legendy.

Przyboczny lama i gelong księcia Czultun-Bejle, mnich uczony i czytany, prosząc o tajemnicę, opowiedział mi o państwie podziemnym.

— Na ziemi wszystko jest zmienne — mówił — ludy, nauka, wiara i moralność. Ileż to znikło wielkich państw i wspaniałych kultur? Bez zmiany pozostaje tylko zło, broń złych duchów. 60.000 lat temu jeden człowiek święty z całym swoim plemieniem ukrył się w podziemiach, w nieznanach, olbrzymich jaskiniach i nigdy już nie zjawił się na

<sup>20</sup>dżereni — antylopa. [przypis redakcyjny]

<sup>21</sup>salga — kuropatwa. [przypis redakcyjny]

powierzchni ziemi. Wielu ludzi bogobojnych zwiedzało te podziemia. Byli tam Sakkyamuni<sup>22</sup>, Paspas, był sułtan Baber. Gdzie jest to miejsce, tego nikt nie wie ściśle. Jedni powiadają, że w Indiach, inni, że w Afganistanie. Mieszkańcy podziemi rządzą się takimi prawami, przy których zbrodnie i grzechy są niemożliwe. Wszyscy ludzie są zabezpieczeni od złego. Nauki kwitną i nie grozi im zanik, jak to się zdarza na ziemi. Dlatego ludność podziemi doszła do wysokiej wiedzy. Teraz jest to już całe olbrzymie państwo... miliony ludności... Na ich czele stoi „Władca Świata”, który panuje nad wszystkimi siłami wszechświata, czyta w duszach ludzi i zna ich losy. Kieruje on niewidzialnie życiem i polityką 800 milionów ludzi, którzy na pierwsze jego wezwanie uczynią wszystko, czego on zażąda...

W tym miejscu książkę Czultun-Bejle dodał:

— Jest to państwo Aharty. Rozciąga się ono przez wszystkie podziemia świata. Słyszałem jednego uczonego kanpo z Chin, opowiadającego, że podziemia Ameryki są zamieszkałe przez lud starożytny, który ukrył się pod powierzchnią ziemi. Tymi podziemnymi ludami rządzą obrani przez nie królowie, którzy najwyższą władzę i kierownictwo przyznają „Władcy Świata”. Czyż jest w tym coś dziwnego? Czyż wy, Europejczycy, nie wiecie, że w oceanie Zachodu była olbrzymia ziemia, która znikła w otchłani wraz z miastami i ludźmi?! Znikła jednak stopniowo. Ludzie więc potrafili uratować się, przechodząc do podziemi. W głębi jaskiń pała osobliwy ogień, przy świetle którego proso i jarzyny wydają obfite urodzaje, a życie staje się długie i bezbolesne. Jeden stary bramin buddyjski z Nepalu odbył z rozkazu bogów podróż do Siemu<sup>23</sup>, gdzie spotkał rybaka, który długo płynął z nim morzem, aż dopłynęli na trzeci dzień żeglugi do wyspy. Tu bramin widział tubylców o dwóch językach, którymi mogli mówić naraz z dwoma ludźmi mową różnych narodów. Pokazali mu oni dziwne, nie widziane nigdy na ziemi zwierzęta: żółwie o 16 nogach, olbrzymie węże, posiadające smaczne mięso, ptaki z zębami ryb. Ci dziwni ludzie opowiedzieli podróżnikowi, że wyszli z Aharty wraz ze zwierzętami.

Lama-Turgut, człowiek mądry i bogobojny, który jechał ze mną z Urgi do Pekinu, opowiadał mi jeszcze więcej szczegółów o państwie Aharty.

— Mieszkańcy Aharty są to ludzie uczeni i posiadają wysokie stopnie magiczne. Nie możemy sobie nawet wyobrazić całej głębi ich wiedzy! Stolica Aharty jest otoczona miastami, zamieszkanymi przez wysokich kapłanów, przypomina zaś Lhasę w Tybecie, gdzie stolica Dalaj-Lamy czyli Potala, jest szczytem góry, złożonej z klasztorów i świątyń. Tron „Władcy Świata” otaczają miliony przeistoczonych duchów i bogów. Są to święci pandita. Pałac „Władcy” otaczają domy potężnych przez swoją moc magiczną „goro”, którzy władają siłami ziemi, nieba, piekła i wody. W ich ręku życie i śmierć ludów. Oni mogą wysadzić w powietrze połowę naszej ziemi, osuszyć morze, stepy zmienić w ocean a góry rozsypać w piasek pustyni. Na ich rozkaz wyrastają drzewa i kwiaty; starcy stają się młodzieńcami; umarli zmartwychwstają. „Goro” mkną wąskimi, podziemnymi szczelinami na nieznanych nam wozach przez olbrzymie jaskinie, oblane tajemniczymi, zachwycającymi promieniami; wznoszą się na niebotyczne szczyty i spuszczały w otchłań ziemi. Błogosławiony Sakkyamuni znalazł na szczycie jednej góry tablicę kamienną z napisem, który potrafił odczytać dopiero w głębokiej starości i potem dotarł do Aharty, skąd przyniósł ludziom okruszyny wiedzy wielkiej i tajemniczej.

— We wspomniałym pałacu z połyskującego kryształu przebywają ci, którzy pozostają nieznani, rządzą wszystkimi szlachetnymi i bogobojnymi ludźmi. „Władca Świata”, czyli „Wielki Nieznany” lub Brahytma, może widzieć Boga i odzywać się do Niego tak, jak ja mówię do pana. Brahytma ma dwóch pomocników: Mahtma, który zna cel przyszłych wypadków i Mahtynga, kierującego przyczynami tych wypadków.

Święci „goro” badają świat widzialny i niewidzialny i jego siły. Najuczeńsi z nich, zbierając się czasami na naradę magiczną, wysyłają gońców w takie dziedziny, do których nigdy nie docierał rozum i wzrok ludzki. Jeden z Taszy-Lamów, który żył przed 850 laty, w taki sposób opisuje ten obraz:

— „Goro” składają swoje ręce na wybranego i usypiają go. Obmywszy jego ciało wodą z magicznymi trawami, czyniącymi ciało ludzkie nieczułym na ból i twardszym od skały,

<sup>22</sup>Sakkyamuni — Buddha. [przypis redakcyjny]

<sup>23</sup>Siem — Syjam. [przypis redakcyjny]

owijają je w tkaniny magiczne ze znakami Zodiaku, mocno zawiązują i rozpoczynają modły, widząc, słysząc i pamiętając wszystko. Następnie podchodzi do niego „goro” i patrzy mu w oczy potężnym, rozkazującym wzrokiem. Powoli ciało odrywa się od ziemi, staje się przezroczyste, zdolne przebijać sklepienia jaskiń podziemnych i znika. „Goro” siedzi, nie odrywając oczu od oddalającego się gońca Aharty i kieruje jego lotem. Niewidzialne, świetlane nici łączą „goro” z gońcem. „Goro” i pandita wysyłają gońców w przestrzenie, oddzielające gwiazdy, a ci obserwują życie i zjawiska innych światów, poznają nieznaną ludźmi i ich losy, słuchając ich mowy i czytając ich księgi. Inni gońcy wstępują w płomień, buchający ze środka ziemi i widzą tam istoty ognia, szybkie i złe, stale walczące, roztopiające i kujące metale w niedosiężnych głębiach ziemi, nagrzewające wodę dla gorących źródeł, którą następnie wylewają na ziemię przez wierzchołki pustych, roztopionych w środku szczytów górskich. Niektórzy gońcy mkną pośród niepostrzeżenie chybkich, drobnych jak pyłek, przezroczystych istot powietrza i przenikają tajemnice ich istnienia i cel ich życia lub pływają w morzach i poznają świat mądrych istot wody, roznoszących ciepło po ziemi i rodzących wiatry i burze. W Erdeni-Dzu był niegdyś pandita-hutuhtu, przybyły z Aharty. Umierając przekazał wiernym to, co widział i słyszał, gdy pokorny woli „goro” przebywał na czerwonej gwieździe wschodniej, pływał w oceanie pokrytym lodem i wirował pośród istot podziemnego płomienia.

Takie opowieści słyszałem nieraz w jurtach mongolskich, w koczowiskach książąt i w klasztorach lamaickich. Opowiadano to głosami poważnymi, nie dopuszczającymi wątpliwości...

— Tajemnica...

## XX. WIELKIE MISTERIA „WŁADCY ŚWIATA”

W czasie pobytu mego w Urdze, w atmosferze nieustającego nigdy krwawego misterium, usiłowałem w tym ośrodku buddyzmu znaleźć jakieś wskazówki co do „Władcy Świata”. Oczywiście, najwięcej mógł być opowiedzieć sam „Żywy Buddha”, zwróciłem się więc do niego z prośbą, aby to uczynił. Przy pierwszych moich słowach stary dostojnik szybko zwrócił ku mnie głowę, a jego nieruchome, ślepe oczy zatrzymały się na mnie z wyrazem trwogi i podejrzenia. Mimo woli umilkłem. Długo trwało milczenie, po czym arcykapłan lamaicki ciągnął dalej swoją mowę, dając mi do zrozumienia, iż nie ma zamiaru poruszać tego tematu.

Oprócz mnie w gabinecie „boga” było dwóch oficerów burlackich, sekretarz i bibliotekarz Bogdo. Na twarzach obecnych zauważyłem ogromne zdumienie i przestraszanie, spowodowane moją wzmianką o tej tajemnicy najgłębszej. Lecz spostrzeżenia te jeszcze bardziej podniecały moją ciekawość.

Opuszczając gabinet „Żywego Buddy” spotkałem lamę bibliotekarza, który wyszedł przede mną. Poprosiłem go o zaprowadzenie mnie do księżnicy i w czasie oględzin uciekłem się do sztuki dyplomatycznej.

— Czy czcigodny lama wie — zacząłem głosem obojętnym — iż pewnego razu zdarzyło mi się być w drodze w momencie, gdy „Władca Świata” mówił do „Wielkiego Boga” i wtedy wyraźnie uczulem majestat tej chwili?

Ku wielkiemu memu zdziwieniu lama spokojnie odparł:

— Uważam, że buddyzm i lamaizm na próżno ukrywają przed ludzkością tę tajemnicę. Przecież wieść o istnieniu najświętszego i najpotężniejszego człowieka, o błogim państwie, o wielkiej świątyni najwyższej wiedzy — to taka pociecha w naszym ciężkim i smutnym życiu! Ukrywać tę pociechę przed ludźmi jest grzechem!

Bibliotekarz długo szperał na półkach z foliałami i zwojami bibuły, aż wreszcie wyjął jedną księgę i zaczął uważnie przewracać jej karty.

— Niech pan posłucha! — szepnął. — Przez cały rok „Władca Świata” kieruje pracami pandita i „goro” w Aharty. Czasami, w chwilach jemu tylko znanych, oddala się do najgłębszej świątyni, gdzie w trumnie z czarnego agatu złożone są balsamowane zwłoki poprzedniego władcy. Gdy do tej zawsze ciemnej jaskini wchodzi Brahytma, na ścianach zapalają się znaki ogniste, na grobie zjawia się płomienny język. Natychmiast ukazują się przy zwłokach czarna postać najstarszego „goro” z zasłoniętą twarzą i z rękami ukrytymi pod płaszczem. Ten „goro” nigdy nie ukazuje swego oblicza i głowy, bo jest to

głowa szkieletu o żywych oczach i mówiącym języku. Włada on możliwością łączenia się z duszami zmarłych, a nosi na imię „Marzy”, co znaczy „książę śmierci”...

Władca świata zaczyna się modlić, później zaś zbliża się do grobu i wyciąga ręce. Wówczas znaki ogniste wznoszą się wyżej. Płomienie na ścianach i sklepieniach jaskini gasną i znowu się zapalają, przeplatają się i drżą, tworząc znaki tajemniczej pisowni „waten”. Z trumny zmarłego władcy zaczynają wypływać i kołysać się w powietrzu strugi światła przezroczystego, ledwo dostrzegalnego. Są to myśli zmarłego. Po chwili postać żyjącego władcy spowita jest tymi strugami, a znaki ogniste układają inne wyrazy, mówiące o woli Boga. Brahytma w takiej chwili łączy się niewidzialnymi więzami z duszami ludzi, którzy mają wpływ na losy i życie całej ludzkości: królów, chanów, arcykapłanów, wodzów i uczonych; poznaje ich myśli i zamiary. Jeżeli są one zgodne z wolą Boga, „Władca Świata” dopomoże im potęgą swojej wiedzy, jeżeli zaś te plany są wrogie Bogu, doprowadzi je do zguby. Tę siłę dała „Wielkiemu Nieznanemu” najwyższa magiczna nauka — „Om”, której nazwą rozpoczynamy wszystkie modlitwy. „Om” — jest to imię starożytnego człowieka świątobliwego, pierwszego „goro”, który poznał Boga i nauczył ludzkość radości, wiary, nadziei i miłości. On też oddzielił dobro od zła i pierwszy rozpoczął walkę ze złem. Za to Bóg dał mu poznanie nauki, którą ludzie zowią „Om”

— Gdy Władca skończy niemą rozmowę ze zmarłym, zwołuje wielką „radę Boga” i poddaje jej sądowi czyny i zamiary ludzi, wspomaga je lub niszczy, a Mahytma i Mahynga znajdują dla nich miejsce w łańcuchu przyczyn i celów, kierujących światem. Po skończonej Radzie „Władca Świata” wstępuje do świątyni i pogrąża się w modlitwie samotnej. Na ołtarzu zapala się wielki ogień, stopniowo ogarniający cały ołtarz, a z płomieni tworzy się oblicze Boga. „Władca Świata” przedstawia mu wyroki „rady Boga” i otrzymuje wskazówki od Wszchemogącego. Gdy Brahytma powraca ze świątyni, podobny jest do promiennego widma, przed którym gaśnie słońce.

— Czy ktoś z żyjących widział „Władcę”? — zapytałem.

— Tak! — odparł lama. — W dniach wielkich nabożeństw buddystów w Syjamie, w Indiach pięć razy widziano „Władcę”. Jechał na białym słoniu, cudownie przybranym, na głowie miał tiarę, a na twarzy zasłonę, kapiącą diamentami. Błogosławił lud jabłkiem złotym ze stojącym na nim jagnięciem. Ślepi, niemowcy, kalecy odzyskiwali zdrowie i moc gdy padał na nich wzrok „Władcy”. Brahytma był w Narabanczi-Kure, w starym klasztorze Sakkyia, a przed 540 laty był w naszym Erdeni-Dzu. Jeden z „Żywych Buddhów” oraz jeden z Taszy-Lamów otrzymali pismo władcy na tablicach mosiężnych. Tylko jeden z Taszy-Lamów mógł odczytać pismo, skreślone nieznanymi znakami. Taszy-Lama zamknął się w świątyni, długo pościł i modlił się, a później położył pismo na czole i wnet myśli „Władcy Świata” stały się jego myślami.

— Czy wielu ludzi było w Aharty? — pytałem dalej.

— Wielu! Lecz wszyscy zachowali tajemnicę. Po zburzeniu Lhassy przez Kałmuków jeden z ich oddziałów wypadkowo dostał się do przedmieść Aharty i stamtąd wyniósł niektóre nauki magiczne. Dlatego to Kałmucy są najlepszymi wróżbitami i czarownikami. Z Aharty wypędzono jakieś plemię, które zakradło się tam bez woli „Władcy”. Plemię to wykradło stamtąd tajemniczą sztukę wróżenia z kart, z linii rąk oraz wiedzę trujących i leczących traw. Byli to Cyganie.

Gdzieś na północy istnieje jeszcze szczep wymierający, który przed wiekami opuścił Aharty. Kapłani tego szczepu posiadają władzę nad duchami, unoszącymi się w powietrzu.

Lama umilkł, a po chwili, odpowiadając na moje myśli, ciągnął dalej:

— W Aharty panditowie zapisują na tabliczkach z agatu i nefrytu całą naukę istniejącą pod ziemią, na ziemi i na dalekich gwiazdach. Chińscy uczeni — buddyści wiedzą o tym. Ich nauka jest najdonioślejsza z nauk ludów żyjących na powierzchni ziemi. Dlatego też co 100 lat na odosobnionym brzegu morza zbiera się stu mędrców chińskich, do których przyplływają stare żółwie po 3000 lat żyjące. Na ich tarczach mędrcy notują wszystkie wyniki nauki w ciągu ubiegłego stulecia, po czym żółwie powracają do Aharty.



## XXI. PRZEPOWIEDNIA „WŁADCY ŚWIATA” W 1890 R.

Hutuhtu w Narabaczi-Kure opowiedział mi treść przepowiedni „Władcy Świata” podczas jego przypuszczalnej bytności w 1890 roku pośród lamów i mnichów.

— Gdy „Władca Świata” zjawił się pośród nas, wówczas uczynił przepowiednie na przeciąg 50 lat.

„Wielki Nieznany” rzekł:

„Ludzie coraz bardziej będą zapominali o swojej duszy, troszczyć się zaś będą tylko o ciało. Wielki grzech i rozpusta zapanują na ziemi. Ludzie zaczną pożądać krwi i śmierci braci. Przygaśnie półksiężyc, a czczący go będą żyli w poniewierce, męczarniach, nędzy i nieustannej wojnie. Wrogowie ich poniosą klęskę od ludzi słońca, lecz nie staną się lepsi i spotka ich powtórna klęska na wojnie, która się skończy hańbą w oczach innych ludów. Spadną korony z głów wielkich i małych mocarzy... Widzę 8 koron, które rozpadną się w proch. Widzę bitwy wszystkich ludów, nawet morze i powietrze będą szkarłatne od krwi. Runą państwa, zginą ludy. Przyjdą głód, mór, zbrodnie, jakich nie znał dotychczas świat. Nastąpią czasy wrogów boskiego ducha w człowieku. Podniesie się czterdzieści setek milionów ludzi dla głodu i śmierci. Ludy zaczną koczować ścigane przez śmierć. Zginąć muszą trzy największe, najpiękniejsze miasta. Rozpadną się rodziny, zaginie prawda i miłość. Z 10.000 ludzi pozostanie tylko jeden, nagi i szalony, i nie będzie miał siły i wiedzy, aby odbudować dom i znaleźć pożywienie. Będzie wyl jak wilk i gryzł swoje własne ciało. Będzie zjadał trupy umarłych i czyhał na życie takich, jak on sam. Nareszcie w porwywie szału zwróci się do Boga, chcąc stoczyć z nim walkę śmiertelną. Wtedy ja, Władca Świata, pošlę na Zachód i Wschód szczepy zapomniane, aby z wyroku Boga przyniosły karę i zbawienie. Głos mój posłyszają wierni od krańca aż po kraniec ziemi. Zjawią się trzy wielkie państwa, a będą istniały 71 lat od dnia zjawienia się. Później nastąpi 18 lat krwawych wojen, zguby i zdziczenia. Wtedy przyjdę na ziemię ja, przyjdę z siłami Aharty!”

Takie są opowiadania i legendy o „Wielkim Nieznanym”, o „Władcy Świata”.

Dla mnie, znającego Azję od kresu do kresu tego kontynentu, nie ulega wątpliwości, że zbliża się czas, gdy 800 milionów głodnych, zrozpaczonych, pałających nienawiścią Azjatów różnych szczepów ruszy na Zachód, gdzie ludy wykonują ostatni swój tan nad własnym grobem, oszukując się różnymi teoriami i zapominając o wielkim duchu, który uspiomy życiem — milczy. Tymczasem dzień zguby już świta...

Gdy piszę te słowa, wzrok mój mimo woli zwraca się w stronę olbrzymiego serca Azji, na którego powierzchni ciągnie się cienką, zygzakowatą linią mój ślad.

Przez śnieżne zamiecie, przez kurzawy piasku Gobi widzę stepy Mongolii; widzę okolo ruin Karakorum i dalej na Ubsa-Nor wielkie barwne obozy wojenne, tabuny koni, wielbłądów i stada bydła.

Widzę niebieskie jurty wodzów, a nad nimi powiewające stare sztandary Dżengiz-Chana i królów Tybetu, znaki arcykapłanów trzech stolic lamaickich, proporce książąt kałmuckich, flagi Syjamu, Afganistanu i radżów indyjskich oraz buńczuki północnych Mongołów. Dalej na Zachodzie, jak okiem sięgnąć, widzę zarzewia pożarów, słyszę huk i świst strzałów, huny ognia, krzyki mordowanych, wycie zdobywców, odgłosy bitew... Kto wiecie te hordy ku krwawemu dziełu zbrodni, zemsty lub kary? Kto rozpoczął okres nowych krzyżowych wypraw... Mongołów?

Karma odkrywa nową kartę dziejów ludzkości...

A on, ten mistyczny „Władca Świata”, czy też jest z tymi hordami z Gobi, Himalajów, Gangesu i Yan-Tze?

O tym milczy ta Tajemnica Tajemnic...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ossendowski-ludzie-zwierzeta-bogowie/>

Tekst opracowany na podstawie: Ferdynand Ossendowski, *Zwierzęta, ludzie, bogowie*, wyd. "Łuk", Białystok 1991.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Publikację wsparli i wsparły: kjonca, Grzegorz, Tomek Puch, Krzysztof Peroń, Maria Kazimierczak, Sabina Giszter, Robert Szewczyk, Wodarek, Bogumiła Szalańska, Witold, Marcin Listwan, Piotr Szymczak.

Okładka na podstawie: Mark Fischer@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-6278-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.